



KTA
SPRAWY

"BRZYTWA"



40. RAKÓW

AGNIESZKA PESZEK

www.peszek.pl

40. Raków

AGNIESZKA
PESZEK

Copyright by Agnieszka Peszek 2023

Copyright by 110 procent 2023

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSlova.pl

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

Wersja elektroniczna: Mateusz Cichosz | [@magik.od.skladu.ksiazek](https://magik.od.skladu.ksiazek)

ISBN: 978-83-967757-4-0

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

www.peszek.pl

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

JamaNiamy

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3 ONA

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7 ONA

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10 ONA

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14 ONA

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17 ONA

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20 ONA

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23 ONA

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26 ONA

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29 ONA

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32 ONA

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35 ONA

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38 ONA

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41 ONA

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46 ONA

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49 ONA

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52 ONA

Rozdział 53

Rozdział 54 ONA

Rozdział 55

Rozdział 56 ONA

Rozdział 57

Rozdział 58 ONA

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61 ONA

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64 ON

Rozdział 65

Rozdział 66 ONA

Rozdział 67

Kilka słów na koniec

Rak to wybitnie rodzinny znak zodiaku. Jego dominującymi cechami są troskliwość, ostrożność w działaniu i uczuciowość. Mimo to czasami potrafi zaskoczyć nieustępliwością i wyobraźnią. Słucha swojej intuicji, która rzadko go zawodzi. Rak potrafi analizować wydatki ponad normę i na końcu dochodzić do wniosku, że nie są potrzebne. Gdy przychodzi zły dzień, jest wyjątkowo drażliwy.

Aaa, i swoich pomysłów broni niczym lwica małych ;)

Rozdział 1

Zerknął na stojący na szafce nocnej zegar, który stanowił jedyne źródło światła. Żona nalegała na zasłony typu *black out*, dzięki którym nie docierały do nich żadne promienie słoneczne, a w pokoju niezależnie od pory dnia panowały egipskie ciemności. Twierdziła, że dzięki temu będą się lepiej wysypiać.

Codziennie rano zachwycała się tym wyborem, twierdząc, że dobrze, że nalegała, bo ponownie wstała rześka niczym skowronek. On tylko potakiwał z poważną miną, śmiejąc się w duchu. Gdyby tylko znała przyczynę tego stanu, jej radość zniknęłaby natychmiast, a zastąpiłoby je powątpiewanie, które szybko ustąpiłoby miejsca przerażeniu.

Za tym stanem rzeczy stały tabletki nasenne, które codziennie w sporych ilościach dosypywał jej i dzieciom, choć im proporcjonalnie mniej. Cały ten proceder możliwy był przez zwyczaj pielęgnowany przez żonę od początku ich małżeństwa – wspólne kolacje, które przygotowywała sama, nie pozwalając, aby dzieci w jakikolwiek sposób jej pomagały, co niezmiernie go denerwowało. Jego rodzice zaprzęgali go do każdej możliwej roboty, dzięki czemu opuszczając dom, potrafił gotować, prasować, sprzątać. Do zadań naprawczych miał dwie lewe ręce, ale na szczęście jego ojciec również, więc nie czuł się z tym źle.

Za to jego dzieci nie potrafiły w domu zrobić niczego. Miały dziewięć i jedenaście lat i całymi dniami siedziały z nosami w kompute-

rze, konsoli lub telefonie. Ich umiejętności gotowania kończyły się na podgrzaniu wody w czajniku, a spuszczenie wody w toalecie po skorzystaniu z niej graniczyło z cudem. O poważniejszych sprawach, takich jak odkurzanie czy sprzątnięcie łazienki, nie było mowy. Gdy żona zaszła w pierwszą ciążę, ucieszył się. Może nie skakał z radości, ale posiadanie potomka stanowiło jeden z jego życiowych celów. Oczami wyobraźni widział siebie i swojego małego klona, który jest żądny wiedzy i pracowity jak on. Z czasem niestety doszła do niego smutna prawda, że zarówno syn, jak i później córka są jak większość młodych ludzi w dzisiejszych czasach. Leniwi i roszczeniowi. Próbował z tym walczyć, ale spędzając z dziećmi zaledwie godzinę dziennie, nie miał szans z wzorcami, które one chłonęły każdego dnia niczym SpongeBob Kanciastoporty, czyli gąbka z kreskówki. Ostatnim bastionem, którego nie chciał odpuścić, była wiara. Religia, która pozwalała mu przetrwać, a dla jego bliskich stanowiła tylko przykry obowiązek. Dlatego dwa lata wcześniej, widząc, jak syn podchodzi do komunii świętej jak do biznesu, na którym chce jak najwięcej zarobić, zrezygnował.

Powoli usiadł na łóżku i spuścił nogi na podłogę. Leżąca obok żona nawet nie drgnęła. Cicho pochrapywała, irytując go niezmiernie. Zapalił latarkę w telefonie i poświecił na stojące obok krzesło. Wstał i zdjął z niego szlafrok, który codziennie wieszał wieczorem przed pójściem spać, aby nie marznąć, gdy w nocy wyjdzie z łóżka.

Zarzucił go na siebie i wyszedł z pokoju, cały czas świecąc przed siebie wąskim snopem światła. Już dwa razy zdarzyło się, że potknął się o zostawione przez dzieciaki rzeczy. Raz zdążył zareagować i tylko boleśnie stanął na niewielkich klockach Lego, które walały się po podłodze. Innym razem skończyło się znacznie gorzej. Przewrócił

się i narobił przy tym mnóstwo hałasu. Mimo że kostka bolała go okrutnie i momentalnie pojawił się obrzęk, to i tak się cieszył, ponieważ nikt z trojga śpiących domowników nie przebudził się nawet na ułamek sekundy. Spali smacznie, a on mógł działać, zamiast patrzeć na ich przestraszone twarze i odpowiadać na pytania w stylu „Czy wszystko w porządku?”.

Przeszedł obok pokoju córki, a następnie syna i ostrożnie stawiając stopy, zszedł na dół. Mieszkali w nowym domu od dwóch lat, a on cały czas nie mógł się przyzwycząić, że schody nie trzeszczą jak w poprzednim. Gdy stanął na parterze, w końcu poczuł ulgę, choć było to nieco irracjonalne. Wszyscy spali głębokim snem, o czym wiedział dobrze, a i tak się stresował.

Chciał mieć stuprocentową pewność, że nikt go nie nakryje. W jego planie nie było miejsca na pomyłki, dlatego kolejny etap swojego planu wdrażał już drugi rok. Pierwsza faza skończyła się, gdy przyprowadził żonę do nowego miejsca ich zamieszkania.

– To nasz nowy dom?!

Biegała od pokoju do pokoju i piszczała głosem, który denerwował go. Zachowywała się jak piskliwy bachor w sklepie z zabawkami. Na szczęście rzadko słyszał u niej te tony, ponieważ była oszczędna w okazywaniu emocji, co akurat u niej cenił.

– Tak. Chciałem zrobić ci niespodziankę – skłamał, co czynił coraz częściej i co coraz rzadziej mu przeszkadzało.

Jako młody człowiek chciał żyć zgodnie ze swoimi ideałami. Prawdomówność, uczciwość. Zawsze patrzył z dumą na swoich rodziców, którzy ich przestrzegali. Co tydzień chodzili do kościoła, uczyli go modlitw, czytali Biblię. Jednak gdy skończył osiem lat, zaczął dostrzegać rysy na tym idyllicznym obrazku. Gdy zaś sam otrzy-

mał niespodziewany cios od osoby, której ufał, szybko przeorganizował swój system wartości. Już lata temu postanowił, że wartością nadrzędną we wszystkim, co robi, będą jego własne szczęście i satysfakcja.

– Niespodziankę?! – powtórzyła po nim żona, wydzierając się ponad normę, i uwiesiła mu się na szyi. – To nie jest niespodzianka. To jest coś o wiele większego. To jest jak dar. Jak spełnienie marzeń, o których nawet się nie wie. Nasz dom nigdy mnie nie denerwował, jest optymalny na naszą czwórkę, dlatego nie myślałam o niczym większym, a to... – Po jej wklęsniętych policzkach popłynęły łzy, a podbródek zaczął drżeć. – Dziękuję, kochanie, jesteś najcudowniejszym mężem, jakiego mogłam sobie wyśnić.

Przywarła do niego mocno, licząc na odwzajemnienie uczuć, i pocałowała w policzek. To był pierwszy ich dłuższy kontakt fizyczny od kilku miesięcy. Tłumaczył to stresującą pracą, co ona ze smutkiem przyjmowała. Tak naprawdę od zawsze stronił od dotyku, którego inicjatorem nie był on, dlatego w takich sytuacjach, gdy ktoś inny go dotykał, czuł się nieswojo. Jakiś terapeuta zapewne miałby przy tym co robić, jednak on wolał nie analizować, nie rozkładać na czynniki pierwsze, nie myśleć.

Momentalnie jego mięśnie się napięły, na co żona poluzowała uścisk. Dobrze wiedziała, że stojący przed nią mężczyzna nie lubi tego, choć źródła problemu nie знаła. Wróciła do spacerowania po nowym domu, a on niespiesznie wędrował za nią.

– Ale jak ty to zrobiłeś? Ja nic o tym nie wiedziałam. Nawet przez ułamek sekundy się nie zdradziłeś. Skąd miałeś na to pieniądze? – W tym momencie obróciła się w jego stronę i spojrzała podejrzliwie swoimi dużymi, brązowymi oczami, mimo że uważała swojego męża

za człowieka najuczciwszego na świecie i, jak często chwaliła przed innym, świętszego od papieża. – Ukradłeś? – rzuciła rozbawiona i przekrzywiła głowę, jak to mają w zwyczaju małe dziewczynki przekomarzające się z rozmówcą.

– Ukradłem miliarderowi. A żeby nikomu nic nie powiedział, zabiłem go i zakopałem w nowym ogródku – odrzekł z poważnym wyrazem twarzy. Nawet najmniejszy mięsień nie drgnął. Gdyby nie ruchy powiek, które ciężko było wyeliminować, można byłoby pomyśleć, że to nie twarz żywego człowieka, ale maska.

– Ty i te twoje żarty... – zaśmiała się na głos.

Od tego czasu minęły prawie dwa lata, a on nadal nie mógł uwierzyć, że tu jest, i nadal nie zdradził żonie, jak udało mu się zbudować dom bez jej wiedzy. A sprawa wcale nie była aż tak skomplikowana. Od samego początku małżeństwa odkładał około dwudziestu procent swojej pensji. Na początku wiązało się to z faktem, że się nie przelewało. W budżecie domowym brakowało właśnie tej jednej piątej do szczęścia, ale wtedy motywował ją do zaciśnięcia pasa i jakoś szło. Po latach na koncie uzbierał całkiem pokaźną sumkę. Na całą budowę nie wystarczyło, dlatego zaciągnął kredyt, który szybko spłacił, sprzedając poprzedni dom.

Śmiało mógł powiedzieć, że sam na niego zapracował. Dlatego za każdym razem, gdy samotnie po nim wędrował, lekko uśmiechał się z dumy.

Obszedł swoim zwyczajem całą kuchnię połączoną z jadalnią i salonem. Sprawdził drzwi wejściowe i duże przesuwne na taras. Każde okno otworzył i ponownie zamknął. Poprawił zasłony, tak aby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Przy okazji wstawił brudne naczynia do zlewu, wyrzucił do śmieci zostawioną prawdopodobnie

przez córkę skórkę od banana i wyciągnął z zamrażarki mięso z kurczaka na leczo, a do garnka wsypał ryż i zalał go wodą, po czym jeszcze raz wszystko sprawdził.

Nerwica natręctw nie pozwalała mu zachować się inaczej. Parę razy spróbował ominąć ten krok, ale wracał w połowie schodów prowadzących do piwnicy i powtarzał całą procedurę, mimo że dostrzegał absurd sytuacji. Gdy już skończył, spokojnie otworzył prowadzące do pomieszczenia na poziomie minus jeden drzwi, które mieściły się w wiatrołapie. Otworzył je kluczem, który chował przed innymi. Żonie powiedział, że przetrzymuje tam narzędzia, wędki i inne szpargały i nie chce, aby dzieci narobiły bałaganu. Specjalnie dla niej zaprojektował mnóstwo szaf wnękowych na parterze i pierwszym piętrze, więc nie miała potrzeby, by schodzić na dół. Dodatkowo raz na jakiś czas karmił ją jakąś straszną historią na temat trupów znalezionych w piwnicach. Wiedział, że jak u większości kobiet jej wyobraźnia pracuje na zwiększonych obrotach, więc schodzenie na dół stanie się ostatnią rzeczą, jaką będzie miała ochotę zrobić. I faktycznie, za każdym razem, gdy wybierał się do pomieszczenia zlokalizowanego pod salonem, robiła przerażoną minę i informowała go, że ona nie dałaby rady i podziwia go za odwagę.

Otworzył białe drzwi, które zrobił na zamówienie. Były grubsze, a futrynę wypchano dodatkową gąbką, aby nikt nie słyszał odgłosów dochodzących z dołu. Powoli zszedł po betonowych schodach, których specjalnie niczym nie wyłożył, aby nie wydawały jakichkolwiek dźwięków, i stanął w pomieszczeniu mającym około dwudziestu metrów kwadratowych. Trzy ściany gęsto zastawił solidnymi metalowymi regałami, od sufitu po podłogę wypełnionymi jego rzeczami. Na pierwszy rzut oka była to zwykła, najzwyklejsza piwnica. No,

może gdyby dorzucił tam kilka butelek bimbrow, poczułby się jak w rodzinnym domu.

Tutaj jednak ciężko byłoby znaleźć choćby butelkę piwa. Po pierwsze, nie lubił tego stanu, gdy tracił panowanie nad swoim ciałem i umysłem, a po drugie, sam smak wina czy wódki działał na niego odpychająco. Jednak najistotniejszy był fakt, że dzięki temu czuł większą kontrolę nad tajemnicami, które skrywał. Już nieraz w życiu widział, jak ludziom luzują się wszelkie hamulce i pod wpływem procentów wyjawiają swoje najskrytsze sekrety, których na co dzień strzegli jak lwica swoich małych.

Nawet dwa tygodnie wcześniej podczas wizyty u znajomych, której nie mógł uniknąć, był świadkiem tego, co alkohol robi z człowiekiem.

– Graliście kiedyś w prawdę czy wyzwanie? – spytała żona solenizanta.

– Nie – odpowiedziała chórem trójka siedzących przy stole ludzi.

– Chodzi o to, że dana osoba musi najpierw wybrać, co chce zrobić, odpowiedzieć na pytanie czy wykonać zadanie – wyjaśniła kobieta, wydymając do zgromadzonych swoje napompowane usta, ponieważ napięta do granic możliwości skóra nie pozwalała na inną mimikę twarzy, a próba uśmiechnięcia się kończyła się dziwnym grymasem, który właśnie prezentowała. – Franek, może zaprezentujemy na tobie. – Szturchnęła siedzącego obok siebie męża, który po wypiciu ponad butelki wina i kilku drinków, zawierających więcej whisky niż rozcieńczającej ją coli, zerkał na gości małymi oczkami, marszcząc przy tym czoło i nasadę nosa.

– Jaka gra? Kobieto, o co ci chodzi? – wymamrotał, patrząc na żonę, jakby pierwszy raz w życiu ją widział.

Mężczyzna, zazwyczaj bardzo elegancki, siedział z trzema odpiętymi guzikami koszuli, eksponując przy tym mocno owłosioną klatkę piersiową. Nie to jednak odbierało mu urok, ale kilka plam sosu pomidorowego, które wylądowały na śnieżnobiałej tkaninie, gdy gestykulując niczym prawdziwy Włoch, opowiadał o swojej pierwszej przejażdżce konnej i ręką zahaczył o stojącą przed nim sośjerkę. Wszystko spektakularnie wylądowało na koszuli, robiąc dodatkowo bałagan na kremowym obrusie.

– Czy ty zawsze musisz być taki poważny? – skomentowała, piorunując go wzrokiem i kręcąc z dezaprobatą głową, jednak zupełnie tym niezniechęcona rzuciła ponownie: – Prawda czy wyzwanie?

Franciszek Trawiński westchnął zrezygnowany, bo dobrze wiedział, że walka z upartą żoną nic mu nie da. Będzie go tak długo atakować, osaczać, aż dopnie swego, a zupełnie nie miał na to ochoty, dlatego zrezygnowany rzucił:

– Prawda.

Kobieta, udając zamyśloną, uniosła wielki kielich wypełniony płynem w kolorze burgunda i przyłożyła go do napuchniętych ust. Powoli, aby szkło jak najmniej dotykało błyszczyka, który z daleka mienił się świecącymi drobinkami, upiła łyk. Odstawiła wino na stół i spojrzała na męża.

– Normalnie powinny być do tego karty, ale jeszcze nie kupiłam, więc wypisałam sobie kilka propozycji. – Sięgnęła po leżący przed nią telefon z małymi srebrnymi diamencikami, które na tylnej obudowie układały się w słowo „love”. Poklikała chwilę i rzuciła: – Podaj liczbę od jeden do dwudziestu.

– Trzyście – odpowiedział natychmiast i wziął wielki łyk stojącego przed nim drinka, tak że ponad połowa jego zawartości

szklanki zniknęła w jego ustach. Wylał wierzchnią stroną ręki resztki napoju z warg, wytrzeszczył w stronę gości oczy i wzruszył ramionami w geście mało eleganckich przeprosin. Znali się nie od dziś, więc dobrze wiedzieli, jakie panują w tym domu zwyczaje i kto tak naprawdę rządzi.

W końcu kobieta odłożyła telefon i uśmiechnęła się, pokazując zęby tak białe i równe, że na zdjęciach musiała czasami je poszarzyć, bo uderzały kolorem niczym księżyc w bezchmurną noc.

– No dobra, mężusiu. To powiedz nam... – Zrobiła teatralną pauzę, zatrzepotała rzęsami i ponownie spojrzała na siedzącego obok męża. – Jakie było twoje ostatnie kłamstwo?

Mężczyzna utkwiał wzrok w leżącym przed nim talerzu, na którym miał resztki zrobionego przez siebie steka z halibuta z warzywami i sosem czosnkowym.

– Nie pamiętam – powiedział i ponownie spojrzał na zaproszonych gości, którzy od jakiegoś czasu nie odezwali się słowem.

– Oj, przestań, to tylko zabawa. Niektórzy grają w kalambury, inni w Scrabble, a my w prawdę czy wyzwanie – zaświergotała, ułożyła usta w dzióbek i zarzuciła tlenionymi blond włosami, które swoim zwyczajem wyprostowała.

– To ty chcesz grać, nie my. – W tym momencie ruchem ręki pokazał na resztę zgromadzonych przy stole.

– Nie możesz raz na jakiś czas wyjść z tej swojej strefy komfortu i zrobić czegoś dla innych?

– Dla innych? – Mężczyzna wstał i rzucił leżącą na kolanach serwetkę na talerz, mimo że miał jeszcze ochotę dokończyć rybę. – Ja zapierdalałam jak mały samochodzik, żeby starczyło na wszystkie twoje zachcianki, a ty mi mówisz o robieniu czegoś dla innych? My-

ślisz, że pieniądze na naszym koncercie biorą się z kosmosu? Ja cały czas robię coś dla innych, a później nie mogę nawet w spokoju zjeść z przyjaciółmi kolacji, bo muszę grać w twoje popieprzone zabawy, które wszyscy mają gdzieś. Może ty czasami pomyśl o innych. My chcemy spokoju, ciszy. Wiem, że siedząc w domu, masz jej ponad normę, ale ja nie! – wrzasnął i podniósł szklankę z drinkiem. Wypił jednym haustem do końca i odstawił, uderzając szkłem o talerz z jedzeniem. – Gdybyś przepracowała w życiu chociaż jeden dzień, to może, kurwa, byś zrozumiała, o co mi chodzi.

Kobieta patrzyła na niego zaczerwienionymi oczami, ale ani jedna łza nie spłynęła po jej policzkach, tak jakby stopowała się, aby nie uszkodziły jej perfekcyjnego makijażu.

– Ja tylko... – wydukała drżącym głosem. – Myślałam, że się pobawimy. To chyba nic strasznego?

– Chcesz się bawić? – zaśmiał się, ale jego twarz nie wyrażała radości. – To się bawmy! – krzyknął. Podszedł do barku, chwycił za butelkę whisky, którą pił wcześniej, i pociągnął spory łyk prosto z gwinta. Podszedł z butelką do stołu, ale nie usiadł. Postawił lewą nogę na siedzeniu krzesła, którego obicie zrobiono ze sprowadzanej z końca świata skóry anilinowej. Wiedział, że but właśnie zostawia na niej ślad, ale miał to gdzieś. – Mam ci powiedzieć, jakie było moje ostatnie kłamstwo? – rzucił i znów zarechotał.

Kobieta kiwnęła potakująco głową.

– Spytałaś mnie, czy byłem dzisiaj rano na treningu, a ja potwierdziłem. To powiem ci, że nie byłem. – Uśmiechnął się w przerażający sposób. – Chcesz wiedzieć, co wtedy robiłem?

– Co? – wydukała cicho, a wzrok utkwiała w stojącej przed nią szklance z wodą gazowaną, po której ściankach w górę unosiły się

małe bąbelki, jakby chciały się uwolnić.

– Pieprzyłem się z twoją przyjaciółką. Z Wikusią. Oj, jakie ona ma usta... – powiedział rozbawiony, przeciągając ostatnie słowo. Zanim zdołała zareagować, wyszedł, zostawiając przy stole trójkę zszokowanych ludzi.

Teraz mężczyzna tylko pokręcił głową z politowaniem na wspomnienie wyznania Franciszka. Na szczęście on wiedział, że nie ma opcji, aby kiedykolwiek komukolwiek powiedział coś, czego inni nie powinni wiedzieć. Jego tajemnice były bezpieczne niczym złoto w szwajcarskim banku, a to dlatego, że tylko on o nich wiedział.

Stanął na betonowej podłodze piwnicy i uśmiechnął się sam do siebie. Zawsze tak robił, gdy docierał tutaj. Na co dzień jego twarz bardzo sporadycznie pokazywała emocje. Pozwalał sobie na chwile słabości, jak o tym myślał, tylko wtedy, gdy w pobliżu nikogo nie było, jak teraz. Rozejrzał się dookoła i poczuł dumę. Podeszedł do ściany obok schodów i przesunął wiszący tam obraz, który narysowała jego matka. Specjalnie powiesił go w piwnicy, to była forma kary dla niej. Wiedział, że czułaby zażenowanie, wiedząc, co z nim zrobił. Nie dość, że jej dzieło nie wisiało w salonie lub innym wyeksponowanym miejscu, to na dodatek stanowiło element jego planu. Przesunął delikatnie ramę i wprowadził kod na nowoczesnym panelu, tym samym otwierając ukryte drzwi.

Zamknął za sobą grube wygłuszające drzwi, o wiele mocniejsze niż te piętro wyżej, zszedł po metalowych schodach, po czym jak zawsze opuścił z błogością powieki i wciągnął powietrze nosem. To było jego królestwo. Jego wymarzone miejsce, które projektował w głowie od zawsze. Już jako mały chłopiec chciał móc uciec gdzieś przed życiem, które mu się nie podobało, by chociaż na małej prze-

strzeni zbudować takie... idealne. Swoje. Do którego nie musiałby nikogo wpuszczać.

Białe ściany, biała podłoga, białe wszystko.

Rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikogo tu nie ma. Wiedział dobrze, że nie, bo zamontowany alarm nie dał znaku o żadnym intruzie, ale zawsze lubił się upewnić. Założył niebieskie ochraniające na kapcie, które zawsze nosił, i ruszył.

O tych pomieszczeniach nie wiedział nikt. W sekrecie przed rodziną w piwnicy zbudowano mu coś na kształt kawalerki. Bezpośrednio z pomieszczenia piwnicznego wszedł do małego korytarczyka, a następnie otworzył kolejne białe drzwi i wszedł do wielkiego pokoju, w którym stała kanapa, a przed nią telewizor, którego w ciągu dwóch lat nigdy nie włączył.

Obok na długiej ścianie ciągnęła się kuchnia, która, podobnie jak reszta, była w śnieżnobiałym kolorze. Korzystał z niej niezwykle sporadycznie, ale uparł się, że musi tu być.

Jednak najważniejszy element wystroju stał na środku. Prostokątny stół jadalny, elegancko przygotowany, jakby zaraz ktoś miał podać posiłek. Przy dwóch z sześciu krzeseł duży talerz, na nim głęboki, po bokach zgodnie z zasadami poukładane sztucce. Po prawej stronie najbliższej talerza nóż skierowany ostrzem w jego stronę, a następnie łyżka do zupy, a po lewej widelec. Czasami układał jeszcze małą łyżeczkę nad nakryciem, ale tym razem nie planował deseru. Sam nie lubił słodkości, a jego gość dbał o talię. Czasami przesadnie.

Może odwiedzający z uśmiechem na twarzy spojrzełby na to, gdyby nie jeden szczegół.

Na jednym z miejsc siedziała kobieta.

Nie ruszała się.

Nie oddychała.

Jej wzrok nie pokazywał żadnych emocji. Zupełnie nic.

Jemu to jednak nie przeszkadzało. Usiadł na kanapie i patrzył na swoje dzieło.

Na nowego lokatora, który zamieszkał tu raptem dzień wcześniej.

Wiedział, że to dopiero początek ekscytującej podróży, której celem jest zemsta.

Słodka.

Widziana w czerwonych barwach.

Rozdział 2

– Stary, co ci? – spytał dwudziestoosmioletni aspirant Kamil Jaworski, opierając się o radiowóz i zaciągając papierosem.

Stali na polnej drodze, licząc, że nikt ich nie zauważy. Komentant od dłuższego czasu ganił funkcjonariuszy za wszelkie nieprzepisowe przerwy w pracy. Przerwa na dymek, na wizytę w sklepie czy na stacji po hot doga lub kawkę równała się z ostrą reprimendą. Niektórzy, co mocno z tym przeginali, dla przykładu pożegnali się z blachą. Jak to mawiał szef: „Firma to nie plac zabaw. Albo, kurwa, robisz, co każe, albo wiesz, gdzie są drzwi”.

Mimo to raz na jakiś czas nie dawali rady i brak nikotyny wygrywał z rozsądkiem. Wtedy robili przerwę od patrolowania i stawali w jakiejś małej uliczce lub krzakach, a gdyby ktoś ich złapał, mieli mówić, że to potrzeba wyższa. Z tym szef nie mógł dyskutować. Nie mogli zawinąć wacka na supełek lub, jak głosiła miejska legenda, chodzić w pampersach jak pracownicy jednej z sieci sklepów spożywczych.

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem. Od ponad dwóch tygodni chodził podminowany, gdyż jego trwający od trzech lat związek przeżywał kryzys. Po pierwsze, jego dziewczyna zachowywała się dziwnie, a po drugie, zaczął mu bardziej niż zazwyczaj ciążyć jej stosunek do jego roboty.

- Chodzi o Alę. Cały czas siedzi na telefonie i się głupio uśmiecha. Coś jest nie tak – rzucił w końcu i ponownie mocno się zaciągnął. Przed wyjściem z domu nie zdążył zjeść, dlatego kolejny mach wywołał zawrót głowy. Zazwyczaj mocno przestrzegał ważnej zasady żywieniowej mówiącej, że śniadanie to podstawa, jednak kryzys w związku spowodował, że zachowywał się bardziej jak rozhisteryzowana baba, a nie facet mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt.

- Serio? Tylko to? A ty tak nie robisz? Nawet rano, jak wpadłem do socjalnego, gapiełeś się w ekran i rżałeś jak koń. Więc ty też mnie zdradzasz? – spytał Jaworski smutnym głosem, a usta wykrzywił w podkówkę.

Bogucki nie wiedział, jak odpowiedzieć koledze, bo w jego słowach tkwiło sporo prawdy. Patrzył na kumpla, który co jakiś czas groził, że odejdzie ze służby, i czuł, że ma pustkę w głowie.

Jaworski nigdy nie chciał zostać policjantem. Poszedł na egzamin, męczony przez swojego przyjaciela ze szkoły średniej, którego marzeniem od zawsze było wstąpienie w szeregi funkcjonariuszy:

- Oj, proszę, nie bądź taki. To jest prosty test fizyczny. Jakieś pompki, podskoczki i takie tam. Nie chcę iść sam. Poćwiczysz sobie, potowarzyszysz mi i zapomnisz.

Nie zapomniał. Nie miał kiedy. Zdał egzamin i został funkcjonariuszem, mimo że kumpel się nie dostał. Testy sprawnościowe okazały się dla wielu zbyt trudne, ale nie dla niego. Teraz to on chadzał po warszawskim Żoliborzu, w czarnym mundurze z dwiema gwiazdkami na naramienniku, a z przodu swoim nazwiskiem.

Przez dłuższy czas czuł się jak zdrajca. To nie było jego marzenie, jego bajka. Jako szczył nigdy nie chciał biegać z bronią i kajdankami, ganiając podejrzanych typków. On chciał budować. Najlepiej mosty,

zapory na rzekach. Z klocków zawsze tworzył gigantyczne konstrukcje, które wywoływały ochy i achy wśród odwiedzających ich dom cioć i wujków. Na zajęciach z plastyki i techniki prezentował niesamowite budowle.

Na egzaminie na studia wymagano jednak solidnej wiedzy z zakresu fizyki i matematyki, a tych niestety nie opanował. Idąc do szkoły policyjnej, wychodził z założenia, że za rok spróbuje jeszcze raz swoich sił na egzaminie wstępnym na politechnikę, jednak i tym razem nie wyszło. Dlatego został. Traktował służbę jako przygodę, licząc, że pewnego dnia zrealizuje swoje marzenie.

Jaworski spojrzał na stojącego przed nim Bartosza Boguckiego i pokręcił głową.

– Możesz wypluć z siebie, co niby laska robi źle. Bo gapienie się w srajfona nie jest chyba grzechem.

– W sumie to nie, ale...

– Mam pomysł, pójdziemy dzisiaj po robocie na siłkę. Wypocisz te wszystkie debilne pomysły, to ci przejdzie. Ala to świetna dupa i jest wpatrzona w ciebie tymi swoimi dużymi niebieskimi oczami. – W tym momencie zrobił rękoma ruch rysujący wypukłości na wysokości klatki piersiowej. – I zupełnie nie dostrzega takich ciach jak ja.

– Chyba okruszków. – Bogucki zaśmiał się i wydmuchał dym, formując ustami i językiem ładne okręgi. – Może masz rację i mam coś z łbem. Nigdy nie...

Nie zdążył skończyć, bo do ich uszu dobiegł zgrzyt zacinającego się od kilku dni CB-radia. Szybko rzucili niedopałki i wsiedli do samochodu.

– H jeden trzy cztery dwa, zgłoś się – usłyszeli zniekształcony głos pani Grażynki, która tego dnia się z nimi komunikowała.

Na co dzień była to przemiła kobieta, która w przerwach w pracy cały czas opowiadała wszystkim dookoła o swoich dwóch synach, którzy byli najmądrzejsi, najprzystojniejsi i naj... wszystko. Każdy, słuchając jej, kiwał tylko potakująco głową i o nic nie pytał. Niewtajemniczeni, którzy popełnili ten błąd, żalowali swojego zachowania, gdyż w jego efekcie zasypywała ich niestworzonymi historiami ze swoimi pociechami w rolach głównych, o których nawet w książkach fantasy mało kto pisał, uważając je za mało realne. Gdy jednak siedziała przy małym biurku ze sprzętem do łączności w niewielkim pomieszczeniu na pierwszym piętrze komendy, zmieniała się o sto osiemdziesiąt stopni. Była konkretna i stanowcza. Szybko przekazała wytyczne, dlatego po chwili jechali do zgłoszenia.

Za kierownicą jak zawsze siedział Bartosz Bogucki. To on w ich teamie zajmował się transportem, jak opowiadał podczas spotkań towarzyskich czy w rozmowach z kolegami z pracy. Siedzący obok kolega, mimo bardzo męskiej aparycji, za kierownicą zachowywał się jak rozhisteryzowana nastolatka. Jego reakcje były opóźnione, a problemy z wyczuciem odległości od innego pojazdu lub obiektu typu mijany przystanek znane na całym komisariacie, dlatego dla dobra ich współpracy bardzo sporadycznie siadał za kółkiem.

Droga we wskazane przez dyspozytorkę miejsce zajęła im zaledwie pięć minut. Wystarczyło, że wjechali na Wisłostradę, przejechali nią w kierunku centrum i zjechali na wysokości Żoliborza w kierunku ulicy Gwiazdzistej. Przejechali jeszcze trzysta metrów i skręcili w lewo w stronę Kępy Potockiej.

– Jak ja nie znoszę tego miejsca... – rzucił kierowca i wyjął z podłokietnika swój notes. Wysiadł z samochodu ze skwaszoną miną i ruszył asfaltową ścieżką, nie czekając na kolegę, który swoim zwycza-

jem niespiesznie opuszczał radiowóz. – Zawsze tutaj muszą być dymy. Nawet jak przyszedłem trzy tygodnie temu z Alą na piwo, to musiało się coś dziać. Gość tak się schlał, że ganiał na golasa. Podbiegał do młodych dziewczyn i kręcił fujarą. Jeszcze jakby miał za cnego, dużego, jakiegoś do pochwalenia, ale nie. Taki mały, ledwo wyrosnięty. Wyglądał jak większy pryszcz. Okropne. I tym sposobem zamiast delektować się wolnym, musiałem go złapać, zadzwonić po naszych, a później wszystko opowiedzieć, bo nagle nie było chętnych do składania zeznań, mimo że wcześniej łąziły tłumy.

– A może ktoś mu powiedział, że im mniejszy, tym lepszy? – zaśmiał się Jaworski, podbiegł kilka metrów i zrównał się z kolegą. To Bogucki zawsze nadawał tempo. Chodził niczym żołnierz, nic sobie nie robiąc z faktu, że kolega zazwyczaj ma problemy z dogonieniem go i sapie niczym osiemdziesięcioletnia staruszka wdrapująca się na pierwsze piętro.

– No chyba że tak, ale niezależnie od wszystkiego zepsuł mi wieczór. I z tego, co wiem, nie nawiązał tak nowych obiecujących znajomości – skomentował i przeczesał dłonią włosy. Niedawno obciął je na krótko, jednak nawyk pozostał, z czego kolega nabijał się przy każdej okazji.

– Jednak przyznasz, że całkiem tu ładnie – rzucił Jaworski, ostentacyjnie powtarzając gest kolegi.

– A ty znowu swoje. Odwal się – burknął Bogucki pod nosem i spojrzał za plecy. – Może i byłoby, gdyby nie te straszące olbrzymy z wielkiej płyty. Obrzydlistwo.

Obaj przystanęli i się odwrócili. Za nimi w bliskiej odległości stało kilkanaście szesnastopiętrowych gigantycznych bloków, wybudowanych metodą, która ku uciechu wielu odchodziła do lamusa.

Niestety każdy dobrze wiedział, że dużo lodowców zdąży się roztopić, zanim znikną z miejskich krajobrazów, a ich miejsce zajmą niższe, choć również mieszczące o wiele mniej mieszkańców. Każdy też wiedział, że mało kogo z aktualnie zamieszkujących te betonowe powtóry osób będzie stać na luksus życia w takich budynkach. Zresztą nikt się nie spodziewał, że nastąpi to w najbliższej przyszłości, więc problem nie generował aż takiego strachu.

– Marudny się zrobiłeś. Chyba ci się okres zbliża – rzucił Jaworski i ponownie przyspieszył, chcąc dogonić kolegę, który skręcił w stronę północnego krańca parku.

Kępa Potocka, stworzona wokół fragmentu starorzecza Wisły, stanowiła ważny punkt na mapie Żoliborza. Nie dość, że mieszkańcy brali czynny udział w jej tworzeniu, to odbywało się tu wiele imprez takich jak festyny z okazji Dnia Dziecka czy pierwszego dnia wiosny, a na kanale, którego woda stanowiła nieco niepokojącą zagadkę, organizowano nawet zawody wakeboardowe. Podczas tych widowisk niejednokrotnie mniej wprawni sportowcy z impetem lądowali w wodzie, do której niektóre psy nie chciały wchodzić.

– Ja mógłbym tu na piwko wpadać, ale mam trochę za daleko – kontynuował, idąc już dużo wolniej i nie zwracając uwagi na fakt, że plecy kolegi zaczynają się ponownie oddalać. On sam nigdy nie pędził do roboty, szczególnie takiej jak spisywanie zgłoszenia zeschizowanego dziadka, jak chwilę wcześniej skomentował zgłoszenie.

– Ty pod nosem masz Pola Mokotowskie i pewnie uwielbiasz te imprezy do rana, sikających wszędzie turystów i drących japę nieletnich, którzy po pierwszym piwie tracą przytomność lub rzygają gdzie popadnie – wtrącił poirytowany Bogucki.

– To zależy, po której stronie jestem. Ale generalnie mi nie przeszkadza. Mam na to wyrobione. Ja jestem wyluzowany, w odróżnieniu od ciebie. Powinieneś popracować nad napięciem tej gumki, co cię ciągnie z tyłu głowy. Bo jak się rozpieprzy, to nie będzie czego zbierać. – Zaśmiał się sam ze swojego dowcipu, ale zaraz spoważniał.

Nagle zza krzaków wychylił się starszy pan i gdy tylko ich zobaczył, zaczął wymachiwać rękoma, jakby odganiał muchy. Zrównali się i już ramię w ramie podeszli do mężczyzny.

– Aspirant Kamil Jaworski i młodszy aspirant Bartosz Bogucki, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz. To pan nas wzywał?

– Tak, to ja. Miło, że panowie przyjechali – odpowiedział starszy pan, lekko sepleniąc, i uśmiechnął się, pokazując wybrakowane, pożółkłe uzębienie. Jednak nie tylko jego twarz przyciągała uwagę. Sweter, który włożył tego dnia, mógłby być gratką dla lubiących rzeczy z recyklingu. Ustalenie jego pierwotnego koloru stanowiło nie lada wyzwanie, a liczne dziury powodowały, że w zimniejsze dni raczej nie chronił przed chłodem. Wyprasowane w kant spodnie, których nogawki szurały po ziemi, wskazywały jednoznacznie, że mężczyznę trzeba było raczej zaklasyfikować jako fana nienachalnej elegancji niż wyzwolonego dziadka, który podąża za aktualnymi trendami, w których ażurowe sweterki stanowią podstawę. – Ja codziennie chodzę, żeby nie zdiadzić całkowicie. Mam taką stałą trasę i gdy tutaj dotarłem dzisiaj, zobaczyłem coś dziwnego. Tam w krzakach to leży. Nie podchodziłem, ale już teraz mogę powiedzieć, że strasznie śmierdzi. – Mężczyzna ostentacyjnie chwycił się za sporych rozmiarów nos, który momentalnie poczerwieniał, po czym pokręcił głową, jak to robią małe dzieci, gdy coś niemiło pachnie. –

Boję się, że ktoś zabił jakieś niewinne zwierzę. Ja nie wiem, co to się dzieje z ludźmi. Ostatnio moja sąsiadka w pijackim zwidzie wyrzuciła psa z dwunastego piętra. Tłumaczyła się tym, że pięć lat temu mieszkała na parterze i chciała go do ogródka wrzucić, ale ja jej nie wierzę. Kiedyś widziałem, jak kopała tego psiaka, a on piszczał i patrzył na nią zupełnie bezbronny. – Mężczyzna obrócił się w stronę krzaków i pokręcił głową. – Pozwolą panowie, że nie pójdę z wami. Ja się bardzo denerwuję wszystkim, a mój kardiolog powtarza, że mam ograniczyć stres. Ja tu sobie usiądę. – Nie czekając na reakcję, przysiadł na stojącej dwa metry od nich ławce, której lakier gdzieś skruszał, a na oparciu kilka osób zaznaczyło swoją obecność, zostawiając inicjały wryte w drewnie.

– Nie musi pan – odezwał się Bartosz Bogucki i spojrzał na mężczyznę, który lekko się trząsł. – Może pan już pójść i nie czekać na nas. Jeżeli pan nic nie widział, to raczej nie będzie pan potrzebny. Znając życie, jakiś kolejny mądrała chcący oszczędzić na opłatach za odpady wywiózł tutaj swoje śmieci lub tak, jak pan uważa, podrzucił zwłoki jakiegoś skatowanego zwierzaka. Niemniej dziękujemy za godną pochwałę postawę obywatelską. – Skłonił lekko głowę przed mężczyzną, wywołując uśmiech u stojącego obok kolegi.

– Ale to jest olbrzymi wór! – powiedział ku ich zdziwieniu starszy pan, po czym wyciągnął z kieszeni materiałową chusteczkę i z całej siły wydmuchał nos, wydając przy tym donośny dźwięk. Zachowywał się tak, jakby wcale nie chciał nigdzie iść. – Co ktoś mógł tam włożyć? – spytał, ignorując fakt, że przed chwilą jeden z policjantów odpowiedział na jego pytanie.

– Proszę pana, ludzie mają takie pomysły, że by pan nie uwierzył. Ostatnio w Bielańskim znaleźliśmy kanapę, w samym środku lasu!

Jak ktoś ją tam wniósł, nie mamy zielonego pojęcia – wtrącił swoim zwyczajem Kamil Jaworski, który uwielbiał opowiadać wszystkim dookoła ciekawostki ze swojej pracy, również te usłyszane na odprawach lub na korytarzu na komisariacie, nawet gdy dotyczyły poważniejszych spraw jak morderstwa. Stojący obok niego Bartosz Bogucki nie raz i nie dwa trącał kolegę, aby ten skupił się na pracy, a nie szerzeniu opowieści niezwyklej treści. Tym razem też to uczynił. Ugiął rękę w łokciu i lekko wyprowadził cios w brzuch, robiąc przy tym wymowną minę.

– Proszę tu zaczekać, jeżeli oczywiście pan bardzo chce, a my sprawdzimy, co pana zaalarmowało – rzucił i ruszył w stronę krzaków, lekceważąc zdziwione miny kolegi i starszego pana.

Gdy stał obok mężczyzny, zupełnie nie widział podejrzanego pakunku, jednak wystarczyło, że przeszedł raptem dziesięć metrów. Pod krzakami leżał wielki czarny worek, stosowany zazwyczaj przez budowlańców do wyrzucania wielkogabarytowych śmieci. Z daleka nie robił wrażenia. To, co Bogucki od razu wyłapał, to fakt, że dostęp do tego miejsca nie stanowił problemu, ponieważ od drugiej strony ciągnęła się asfaltowa ścieżka, którą ktoś bez problemu mógł podwieźć lub przeciągnąć worek i następnie podrzucić pod rosnące tam krzaki. Nie wyglądało to tak, jakby osoba, lub osoby, które go przywiozły lub przyniosły, specjalnie chciały go ukryć. Przegapienie go byłoby raczej wyzwaniem, a nawet jeżeli ktoś go nie zauważył, na pewno musiał do niego dotrzeć zapach.

– Czujesz? – usłyszał za sobą głos kolegi, który niechętnie zakończył rozmowę ze starszym mężczyzną i ruszył za nim.

– Niestety tak – odpowiedział Bogucki i zakrył nos. Z każdym krokiem intensywność smrodu rosła. Wdzierał się w jego nozdrza,

mimo że policjant coraz mocniej zaciskał rękę na twarzy.

– Zrzygam się zaraz – usłyszał za sobą. Kroki za nim ustały, ale on szedł dalej. Głowa podrzucała mu przeróżne myśli, ale najbardziej bał się jednej.

Stanął kilkanaście centymetrów od podejrzanego worka i nachylił się. Oczy piekły go od tego odoru. Czuł go już nawet w gardle. Na wdechu zdjął rękę z twarzy i pożałował, że nie pomyślał wcześniej o rękawiczkach. Wyjął je szybkim ruchem z woreczka, który zawsze nosił przy sobie w kieszeni, założył tak szybko jak nigdy wcześniej i ponownie położył jedną rękę na twarzy.

Kilkadziesiąt metrów za jego plecami Jaworski wymiotował, mimo że nie podszedł do worka tak blisko jak on. Bogucki wstrzymał oddech i schylił się, by podnieść fragment plastikowego worka.

Od razu wiedział, że to, co właśnie zobaczył, będzie mu się śniło latami, o ile nie do końca życia. Tysiące małych larw kłębiły się, pożerając ludzkie ciało. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby dostrzegł dwie rzeczy.

Była to kobieta.

Nie miała głowy.

Rozdział 3

ONA

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Od zawsze każde wyjście z domu stresuje mnie, jakbym miała wygłosić przemówienie na gali oskarowej lub innej wielkiej imprezie, na którą przybyli najważniejsi tego świata, i wszystkie oczy na sali i przed telewizorami skierowane są w moim kierunku. Oczywiście każdy czeka na mój nawet najmniejszy błąd, potknięcie, przejęzyczenie, plamę na ubraniu wielkości główki od szpilki. Cokolwiek.

Wiem, że tak nie jest. Że wbrew pozorom jesteście niewidzialni i nikt nachalnie nie gapi się na nas, chcąc przeświecić na wylot lub zrobić dziurę w skórze.

Ale mimo racjonalności aniołka, który siedzi na jednym ramieniu, wygrywa diabełek po drugiej stronie, który podpowiada wizje graniczące z końcem świata.

Moje fobie wymieszane z wyobraźnią psują mi życie.

Wolałabym czasami być jak bezmózga ameba. Nie odczuwać strachu. Zapomnieć o atakach paniki. Nie myśleć. Nie widzieć spojrzeń

innych, których może wcale nie ma, bo jak mam je widzieć, skoro zazwyczaj mój wzrok utkwiony jest w podłodze.

A może gdybym była ślepa? Kiedyś zastanawiałam się, czy nie byłoby to dla mnie dobre rozwiązanie. Nie musiałabym widzieć tych spojrzeń, które za każdym razem za długo na mnie spoczywają. Miałam nawet kiedyś pomysł, żeby sobie coś zrobić, aby uszkodzić wzrok, ale od razu porzuciłam ten pomysł, straciłabym jedyną rzecz, która mnie uszczęśliwia. Czytanie. Książki. Historie zamknięte w kartkach szeleszczącego papieru, który muskany opuszkami daje mi tyle radości jak nic i nikt inny. Nie mogę sobie tego zabrać, więc muszę w tym tkwić.

Jednak nie jest to łatwe.

To, czego nauczyłam się przez lata obcowania z ludźmi, to niewyróżnianie się. Nieodzywanie się, gdy nikt nie pyta. Udawanie, że jestem niewidzialna. Ubieranie się nijak, w kolory, na których nikt nie zawiesza oka, które giną w tłumie. Taki zawsze mam cel i chyba zazwyczaj mi się udaje.

Gdy koleżanka z pracy po roku wspólnego siedzenia w jednym pomieszczeniu powiedziała mi, że nigdy wcześniej nie zauważyła, że utykam na jedną nogę, ucieszyłam się.

Ja wiedziałam o niej wszystko. Że jest wredną suką, która lubi wykorzystywać innych, a poza tym ma dwójkę dzieci. Siedmioletni Marcel gra w piłkę i chciałby być jak Lewandowski. Średnio lubi się uczyć, ale rodzice mają nadzieję, że to się zmieni. Córka Tosia od trzeciego roku życia trenuje balet, ale chyba jest za gruba na zawód, a na dietę nie chce iść. Mąż Grzegorz pracuje w firmie księgowej. Podśluchałam kiedyś jej rozmowę z inną dziewczyną z pracy. Mówiła, że jest niezmiernie przystojny, więc postanowiłam

sprawdzić. Do Ryana Goslinga mu daleko, ale nie wygląda źle. Sporo się o nim dowiedziałam, chodząc za nim po pracy.

To zresztą jedyne moje hobby obok książek. Kradnę życia innych. Obserwuję, podziwiam, a czasami wsadzam przysłowiowy patyk w szprychy i obserwuję, jak z jebnięciem lądują na ziemi, zdzierając sobie skórę z rąk i kolan do żywego. Jak z rany leci krew, a ja robię wszystko, aby osiadły na niej małe drobinki soli i zaboląo jeszcze bardziej.

Tym razem nie było inaczej. Pan idealny okazał się ideałem nie tylko dla Marzenki – jego koleżanka z pracy też podzielała zachwyty żony. Wyrażała to w najbardziej prymitywny i przyziemny sposób: przez wyszukane wygibasy w łóżku.

Obserwowałam ich schadzki, siedząc w moim wysłużonym fordzie ka, samochodzie tak samo bezosobowym jak ja, ale taki nierzucający się w oczy model był znakomitym środkiem komunikacji ułatwiającym śledzenie ludzi.

Teraz również sprawdził się doskonale. Patrzyłam, jak z rozba-wionymi minami wchodzą do wynajętego na godziny pokoju. Nie musieli podchodzić do recepcji, z nikim rozmawiać, bo wszystko odbywało się bezobsługowo. Za każdym razem liczyłam, że stanie się cud i zostawią odsłonięte zasłony, a wtedy będę mogła cyknąć im jakieś soczyste zdjęcia. Niestety takie rzeczy mi się nie przydarzają. Zawsze muszę działać sama, a nie czekać, aż stanie się coś po mojej myśli, więc i tym razem to zrobiłam.

Wynajęłam wcześniej przez internet ten sam pokój, który oni wybierali przy każdej schadzce. Wpisałam w dziwnym panelu kod, który otrzymałam SMS-em, i weszłam. Wnętrze nie robiło wrażenia. Na środku wielkie łóżko, obok barek i drzwi do łazienki.

Ustawiłam małe kamerki, których miałam kilka w swojej kolekcji, i wysłałam.

Na efekty nie musiałam czekać długo. Nagrany filmik raczej nie wygrałby w kategorii „romantyczne”. Nie było długich namiętych pocałunków, jakie uwielbiam oglądać w filmach, za to mnóstwo klapsów, pejczy i dziwnych masek. Oglądałam to, zasłaniając sobie oczy rękoma, bojąc się, że zobaczę coś, czego bym nie chciała, choć do najmłodszych już nie należę. Moje doświadczenia seksualne są żadne, ale jakoś nie tak sobie wyobrażałam bycie z mężczyzną.

Wybrałam kilka najlepszych ujęć i wysłałam je koleżance z anonimowego maila, założonego naprędce, używając komputera w pobliskim baraku, na którym świecił neon z napisem „Kafejka internetowa”.

Następnego dnia pierwszy raz zaczęła mnie w pokoju socjalnym. Swoim zwyczajem zajęłam mały stolik, gdzie nikt nigdy nie siedał. Stał koło kaloryfera, który nie miał termostatu, więc zimą grzało od niego niemiłosiernie, a latem nie docierała tam klimatyzacja, dlatego niezależnie od pory roku nie było na niego chętnych. Był więc dla mnie idealny i liczyłam, że zostanie tak po wsze czasy.

Tego dnia stało się jednak coś zaskakującego. Podeszła do mnie, już z daleka widziałam, że jest zdenerwowana. Mój mail dotarł i rozwalil jej idealną rodzinę na kawałeczki, z których nic już nie dałoby się skleić.

„Ah jo...” – miałam ochotę rzucić ulubiony tekst sympatycznego krecika, ale się powstrzymałam.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę – powiedziała, a ja miałam ochotę zniknąć. Nie planowałam się z nią zaprzyjaźnić. Chciałam zniszczyć jej życie za bycie wredną suką, ale o żadnej zna-

jomości nie myślałam. Mimo to pierwszy raz od dawna gdzieś w środku wygenerowałam siłę, aby nie uciec. Chciałam usłyszeć, co ją gnębi, i się tym napawać.

– Mnie? – odpowiedziałam jak zwykle cicho. Lubiłam, gdy ludzie musieli się wysilać, żeby ze mną porozmawiać.

– Tak, kiedyś Klaudia wspominała, że mąż cię zdradzał.

Kiwnęłam głową. Było to kolejne kłamstwo, którym karmiłam ludzi, a oni łykali je jak pelikany. Wszystko, co o mnie wiedzieli w pracy, stanowiło jedną wielką ściemę, co niezmiernie mi pasowało.

– Ten gnój mnie zdradza – kontynuowała, mimo że nie zachęcałam jej w żaden sposób do dalszej rozmowy. – Spotyka się z jakąś siksą i bzykają się po hotelach. Jak on mógł? – spytała i spojrzała na mnie, jakbym miała znać odpowiedź. Nawet jakbym znała, nie powiedziałabym. Nie zasługiwała.

Ta rozmowa tak naprawdę się jeszcze na dobre nie zaczęła, a ja już miałam dość. Zjadłam dwie ostatnie łyżki zupy pomidorowej, którą zawsze jem w środy, i wstałam. Pewnie ktoś mógłby mi powiedzieć, że to nieładnie wstawać od stołu, gdy ktoś jeszcze przy nim siedzi, ale nie interesowało mnie to.

Nigdy nie chciałam być lubiana.

Chciałam być niewidzialna, aby nikt ode mnie nic nie chciał i nie żywił do mnie jakichkolwiek uczuć. Jakiegokolwiek by były. W pracy miałam dokładnie wyznaczone zadania. Wykonywałam je i dostawałam następne. Z nikim o niczym nie dyskutowałam. Nikt nigdy się na mnie nie skarżył, a wręcz przeciwnie. Co jakiś czas dostawałam ofertę, na którą większość zareagowałaby wielkim entuzjazmem, ja jednak grzecznie odmawiałam, gdyż wszystko powyżej zajmowa-

nego przeze mnie stanowiska wiązałoby się z pracą z ludźmi, a tego unikałam jak ognia.

Gdyby nie sprzęt potrzebny do wykonywania pracy, najchętniej pracowałabym w domu. Praca zdalna stanowiła dla mnie nierealne marzenie. Oczywiście mogłabym zmienić zawód i siedzieć w domu, robiąc coś, czego nie kocham, ale nie po to przemęczyłam się przez studia, podyplomówkę i masę szkoleń, żeby zrezygnować.

Wyprostowałam się i oparłam dłońmi o stół. Od zawsze poruszanie się, stanie sprawiało mi problem. Mama przez lata próbowała mi wmówić, że to jakaś wada wrodzona, że już taka się urodziłam. Drugie było prawdą, ale pierwsze już nie.

Gdy poczułam stabilność w biodrze, oderwałam ręce od stołu i chwyciłam talerz. Głęboki. Biały. Kupiłam go w Ikei, bo tylko z takiego lubię jeść. Dlatego przyniosłam cztery do pracy i chowałam pod biurkiem w zamykanej szafce, jakby to była drogocenna zastawa stołowa.

Jak to ja, ruszyłam bardzo wolno, uważnie stawiając stopy, aby kolana nie załamały mi się do środka. Zwykle nie jest tak źle, ale bywają dni, kiedy ledwo chodzę. Nienawidzę tego. Oddałabym wiele, a nawet wszystko, aby móc coś z tym zrobić. Zoperować, przeszczepić, cokolwiek, co spowodowałoby, że moje kroki nie wyglądałyby jak u paralityka.

– Przewróciłaś się? – usłyszałam za sobą i zacisnęłam dłoń lewej ręki w pięść. W prawej trzymałam talerz.

Ostatnio za radą terapeutki obcięłam paznokcie. Gdy tylko delikatnie urosły, wbijałam je pod paznokcie drugiej ręki, zadając sobie rany niewidoczne dla innych, szczególnie gdy miałam lakier na paznokciach. W tym momencie, gdy wbijały się pod twardą skorupę,

czułam ekstazę nieprzypominającą niczego innego. Kiedyś czytałam, że cięcie się jest równie przyjemne, ale boję się, że ktoś kiedyś zauważy i będę musiała się tłumaczyć. Poza tym paraliżuje mnie widok własnej krwi. Cudza nie robi na mnie wrażenia, a z reguły fascynuje.

Niestety utykania na prawą nogę nie potrafię wyeliminować, mimo że regularnie ćwiczę, aby ją wzmocnić.

- Tak - skłamałam znowu i ruszyłam do zlewu, w którym jak zwykle piętrzyły się naczynia. Na szafce obok ktoś powiesił kartkę „Jesteś świnią? Nie? To nie żyj w chlewie. Zmywanie nie zabija”.

Nie wiem, kto to powiesił, ale zgadzam się z tym w stu procentach. Umyłam swój talerz i wytarłam go do sucha ręcznikiem papierowym, ponieważ wisząca na haczyku bawełniana ścierka śmierdziała niewiele mniej od szmaty do podłóg, która zazwyczaj leżała w kącie w damskiej toalecie.

Wrzuciłam do kosza mokry kawałek papieru i wyszłam, zostawiając kobietę na środku pomieszczenia. Chciałam zniknąć, zapaść się pod ziemię. Najwyraźniej moja ciekawość jest jednak dużo mniejsza niż strach. Nie lubię, jak ludzie do mnie mówią.

Geneza tego nie jest najmilsza. Wszystko zaczęło się jeszcze przed moimi narodzinami.

Rozdział 4

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki czuł się jak mały chłopiec zabrany do sklepu z Lego. Gdziekolwiek się obrócił, działo się coś, czego częścią od zawsze chciał być. W odróżnieniu od swojego partnera, jak mówiła jego dziewczyna Ala, choć on wolał nazywać go kolegą z pracy, on poszedł do policji ze względu na marzenia. Od małego oczami wyobraźni widział siebie ganiającego przestępców, rozwiązującego skomplikowane zagadki, a później zbierającego za to laury i odznaczenia.

Może brałby pod uwagę również inne zawody, gdyby nie dziadek, który wieki temu pracował w milicji i opowiadał przeróżne historie, a on słuchał ich z otwartą buzią. Dopiero po latach okazało się, że większość z nich mocno koloryzował na potrzeby żadnego wrażeń wnuka. Nie wspominał o wymuszaniu zeznań od niewinnych ludzi, którzy stali po tak zwanej drugiej stronie barykady. Nie wspominał o alkoholizmie, przemocy, które ścigał na rodzinę, podobnie jak jego koledzy mundurowi.

Choć realia mocno się różniły od tych, w których żył nestor rodu, to i tak marzenia, widziane przed oczami wizualizacje, nijak się miały do rzeczywistości, którą zastał w swojej pracy. Dotychczas raptem raz widział martwego człowieka, a jeżeli chodzi o morderstwa i pracę przy nich, to nawet się nie otarł o taką możliwość.

Do teraz. Stojąc przy worku ze zwłokami, czuł, że to ten moment, kiedy może się wykazać i zdobyć parę punktów. Wiedział, że droga od zwykłego policjanta z prewencji do śledczego jest długa i kręta, ale liczył, że kiedyś uda mu się ją pokonać i będzie pracował z najlepszymi.

Dokładnie zrelacjonował przebieg wydarzeń policjantowi, który rocznikowo niewiele różnił się od niego. Wywołało to lekki uśmiech na jego twarzy, nawet mimo smrodu, który cały czas dawał o sobie znać. Jednak młodszy aspirant Bartosz Bogucki chciał pokazać, że jest ponad to. Podczas rozmowy z komisarzem Maksymilianem Obrębskim ani razu się nie skrzywił, mimo że rozmówca raz po raz ciężko wzdychał, zasłaniając nos dłonią.

– Ten starszy pan czegoś dotykał? – spytał, gdy Bogucki skończył opowiadać przebieg zdarzeń.

– Twierdzi, że nie, ale myślę, że lepiej zdjąć odciski jego palców – stwierdził i od razu zganił się, że nie pomyślał o tym wcześniej i sam tego nie ogarnął.

– Świetnie, to zrób to. Czy wiadomo o kimś jeszcze, kto widział lub wyczuł worek?

Mężczyzna rozejrzał się, jakby chciał znaleźć potencjalnych świadków.

– Nie. Nikt się do nas nie zgłosił. Mogę się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich godzin nie było jakichś jeszcze zgłoszeń. Może ktoś najzwyczajniej w świecie to zignorował, bo niestety tak często się dzieje w sprawie zaśmiecania, a tak mogło zostać to zgłoszone. Mogę też sprawdzić, czy może nie dzwonił ktoś na numer straży miejskiej. Do nich też przecież mógł dryndnąć i nie zdążyli jeszcze tego zweryfikować. Oni podobno mają ostatnio niezły młyn.

– Masz rację – skomentował Obrębski i pokiwał z aprobatą głową. Włożył rękę do kieszeni jeansowych spodni i wyjął paczkę gum do żucia. – Chcesz? Rzucam palenie i muszę coś mieć w ustach, jakkolwiek dziwnie to brzmi. – Uśmiechnął się, wyciągając opakowanie w stronę kolegi. Miał poobgryzane paznokcie, a jego palce w niektórych miejscach zdobyły małe strupki.

– Dziękuję. Lekarz mi zabronił, zaciskam zęby – zaśmiał się Bogucki i od razu pożałował wypowiedzianych słów. Ta uwaga była zdecydowanie zbędna. Ala często mu zarzucała, że opowiada przypadkowym osobom o zbyt intymnych kwestiach. Sam czepiał się Jaworskiego, który opowiadał o sprawach służbowych, a on niewiele się różnił.

– Ja też niby, ale na razie lecę się z uzależnienia od nikotyny. Później pójdą następne rzeczy, o ile życia mi wystarczy. A wracając do naszego znaleziska, coś jeszcze chciałbyś może dodać? – Założył ręce na piersiach i czekał, mierząc kolegę wzrokiem. Niby był sporo niższy od Boguckiego i mniej przypakowany, ale jego świdrujące spojrzenia i wypięta klata wywoływały szacunek i lekki strach u niższego rangą policjanta.

– No... pewnie trzeba sprawdzić kamery, chociaż...

Policjant z kryminalnych zmarszczył czoło i nos, przez co jego końcówka uniosła się i delikatnie zadrżała.

– Chociaż...? – powtórzył Obrębski, zachęcając go, by kontynuował.

– Dwa dni temu trzysta metrów stąd, w stronę centrum olimpijskiego, doszło do pobicia z gwałtem. Okropna sprawa. Przyjechaliśmy z kolegą, ale nie z moim partnerem, bo ten wtedy... – Nie skończył, bo widząc delikatnie kiwnięcie głową rozmówcy, zrozumiał, że

to nie jest istotne. – Więc dotarliśmy tutaj jako pierwsi. Dziewczyna była w strasznym stanie. Oczywiście wezwaliśmy wszystkie służby. Zabezpieczono ślady, ale gnój przepadł jak kamfora, więc ruszyły poszukiwania. I pojawił się spory problem. Okazało się, że monitoring, który jest w parku i który powinien rejestrować obraz przez całą dobę, nie działa od kilku dni. Mieli się odezwać, jak naprawią, i cisza. I tak teraz sobie pomyślałem...

– Że ktoś uszkodził go specjalnie, wiedząc, że mu się to przyda? – skończył za niego.

– Tak – odpowiedział Bogucki i rozejrzał się za Jaworskim. Niestety kolega swoim zwyczajem zniknął. – Może przygotował się, wiedząc, że za chwilę będzie musiał przenieść tu zwłoki. Mógł też wiedzieć o awarii, dlatego wybrał Kępę Potocką. Nie zmienia to faktu, że mu to pomogło.

– Hmm... – Mężczyzna odsunął się pół metra od Boguckiego i rozejrzał dookoła. – Dobrze spostrzeżenie. Koniecznie porozmawiajcie z tymi od monitoringu. Dodatkowo trzeba się dowiedzieć, co dokładnie się z nim stało i dlaczego jeszcze nie został naprawiony. No i oczywiście pogadać z lokalnymi menelami oraz spacerowiczami. Może ktoś coś jeszcze widział. A może jeszcze lepiej, nagrał coś. Monitoring padł, ale w dobie kręcenia wszystkiego może nam się poszczęści.

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki pokornie słuchał Obrębskiego, ale nie do końca rozumiał sensu wypowiedzianych przez niego słów. Brzmiały jak wytyczne do zadania, które miał wykonać, tylko że on na co dzień nie zajmował się takimi rzeczami. Jeździł na interwencje do kłótni rodzinnych, spisywał zeznania świadków po pobiciach czy

prowadził sprawy kradzieży. Nie zbliżał się jednak do czynności operacyjnych prowadzonych przez wydział kryminalny.

– Nie patrz na mnie jak ciele na malowane wrota, bo zmienię zdanie. Nie mamy ludzi – wyjaśnił komisarz, widząc zmieszana twarz kolegi. – Jest sezon urlopowy i połowa naszych wyjechała. Dodatkowo panoszy się jakieś choróbsko i dziesiątkuje załogę. Szef pozwolił, abym kogoś przysposobił, i padło na ciebie i twojego kolegę. Mam nadzieję, że jest z tych myślących jak ty – powiedział policjant i popatrzył na niego wyczekująco.

– Dziękuję – odpowiedział dumnie Bogucki. Przymknął usta, bo miał wrażenie, że z tej radości szczyrzy się zdecydowanie za bardzo. Marzył o tej chwili od zawsze, a gdy w końcu przyszła, nie był w stanie powiedzieć nic poza niewyszukanym „dziękuję”.

– A teraz pomóżcie w przeszukiwaniu terenu. Może ten dewiant coś gdzieś jeszcze dla nas zostawił – rzucił i nie czekając na reakcję swojego rozmówcy, odwrócił się i ruszył w stronę prokuratora, który od kilkunastu minut przechadzał się po miejscu zbrodni.

O Witoldzie Machurskim słyszał chyba każdy. Bynajmniej nie dlatego, że wyróżniał się spektakularnymi osiągnięciami. Z tego, co Bogucki słyszał, plasował się wśród przeciętnych, a niektórzy nawet określali go słabym. Nigdy nie prowadził postępowania w jakiś niesztampowy sposób, szedł schematem, wykonując minimum z tego, czego od niego wymagano. Pojawiał się na miejscu zbrodni dość niechętnie. Sekcji zwłok podobno unikał jak ognia. Mało kto marzył o współpracy z nim, ale i tak większość ludzi go znała, i to nie tylko z kręgów policyjnych i wymiaru sprawiedliwości.

„Prokurator Witold M. został oblany żrącym kwasem przez nieznanego sprawcę”. Tak brzmiał jeden z pierwszych nagłówków,

który pojawił się w prasie kilka lat wcześniej. Mężczyzna wychodził z knajpy z partnerką, gdy nagle pojawił się jakiś człowiek i bez słowa uprzedzenia wylał na niego bliżej nieokreśloną substancję. Świadkowie zdarzenia opisywali, że Nowy Świat, wypełniony zazwyczaj gwarem prowadzonych rozmów i przejeżdżających taksówek i autobusów, aż zadrżał od wrzasku prokuratora, który zwrócił uwagę wszystkich w promieniu kilkuset metrów. Krzyczał tak głośno, że po minucie stał wokół niego tłum, a z każdą sekundą dochodziły kolejne osoby chcące zobaczyć, kto się tak wydziera.

Ponoć prokurator myślał, że to już koniec i umrze w niedalekiej przyszłości. Ból był nie do opisanania i nieporównywalny z żadnym, jakiego doświadczył wcześniej. W tym całym nieszczęściu pojawił się jeden pozytywny aspekt. Wśród gapiów stał również lekarz, który natychmiast doskoczył do ofiary tego okrutnego zamachu i zabezpieczył rany przed przybyciem pogotowia.

Nigdy nie udało się ustalić sprawcy, nie ustalono nawet płci. Oczywiście główna część śledztwa krążyła wokół spraw, które prowadził, a także z poprzedniej pracy, ale nikomu niczego nie udowodniono.

Teraz Witold Machurski krążył po miejscu znalezienia ciała i starał się ignorować ciekawskie spojrzenia zarówno ze strony funkcjonariuszy, jak i gapiów.

Ci pierwsi zastanawiali się, dlaczego ktoś taki stanie na czele sprawy, która już na wejściu zapowiadała się na trudną i niespotykaną. Niestety z powodu braków kadrowych, które przetrzebiły szeregi nie tylko policji, ale i prokuratury, nikt inny nie mógł przejąć tego śledztwa.

Ci drudzy jak sępy – pojawiali się tam, gdzie znajdowano ciało jakiegoś nieszczęśnika, licząc na kąski w postaci ciekawych informacji, które przez chwilę mieliby dla siebie, zanim dziennikarze przekazałyby je dalej.

Bogucki odwrócił głowę i ponownie rozejrzał się za Jaworskim, który jak zwykle gdzieś się schował, aby ograniczyć ruchy do minimum. Musiał koniecznie przekazać mu dobre, przynajmniej dla niego, wiadomości, bo nie do końca wierzył, że kolega ucieszy się z okazji, która właśnie się przed nimi pojawiła. Niestety nie raz i nie dwa słyszał od Kamila, że to nie jest jego wymarzona robota i jak tylko pojawi się praca w budowlance, to zwinie się bez mrugnięcia okiem.

Nigdzie go nie znalazłszy, ruszył w stronę radiowozu, którym przyjechali cztery godziny wcześniej. Pracował z kolegą już trzeci rok i doskonale znał jego zwyczaje. Przeszedł niecałe pięćdziesiąt metrów i stanął. Ten dzień zdecydowanie zasługiwał na zapamiętanie z powodu małych marzeń, które spełniały się jedno po drugim.

O ile Witolda Machurskiego nie cenił, o tyle klęczącego przy worku mężczyznę, który pojawił się podczas jego rozmowy z Obrębskim, już tak. Niektórzy uważali go za gwiazdę, inni za najlepszego z najlepszych. Bogucki nigdy nie poznał go osobiście, dlatego nie miał odwagi podejść. Patrzył tylko z daleka, jak Mirosław Zawada pracuje w skupieniu. Nawet z tej odległości robił wrażenie. Przy użyciu niewielkich rozmiarów pincety w skupieniu podnosił małe larwy i wsadzał je do pudełek. Każdy jego ruch był płynny i dokładny, niczym u chirurga trzymającego skalpel nad otwartą klatką operowanego pacjenta.

Przez chwilę patrzył jak zaczarowany na pracę patologa, licząc, że ten podniesie głowę i zaprosi go do siebie. Może coś pokaże, opowie szczegóły swojej pracy, a może anegdotkę o jakimś ciekawym przypadku. Sekundy jednak mijały i nic takiego się nie wydarzyło. Mógłby tak stać i godzinami, ale wiedział, że nie może. Zresztą musiał pogadać z kolegą i spodziewał się, że nie będzie to łatwa rozmowa. Trochę rozżalony ruszył do radiowozu.

Nie pomylił się. Aspirant Kamil Jaworski palił papierosa oparty o samochód, nic sobie nie robiąc z faktu, że wokół krążą inni funkcjonariusze.

– Awansowaliśmy – rzucił Bogucki dumnie.

– Że co? Chyba cię posrało, jeśli uważasz to za awans – odpowiedział posępnie i wrzucił resztkę peta do kanalizacji, na co przechodząca obok kobieta pokręciła z dezaprobatą głową i rzuciła coś pod nosem.

– Nie ma ludzi, powyjeżdżali, inni się pochorowali, więc mamy pomóc.

– Tego nam jeszcze trzeba – westchnął niezadowolony i wypuścił powietrze, robiąc coś na kształt dzióbka.

– Ty tak serio? W końcu będziemy coś robić poważnego! – Bogucki próbował ratować sytuację. Spełniało się właśnie jego marzenie, ale zdecydowanie wolałby stawiać pierwsze kroki przy tak ważnej sprawie z kimś, kogo znał. Poza tym obawiał się, że Obrębski chce ich obu albo żadnego. Nie mógł ryzykować utraty takiej możliwości.

– Generalnie to spoko, tylko chciałem na weekend wyjechać, a teraz może być z tym problem... – Jaworski ponownie westchnął

i spojrział w niebo, po którym wyjątkowo nie płynęły żadne chmury. Po tygodniach szarugi i deszczu w końcu wyszło słońce.

– Ale ty nubek jesteś – skomentował Bogucki i wyjął papierosa. Denerwował go fakt, że w nikotynie szukał ukojenia, ale cały czas nie mógł znaleźć argumentu, aby rzucić. Wyniki badań miał doskonałe, a z bliżej niewyjaśnionych przyczyn jego wydolność zupełnie nie odczuwała efektów wprowadzanych do płuc dymów.

– Nubek? A co to, do cholery, jest?

– Sprawdź sobie. Nieważne. – Uśmiechnął się i kiwnął głową w kierunku zbiegowiska. – Przyjechał Machurski. Faktycznie wygląda jak bohater horroru. Spokojnie bez charakteryzacji mógłby straszyć. To jest posrane, co ludzie ludziom są w stanie zrobić.

– Wiem, widziałem go raz, i to na dodatek chyba pół roku po tym zdarzeniu. Te rany jeszcze nie były w pełni zabliznione, a ja wpadłem na niego na komendzie i prawie nosami się dotknęliśmy, więc widziałem to z odległości kilku centymetrów, no, może kilkunastu. Nie mogłem później spać po nocach. Masakra – skomentował i wyciągnął kolejnego papierosa z opakowania, które miał w spodniach.

– Wspominałeś, ale nie ukrywam, myślałem, że przesadzasz i jak zwykle pieprzysz farmazony.

– Dzięki – rzucił Jaworski ponuro.

– Oj tam, oj tam. Nie obrażaj się! – zapiszczał młodszy aspirant jak nastolatka i zatrzepotał rzęsami, czym momentalnie wywołał uśmiech na twarzy kolegi. – No i widziałem Zawadę. On za to wygląda jak komandos. Łysa głowa, mocno zarysowana żuchwa... A jednocześnie jak wisi nad ciałem, to przypomina jakiegoś artystę. Malarz albo baletmistrz.

– Chyba ktoś się zakochał – parsknął kolega. – Ty się tym wszystkim ekscytujesz zdecydowanie ponad normę. Musisz trochę obniżyć oczekiwania, to życie cię nie będzie dymać na każdym kroku. Ja już niczego nie oczekuję po tej robocie. Czekam tylko na odpowiedni dzień, aby się zawinąć, i nigdy nie zapłacę za patrolami.

Pogadali jeszcze chwilę, patrząc z daleka na trwające prace, a w końcu ruszyli do realizacji zadań wyznaczonych im przez komisarza Obrębskiego. Słońce świeciło coraz mocniej, a była dopiero dziewiąta. Zapowiadał się długi dzień.

Rozdział 5

Warszawska Kępa Potocka przyjęła kolejny cios. Po morderstwie starszego mężczyzny w lutym tego roku i po brutalnym gwałcie sprzed kilku dni przyszedł czas na zbrodnię, która spokojnie mogłaby pojawić się w ostrym thrillerze.

Mieszkający na Gwiazdzistej mężczyzna w godzinach porannych odnalazł podejrzaną plastikową torbę, z której wydobywał się smród nie do opisania. Wezwani na miejsce funkcjonariusze dokonali makabrycznego odkrycia.

W wielkim czarnym worku znajdowało się ciało kobiety. Na chwilę obecną nie udało się ustalić personaliów ofiary, a tym bardziej motywu...

Siedzący przy stole mężczyzna sięgnął po przygotowane wcześniej nożyczki i zaczął wycinać wydrukowany artykuł. Uwielbiał ten moment, gdy pojawiały się wzmianki o jego dokonaniach. Gdy czytał o błądzących we mgle śledczych. Gdy widział informacje, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Wtedy wiedział, że wygrał. Zresztą nie przewidywał innego wyniku tego dość nierównego meczu.

W przypadku tej młodej dziewczyny nie mógł jeszcze świętować pełnego sukcesu, ale czuł wewnętrzny spokój. Wszystko zrobił zgodnie ze sztuką. Nie zostawił żadnych śladów, nikt go nie widział. Znał

ofiara, ale nigdy nie pokazał publicznie, co o niej myśli. I co czuje, gdy ją widzi. Że jest taka jak inne pustaki. Że brzydzi się nią i spędzanie każdej sekundy w jej towarzystwie jest jak tortura. Poza tym przypominała dwie kobiety, które go tak bardzo zraniły. Oszukały. Dbały o niego, uśmiechały się serdecznie, a pewnego dnia pokazały zupełnie inne oblicze. Mroczne, przerażające i raniące go.

Wykonał ostatnie cięcie i raz jeszcze się uśmiechnął.

Nikt nie mógł go połączyć z ofiarą, chyba że...

Chyba że wpadliby do jego idealnego mieszkania, w którym mieszkała już... ona. Tylko tutaj znajdowały się dowody zbrodni. Włożył artykuł do albumu, w którym kolekcjonował swoje zwycięstwa i który zajmował zaszczytne miejsce na białej półce obok kilku książek, które planował przeczytać podczas wieczornych wizyt w swoim idyllicznym mieszkaniu.

Przerzucił kilka stron swojej książki chwały, jak nazywał ją w myślach, i zaczął czytać jeden z artykułów wklejonych kilka lat wcześniej, mimo że znał ten tekst na pamięć:

Pożar domu jednorodzinnego w Łomiankach. Zginęły dwie osoby.

W nocy z piątku na sobotę straż odebrała zgłoszenie o pożarze. Początkowo myślano, że pali się przydomowy składzik na narzędzia. Gdy na miejsce dotarł pierwszy zastęp, okazało się, że ogniem zajęty jest cały dom, wówczas wezwano kolejne ekipy.

Ugaszenie pożaru było nie lada wyzwaniem, a to za sprawą wiatru, a także faktu, że dom wyłożony był drewnem.

Niestety nikt z domu nie wyszedł o własnych siłach. Strażacy wyciągnęli dwie żywe osoby: 8-letniego chłopca oraz 16-letnią

dziewczynkę. Rodzice dzieci zginęli w płomieniach.

Na chwilę obecną nie wiadomo, co było przyczyną pożaru, pewne jest jednak to, że nie działały zamontowane w domu czujniki. Niestety według strażaka, z którym udało nam się porozmawiać, jest to nagminna sytuacja. Ludzie lekceważą ich serwisowanie, a gdy się zepsują, ociągają się z ich naprawą, co często kończy się tragicznie. Pożarem, który jest już nie do zatrzymania, lub zaczadzeniem, przed którym ludzki nos nie potrafi ostrzec.

Mężczyzna odłożył kawałek papieru do albumu, zamknął oczy i przywołał tamto wspomnienie z września 2010 roku.

Od kilku dni jego żona miała muchy w nosie, więc unikał jej jak ognia. Znowu zaczął biegać po dwumiesięcznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana, więc miał wymówkę na kilkugodzinne nieobecności w domu. Tego dnia planował dłuższe wybieganie. Lubił to, ponieważ stanowiło wyzwanie nie tylko dla ciała, ale i dla psychiki. Kiedyś ktoś mu powiedział, że długie dystanse biegają tylko psychole. Nie obraził się, ale nawet delikatnie uśmiechnął. Kochał to w sobie i pielęgnował przy każdej okazji.

Przebiegł już większą część trasy, gdy nagle z polnej drogi wyjechał stary nissan. Kierowca zupełnie nie patrzył, gdzie jedzie. Rozmawiał z siedzącą obok młodą dziewczyną i, co najbardziej zaskakujące, patrzył na nią, gestykulując przy tym.

Niestety zanim uświadomił sobie, że kierowca go nie widzi, było już za późno. Kontakt z prawym przednim reflektorem spowodował, że jego noga złożyła się w kolanie w nienaturalny sposób, a on padł na ziemię.

– Boże, nic się panu nie stało? – usłyszał po chwili szczebioczący głos nastolatki. Dziewczyna miała nie więcej niż szesnaście lat i burzę kręconych ciemnych włosów, których raczej nie odziedziczyła po ojcu. – Tato, co ty zrobiłeś najlepszego?! – krzyknęła w stronę mężczyzny, który niespiesznie wysiadał z samochodu.

Chwila minęła, zanim kierowca stanął nad nim, ale nie zaszczycił go spojrzeniem. Patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. Kolejne sekundy płynęły, a ten cały czas się nie odzywał. W końcu do pokrzywdzonego doskoczyła latorośl winowajcy.

– Przepraszam... – Ukucnęła, trzymając od dołu spódniczkę, która odkrywała kolana, a w tej pozycji powodowała spory dyskomfort. – Stało się panu coś?

– Tak – odpowiedział pewnym głosem. Niezależnie od sytuacji nigdy nie okazywał słabości. Najchętniej otrzepałby się i pobiegł dalej, ale wyjątkowo miał wielką ochotę emocjonalnie poznać się nad sprawcą zdarzenia. – Coś trzasnęło mi w kolanie.

– Jezu, tak mi przykro... – Dziewczyna przybliżyła się do mężczyzny i podała mu rękę. Wsparł się na niej i niezdarnie podniósł, postępując przy tym raz po raz. – Może wezwę karetkę? – spytała z troską.

– Miło z pani strony, ale nie trzeba. Wrócę do domu i obłożę kolano lodem. Jak będzie trzeba, to pojedę do szpitala. Chociaż mam nadzieję, że to nic poważnego.

Wyprostował się i spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę. Miał ze czterdzieści lat i gładko przylizane żelem włosy, z których żaden się nie wybijał, każdy grzecznie leżał tak, jak właściciel go ułożył, zapewne stojąc o poranku przed lustrem. Mimo ponad dwudziestu stopni tego dnia włożył jeansowo-bawełnianą kurtkę, typową ra-

czej dla młodzieży niż mężczyźni w jego wieku. Do tego krótkie jeansowe spodnie i białe trampki, które zdecydowanie nie nadawały się do spacerowania po okolicy. Za dużo piasku i brudu.

– Skoro z panem wszystko okej, to my już sobie pojedziemy – odezwał się po raz pierwszy kierowca i odwrócił w stronę swojego samochodu, który pokryty był cienką warstwą szarego kurzu.

– Tato, ale może podwieziemy pana? Gdzie pan mieszka?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo kierowca rzucił, nawet się nie odwracając:

– Przecież pan powiedział, że nic mu nie jest i sobie poradzi. Poza tym mamy stolik w restauracji, więc nie możemy się spóźnić. Wiesz, jak tego nie lubię.

Po tych słowach wszedł do auta i nerwowo stukając w kierownicę palcami, czekał na córkę.

– Przepraszam raz jeszcze, mam nadzieję, że naprawdę nic panu nie będzie – powiedziała dziewczyna, otwierając drzwi od strony pasażera.

Samochód powoli ruszył, zostawiając poszkodowanego na ścieżce rowerowej połączonej z pieszą, która przecinała szutrową drogę prowadzącą do jednego z nowo wybudowanych osiedli. Już miał ruszyć, by kontynuować bieg, gdy samochód zaczął się cofać, zrównał się z nim i szyba od strony kierowcy powoli się opuściła.

– Tato, nie mów tak – rzuciła zawstydzona dziewczyna i obróciła głowę w drugą stronę, jakby nie chciała słuchać tego, co zamierzał powiedzieć jej ojciec.

– Wiem, że pewnie sam wyciągnie pan wnioski z dzisiejszej sytuacji, ale powinien pan biegać uważniej. Inaczej któregoś dnia może się panu coś zdarzyć poważniejszego.

Stał i nie odzywał się ani słowem, a krew w jego ciele zaczęła płynąć szybciej. Najchętniej wyciągnąłby mężczyznę z samochodu i sprzedał mu kilka ciosów w tę bezużyteczną głowę, w której, jak podejrzewał, nie było nic poza linką łączącą uszy, ale powstrzymał się. Od zawsze unikał tego typu kompulsywnych reakcji.

Dawno temu nauczył się, że nie ma radości z przemocy bezpośrednio skierowanej w człowieka, który go zdenerwował, zawiódł czy zranił. O wiele bardziej lubił się mścić w zdecydowanie bardziej wysublimowany sposób. Zapamiętał numer tablicy rejestracyjnej i skończył bieg mimo lekkiego bólu w kolanie.

Gdy trzy dni później stał wśród tłumu gapiów przed płonącym budynkiem, czuł ekstazę wypełniającą każdą komórkę jego ciała. Uczucia, gdy wiedział, że jest panem i władcą i to on decyduje o życiu i śmierci ludzi, nie potrafił porównać do niczego. Nawet seks nigdy nie wzniósł go na taki emocjonalny szczyt. Raczej zatrzymywał się na wysokości wyżyn, z których mógł jedynie z tęsknotą spoglądać na mieniające się w oddali wierzchołki.

Rozdział 6

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski zaczęli od przesłuchania bezdomnych koczujących w parku. Każdy dobrze wiedział, że według prawa nie mogą w nim nocować, ale mało kto się tym przejmował. Pora roku sprzyjała spędzaniu nocy pod gołym niebem, więc z tego korzystali nagminnie, zamiast spać w opuszczonych budynkach czy nielubianych ośrodkach pomocy, w których musieli przestrzegać zasad, a szczególnie tej najbardziej znienawidzonej, czyli zakazu picia.

Przepytali w sumie pięciu takich osobników, z tego tylko jeden wniósł coś do sprawy:

– Tak, widziałem w nocy jakąś postać – powiedział mężczyzna ubrany w podarty T-shirt z Kaczorem Donaldem i długie bawełniane spodnie od dresu, które wyglądały, jakby zabrał je dużo większemu starszemu bratu.

– Pamięta pan, o której to mniej więcej było? – spytał młodszy aspirant Bogucki, który odkąd został poproszony o pomoc w śledztwie, czuł napływ mocy, czego nie można było powiedzieć o jego koleźce.

Kamil Jaworski stał obok i obserwował stado gołębi, które nic sobie nie robiło z faktu, że młoda dziewczyna pchająca wózek chciała przejść asfaltową dróżką okalającą kanałek. Stały w miejscu, sygnali-

zując, że to ich terytorium i nie zamierzają się ruszyć choćby o centymetr, nawet jeżeli w konsekwencji tego zostaną poturbowane.

– Proszę pana, ja zegarka nie mam, ale... – Zamilkł i podrapał się po gęstych włosach. Mężczyzna zdecydowanie różnił się od poprzednich rozmówców. Strój miał w podobny sposób ubrudzony i zniszczony, ale w jego twarzy była jakaś szlachetność, nie wyglądała, jakby wlewał w siebie hektolitry alkoholu, jak to czynili inni. Poza tym jego sposób wysławiania się wyróżniał go na tle kolegów z ławek obok. – Musiało być około pierwszej w nocy.

– A skąd ta pewność?

– O dwudziestej trzeciej trzydzieści przyjeżdża ostatni autobus na zajezdnię i później jest spora przerwa. Kolejny rusza dopiero o pierwszej trzy. Widziałem tę postać właśnie wtedy, gdy autobus odjeżdżał.

– Okej – westchnął aspirant Kamil Jaworski, który dotychczas stał cicho i zachowywał się tak, jakby rozmowa go nie interesowała. – I co ta tajemnicza postać robiła?

– Pchała coś w wózku.

– W jakim wózku? – spytał już Bogucki.

– No, takim sklepowym. Powiem panom, że takie rzeczy to tutaj standard – skomentował, jakby dystansował się od tego. – Mieszkam w parku już trzeci miesiąc i wiele widziałem. Raz jeden facet codziennie przyjeżdżał z co najmniej trzema, a raz nawet sześcioma takimi wózkami, ustawiał je na trawie i budował z nich dom, w którym...

Nie skończył, bo Bogucki mu przerwał:

– A czy jest pan w stanie opisać tego kogoś widzianego w nocy?

– Opisać? Nie, ale... – Zawiesił głos, odwrócił się i ruszył w stronę ławki, na której sypiał, wprawiając policjantów w osłupienie. Jednak zamiast na niej usiąść i zakończyć rozmowę, wyciągnął coś z płóciennej torby i ponownie podszedł do nich. – Narysowałem go.

Funkcjonariusze spojrzeli na siebie, później na bezdomnego, a następnie na kartkę, którą wyciągnął w ich stronę. To, co na niej stworzył, robiło piorunujące wrażenie.

– Pan to naszkicował? – spytał Jaworski podekscytowanym głosem, jakby dopiero teraz przebudził się z marazmu.

– Tak, jestem artystą, a to... – pokazał na swoje legowisko – to moje źródło inspiracji. Mieszkam tutaj nie dlatego, że muszę. Mam fajne mieszkanie w centrum, zarabiam nieźle. Moje rysunki są wystawiane w galeriach, ale chciałem poczuć coś więcej. Proszę uwierzyć, że życie tutaj to niesamowita przygoda, niezmiernie inspirująca.

– Zapewne – westchnął Bogucki, który patrzył na rozmówcę jak na istotę z kosmosu. Początkowo pomyślał, że sam nigdy nie zdecydowałby się na taki krok, ale po chwili uzmysłowił sobie, że jednak dla dobra śledztwa może i by się poświęcił. Uśmiechnął się do mężczyzny i powiedział: – Będziemy potrzebowali tego rysunku. – Ponownie spojrzął na to dzieło. Narysowane dość specyficzną, bardzo grubą kreską, nie dawało odpowiedzi na pytanie, jak wyglądał poszukiwany, ale stanowiło dowód, że pojawił się w nocy.

– Nie ma sprawy. O dwunastej przyjedzie tutaj moja koleżanka, która spisuje codziennie moje przeżycia. Zrobi wam kopię i wyśle na wskazany komisariat lub przeskanuje i wyśle mailem.

– Super. A czy może słyszał pan coś? – kontynuował przesłuchanie, zupełnie inaczej patrząc teraz na mężczyznę.

- Poza standardowymi krzykami młodzieży, która spożywa za dużo alkoholu, to nie. Nic specjalnego nie słyszałem. No, poza dźwiękiem pchanego wózka, oczywiście. Ale w sumie to tutaj też nie stanowi jakiegoś wybryku.

- A czy widział go pan wcześniej? – dopytywał dalej Bogucki, licząc na wyłapanie jakichś szczegółów, które pomogą w śledztwie. Po raz pierwszy, od kiedy wstąpił do służby, czuł, że zbliżył się do marzenia, które zawsze miał w głowie. To, że teraz wypytywał mężczyznę, było dziełem szczęśliwego przypadku, i nie zamierzał powierzać swojego losu w jego ręce. Musiał przyłożyć się jeszcze bardziej niż zazwyczaj i zrobić wszystko, aby ciężką pracą, której się nie bał, mógł pokazać, że nadaje się do pracy w sekcji kryminalnej.

- Nie wydaje mi się, a muszę przyznać, że jestem dość, nieskromnie mówiąc, dobrym obserwatorem. Ostatnio zauważyłem, że nie ma jednego z meneli. Janusz zawsze chadzał z kolegą, trzymali się jak papużki nierozłączki. Więc podszedłem do typa i spytałem. Najpierw na mnie naskoczył, że to nie moja sprawa, a później podrapał się po głowie i zdał sobie sprawę, że faktycznie nie widział go od kilku dni. Na pytanie o to, od ilu, nie był w stanie powiedzieć. Niestety ilości spożywanego alkoholu dają o sobie znać między innymi w postaci dziur w pamięci. Ale nie odpuszczałem. I tak od słowa do słowa, które musiałem z niego wydłubywać jak ostatnio moja koleżanka głęboko wbiła drzazgę z prawej pięty, okazało się, że Janusz miał pójść przespać się na działkę do kolegi. Jedną z tych nieopodal. – Ręką wskazał na ciągnące się wzdłuż Wisłostrady ogródki działkowe. – Więc poszliśmy tam i co się okazało? Jego kumpel przewrócił się i złamał nogę. Wezwałem karetkę, oczywiście nie obyło się bez komentarzy, ponieważ mam najnowszego iphone'a. Używam go

tylko w wyjątkowych sytuacjach. I jak ten gostek go zobaczył, prawie mu oczy wyszły z czaszki. Na szczęście był tak nawalony, że szybko zapomniał. Panowie z karetki powiedzieli, że jeszcze jeden dzień i byłoby bardzo źle.

– Dobrze się pan zachował – wtrącił Kamil Jaworski i uśmiechnął się do mężczyzny jak nie on. Z reguły stał napięty i nerwowo stukał ołówkiem o notes lub przestępował z nogi na nogę, pospieszając rozmówcę. – Ale wracając do pytania kolegi, widział pan tego kogoś wcześniej?

– Nie – odpowiedział krótko.

– To dziękujemy panu bardzo. – Bogucki uśmiechnął się, napisał na kartce swój numer telefonu i służbowy adres mailowy, po czym pożegnali się z mężczyzną.

Odeszli kilkanaście metrów i odpiął guziki w mankiecie. Pot spływał mu po plecach. Trzeci dzień z rzędu termometry w okolicach południa pokazywały ponad dwadzieścia stopni. Poranki cały czas były chłodne, ale po kilku godzinach, gdy promienie słońca cały czas atakowały, pogoda robiła się letnia, mimo że był dopiero początek maja.

W ciszy doszli do samochodu, a tam Jaworski swoim zwyczajem wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę kolegi. Ten pokręcił przecząco głową.

– Może rzucimy? – powiedział, czym wywołał lekki uśmiezek na twarzy kolegi.

Bogucki wpadał na taki pomysł średnio raz, czasami dwa razy w miesiącu, a przyczyna tego była zawsze ta sama.

– Postanowiłeś jednak powalczyć o Alę? Chcesz być księciem na białym rumaku, który nie przeklina, prawi komplementy na każdym

kroku i nie jara szlugów? – spytał z szerokim uśmiechem obnażającym krzywe i pożółkłe zęby.

– Może i tak. Ale jakbyśmy przestali jarać to świństwo, też byśmy skorzystali.

– Oczywiście. I jeszcze rzućmy piwo, granie w strzelanki i drapanie po jajach. Nie daj się! – Zachichotał i ostentacyjnie pomacał się po kroczu. Wyjął jednego papierosa i zapalił.

Bartosz Bogucki spojrział na kolegę i już chciał skomentować jego wypowiedź, ale powstrzymał się. Ich rozmowy o jego związku z Alą zawsze kończyły się tak samo. On się wkurzał, bo kolega w punkt trafiał z każdym problemem nękającym jego związek, a on mimo to go bronił.

Od trzech lat spotykał się z dziewczyną, którą poznał przez internet. Rozmawiali cztery miesiące, zanim zdecydowali się na spotkanie. Chciał być pewny, że jest tego warta, że to nie kolejna pusta lalczka, która będzie miała ochotę porobić sobie selfiki z nim, a raczej z jego sześciopakiem, w tle. Dlatego na zdjęciu, którego używał jako profilowego, wyglądał o wiele mniej atrakcyjnie niż w rzeczywistości.

Gdy się spotkali, z zaskoczeniem stwierdził, że zastosowała tę samą taktykę. Wyglądała zupełnie inaczej niż na swoim profilowym, a także kilku innych fotkach, które mu przesłała. Okazało się, że w realu jest chodzącym ideałem, przynajmniej dla niego. Licząca raptem metr sześćdziesiąt drobna blondyneczka, o tak nieziemsko błękitnych oczach, że długo myślał, że używa soczewek, zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

Czuł się przy niej jak nigdy wcześniej przy żadnej, mimo że zawsze wokół niego kręciła się jakaś dziewczyna. Sielanka skończyła

się jednak po roku, gdy zdecydowali się zamieszkać razem, w kawalerce drzwi w drzwi z jej rodzicami. Z dnia na dzień stała się inną osobą. Cokolwiek w domu zrobił, dostawał ochrzan. Nie wsadził naczyń do zmywarki – źle. Wsadził – to nie zrobił tego zgodnie z wytycznymi. Wsadził zgodnie z wytycznymi – okazywało się, że zrobił to za późno.

Wszystko zawsze źle. Nie tak. Nawet gdy kupował jej kwiaty, były nie takie, jak lubi. Jak kupił te, co lubiła, to zły odcień, złej jakości, a tak w ogóle to powinny stać w wodzie, a on je trzyma w ręku.

Znosił to dzielnie, licząc, że kiedyś się wyprowadzą. Za źródło całego problemu uznawał matkę Ali, która robiła dokładnie to samo w stosunku do córki i męża. A najśmieszniejsze było to, że swoim zachowaniem doprowadzała swoją latorośl do płaczu.

– Kupiłam jej dokładnie taki łańcuszek, jaki mi ostatnio pokazała, i co powiedziała? Że wolałaby dłuższy i z inną zawieszka. Przecież to jest chore, ona ma chyba jakąś schizofrenię lub inną chorobę głowy! – piszczała płaczliwie dwa tygodnie wcześniej po obiedzie w mieszkaniu za ścianą.

Już jakiś czas temu nauczył się, że musi potakiwać i wspierać ją w takich chwilach. Próby zwrócenia uwagi, że robi dokładnie to samo co jej rodzicielka, zawsze kończyły się karczemną awanturą.

Jednak leciał już kolejny rok, a w jego życiu nic się nie zmieniało. Trwał obok kobiety, która często traktowała go jak gówna, a on wmaślał sobie za każdym razem, że się zmieni i kiedyś będzie znów tą osobą, którą była na początku ich znajomości – uśmiechniętą i sympatyczną dziewczyną, a nie sfrustrowaną i szukającą zaczepki przy każdej możliwej sytuacji.

Dlatego tak bardzo cieszył się na tę sprawę. Wewnętrznie czuł, że może gdy pójdzie mu dobrze, otrzyma awans i możliwość przeniesienia się do innego pionu, a tym samym w końcu będzie go stać na wynajęcie czegokolwiek i wyniosą się razem z tego toksycznego układu. Miał nadzieję, że jak zwiększą odległość od matki Ali, wszystko znowu będzie idealnie, tak jak kiedyś. A jak nie... brał pod uwagę również najgorsze rozwiązanie. Rozstanie.

Z kłębiącymi się niczym dym w kominie myślami ruszył z siedzącym na miejscu pasażera Kamilem Jaworskim do firmy monitorującej Kępę Potocką i okolice. Już wcześniej sprawdził informacje o niej. Była to niewielka rodzinna firma, która od prawie dziesięciu lat wygrywała dużą część przetargów na monitoring, a jeżeli wymagały tego wytyczne, to i na ochronę terenów zarządzanych przez miasto.

Zaparkowali przed przeszklonym budynkiem na Bielanych i wysiedli. Słońce świeciło jeszcze mocniej niż godzinę temu i czuło się już nadchodzące lato. Powietrze niesione przez wiatr nie przeszywało mrozem i nie wywoływało gęsiej skórki, jak było to jeszcze dwa tygodnie wcześniej. Jaworski podwinął rękawy i spojrzał na kolegę, który zdawał się zupełnie nie zauważać, że temperatura wzrosła.

Weszli do budynku i od razu wpadli na młodą kobietę siedzącą za recepcyjnym kontuarem. Ubrana w marynarkę z materiału przypominającego koc, zupełnie nieadekwatną do swojego młodego wieku, zerwała się z miejsca, widząc dwóch mundurowych.

– Coś się stało? – rzuciła przestraszona, wytrzeszczając lekko oczy.

– Dzień dobry – rzucił spokojnie Jaworski i uśmiechnął się. Dziewczyna była w stu procentach w jego typie. Brunetka, szczupła,

wysoka. Może styl ubierania nie zachwycał, ale to zawsze można było zmienić, w odróżnieniu od urody. – Aspirant Kamil Jaworski i młodszy aspirant Bartosz Bogucki z Komisariatu Policji Warszawa Żoliborz. Chcielibyśmy porozmawiać z właścicielem, prezesem czy kimś, kto prowadzi tę firmę – kontynuował, zadziwiając kolegę. Z reguły to on prowadził rozmowy, a Jaworski stał niczym słup soli.

– Jezu, ale mnie panowie przestraszyli! – Uśmiechnęła się i zatrzepotała rękami, patrząc na Boguckiego. – Pan Grzegorz jest u siebie, wyjątkowo dzisiaj nie ma spotkań, więc można powiedzieć, że mają panowie sporo szczęścia.

Dziewczyna wyszła zza biurka i poprowadziła mężczyzn, którzy nie omieszkali dokładnie przyjrzeć się jej figurze, a w szczególności jej pośladkom, mocno wyeksponowanych w obcisłych spodniach. Przeszli długim korytarzem, mijając sporo innych pomieszczeń, i dotarli do ostatniego, na którego drzwiach zawieszono tabliczkę z napisem „Grzegorz Urbański”. Kobieta delikatnie zapukała i usłyszawszy ciche „proszę”, otworzyła drzwi.

– Szefie, ma pan niezapowiedzianych gości – rzuciła do siedzącego przed monitorem mężczyzny, który na widok policjantów momentalnie odłożył trzymane w rękach dokumenty, odsunął się od biurka i zmarszczył brwi.

– Coś się stało?

Funkcjonariusze nie zdążyli odpowiedzieć, bo sekretarka szybko wtrąciła:

– Panowie niestety nie chcieli mi nic zdradzić.

– Dzień dobry, aspirant Kamil Jaworski i młodszy aspirant Bartosz Bogucki z Komisariatu Policji Warszawa Żoliborz. Mamy do

pana kilka pytań, możemy zająć chwilę? – spytał ten pierwszy i zrobił krok do przodu w stronę jednego z dwóch krzeseł.

– Oczywiście. Nie mam nic do ukrycia – odpowiedział widocznie zdenerwowany i odruchowo odpiął górny guzik białej koszuli w niebieską kratę, jakby nagle zrobiło się gorąco, mimo że w pomieszczeniu słychać było szum pracującego klimatyzatora. – Proszę usiąść. Może panowie się czegoś napiją? Kawa, herbata, a może woda? Dzisiaj tak ciepło... – zaproponował, przenosząc wzrok z jednego policjanta na drugiego.

– Ja poprosiłbym wodę – odpowiedział Jaworski, siadając na jednym z siedzisk, mimo że gospodarz nie zaprosił ich do tego.

– Dla mnie także, i dziękuję oczywiście – dorzucił drugi policjant i posłał kobiecie uśmiech, za co zaraz zganił się w myślach. Po pierwsze, miał dziewczynę, a zgodnie ze swoimi zasadami nie powinien nawet się zbytnio szczerzyć do jakiegokolwiek przedstawicielki płci przeciwnej. Po drugie, kiedy tylko weszli do budynku, zauważył, że sekretarka spodobała się koledze, który cały czas ją lustrował, próbując nawiązać kontakt wzrokowy.

– Marleno, proszę przynieść karafkę z wodą i trzy szklanki – rzucił Urbański do dziewczyny, spojrzał na policjantów i poprawił designerskie metalowe oprawki, które uparcie zjeżdżały mu z nosa.

– Chcielibyśmy porozmawiać o awarii monitoringu na terenie Kępy Potockiej – zaczął Bogucki, bacznie obserwując szefa firmy. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, włosy, których kolor pierwotny ciężko było ustalić, a ich ilość raczej nie powalała, ale mimo to mógł się podobać kobietom. Niebieskie oczy otoczone długimi rzęsami przyciągały uwagę, a w towarzystwie zawadiackiego uśmie-

chu powodowały, że przypominał gwiazdy filmowe w stylu George'a Clooneya czy Jamesa Deana.

– Z tego, co wiem, to nic specjalnego. Przestał działać. Będą to naprawiać i tyle – odpowiedział i przełożył leżącą przed nim teczkę na bok, jakby mu przeszkadzała.

– Rozumiem – kontynuował policjant. – A czy jest możliwe, że ktoś celowo doprowadził do awarii?

– Celowo? – powtórzył po nim mężczyzna i przysunął się bliżej do blatu. Ustawił łokcie na drewnianym biurku w kolorze ciemnego orzecha i złączył ręce, jak to w zwyczaju mieli politycy podczas swoich przemówień transmitowanych w telewizji czy internecie. – Proszę dać mi sekundę. – Rozplótł dłonie i zaczął stukać palcami po klawiszach, cały czas patrząc na ekran monitora. Po chwili sięgnął po telefon, wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. – Cześć, Grzegorz z tej strony – powiedział poważnym tonem. – Tak, wszystko w porządku, ale mam pytanie o Kępę Potocką. Co dokładnie tam się stało? – spytał i nasłuchiwał uważnie. – Nie, nikt się nie skarżył, tylko... – Przerwał i zaczął kiwać głową. – Wiesz co, przyszli do mnie dwaj policjanci i pytają. – Uśmiechnął się do mężczyzn, słuchając, co rozmówca ma do powiedzenia. – To jeszcze mi powiedz, kiedy dokładnie padło? – Kolejna chwila ciszy. – Okej. Rozumiem. Zadzwoń później. Pozdrawiam – rzucił i odłożył telefon na biurko.

W tym momencie drzwi pomieszczenia otworzyły się i weszła sekretarka, niosąc na tacy trzy przezroczyste naczynia i szklaną kafełkę z wodą. Na jej widok Jaworski wstał tak szybko, że z impetem przewrócił krzesło, na którym siedział, a ono wylądowało centralnie pod nogami dziewczyny. Wszystko działo się tak szybko, że ta nie

zdążyła zareagować i wywróciła się, a wraz z nią na podłogę poleciały wszystkie naczynia.

Huk był tak duży, że po kilku sekundach do pomieszczenia wpadł młody chłopak, a za nim kolejne trzy osoby. Widząc leżącą na podłodze sekretarkę i pomagającego jej wstać policjanta, wycofali się równie żwawo, jak się pojawili.

– Jezu, przepraszam panią bardzo, nie chciałem – wydukał zaniepokojony Jaworski, próbując pomóc wstać poszkodowanej dziewczynie.

Widać było, że coś ją boli, ponieważ oczy jej się zaszkliły i cała się trzęsła.

– Wiem – odpowiedziała łamiącym się głosem i powoli dźwignęła się na nogi.

– Wszystko dobrze? – spytał szef, podając pracownicy metalowe pudełko z chusteczkami, które dotychczas stało na jego biurku.

– Chyba tak – odpowiedziała już spokojniej i zaczęła wycierać zalane spodnie. – Pójdę po panią Janinę i poproszę o pomoc przy uprzątnięciu tego – szepnęła po chwili, podczas której Jaworski zbierał większe kawałki szkła z kałuży wody.

– Jeszcze raz przepraszam – rzucił policjant już do pleców wychodzącej sekretarki. Na jego szczęście nie widać było, aby kulała. – Przepraszam – zwrócił się tym razem do właściciela firmy.

– Nic się nie stało. Chciał pan pomóc, a to w tych czasach niestety nie jest normą. A co do sprawy, to sytuacja jest wyjątkowo... – Wrócił na swoje miejsce i zmarszczył czoło. – Dziwna. To chyba najodpowiedniejsze słowo. Monitoring nie działa od trzech dni. Została skradziona płyta główna centrali, która obsługuje system. Nie wiem,

jak to jest możliwe, ale ktoś otworzył specjalną skrzynkę, która jest w parku.

– A co w tym nadzwyczajnego? – wtrącił Bogucki.

– To nie jest zwykła skrzynka. Ktoś, kto ją sforsował, musiał się bardzo postarać. No i jeszcze... – Mężczyzna ponownie nie skończył, popatrzył na Jaworskiego, który cały czas sprzątał kawałki szkła z podłogi, następnie na Boguckiego i wzruszył ramionami. – Ktoś nie ukradł wszystkiego. Tam, w tej skrzynce, znajdowało się jeszcze kilka dość wartościowych elementów.

– Myśli pan, że ten ktoś się na tym znał?

– Ciężko powiedzieć. Kradzieże to niestety nasza wielka bolączka. Część miejsc monitorujemy, a jak nie, to zakładamy zabezpieczenia trudniejsze do sforsowania. Te takie były. Ale chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby ktoś dostał się do skrzynki i nie ukradł wszystkiego. To, co mu się udało w stu procentach, to spowodować, że nasz system nie działa. I niestety wybrał taki element, na który czeka się prawie tydzień, prawdopodobnie tylko dlatego go ukradł. Jeżeli tak jest, to mają państwo do czynienia z profesjonalistą.

– Faktycznie intrygujące – skomentował Bogucki. – Rozumiem, że nie ma żadnego nagrania, na którym można byłoby wychwycić sprawcę?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Niestety nie. To jest, powiedzmy, dość budżetowe zlecenie. Po co komu monitoring w parku? Zamontowaliśmy wersję podstawową. Nie ma żadnych dodatkowych zabezpieczeń jak właśnie monitoring systemu monitorującego. Skrzynkę umieszczono w takim miejscu, aby nie rzucała się w oczy, ale ktoś i tak ją wyhaczył.

– Czy możliwe jest, że to któryś z pracowników? – spytał Jaworski, który cały czas klęcząc, wygrzebywał z kałuży fragmenty szkła. Zadając pytanie, nawet nie podniósł wzroku na szefa firmy.

– Sprawdzamy naszych ludzi, jak się da, ale... to tylko ludzie. Każdy może popełnić błąd, wpaść w nieodpowiednie towarzystwo. Nie ręczę za nich w stu procentach, bardziej w dziewięćdziesięciu, a może i osiemdziesięciu – powiedział smutno.

Policjanci pożegnali się z szefem, a wychodząc z jego biura, minęli się ze starszą kobietą, która wyposażona w mop i wiadro szła posprzątać bałagan zrobiony przez Jaworskiego. Uśmiechnęli się do niej serdecznie i ruszyli w stronę recepcji. Bogucki wyszedł na zewnątrz, a jego kolega zatrzymał się na chwilę przy dziewczynie, która wycierała ręcznikiem zmoczone ubranie.

Rozdział 7

ONA

„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam. Niech żyje nam! A kto? Dolores!”

Powoli otwieram oczy i wzdycham smutno. Znowu ten sen. Ten powracający jak bumerang obraz idealnej rodziny. Rodziny, której częścią tak pragnęłam być.

Ale nigdy nie było mi dane.

Nigdy nie miałam tortu.

Nigdy nikt nie uraczył mnie tą najczęściej śpiewaną w polskich domach piosenką. Tak krótką, tak prostą, tak banalną, a dla mnie tak ważną.

Sporadycznie słyszałam „wszystkiego najlepszego”. Z reguły padało ze strony Magdy, mojej idealnej starszej siostry. Kiedyś czytałam, że one trochę jak mamy opiekują się swoim młodszym rodzeństwem.

Ale u mnie w domu było inaczej.

Nawet gdy miałam czternaście lat i dopadła mnie straszna grypa, a termometr pokazywał ponad trzydzieści dziewięć stopni, nie zliżowała się. Magda stała nade mną i patrzyła, czy dobrze wycieram ku-

rze, takie zadanie dostała od mamy, żeby przypadkiem za bardzo się nie przemęczyć. Cały pokój wirował, nogi ugiwały się pod moim ciężarem, choć uchodziłam raczej za chudawą, ale i tak wykonanie obowiązków domowych było najważniejsze.

Ale czego mogłam się spodziewać? Od kiedy tylko rodzice przynieśli mnie ze szpitala, choć pewnie zaczęło się to już wcześniej, słuchałam, jak bardzo jestem niechciana.

Niekochana.

Jestem tą, co zniszczyła im życie.

„Zrąbałaś nam plany”, powtarzali na okrągło.

„Zjebałaś wszystko”, mówili, gdy mieli gorszy dzień i nie udawali perfekcyjnych rodziców przed pozostałą dwójką swoich idealnych dzieci.

Odpowiadam za wszystkie klęski, jakie kiedykolwiek ich dotknęły.

Zaczynając od straty pracy, przez wypadek samochodowy, który miał ojciec, a kończąc na prozaicznym przypalonym obiedzie.

Wszystko zawsze było, jest i będzie moją winą.

Rodzeństwu to zawsze pasowało, bo gdy coś nabroili, zrzucali na mnie bez chwili zastanowienia.

„To ona stłukła wazę”, kłamał im w oczy mój młodszy brat. „To ona nie sprzątnęła kuwety, dlatego koty nasrały na kanapę”, mówiła Magda z niewinnym uśmiechem na twarzy.

I tak cały czas.

Więc zaczęłam starać się być niewidoczna.

Jeszcze jako nastolatka robiłam, co musiałam, i znikałam w swoim pokoju lub wychodziłam z domu.

Wiedziałam, kiedy kto wstaje, więc budziłam się wcześniej. Najciszej, jak potrafiłam, sprzątałam. Robiłam rodzeństwu śniadania, bo z niewiadomych przyczyn ja za to odpowiadałam, i wychodziłam z domu. Czasami do szkoły docierałam ponad godzinę przed czasem, ale było to lepsze niż tkwienie w domu, gdzie nikt mnie nie chciał. Nikt mnie nie kochał. Nikogo nie obchodziłam.

Przez długie lata codziennie siedziałam na schodach, czekając, aż ktoś otworzy. W końcu woźna nakryła mnie, jak zimą, trzęsąc się jak osika, kucam przy drzwiach wejściowych. Od tego czasu otwierała mi, gdy tylko docierała do szkoły, i mogłam w ciepłe doczekać do lekcji. Uczyłam się wtedy, a gdy miałam już materiał opanowany do perfekcji, czytałam jakąś książkę. Najchętniej z biologii lub chemii.

Lata leciały, a ja opanowałam bycie niewidoczną do perfekcji. Rodzinne kłótnie wybuchały rzadziej, a ja w końcu czułam się szczęśliwa. Do czasu.

Rozdział 8

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski zaparkowali na ukrytym za budynkiem komisariatu parkingu dla pracowników, wysiedli z auta i ruszyli. Obaj pogrążeni w swoich myślach, nie odezwali się w drodze ani słowem.

Ten pierwszy dumął o swoim związku, a drugi o nowo poznanej dziewczynie. Od wczoraj rozmyślał intensywnie o Marlenie, uroczej brunetce, która w ramach przeprosin dała się zaprosić na kawę.

Weszli na komendę i od razu wpadli na komisarza Maksymiliana Obrębskiego, który zareagował na ich widok niezwykle entuzjastycznie, mimo że jeszcze dwa dni wcześniej praktycznie nie miał pojęcia o ich istnieniu.

– Świetnie, że was widzę – rzucił radośnie mężczyzna zupełnie niewyglądający jak policjant. Miał na sobie jeansowe spodnie, zwykły biały T-shirt i do tego adidas w tym samym kolorze. Wyglądał jak zwyczajny, zupełnie niewyróżniający się człowiek, które pewnie jest architektem czy programistą, ale nie śledczym tropiącym odcinającego niewinnym kobietom głowy mordercę.

– My też chcieliśmy z panem porozmawiać o... – zaczął Bogucki, ale przerwał, widząc podniesioną rękę.

– Żaden pan. Nie pracujemy w urzędzie. Maksymilian jestem, ale możecie mówić do mnie Maks. Jak dobrze pójdzie, będziemy praco-

wać razem, więc wyluzujmy.

– Rozumiem. Bartosz, a to Kamil. – Kiwnął głową i spojrzał na kolegę, który jak zwykle nie odzywał się słowem. – Rozmawialiśmy z kilkoma osobami. Nikt niczego nie zauważył, poza jednym mężczyzną. I uwaga, to artysta, który postanowił przez jakiś czas żyć jak kłoszard. Pokazał nam swoją pracę, więc to nie ściema. Widział kogoś pchającego w nocy wózek, około pierwszej w nocy, a co najlepsze, narysował to.

– Nieźle! – wtrącił Maks i lekko zagwizdał, tak jak czasami mężczyźni robią, widząc ładną kobietę.

– Mam dostać na maila skan tego dzieła od jego asystentki. Raczej niewiele nam pomoże, bo nie widać na nim twarzy postaci, ale może się przydać. Poza tym odwiedziliśmy firmę od monitoringu. Kamery nie działają od czterech dni. Wszystko wskazuje na celowe działanie. Ze specjalnego pudełka został skradziony element, na który czeka się dłuższą chwilę, poza tym nic nie zginęło, mimo że były tam inne wartościowe rzeczy. Skrzynka, w której znajdowało się urządzenie, była dobrze zabezpieczona, ale niestety nie monitorowana.

– Dobra robota. A ja mam dla was kolejne zadanie. Wiemy, kim była ofiara.

Tym razem to Bogucki i Jaworski zrobili zdziwione miny. Z tego, co wiedzieli, w worku nie znaleziono żadnych rzeczy osobistych, więc możliwości ustalenia personaliów ofiary były mocno ograniczone.

– Była skazana? – rzucił od razu Bartosz Bogucki. Policja dysponowała bazą osób skazanych. Tylko tacy na stałe lądowali w bazie z odciskami. Ci, co byli tylko podejrzani, nie trafiali do niej. Do bazy

nie trafiały również odciski zbierane przy najnowszych dowodach osobistych czy paszportach, co podobnie jak w przypadku odcisków podejrzanych mocno usprawniłoby pracę służb, ale nie było zgodne z przepisami.

– A tu was zdziwię, ale nie – odpowiedział i przywitał się z jakimś mężczyzną, który nagle stanął za nim. – Tak, pamiętam. Przyjdę do ciebie później – powiedział do nieznanego i ponownie uraczył spojrzeniem kolegów z prewencji.

– To znaleźliście ją w bazie osób zaginionych i ma jakiś znak szczególny, bo raczej po twarzy jej nie poznano. Chyba że odnaleziono głowę? – kontynuował zgadywanki Bogucki.

– Dwa razy nie, chociaż ma coś charakterystycznego. Cycki. – Komisarz zaakcentował mocniej ostatnie słowo.

– Numery seryjne silikonów – powiedział cicho Jaworski, który dotychczas nie odezwał się ani słowem. Bogucki spojrzał na niego z uznaniem, bo sam o tym nie pomyślał.

– Dokładnie – skomentował Obrębski. – Kobieta kilka lat temu przeszła operację powiększania piersi. Patolog wyciągnął implanty i po numerze seryjnym doszliśmy, kim była. Chciałbym, abyście poszukali o niej jak najwięcej informacji w sieci. Z tego, co wiemy, to była dość popularna i kontrowersyjna.

– To ktoś znany? – spytał wyraźnie podekscytowany Bogucki. Jego spojrzenie nabrało blasku i swoim zwyczajem zaczął się uśmiechać, zdecydowanie zbyt mocno prezentując uzębienie.

– Od lat pracowała jako modelka. Nazywała się Monika Wieczorek, kojarzycie?

Żaden z mundurowych nie znał tego nazwiska, dlatego przecząco pokręcili głowami.

- Przeszukajcie cały internet wzdłuż i wszerz. Sprawdzajcie fora, media społecznościowe, wszystko – rzucił śledczy i zaczął odchodzić. – A, jeszcze jedno... Za godzinę jej narzeczony będzie na przesłuchaniu. Jak chcecie obejrzyć jego zeznania, to serdecznie zapraszam.

Bogucki kiwnął głową potakująco, a jego kolega nawet nie spojrział na Obrębskiego, który już oddalał się pewnym krokiem.

- Wkurwia mnie ten facet – rzucił Jaworski i ruszył do pomieszczenia socjalnego, które znajdowało się pięć metrów od nich. Kolega pomaszerował za nim, bacznie się rozglądając.

- Nie zaczynaj zrzędzić, błagam – powiedział ściszym głosem. – W końcu coś się dzieje, a ty jak zwykle na siłę szukasz problemów. Błagam cię, daj mu szansę. I nam w nowej roli. Wiesz, że laski lecą na tych z kryminalnego bardziej niż na takich zwykłych jak my. – Tracił kolegę łokciem w brzuch i skreślił za nim do pokoju, w którym mogli zrobić sobie coś ciepłego do picia lub podgrzać posiłek.

Przygotowali sobie po rozpuszczalnej kawie, ponieważ zakupiony niedawno ekspres już się popsuł i jego miejsce świeciło pustką. W pomieszczeniu poza nimi było jeszcze trzech funkcjonariuszy. Z kubkami w rękach wyszli, czując się niekomfortowo na takiej małej przestrzeni w tyle osób. Socjal o wymiarach trzy na cztery metry nie był w stanie pomieścić więcej niż dwie lub trzy osoby, zapewniając im jednocześnie choć pozory prywatności. Poza tym nie chcieli rozmawiać przy innych. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyli, było to, aby ich rozmowę podsłuchał ktoś, kto mógł donieść koledze z kryminalnego.

Skręcili w lewo w korytarz i po przejściu dwudziestu metrów znaleźli się pod drzwiami do swojego biura, jak dumnie nazywali pomieszczenie. Dzielili je z dwójką innych funkcjonariuszy, ale było mało prawdopodobne, że ich teraz zastaną. Jeden od dwóch tygodni leżał w łóżku. Najpierw miał grypę i wylądował w szpitalu, a gdy wrócił do domu, okazało się, że jest tak słaby i wyniszczony, że dostał kolejne dwa tygodnie zwolnienia, z opcją przedłużenia. Drugi za to został wysłany na szkolenie programistyczne ku uciesze kolegów, którzy słabo łapali się w tych kwestiach. Kurs miał trwać ponad miesiąc i odbywał się na komendzie w innej części stolicy.

Zamknęli drzwi, usiedli przy swoich biurkach i każdy postawił trzymany przez siebie napój przed sobą.

– Sprężysz dupę i wyjątkowo dasz coś od siebie? – spytał Bogucki, mając pewność, że teraz nikt ich nie usłyszy.

Czuł się trochę tak, jakby prosił dziewczynę o chodzenie. Kolega od razu to podchwycił, bo uśmiechnął się zalotnie i zatrzepotał rękami.

– Oczywiście, najdroższy – zaświergotał dziewczęcym głosem i złożył dłonie, próbując zrobić z nich serduszko.

– Wal się – rzucił Bogucki i pokazał koledze środkowy palec. – Dzielimy się jakoś robotą?

Nigdy nie pracowali nad researchem i trochę bał się, czy podoła, jednak szybko ustalili, kto czego szuka, i po pięćdziesięciu minutach mieli kilka stron A4 zapisanych w Wordzie z informacjami o ofierze.

Monika Wieczorek urodziła się 24 maja 1995 roku w Łowiczu, ale nie mieszkała tam od dawna. Rodzice przeprowadzali się kilka razy, aż wylądowali w stolicy. Wszyscy zawsze mówili, że ma niesamowitą urodę. Rude włosy i zielone oczy, które hipnotyzowały na każdym

zdjęciu, jakie znalazł w sieci, jednak to, że trafiła do modelingu, było dziełem przypadku. Pewnego dnia jakiś mężczyzna zaczepił ją na ulicy. Powiedział, że ma w sobie coś wyjątkowego i zaprosił na sesję.

Bojąc się, że to zboczenie, poprosiła dwie koleżanki o wsparcie. Okazało się, że faktycznie jest jednym z kilku fotografów pracujących dla sporej agencji modelingowej, a nie jakimś dewiantem. I tak to się zaczęło. Wyjazdy, sesje, kontrakty. Wszystko chętnie opisywała na swoim blogu, a z czasem na profilu na Instagramie, który śledziło aktualnie ponad sto dwadzieścia tysięcy osób. Przy każdej sposobności podkreślała, że nawet najskrytsze marzenia mogą się spełnić w najbardziej nieoczekiwanym momencie.

Pięć lat temu związała się z dużo starszym mężczyzną, znanym wielu osobom reżyserem kasowych filmów. Dwadzieścia lat różnicy spowodowało, że media od razu rzuciły się na nich jak muszki owocówki na nieświeże już czereśnie. Niestety nikt nie próbował nawet dostrzec jakichś łączących ich uczuć, większość od razu przechodziła do ataku. Praktycznie pod każdym artykułem, gdzie pisano o nim, a czasami też o niej, już od trzeciego, a najdalej piątego komentarza wysnuwano teorie, że związała się z nim dla rozgłosu albo pieniędzy. Albo jednego i drugiego.

Oczywiście w wywiadach oboje zapewniali o swojej bezgranicznej miłości. O tym, że kochają się jak mało kto i ich uczucie jest szczerze i niezniszczalne niczym diament. Kilkakrotnie portale plotkarskie wspominały o ich rozstaniu. Źródłem informacji zazwyczaj był jakiś anonimowy informator. Mimo to raptem tydzień temu prężyli się do obiektywów spragnionych sensacji fotoreporterów.

Bogucki przejrzał dokładnie zdjęcia z tego eventu. Premiera najnowszego filmu Krzysztofa „Krisa” Mogielnickiego stanowiła nie

lada wydarzenie, które przyciągnęło przede wszystkim celebrytów średniej klasy. Ci, co liczyli się w świecie filmowym i towarzyskim, szerokim łukiem omijali udział zarówno w filmach partnera Wieczorek, jak i organizowanych przez niego imprezach czy premierach.

Zawsze prezentowały się prząśnie i kiczowato. Hostessy w strojach ledwo co zasłaniających cztery litery i z piersiami niewiele mniejszymi niż głowa przeciętnego Kowalskiego. Zresztą kobieta bez głowy, jak w myślach zaczął nazywać ją Bogucki, coraz bardziej przypominała te dziewczyny. W ciągu kilku ich wspólnych lat jej usta znacząco się powiększyły, kości policzkowe mocniej zarysowały, a biust z nienachalnego B urósł do trudnego do przegapienia E lub nawet F.

Jednak nie tylko to się zmieniło. Na zdjęciach, które znalazł na jej profilu na Instagramie, choć według umowy miał go przejrzeć Jaworski, dostrzegł ewolucję jej ubioru. Kiedyś stawiała na zwykłe ubrania typu jeansy i top lub za duży T-shirt związany w talii. Kilka lat temu to się zmieniło i zaczęła wychodzić z domu wyłącznie w strojach, w które większość ubiera się na wystawne kolacje czy szalone imprezy. Oczywiście przy każdym poście odznaczała, skąd pochodzi dana stylizacja, zapewne zarabiając na tym lub przynajmniej otrzymując coś w barterze.

Jednak zdecydowanie najciekawiej w tej historii prezentowała się rodzina aktualnego partnera Moniki Wieczorek. Zanim dziewczyna związała się z Krisem, przyjaźniła się z jego córką. Chodziły razem do klasy i według niektórych planowały zamieszkać we dwie po skończeniu liceum. Gdy kariera modelingowa zamordowanej zaczęła nabierać tempa, ojciec przyjaciółki zaproponował pomoc. Jak

się później okazało, nie ograniczyła się ona tylko do przedstawienia jej kilku znajomym z branży modowej.

Według zakochanych podobno przez długi czas tylko rozmawiali, ale już wtedy wyczuwali narastające napięcie. Nie chcieli przekraczać granicy bliskości, po której nie będzie odwrotu. Ale pewnego dnia nie wytrzymali. Zostali sami w domu u niego i rzucili się na siebie, lekceważąc zdrowy rozsądek. Później robili wszystko, aby ukryć swój związek. Bali się, co się stanie, gdy na światło dzienne wyjdzie prawda o łączących ich uczuciach. Planowali robić to najdłużej, jak się da, ale niestety przyłapał ich pracownik hotelu, który zrobił im zdjęcie, jak całowali się w hotelowym korytarzu.

Oczywiście rozpętało się piekło. Szybko doszło do rozwodu, a dziewczyny nigdy więcej nie zamieniły ze sobą nawet zdania, mimo że zgodnie z tym, co wielokrotnie powtarzała Monika w wywiadach, próbowała pogodzić się z przyjaciółką, wyjaśnić. Bezskutecznie.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że zamordowana traktowana była przez matkę przyjaciółki jak druga córka. Często wyjeżdżały w trójkę, a ich dom zawsze stał dla niej otworem.

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki wypisał imiona i nazwiska dwóch kobiet, które jawiły się jako podejrzane, i wstał od biurka. Za chwilę miał przyjechać partner zamordowanej. Nie chciał przegapić tego spotkania.

Rozdział 9

Powoli zamknął za sobą drzwi i spojrzał na siedzącą przy stole kobietę.

W tej wersji była akceptowalna.

Nie machała zalotnie rzesami.

Nie uśmiechała się nieszczercze.

Nie wypinała nadmiernie piersi, licząc, że przykuje tym czyjaś uwagę.

I, co było dla niego najważniejsze, milczała.

Taka prosta rzecz, a tak bardzo go cieszyła.

Od kiedy stał się baczny obserwator życia, jedną z najbardziej denerwujących go rzeczy było gadulstwo ludzi. Wypluwanie z ust zupełnie niepotrzebnych słów. Nic niewnoszących. Często głupich. Zaburzających ciszę, którą tak kochał i która dawała mu tyle ukojenia.

Dlatego po cichu odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

Przez dobre piętnaście minut siedział i chłonał całym sobą ten moment, zapamiętując każdy szczegół. Ciszę, która aż piszcziała. Zapach środków konserwujących, którymi zabezpieczył głowę, aby zastopować proces rozkładu. Ja, a dokładniej jej wyraz twarzy.

Od kiedy miał osiem lat, nienawidził kobiet. Został zraniony, zdradzony przez dwie najbliższe jego sercu osoby. Najpierw przez przyjaciółkę mamy, która opiekowała się nim podczas nieobecności rodziców i dawała mu pyszne cukierki. Zawsze po nich kręciło mu się w głowie, a smak nie przypominał niczego, czego wcześniej próbował. Na początku zupełnie nic się nie działo. Zasypiał lub chwiejnym krokiem przemieszczał się po mieszkaniu. Jednak po kilku tygodniach poprosiła, żeby zdjął majtki. Odmówił. Zagroziła, że powie o cukierkach, które są tylko dla dorosłych. Zawsze robił wszystko, jak rodzice kazali, dlatego się przestraszył i ostatecznie zrobił, co chciała. Potem było tylko gorzej. Najgorsze, że rodzice coraz chętniej zostawiali go z ciocią, która nigdy nie odmawiała odebrania go ze szkoły, a później pilnowania go.

Molestowała go przez dwa lata. Aż w końcu nie wytrzymał. Poszedł do mamy i wszystko jej opowiedział. Zawsze powtarzała, jak bardzo go kocha. Głaskała przy obcych, opowiadała, jak dumna jest z syna. Ale gdy przyszedł, stanął przed nią i poprosił ją o pomoc, nie udzieliła mu jej. Wyśmiała, twierdząc, że wymyśla, że nic takiego nie miało miejsca. Że pewnie któryś z kolegów podpowiedział mu taką historyjkę.

To sprawiło, że jego sytuacja jeszcze się pogorszyła. Ciocia przy wszystkich zachowywała się jak anioł, a gdy odbierała go ze szkoły i docierali już do ich domu, znęcała się. Szczypała, szturchała, a później kazała robić coraz gorsze rzeczy.

Gdy któregoś dnia przyszła po niego do szkoły, zaczął tak głośno krzyczeć, że zbiegło się kilkadziesiąt osób. Odmówił powrotu do domu z ciocią. Gdy sytuacja ta powtórzyła się trzy razy, kobieta zrezygnowała, a sprawa jakby rozeszła się po kościach dla niej i matki.

Ale nie dla niego. Ciotki unikał jak ognia, a relacja z matką zmieniała się nie do poznania. Nie pozwalał się przytulać. Nie biegał za nią jak piesek za właścicielem. Oczywiście wszyscy zrzucali to na karb dorastania, ale prawda była zupełnie inna. Nienawidził jej całym sercem. Gdyby nie ojciec, nie odzywałby się do niej. Z czasem jego niechęć przelewała się na kolejne przedstawicielki płci przeciwnej, aż mało było takich, które akceptował. Jego żona należała do tych nielicznych.

To uczucie nienawiści do kobiet rozrosło się tak bardzo, że od lat pragnął jednego: mieć nad nimi kontrolę.

Wyjął małe pudełko przyniesione w papierowej torbie wraz z paczką gum miętowych, które uwielbiał, i książką, którą chciał przeczytać. Debiutancka powieść autora, o którym nigdy wcześniej nie słyszał, zapowiadała się znakomicie, ale jak tylko siadał do czytania, któryś z domowników mu przerywał. Planował to nadrobić, jednak teraz miał ochotę na coś innego.

– Nauczę cię grać w remibrydża – oznajmił poważnym tonem i rozpakował karty. Przetasował dokładnie, kilkakrotnie mieszając papierowe prostokąty, i położył na stole. – Ja zacznę, więc ty przekładasz – powiedział do swojej partnerki w grze i rozdzielił talię na dwie części. – Zobaczmy, co jest od spodu. Generalnie są różne wersje gry, ale gdyby był joker, przypadłby tobie. – Podniósł górną część kart i spojrzał, jaka jest od dołu. – Niestety dzisiaj nie masz szczęścia. – Zaśmiał się na głos, odłożył karty na bok, położył na nich od góry drugą kupkę i zaczął rozdawać. – Każdy z graczy dostaje po trzynaście kart, a osoba rozdająca czternaście. Cała gra polega na tym, aby się wykladać i jak najszybciej pozbyć wszystkich kart. – Mówił cały czas, sprawnie układając karty na dwa stosiki. Jeden przed sobą,

drugi przed nią. Co chwilę ukradkiem zerkał na jej twarz, jakby go zawstydziała. Na zielone, choć zasnuwane mgłą oczy, które uśmiechały się do niego i nie oczekiwały niczego w zamian. I to mu się teraz najbardziej w niej podobało. Nie mogła tego zniszczyć. Na co dzień pełna przepychu, wywyższająca się, na każdym kroku pokazująca, że jest lepsza od innych, nagle zrobiła się taka inna. Uległa, wstrzeźmieliwa. – Ja zaczynam – powiedział, gdy czternasta karta wylądowała na jego stosiku. Odłożył resztę przed sobą. – To nasze pierwsze rozdanie, więc zagramy w taką wersję otwartą.

Rozłożył przed sobą swoje karty, a kobiety po drugiej stronie stołu i zaczął tłumaczyć.

Po czterdziestu minutach pogratulował jej wygranej i obiecał powtórkę.

W końcu miał partnerkę, która delectowała się grą. Nie dyskutowała, nie obrażała się, gdy karta jej nie szła. I w końcu podczas rozgrywki panowała pełna napięcia cisza, którą tak lubił, a której jego rodzina tak bardzo nie ceniła.

Znowu spojrzał na kobietę i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Wpadł na nią w sklepie spożywczym, niedaleko jej domu.

– Jaka niezdara ze mnie – powiedziała i uśmiechnęła się serdecznie. Przygryzła delikatnie dolną wargę, a jej oczy zabłyszczały. Zupełnie nie wiedział, czy go podrywa, czy jej twarz tak zawsze reaguje.

– To moja wina. Nic się pani nie stało?

Spojrzała na swoje idealnie białe buty. Widoczny na nich brudny ślad od wózka sklepowego świadczył, że zrealizował swój plan w stu procentach.

– Trochę boli, ale to nie pana wina. To ja jak zwykle łażę jak pokraka i nie patrzę, co się dzieje dookoła.

Cały czas uśmiechała się do niego, mimo że jej głos delikatnie drżał. Chciała udawać silniejszą, niż była w rzeczywistości. On zaś stał i prężył się przed nią jak niektóre ptaki podczas godów.

– Ja chyba też, a wiele osób twierdzi, że jestem spostrzegawczy. Zamyśliłem się. Jeszcze raz przepraszam.

Dziewczyna kiwnęła głową i ruszyła w przeciwnym kierunku, wzdłuż półek z konserwami, zostawiając wypchany po brzegi wózek. Kulała, a do jego uszu dobiegał cichy płacz. Uśmiechnął się. Wszystko szło doskonale.

Po kilku minutach siedzieli na ławce przed sklepem, w którym obydwójce porzucili swoje zakupy. Ona przykładła lód do stopy, która robiła się coraz większa. Nie rozmawiali ze sobą, co go niezmiernie cieszyło. Obawiał się, że nie zdzierży jej głosu. Niestety po dłuższej chwili w końcu się odezwała:

– Chyba muszę panu podziękować – zaczęła, a jego ciało momentalnie się napięło.

– Mariusz – wtrącił i wyciągnął dłoń. Podał jej imię, którym zawsze się posługiwał i do którego miał przygotowany fałszywy profil w mediach społecznościowych, ze zdjęciem, na którym był nie do rozpoznania.

– Monika – odpowiedziała i uścisnęła wyciągniętą rękę. To był moment wstępnej weryfikacji. Nie znosił, gdy poznawane osoby, a szczególnie kobiety podawały mu dłoń jak zdechłą rybę. Bez energii, bez emocji, bez zaangażowania. Jednak jej uścisk był mocny, co go niezmiernie zdziwiło. – Miałam właśnie jechać na spotkanie, do którego zostałam zmuszona. Przed chwilą napisałam, że nie będzie mnie, bo rozwaliałam nogę. Dziękuję. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

I tak od słowa do słowa zaczęła się ich znajomość. Lód zdążył się rozpuścić, a oni cały czas rozmawiali o podróżach, filmach. Cały czas się śmiali. Dużo go to kosztowało, ale wiedział, że na końcu czeka go nagroda.

Gdyby ktoś stanął obok, powiedziałby, że to miłe spotkanie dwojga ludzi. Jednak nic bardziej mylnego. Wszystko było zaplanowane i przemyślane. Spotkanie w sklepie było długo przygotowywaną i zaaranżowaną sytuacją. Od trzech tygodni ją śledził. Dokładnie wiedział, kim jest i z kim jest. Każdy szczegół jej życia przeanalizował, aż w końcu podjął decyzję.

Zresztą o jej istnieniu wiedział od dawna. Obserwował z daleka i marzył, aby zrobić coś jej, a także jej matce. O tej drugiej musiał jednak zapomnieć. Życie dało mu prztyczek w nos, ale na szczęście podarowało mu Monikę Wieczorek, która już niedługo miała zostać z nim na zawsze.

Rozdział 10

ONA

Od zawsze kocham statystyki. Jak to mawiał ojciec, a matka jak gęś mu wtórowała, kolejne bezsensowne zainteresowanie, które nic w życiu mi nie przyniesie. Może i tak, ale ich zdanie niewiele dla mnie znaczy. Po tym, co mi zrobili, nie darzyłam ich nawet sympatią.

Statystycznie w Polsce kobiety żyją około osiemdziesięciu lat. Mnie chcieli wypchnąć z tego świata znacznie wcześniej i z tego, co wiem, to dwukrotnie. I tak patrząc na całe moje życie, dziwię się, że dopiero gdy miałam piętnaście lat, podjęli tę drugą próbę.

Pierwsza jest abstrakcyjna. Przeróżająca. Staram się o tym nie myśleć. Zapomnieć, chociaż i tak niby nie mam prawa pamiętać, co działo się przed moimi narodzinami. Ale to, co działo się w szpitalu, gdy dostałam ataku wyrostka, pamiętam doskonale.

Pewnie gdybym nie poszła tego dnia do szkoły, umarłabym. Od trzech dni bolał mnie brzuch, a ciało robiło się dziwne. Wspomniałam o tym bratu, ale pokłócił się z ojcem i nie chciał go denerwować, mówiąc mu o mnie. On jako jedyny czasami ze mną gadał. Siostra

wycofała się totalnie, ignorując mnie za każdym razem, gdy mijaliśmy się w domu.

Poza bólem brzucha miałam zawroty głowy i mdłości. Czułam się okropnie, ale oczywiście nikt na to nie zwracał uwagi. Do czasu.

Tego dnia miałam sprawdzian z chemii. Stresowałam się. Zresztą jak zawsze. Jak wszystkim. Wyuczyłam się na blachę, więc sprawa rozgrywała się między piątką a szóstką.

Już gdy rano wstałam, czułam, że mam wysoką temperaturę. Włożyłam głowę pod lodowatą wodę i trzymałam kilka minut. Przez chwilę miałam pomysł, że wezmę coś na przeziębienie, ale zrezygnowałam z prozaicznego powodu: nie wiedziałam, gdzie są leki. Rodzice chowali je gdzieś po szafkach, więc nie mogłam nic zrobić. Zresztą i tak nie wiedziałabym, co łyknąć. Nigdy nie leczono mnie tabletkami. Miałam się uodparniać. Jedynie czasami główkę czosnku dostawałam, ale wtedy musiałam siedzieć w pokoju i w ogóle nie wychodzić, bo za bardzo śmierdziałam.

Grzecznie poszłam do szkoły, licząc, że samo przejdzie. Niestety po drugiej lekcji pojawił się niewyobrażalny ból brzucha. Taki, jakiego nigdy nie doznałam, mimo że od roku miesiączkowałam.

Kończyła się trzecia lekcja, gdy stało się coś dziwnego. Nagle wokół mnie zbiegła się cała klasa, a u mojej głowy klęczała nauczycielka od biologii. Sympatyczna pani Dąbrowska, która raz na jakiś czas wypytywała o moją sytuację rodzinną, widząc, że zachowuję się inaczej niż inne dzieciaki. Kiwałam wtedy głową, wbijałam paznokiec wskazującego palca lewej dłoni pod prawego kciuka i uśmiechałam się, mówiąc, że jak najbardziej, wszystko jest super, tylko rodzice są bardzo zapracowani, dlatego ponownie nie pojawili się na zebraniu.

Teraz wisiała nade mną, a jej twarz wyglądała inaczej niż zazwyczaj. Policzki opadły, a oczy zrobiły się jeszcze większe, niż miała na co dzień.

Jej usta się ruszały, ale ja nic nie słyszałam, tak jakby odgradzała nas gruba dźwiękoszczelna szyba, jaką wykorzystują w salach przesłuchań.

A później zrobiło się ciemno.

Chciałam unieść powieki, ale ich ciężar zrobił się za duży.

Czułam dotyk na mojej głowie, później rękę, ale nie wiedziałam, kto tak robi.

Nie wiem, ile spałam, ale zanim otworzyłam oczy, pomyślałam, co chciałabym zobaczyć, gdy w końcu uniosę moje ciężkie powieki.

Po lewej stronie na małym krzeselku siedziałyby mama. Uśmiechałyby się do mnie tak, jak to ma w zwyczaju robić, gdy mój brat przynosi dobre stopnie lub poprawnie powtórzy wiersz. Mnie, nawet jakbym się całego „Pana Tadeusza” nauczyła na pamięć, nie uraczyłyby takim pozytywnym grymasem twarzy.

Po prawej siedziałby tata i trzymał w rękach moją ukochaną czekoladę z okienkiem. Jeju, jak ja ją uwielbiam. Jadłam ją dwa razy w życiu, ale jej smak jestem w stanie przywołać w każdym momencie.

Mojego rodzeństwa mogłoby nie być. Nigdy nie poczułam z nimi więzi. Gdyby zniknęli, nawet bym nie zatęskniła.

Jednak wiedziałam, że nie ma szansy na taki scenariusz. W pokoju panowała cisza, ale nie od razu się zorientowałam. Jakby mój organizm tyle przeszedł, że zmysły działały z opóźnieniem. W końcu zrobiłam to i... nic.

Czego ja, głupia, się spodziewałam? Że nagle moja matka, która uważa moje narodziny za najgorszy dzień w jej życiu i nie omieszkała mi tego wyrzygać tysiące razy, zapala do mnie sympatią, bo o miłości nawet nie śmiem marzyć?

Że ojciec nagle zrozumie, że jego zadaniem jest mnie chronić i dbać o mnie, a nie traktować jak służącą połączoną z popychadłem? Nawet wołałabym, żeby traktował mnie jak worek treningowy. Miałabym wtedy na ciele ślady, dowody na to, że mnie nienawidzi. A on robił to sprytnie. Wbijał szpile, jedna po drugiej, a gdy myślałam, że rana nie może już piec bardziej, sypał na nią sól.

Rozejrzałam się powoli.

Byłam w szpitalu.

Było jasno, sterylnie, bezosobowo.

Ale podobało mi się.

Nie tak jak u mnie w pokoju, który pełnił również funkcję składziku. Jak ktoś nie wiedział, gdzie coś wrzucić, wstawiał to do mnie. Miałam więc u siebie za małe ubrania mojego rodzeństwa, dokumenty finansowe firmy ojca i odziedziczone po babci, mamie mamy, książki, których nikt nie chciał, ale głupio wyrzucić. Były też jakieś naczynia, które dostał w spadku ojciec, ale nie chciał się ich pozbyć. Matka za to nie pozwalała ich wstawić do kuchni, więc leżały w dwóch kartonach u mnie w pokoju.

Po chwili weszła pielęgniarka. Dziwnie się zachowywała. Na początku się uśmiechała, a później usiadła koło mnie na szpitalnym łóżku:

– Jak się czujesz? – spytała miłym głosem, ale kąciki ust poleciały w dół, jakby grawitacja przejęła nad nimi kontrolę. Jej brązowe oczy, dokładnie jak mamy, patrzyły na mnie tak inaczej niż jej, jakby się

o mnie bała. Jakby mimo że widziałyśmy się pierwszy raz, zależało jej na mnie.

– Boli trochę brzuch, ale dam radę. Nic strasznego – skłamałam.

Ból był rozrywający. Jakby ktoś przeciął mnie na pół, a później zmienił zdanie i zszył. Dopiero teraz, gdy ta obca kobieta siedziała przy mnie, podniosłam delikatnie kołdrę. Była sztywna i niemiła w dotyku, ale wiedziałam, że jest czysta, w przeciwieństwie do tej w moim domu.

Mogłam raz na pół roku zmienić pościel, mimo że reszta domowników robiła to zdecydowanie częściej. Moja już po dwóch miesiącach, a czasami i szybciej niemiło pachniała. A od kiedy miesiączkowałam i dostawałam okresu czasami podczas snu, brunatne plamy zostawały ze mną na długo. Kiedyś jedna przypominała mi głowę kota, to nawet mi się podobała.

Kołdra, która teraz przykrywała moje obolałe ciało, nie miała widocznych plam. Podniosłam ją delikatnie, ale nic nie widziałam. Za to zauważyłam mój dziwny strój. Miałam na sobie koszulę, chyba do kolan albo dłuższą, bo jak leżałam, to nie widziałam jej końca. Była z dziwnego materiału i chyba z tyłu miała wiązanie, bo z przodu nie widziałam żadnych guzików ani zamka, tylko gładką powierzchnię.

– Co mi się stało? – spytałam, łamiąc swoją podstawową zasadę. Nie nawiązuj rozmów z obcymi. Jednak sytuacja była zupełnie inna. Musiało mi się coś stać, skoro leżałam na szpitalnym łóżku.

– Dostałaś poważnego ataku wyrostka robaczkowego. Zemdlałaś w czasie lekcji, a to zapewne z powodu bardzo wysokiej temperatury. Nie czułaś się źle wcześniej? W domu? Nic cię nie bolało? Wyrostek czasami boli dłuższy czas. Oczywiście taki atak z zaskoczenia też jest możliwy, ale może coś cię niepokoiło dzień, dwa temu? – spytała

i przysunęła się jeszcze bliżej. Nie czułam się z tym komfortowo. Zawsze staram się, aby przestrzeń między mną a rozmówcą wynosiła co najmniej metr, a najlepiej dwa, a ona siedziała w odległości około osiemdziesięciu centymetrów. No, może osiemdziesięciu pięciu. Cały czas kręciło mi się w głowie, więc nie mogłam dobrze oszacować.

W szkole pani się ze mnie śmiała, że mam taką miarę w oczach. Kiedyś spytała, jak się tego nauczyłam. Szepnęłam, że to pewnie jakiś dar. Nie mogłam zdradzić prawdy. Jest zbyt smutna. Gdy miałam kilka lat, to zwijana, metalowa, pięciometrowa miarka była moją zabawką. Jedyłą. Chowałam ją w poszewce poduszki, żeby nikt jej nie znalazł i mi nie zabrał. Gdy sama siedziałam w swoim obdartym z dziecinnych atrybutów pokoju, mierzyłam wszystko. Znałam długość większości kości w moim organizmie, wszystkich mebli, książek, wszystkiego, co stało w pobliżu. Teraz wystarczył rzut oka, a ja już w głowie widziałam wymiary danego przedmiotu lub odległość.

Kobieta cały czas patrzyła na mnie sympatycznym wzrokiem, a ja miałam mętlik w głowie. Co jej powiedzieć. Prawdę?

Utkwiłam wzrok w swoich paznokciach, które przycinałam tak krótko, że na mój sposób na uciezkę, na wygenerowanie bólu dającego wyzwolenie, nie było szansy.

– Tak, czułam się źle. – Słowa wypadły ze mnie, jakbym ich nie kontrolowała.

Nie powinnam była tego mówić. Rodzice już parokrotnie mnie upominali, twierdząc, że ludzie zawsze źle interpretują zachowanie innych. Doszukują się czegoś, czego nie ma. Podobno dlatego odwiedził nas pan z kuratorium, jednak nic nie znalazł, ale ja uważam, że nie chciał. Stwierdził, że donos na nas to wymysł zazdrosnych sąsia-

dów. Chodził po naszym domu i się zachwycał. A najbardziej podobał mu się mój pokój. Szkoda, że nie wiedział, że tam nie mieszkam. Rodzice wcisnęli mu kit, że śpię z siostrą. Miała w swoim pokoju drugie pełnowymiarowe łóżko, na którym sypiali goście lub jej przyjaciółki. Ja nie miałam prawa nawet na nim usiąść. Zresztą byłoby to trudne, miałam zakaz wchodzenia do jej pokoju, czego pilnowała każdego dnia.

Może i bym się złamała i coś powiedziała, ale mama była dla mnie taka miła. Przytuliła nawet mnie dwa razy, a raz musnęła swoimi małymi wąskimi ustami po czole. Poza tym cały czas stała obok mnie i nie miałam szansy, by porozmawiać z tym panem. Zresztą zachowywał się tak, jakby prawda go nie interesowała. Przyszedł do nas, bo mu kazano, a tego, czy faktycznie ktoś robił mi krzywdę, nie uznawał za coś interesującego.

– Według sąsiadów z państwa mieszkania dochodzą często krzyki, wrzaski, dziwne dźwięki. A ostatnio ktoś widział, jak córka – w tym momencie pokazał na mnie kiwnięciem głowy – stała na dworze w samej piżamie, a było minus kilka stopni. Może to pani jakoś wyjaśnić?

Mama pogłaskała mnie po rękę i uśmiechnęła jak nigdy:

– My jesteśmy dosyć głośni. Córka prawdopodobnie ma lekki niedosłuch, którego lekarze nie są w stanie zdiagnozować, dlatego czasami jest u nas głośniejsze, niż powinno. A co do tej piżamy... – Zaśmiała się teatralnie, przechyliła lekko głowę i spojrzała na mnie. Jezu, ile bym dała, żeby patrzyła tak na mnie częściej. – Ma pan dzieci? – spytała go.

– Nie – odpowiedział, cały czas uważnie patrząc na mnie. Jego spojrzenie było dziwne, jakby chciał mnie nim przewiercić na wylot.

Przestraszyłam się go. Gdyby nie siedząca obok mama, to powiedziałabym wszystko, łącznie z moimi grzechami, o których nikt nie wiedział.

– To wyjaśnię co nieco. Dzieci to takie istoty, które wymyślają niestworzone rzeczy, o których my, dorośli, byśmy nawet nie pomyśleli. Córka – ponownie spojrzała na mnie tymi rozanielonymi oczami – założyła się z bratem, że wyjdzie na dwór na mróz, tak żeby nikt nie zauważył. I jej się udało. Jak zwykle wieczorem poszłam dać jej buziaka na dobranoc, pogadałyśmy jeszcze chwilę i wyszłam. Myślałam, że już zasnęła, a ona wyslizgnęła się z domu, obeszała budynek dookoła i stała przy śmietniku, tak żeby brat mógł ją ze swojego pokoju zobaczyć. Przyprowadził ją nasz nadgorliwy sąsiad. Młoda nie lubi obcych, więc nie wyjaśniła mu sytuacji. Może wtedy nikt by pana nie kłopotał i mógłby się pan zająć jakimiś ważniejszymi sprawami.

– Okej, rozumiem. Muszę jeszcze pogadać z sąsiadem, ale nie będę ukrywać, że nic innego nam nie zostaje, jak umorzyć sprawę. Nie widzę u państwa żadnych nieprawidłowości. Dzieci szczęśliwe, zdrowe i kochane. – Uśmiechnął się do mnie sztucznie, a ja chciałam zacząć krzyczeć. Nawet nie krzyczeć, a wrzeszczeć, jednak stojąca obok mama, która cały czas ścisnęła moją rękę, dawała wyraźnie znać, abym nie zrobiła czegoś głupiego.

– Bardzo się cieszę – odezwała się w końcu i ponownie zamachała zalotnie rzęsami. – A co do sąsiada, to udaje świętego, a ma sporo za uszami. Kiedyś córka powiedziała, że widziała, jak... – Zawiesiła głos i spojrzała na mnie. Zupełnie nie wiedziałam, o czym mówi. Nigdy nic takiego jej nie mówiłam. Zresztą nawet jakbym widziała coś podejrzanego, nie powiedziałabym, bo nie wysłuchałaby

mnie z uwagą. – Ja nawet nie wiem, jak mam to powiedzieć. On się zabawiał koło garaży, które stoją przed budynkiem. Przecież tam chodzą dzieci, i to dużo mniejsze od mojej córki. A ona, niby już starsza dziewczyna, miała koszmary ponad miesiąc. – W końcu puściła moją rękę, a ja poczułam ulgę. – Tak mi było jej żal. Czemu winne takie dziecko, żeby później tak cierpieć...

– Dziękuję, że mi pani to powiedziała. Ludzie często zatrzymują dla siebie takie informacje. To ja już będę się zbierać. Dzisiaj nie mam czasu, ale odezwę się w sprawie sąsiada – rzucił szybko, jakby się spieszył. Spojrzał jeszcze na mnie, a ja mimo strachu utkwiałam w nim wzrok, licząc, że coś wyczyta z mojej twarzy. Niestety nic to nie dało.

Teraz, siedząc naprzeciwko kobiety w białym fartuchu, mogłam powiedzieć całą prawdę. Mogłam powiedzieć, co się dzieje, i bardzo chciałam spróbować, choć nie wiedziałam, czy dam radę.

– Od jak dawna cię boli? – spytała pielęgniarka. Nie wiem, ile mogła mieć lat, ale wszystkie włosy miała siwe jak gołąb, a wokół oczu grube zmarszczki, które przypominały głębokie rynny.

– Chyba dwa, a może trzy dni – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– I co na to rodzice?

– Nic – wyszeptałam. Taki ton głosu stanowił dla mnie codzienność. Większość osób darowała sobie dopytywanie o to, co powiedziałam, ale ta kobieta nie odpuszczała.

– Jak to nic? Czulaś się źle i nie zareagowali? – Zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę.

– Tak. – Pokiwałam głową i odwróciłam się w stronę okna. Na zewnątrz padał deszcz, przynajmniej tak mi się wydawało. Musiałam

leżeć na wyższym piętrze, bo poza niebem niczego nie dostrzegałam.

– Może im się nie przyznałaś? – spytała, a ja poczułam znajomy ucisk. Po co ja cokolwiek powiedziałam. Zawsze moje wyznania powodowały zdziwienie i tak naprawdę nikogo nie obchodziło, co mam do powiedzenia. Każdy próbował wytłumaczyć dziwne, raniące mnie zachowanie rodziców w racjonalny sposób.

– Może – westchnęłam zrezygnowana i zamknęłam oczy. Chciałam, żeby sobie poszła. Żeby już o nic mnie nie pytała. Chciałam być sama i znowu delektować się ciszą.

– Czy wiesz, dlaczego rodzice nie chcą, aby lekarze podali ci środki przeciwbólowe? – Nie odpuszczała, a ja jeszcze mocniej zacisnęłam powieki. Sama nie wiedziałam, co mam zrobić. Powiedzieć prawdę? Ale bałam się. Ukrywać ją? Wtedy znowu nic się nie zmieni.

Chciałam jej wykrzyczeć, dlaczego nikt się o mnie nie zatroszczył.

Bo mnie nie kochają.

Bo lubią patrzeć, jak cierpię.

Bo mają mnie w dupie.

Bo chcieliby, żebym zdechła.

Ale zamiast tego wyszeptalam:

– Nie. – Podciągnęłam kołdrę wyżej. Ból robił się coraz większy, ale ja swoim zwyczajem nie chciałam tego pokazać. – Mogę iść spać? Jestem zmęczona.

Rozdział 11

– Imię i nazwisko? – spytał komisarz Maksymilian Obrębski, który chwilę wcześniej uruchomił kamerę ustawioną na statywie. W sali obok na przedstawienie czekał młodszy aspirant Bartosz Bogucki. Kamil Jaworski jeszcze nie dotarł, mimo że obiecał przyjść.

Policjant oparł się o ścianę i stanął jak najbliżej lustra weneckiego, które od zawsze go intrygowało. Gdy tylko dostał pracę w komisariacie, pierwszą rzeczą, jaką poszedł sprawdzić, było właśnie to rozwiązanie. Zawsze zastanawiał się, czy faktycznie osoba przesłuchiwana nie widzi, czy jest obserwowana przez tłum gapiów ciekawych jej reakcji. Ku jego uciechu okazało się, że tak jest. Później przeczytał gdzieś, że wynika to z faktu, że lustro weneckie to przygotowana w specjalny sposób szyba. Odbija większą część światła i ma bardzo niską przepuszczalność w drugą stronę. Co go jeszcze zaskoczyło, to fakt, że tak naprawdę nazywa się to lustro fenickie, a nie weneckie, ale wyjaśnienia tego już nie znalazł.

– Krzysztof Mogielnicki. Dla znajomych Kris – odpowiedział mężczyzna, jakby zapomniawszy, po co został ściągnięty do komisariatu. Zresztą nie tylko ton głosu wskazywał, że nie przejął się mocno śmiercią „Najsłodszej”, jak nazywał ją przy każdej okazji. Tego dnia ubrał się w pstrokatą marynarkę koloru granatowego. Sama w sobie nie przyciągałyby spojrzeń, ale już przyszyte na niej kolorowe, błysz-

czące aplikacje tak. Do tego założył białe rurki i różowe, neonowe skechersy. Generalnie wyglądał tak, jakby szedł na drinka ze znajomymi do modnego klubu, a nie na przesłuchanie.

– Data i miejsce urodzenia?

– Stolica. Czternasty marca siedemdziesiątego piątego roku – wyrecytował i przeczesał coś na kształt irokeza, który mimo tego gestu nie zmienił swojego kształtu.

– Miejsce zamieszkania?

– Różnie bywa, ale głównie pomieszkuję w Wilanowie.

– Miejsce zatrudnienia? – pytał dalej spokojnym głosem funkcjonariusz, mimo że przesłuchiwany widocznie go denerwował. Na jego czole pojawiło się kilka zmarszczek, a trzymany w ręku długopis zaczął nerwowo uderzać w blat.

– Mam kilka firm związanych z produkcją filmów, ale zatrudniony jestem w jednej, to znaczy tam mam umowę o pracę. Kris Productions się nazywa – powiedział i popatrzył na swoje paznokcie, tak jakby nagle dostrzegł pod nimi jakiś brud. Ignorując fakt, że przed nim siedzi funkcjonariusz, zaczął go sobie wygrzebywać paznokciem drugiej ręki.

– Przejdźmy do sedna. Kiedy po raz ostatni widział pan Monikę Wieczorek?

– Hmm... – Mężczyzna westchnął podrapał się po potylicy i wniósł oczy w sufit. – Chwilę się nad tym zastanawiałem. Dzisiaj jest czwartek. Wczoraj była środa, wcześniej wtorek.

– A jeszcze wcześniej poniedziałek – wtrącił poirytowany Obrębski.

– Dokładnie – cmoknął Krzysztof Mogielnicki i położył obie dłonie spodnią częścią na blacie stołu. – Wydaje mi się, że w niedzielę.

Byliśmy na obiedzie, a później się nie widzieliśmy. Ale muszę jeszcze to potwierdzić z moim asystentem.

– Czyli chce pan powiedzieć, że on będzie wiedział, czy od niedzieli nie widział się pan ze swoją narzeczoną.

– Już nie – westchnął i utkwiał wzrok w przesłuchującym.

– Co już nie? – spytał.

– Już nie jest moją narzeczoną. Moniczka stwierdziła, że potrzebujemy przerwy, aby każde przemyślało wszystko. Ostatnio sporo się w moim życiu dzieje, więc nie oponowałem. Nie do końca uważałem, że jest to nam potrzebne, ale też nie chciałem jej zmuszać do bycia ze mną. Związek, w którym wypalają się uczucia, nie ma większego sensu.

– Co chciała przemyśleć? – Komisarz pochylił się bliżej przesłuchiwanego.

– No, nasz związek. Przyszłość. Może trochę przeszłość, chociaż moim zdaniem to bez sensu. Ona uwielbiała drażnić wokół różnych zupełnie bezsensownych rzeczy. Tak jakby miało to znaczenie, kto z kim i kiedy, skoro to już się wydarzyło. Ale mam wrażenie, że wszystkie babeczki tak mają. Nie skupiają się na tym, co ważne, a czepiają się błahych szczegółów – powiedział to lekko, czym od razu zirytował policjanta.

– Zdradzał ją pan?

– Nie nazwałbym tego zdradą. Dla mnie zdrada to bycie z kimś w relacji, wytwarzanie zaufania, uczuć zbliżonych do miłości. Seks to nie zdrada – powiedział i delikatnie się uśmiechnął. Stojący po drugiej stronie lustra Bartosz Bogucki wstrzymał oddech. Dawno nie słyszał większych bredni.

– Oryginalne podejście. Czy Monika Wieczorek je podzielała?

- Hmm... - westchnął. - W sumie to nie, i to stanowiło problem. Zaczęła się czepiać, że się przespałem z jedną dziewczyną po ostatniej premierze. Wie pan, ja jasno jej wszystko wyjaśniłem, gdy zaczęliśmy być razem. Powiedziałem, że będę o nią dbać, kochać, dawać wszystko, na co zasługuje, ale nie dam wierności w takim łóżkowym znaczeniu. Uważam, że to uczciwe.

- Generalnie to tak, pod warunkiem że obie strony się na to godzą - skomentował policjant i sięgnął po stojącą przed nim butelkę z wodą.

- Moniczka się godziła. Przynajmniej do pewnego momentu. Od jakiegoś czasu miałem wrażenie, że rości sobie do mnie prawo. Stuprocentową wyłączność.

- Coś się ostatnio stało, że zmieniła zdanie? - dopytywał Obrębski, cały czas bacznie przyglądając się rozmówcy. Ten niezmiennie nie wykazywał żadnych emocji związanych z utratą bliskiej osoby.

- Zrobiła coś niewybaczalnego. - Pokręcił głową i głośno sapnął, jakby właśnie zrobił kilkanaście pompek.

- Co takiego? - spytał policjant.

- Zaszła w ciążę - odpowiedział i zacisnął usta tak mocno, że momentalnie zrobiły się fioletowe. - Wkurzyłem się.

- Może pan to wyjaśnić, bo szczerze powiem, że pogubiłem się. Byli państwo razem kilka lat...

- Pięc - wtrącił.

- Okej, czyli po pięciu latach związku partnerka zaszła w ciążę i pan się zdenerwował. Z tego, co wiem, to za każdym razem powtarzał pan, jak bardzo ją kocha i chce być razem po wsze czasy. Kłamał pan?

– Nie. Ale od zawsze powtarzałem również, że mam już jedno dziecko i nie chcę więcej. Kocham moją córkę, ale nie jestem dobrym ojcem. Proszę pana, związałem się z kobietą w wieku mojej latowości. Przecież to już pokazuje, że coś ze mną nie tak! – Mówił zdenerwowanym głosem, a Bogucki poczuł do mężczyzny coś na kształt sympatii. – Na koncie mam kupę kasy, mogę robić, co chcę, ale proszę uwierzyć, czasami mam przebłyśki moralności. Oczywiście nie za często. – Zaśmiał się smutno. – Decyzja o braku potomstwa wynikała właśnie z tego. Na szczęście moja była żona po urodzeniu córki miała komplikacje i lekarz powiedział, że więcej nie może mieć. Wiem, że to chore, ale ucieszyłem się. Gdybym mógł cofnąć czas, pewnie nigdy nie zostałem ojcem. Okropny jestem w te klocki. Nie myślę jak ojciec, ale jak samiec. Mogę kręcić filmy, promować je, robić masę dziwnych rzeczy, ale w byciu ojcem się nie sprawdzam. Dlatego zawsze się zabezpieczałem. Ponad dwa lata temu Moniczka zrobiła mi prezent i włożyła sobie spiralę. Nie musiałem się już tym stresować, ale okazało się, że do czasu. Coś poszło nie tak i mój plemnik wykonał robotę, o jaką go nie prosiłem.

Mężczyzna znowu zamilkł. Kręcił głową i posapywał. Obrębski w tym czasie patrzył na niego wyczekująco, ale nie poganiał.

– Nie wiem, dlaczego ją wyjęła. Nie powiedziała ani słowa. Nie wiem, czy zrobiła to perfidnie, czy coś się stało. Wróciłem do domu pijany. Miałem wielką ochotę na seks, zresztą zawsze mam. Następnego dnia rano wyznała, że niby mówiła mi, że nie możemy się bzykać, że nie ma zabezpieczenia. Podobno ja twierdziłem, że nie szkodzi, że od jednego razu nic się nie może stać. Nie będę ukrywać, ale nie pamiętam tego dokładnie. No i miesiąc później zalana łzami powiedziała, że spóźnia jej się okres. Myślałem, że sobie jaja ze mnie

robi. Że to jakaś ukryta kamera i zaraz z szafy wyskoczy kamerzysta i powie „Mamy cię!”. Ale nic takiego się nie stało. Pokazała mi ten kawałek plastiku, z dwiema kreskami, których nie można było nie zauważyć. Czekałem, aż powie, że je usunie. Pojedzie gdzieś do pepiczków i pozbędzie się tego bachora. Od zawsze mówiłem jej o tym, że nie ma opcji na dziecko. A ona nic. Stała jak słup soli i gapiała się na mnie tymi swoimi wielkimi sarnimi oczami. W końcu schowała do torebki test ciążowy i wyszła bez słowa.

– I co się później stało?

– Nie widziałem jej dwa tygodnie, a może i dłużej. Nie odpisywała na wiadomości, nie odbierała ode mnie telefonu. Byłem w trzech mieszkaniach, gdzie mogła być, ale jej nie znalazłem, więc odpuściłem. Nie miałem pomysłu, co więcej mogę zrobić.

– A co z dzieckiem? Monika Wieczorek według patologa nie była w ciąży w chwili śmierci.

– Wiem, poroniła miesiąc temu. W piętnastym tygodniu. Wróciła do mnie, przepraszała. I znowu byliśmy razem. Tylko my dwoje.

– Przykro mi, chociaż nie wiem, czy pan się przejął – powiedział i popatrzył na mężczyznę z dezaprobatą.

– Nie wiem – skomentował Mogielnicki smutnym głosem. – Nie chciałem, aby cierpiała. Zresztą...

– Tak?

– Tak pomyślałem teraz, czy nie miało to czegoś wspólnego z jej morderstwem. Monika poroniła, ponieważ spadła ze schodów. Na początku twierdziła, że ktoś ją popchnął, ale z czasem się z tego wycofała. Tak jakby doszła do niej prawda, że sama odpowiedzialna jest za ten wypadek, a nie ktoś inny.

– Ani przez chwilę nie pomyślał pan, że to faktycznie nie była jej wina? – spytał Obrębski i zanotował coś. Bogucki od razu wiedział, że kolega zamierza sprawdzić ten ślad.

– Teraz to nie wiem. Wtedy w to nie wierzyłem. Powtarzałem, że to niemożliwe. I że jej nie winię, co oczywiście ignorowała, bo dobrze wiedziała, jaki miałem stosunek do tego nienarodzonego dziecka. Nie będę tego ukrywał. Cholernie go nie chciałem. Nic dobrego nie wniosłoby w nasze życie.

– A przyjmując, że to nie był wypadek, kto mógłby to zrobić, o ile nie był to pan?

– Insynuuje pan, że ja... – Nie skończył, bo najwidoczniej zrozumiał, że wszystko, co dotychczas powiedział, rysowało go jako doskonałego sprawcę. O ile nie morderstwa, to przynajmniej próby poprzez zepchniecie ze schodów. – Nie wrobiecie mnie w to. Kochałem Monikę. Tego dziecka nie chciałem, ale jakby się uparła i je urodziła, trudno. Może byśmy się rozstali, ale łożyłbym na nie. Dbał o nie. Może nie jak superhiperojciec, ale miałoby na bank dostatnie i ciekawe życie. Ja nigdy nie podniosłem na nikogo ręki, a tym bardziej na kobietę, którą kochałem.

– Rozumiem – powiedział bez przekonania policjant i ponownie zapisał coś w kajecie. – Czy Monika Wieczorek miała wrogów?

Krzysztof Mogielnicki zaśmiał się, wprawiając zarówno Obrębskiego, jak i Bartosza Boguckiego w zdziwienie.

– Ona żyła z tego, że miała wrogów. Zawodowo zajmowała się wkurzaniem ludzi. Gdy zaczynała pracę w modelingu, wkurzała innych swoją nienaganną figurą i piękną twarzą. Lata leciały, a ona się nie starzała, więc leciał hejt, bo taka doskonale naciągnięta. Gdy zrobiła sobie cycki, to kolejne wiadro pomyj wylało się na nią, a ona to

ignorowała. Uwielbiałem te jej teksty, że „moje cycki, moja dupa, nic nikomu do tego”. Kłóciła się z każdym. Pod każdym negatywnym wpisem pojawiała się jej odpowiedź. I nie była to próba załagodzenia sprawy. Kłóciła się z każdym o wszystko. Oczywiście jak lwica brońiła naszego związku. Nigdy nie pozwalała obrażać mnie, mimo że często na to zasługiwałem. Szczerze mówiąc, mnie by się nie chciało, a ona zawsze znalazła czas, aby zareagować. Wkurzałem się, bo często robiła to podczas wyjść, oglądania filmów. Nie zdziwiłbym się, gdyby podczas seksu odpisywała komuś na kąśliwy komentarz – rzucił i zaśmiał się.

– Rozumiem, ale chyba nikt z powodu takich zaczepek nie pozbawiłby jej głowy.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Niektóre kłótnie były na grubo. Poza tym wie pan, w jakich głupich czasach żyjemy. Ludziom niewiele potrzeba. Mnie kiedyś pobił jakiś facet. Wyszedłem z firmy i podleciał do mnie. Nie zauważyłem go, więc gdy wyprowadził pierwszy cios, zupełnie nie byłem na to przygotowany. Powiem szczerze, gdyby nie przypadkowi przechodnie, którzy ściągnęli go ze mnie, nie wiem, jak by się to skończyło. Okazało się, że chodziło o to, że w ostatnim filmie jedna z moich bohaterek zaczęła się puszczać, a tak samo nazywała się matka tego faceta. Przez mój film zaczęła dostawać niewybredne propozycje, klienci w sieci pisali w opiniach dotyczących jej firmy zbereżne rzeczy, zupełnie nie oddzielając fikcji od rzeczywistości.

– To faktycznie ciekawe – powiedział komisarz i zerknął do kasetu. – Czyli nie wiedział pan nic o żadnych pogrózkach, wrogach?

– Nie. Monika nie należała do tych, co się zwierzają, skarżą. Jak miała problem, to sama starała się go rozwiązać. Czasami czułem się

przez to mniej męski.

- A jak relacje z pana córką i była żoną?

- Chyba nie uważa pan, że one mogłyby... - Nie skończył, widząc potakujące kiwnięcie głową. - Nie, to niemożliwe. Minęło już trochę czasu, w jakimś stopniu pogodziły się z tym, chociaż nie było łatwo. Zarówno media, jak i ja nie ułatwialiśmy sprawy. Newsy o mojej nowej miłości atakowały je z każdej strony i w najmniej oczekiwanym momencie. Córka nie zapomni mi chyba nigdy faktu, że mój związek zepsuł jej studniówkę. Dokładnie dzień przed nią wyszedł na jaw mój romans. Wszyscy o tym mówili. Koleżanki zasypywały ją pytaniami, czy to jest prawda. Mnie nie było. Wyjechałem na kilka dni do lasu, na oczyszczanie, i nie miałem dostępu do sieci. Rozpętało się piekło, a ja zupełnie o tym nie wiedziałem. Gdy wróciłem do domu, na podjeździe leżała sterta moich rzeczy, płyt i moja ukochana gitara, którą kupiłem za pierwsze zarobione pieniądze. Później żona powiedziała, że zamierzała to podpalić, ale powstrzymała się, bo nie chciała robić większego zamieszania. I tak wyczekujący przed domem fotoreporterzy mieli używanie... - Mężczyzna sięgnął po papierowy kubek z wodą, który stał nietknięty, i upił łyk. - Córka poszła na imprezę, ale wyszła po piętnastu minutach. Nikogo nie interesował bal na zakończenie liceum, tylko ona. Praktycznie wszystkie aparaty skierowane były na nią, a na sali pojawiło się parę dziwnych osób, które prawdopodobnie były wysłannikami portali plotkarskich lub innych szmatławców. Nawet teraz przy każdej nadarzającej się sytuacji mi to wyrzyguje. Jednak ani ona, ani była żona nie zrobiłyby czegoś takiego. Poza tym minęło już tyle lat. Edyta, moja eks, ma już nowego partnera. Nudnego prawnika. Od spraw rozwodowych - zaśmiał się. - Poznała go dzięki mnie - wtrącił dumnie. - Teraz ma po-

układane życie. Przewidywalne i bezpieczne, niczym pieniądze na lokacie. Ja byłem jak kupowanie bitcoinów. Raz jest dobrze, a następnego dnia porażka. Ja dawałem jej emocje, a ten gość ziejie nudą jak kolejny odcinek „Klanu”. Ale cóż, co kto lubi.

– A czy Monika mogła kogoś mieć? – spytał Obrębski, a Bogucki czekał na reakcję mężczyzny.

– Nie wiem – odpowiedział i wzruszył ramionami, jakby spodziewał się tego pytania i jakby ono w żaden sposób go nie raniło. – Nigdy nie pytałem, bo nasz układ miał działać w dwie strony. Ale wydaje mi się, że nie. Przez te pięć lat nigdy nie poczułem się niezaopiekowany, niedopieszczony. Towarzyszyła mi w chwilach triumfu, gdy stała do mnie kolejka przyjaciół, kolegów, znajomych i znajomych znajomych, ale także gdy nikt nie odbierał ode mnie telefonu, a moja matka, świeć, Panie, nad jej duszą, pewnie przeszłaby na drugą stronę ulicy, udając, że mnie nie zna. Monika zawsze trwała u mojego boku, a to wyraz największej lojalności. Chociaż jak teraz sobie myślę, to ostatnie dwa miesiące były ekstremalnym rollercoasterem i wszystko szło nie tak.

– To jeszcze jedno pytanie. Co robił pan w nocy z wtorku na środę?

– Serio? Nie wierzę... – westchnął i wypuścił ostentacyjnie powietrze. – Ale taki pana job. We wtorek wieczorem byłem najpierw na otwarciu nowej restauracji, a później przenieśliśmy się do klubu na Mazowiecką. Nigdzie się stamtąd nie ruszałem. Mam masę świadków, a każdy z nich relacje na insta, fejsie i innych socialach, gdzie w większości mnie widać.

– Pozwolę sobie to sprawdzić – rzucił Obrębski i zamknął kajet. – Dziękuję za rozmowę. Proszę nigdzie nie wyjeżdżać. Jakby coś sobie

pan przypomniał, nawet coś, co niby nie jest ważne w pana mniemaniu, proszę dzwonić. – Wyjął z kieszeni przygotowaną wcześniej karteczkę z numerem telefonu i podał rozmówcy.

Mężczyzna wstał, przesuwając krzesło, które wydało nieprzyjemny dla ucha dźwięk, i poprawił marynarkę. Spojrzał w weneckie lustro, a stojący za nim Bartosz Bogucki miał wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały. Mogielnicki jednak, zamiast zrobić groźną minę, poprawił fryzurę i odwrócił się do policjanta.

– W sumie jest jedna sprawa. Proszę przejrzeć twittera Moniki. Musi pan szukać pod nickiem akinom dziewięćdziesiąt dwa, sporo tam się udzielała.

– A co to znaczy?

– Monika od tyłu – zaśmiał się i podszedł do drzwi.

Stojący za lustrem Bogucki momentalnie poczuł ucisk w brzuchu. Zawsze tak się działo, gdy czuł, że zawiódł. Powinien sam na to wpaść, a ograniczył się do Facebooka i Instagrama. Był to klasyczny przykład filtrów, o których ostatnio czytał. Podobno człowiek patrzy na wiele spraw przez pryzmat swoich doświadczeń. Sam nie korzystał z innych platform społecznościowych, dlatego nie sprawdził TikToka, Twittera czy Pinteresta.

Wpisał w notatkach nazwę profilu zamordowanej i wyszedł z pomieszczenia, przypominając sobie, że podczas przesłuchiwania miał mu towarzyszyć Jaworski.

Rozdział 12

Cały czas nie mógł uwierzyć, jak łatwo w dzisiejszych czasach wyciągać informacje o ludziach, a już gdy połączy ich jakakolwiek nić znajomości, dodają obcych do znajomych w social mediach i sprawa robi się jeszcze prostsza. Gdy zaprosił Monikę Wieczorek do swoich kontaktów, wiedział dokładnie, gdzie kiedy jest i, co najważniejsze, kiedy nie będzie jej i jej lowelasa w domu, co planował wykorzystać.

Od dawna jego ulubionym sklepem był znajdujący się na dalekich Bielanach, nierobiący wrażenia na niewtajemniczonych, sklep detektywistyczny. Skromna witryna z kilkoma smutnymi kamerami i sztucznymi kwiatkami nie przyciągała uwagi. Gdy jednak ktoś już się skusił, nacisnął klamkę, która uruchamiała czujkę, dzięki czemu pracująca tam wytatuowana młoda dziewczyna z niezliczoną ilością kolczyków wiedziała o odwiedzającym, był w szoku.

Otwierał się przed nim świat, którego większość ludzi nie znała i nie miała szansy poznać. Kamery, noktowizory, sprzęty do podsłuchu, a także książki wypełnione wiedzą tajemną, którą chłoną przy każdej okazji.

On z reguły stawiał na prostotę. Uwielbiał podsłuchy i kamerki. Szczególnie te, które w łatwy sposób mógł schować. Gdy tydzień wcześniej kupował kolejny zestaw, pogadał chwilę ze stojącą za ladą

dziewczyną, która nigdy nie komentowała jego zakupów, za to uwielbiała pokazywać swoje nowe tatuaże i o nich opowiadać.

– Nie zgadnie pan, kto zrobił mi tę dziarę! – Podwinęła rękaw i pokazała coś na kształt głowy z uśmiechniętą buźką. Nie była ona idealnie okrągła, wyglądała trochę tak, jakby narysowało ją dziecko.

– Pewnie jakiś znany artysta, ale zrobił to lewą ręką – rzucił. Średnio go to interesowało, a na dodatek za pół godziny musiał być w pracy, do której już od ponad piętnastu lat nigdy się nie spóźnił.

– Faktycznie taka opcja mogłaby być prawdziwa, ale nie tym razem. W sumie to może kiedyś komuś zaproponuję takie wyzwanie. – Uśmiechnęła się, pokazując zęby z widoczną szparą między jedykami. Od zawsze denerwowała go ta moda na nieleczonej diastemę.

– Czyli nie zgadłem – odpowiedział i schował zakupiony sprzęt do płóciennej torby. Od dawna nie korzystał z foliówek. Wychodził z założenia, że tylko tyle albo aż tyle może zrobić dla matki natury.

– Pan to trochę sztywny jest, ale ma to swój urok. – Jeszcze raz przysunęła mu lewe przedramię pod twarz, pokazując dzieło. – Momo znam od lat, to superfacet. Niestety w wyniku choroby stracił wzrok. Kiedyś coś tatuował, ale przestał. Ludzie średnio chcą, aby dziarała ich osoba, która nie widzi. A mnie zrobiło się go najzwyczajniej w świecie żal.

Dziewczyna jeszcze coś mówiła, ale on nie słuchał. Nie odnajdywał się w tych small talkach lub rozmowach o tematyce zupełnie go nieinteresującej. Czyjeś tatuaże zdecydowanie do takiej kategorii należały. Spakował wszystko, podziękował za doradztwo jak zwykle na najwyższym poziomie i wyszedł.

Zgodnie z prognozą pogody, którą sprawdzał na portalu dla żeglarzy, najbardziej według niego wiarygodnym źródle informacji na ten

temat, na niebie cały czas nie było żadnej chmury. Ten jego zwyczaj sprawdzania wynikał z bezgranicznej wiary w powiedzenie, że nie ma złej pogody, jest zły ubiór. Tylko żeby miało to sens, musiał wiedzieć, co ma się wydarzyć, a dzięki dokładnej prognozie pogoda nigdy go nie zaskakiwała. Zawsze jego ubiór był idealnie dopasowany do warunków atmosferycznych.

Gdy wiedział, że będzie padać, zabierał parasol, zakładał soft-shell, który zapewniał ochronę przed deszczem, i buty, którym żadna woda nie była straszna.

Gdy wiedział, że z nieba będzie lał się żar, wybierał lekkie płócienne spodnie, przewiewne buty i koszulkę, która nie przyklejała się do pleców.

Oczywiście zawsze miał ze sobą strój na zmianę, bo wszystko komplikował fakt, że nigdy nie wiedział, jak długo i gdzie będzie pracował i czy nie będzie musiał się zapuścić w dalszy rejon Mazowieckiego.

Po zakupach ubrany w jeansy i koszulę w kratę ruszył do pracy. Kochał ją, ubóstwiał wręcz, ale tego dnia wyjątkowo miał nadzieję, że nie wydarzy się nic zaskakującego i równo o siedemnastej będzie mógł wprowadzić w życie swój plan, który jak zwykle dopracował w najmniejszym szczególe.

Monika Wieczorek wyjechała wtedy na oblegane przez gwiazdy Malediwy. Przynajmniej tak napisała w mediach społecznościowych. Jej partner, Krzysztof Mogielnicki, również opuścił kraj, chociaż poleciał w przeciwnym kierunku. Lansował się na Riwierze Francuskiej, pływając motorówką jednego z bogatych przyjaciół, co dokumentował na Instagramie.

Sprawa wydawała się łatwa jak nigdy, jednak gdy tydzień wcześniej stanął przed ich imponującą willą na Wilanowie, przez chwilę ogarnęło go przerażenie. Dobrze wiedział, jak się dostać do takiego domu. Pokonanie drzwi i systemów alarmowych nie stanowiło problemu, miał to w małym palcu. Jednak pierwszy raz od dawien dawna poczuł jakiś lęk, a zawsze słuchał swojej intuicji, która już parokrotnie ostrzegła go w odpowiednim momencie.

I miał rację. Dokładnie dwadzieścia minut po jego pojawieniu się na miejscu pod dom, w którym ostatnio mieszkowali Wieczorek i Mogielnicki, zajechał samochód. Słyszał go już z daleka. Co najmniej trzysta koni mechanicznych wydawało ryk, który niosąc się, informował, że jedzie jakiś nadziany lowelas. I nie pomylił się. Brama obserwowanego domu zaczęła się otwierać, a on bez problemu dostrzegł siedzącą za kierownicą postać. To był Kris. Wrócił niespodziewanie, nie informując o tym gawiedzi śledzącej go na Instagramie.

Chwilę postać jeszcze po drugiej stronie ulicy i wkurzony zmianą planów ruszył do domu. Musiał szybko wymyślić inną strategię.

Rozdział 13

– Ile razy mam ci powtarzać, abys przed wstawieniem do zmywarki opłukał naczynia?! Boże, to nie takie trudne, a robisz z tego jakąś tajemną wiedzę! – krzyczała drobna blondynka, wydymając przy tym policzki, które momentalnie robiły się bardziej czerwone niż zazwyczaj.

Stojący przed nią Bartosz Bogucki nie odzywał się słowem. Z jednej strony wiedział, że kobieta ma rację i ponownie zapchana zmywarka to jego wina. Z drugiej strony... miał już najzwyczajniej w świecie dość. Codzienne kłótnie. Codzienne awantury. A podsumowanie każdej zawsze było takie samo – wszystko robił źle. Może dalej przymykałby na to oko, gdyby nie przeprowadzona dzień wcześniej rozmowa, która całkowicie odebrała mu nadzieję.

– Ty chyba sobie jaja ze mnie robisz! Jaki wydział kryminalny? Przecież ty się tam nie nadajesz! – Ala jak zwykle podniesionym głosem komentowała jego plany, niszcząc je już w zarodku.

– Dlaczego się niby nie nadaję? – odpowiedział zmieszany i wstał po dokładkę ryżu z kurczakiem, który sam ugotował.

– Przede wszystkim twoje myślenie logiczne nie zawsze działa prawidłowo.

– Jezu, ty znowu o tym? Sto lat temu zadałaś mi głupią zagadkę matematyczną i jej nie rozwiązałem. Nawaliłem się i był środek

nocy! – oburzył się policjant, stawiając na swoim miejscu napełniony po brzegi talerz. Ten stojący przed jego dziewczyną zawierał cały czas tyle samo dania co wtedy, gdy jej podawał. Z lekkim grymasem co jakiś czas wsadzała niewielką porcję do ust, jakby jadła coś obrzydliwego.

– Jako policjant zajmujący się najpoważniejszymi przestępstwami powinieneś mieć otwarty umysł non stop, nawet w najbardziej wymagających warunkach.

– Aha – westchnął, nabił na widelec spory kawałek kurczaka i włożył go do ust. – Coś jeszcze ci się we mnie nie podoba? Bo widzę, że składam się z samych wybrakowanych elementów. Może powinnaś sobie zrobić listę rzeczy beznadziejnych, które chcesz we mnie zmienić.

– Kochanie, ty jesteś super jako mężczyzna dla mnie. – Uśmiechnęła się i zatrzepotała zagęszczonymi rzęsami. – Ja chcę cię ochronić przed porażką.

– A czemu zakładasz porażkę? Może mi się uda. Może czasem powinnaś jakoś mnie wesprzeć, nawet jak masz wątpliwości. Wiesz, że bardzo mi zależy – mówił, plując na talerz kawałkami mięsa i ryżu.

– Może tak. – Ponownie się uśmiechnęła i położyła swoje dłonie na jego, tej bliżej siebie. – Ale bądźmy szczerzy, źle znosisz niepowodzenia. Poza tym jesteś niedokładny i często niesumienny. W pracy w terenie może to przejdzie, ale nie przy morderstwach. Ja wiem, że zawsze marzyłeś, aby ganiać złoczyńców, ale może czas zweryfikować marzenia. Rozmawiałam z moim tatą... – Zrobiła przerwę, a on zabrał rękę i poczuł, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Domyślał się, co zaraz usłyszy, i nie cieszył się na to. – On też uważa to za zły pomysł. Musisz znaleźć w końcu w sobie siłę i zrezygnować z tego.

Jesteś jeszcze młody i masz wiele możliwości, kilka nawet na wyciągnięcie ręki. Papa właśnie tworzy nowy oddział i potrzebuje kogoś do zarządzania nim. Nie od razu zająłbyś się zarządzaniem całością, ale wprowadziłby cię i za pół roku, maksymalnie za rok, miałbyś pod sobą kilkanaście osób. Taka propozycja jest nie do odrzucenia. Szybki awans. Dobre pieniądze. W policji nigdy byś tyle nie zarobił. Wiadomo, że po drodze musiałbyś sporo się nauczyć, ale dałbyś radę.

Bartosz Bogucki jadł dalej swoje dzieło, ignorując wyczekującą odpowiedzi dziewczynę. W końcu nie wytrzymała:

– Musisz wreszcie zdecydować. Nie możesz trwać w zawieszeniu. Tak się nie da – mówiła poważnym tonem, jak ci mówcy, którzy gromadzą na salach setki osób, a każda za swoje uczestnictwo płaci grubą kasę.

W końcu podniósł głowę i pokręcił nią przecząco. Jak zwykle toczył wewnętrzny dialog. Z jednej strony nie znosił takich konfrontacji, przepychanek. Nie czuł się komfortowo, szczególnie gdy za przeciwnika miał Alę, która świetnie się w tym odnajdywała. Z drugiej strony już mu to obrzydło. Miał dwadzieścia osiem lat i potrafił o sobie zadbać, przynajmniej on tak uważał.

– Niestety, musisz powiedzieć ojcu, że nie skorzystam – zaczął dość cicho, a na twarzy Ali zagościło zdziwienie. Uniosła brwi, aż na jej czole pojawiło się kilka głębokich zmarszczek, a nozdrza rozszerzyły się jak u niektórych psów chwilę przed atakiem. – Nigdy nie chciałem pracować w ubezpieczeniach. To nie moja bajka. Ja jestem policjantem! – Ostatnie słowo powiedział głośniejszym, z dumą. – I nic tego nie zmieni. Jeżeli nie podoba ci się to, co robię, to mamy dość patową sytuację, bo ja nie zamierzam się poświęcać, aby realizować

twoje i twojego ojca plany. – Nabrał powietrza i odstawił sztućce. – Zresztą może to ty powinnaś coś zmienić w swoim życiu.

Już kończąc zdanie, wiedział, że włożył kij w mrowisko. Ala napięła się jeszcze bardziej, a trzymany przez nią widelec spadł na podłogę wyłożoną białym błyszczącym gresem.

– A niby co jest nie tak w moim życiu? Wszystko układa się wspaniale. Mam świetną pracę, której wielu mi zazdrości. Mieszkam w pięknym miejscu i aktualnie mam fajnego chłopaka... – skończyła z przekąsem.

– No niby tak – rzucił z lekkim uśmieszkiem, którego jego dziewczyna nie znosiła, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. – Wszystkim na prawo i lewo doradzasz, jak ma wyglądać ich życie, ale pytanie zasadnicze, co ty sama w życiu osiągnęłaś...

Nie zdążył skończyć, bo weszła mu w słowo.

– Ty chyba jaja sobie robisz?! – krzyknęła i z obrzydzeniem na twarzy odepchnęła stojący przed nią talerz. – Co osiągnęłam? Znasz kogoś, kto w wieku dwudziestu pięciu lat zarabia ponad dwadzieścia tysięcy? A to dopiero początek. Przede mną imponująca kariera i...

Bartosz Bogucki zaczął się śmiać. Na początku cicho, ale z każdą sekundą jego głos robił się coraz głośniejszy, aż w końcu ucichł, a kuchnię znowu wypełniła cisza. Mierzyli się wzrokiem jak bokserzy na ringu, czekając na wyprowadzenie ciosu przez przeciwnika.

– Zabawna jesteś – przemówił w końcu z nieschodzącym z twarzy uśmiechem. – Mogłabyś występować w kabaretach.

– O co ci, kurwa, chodzi? – warknęła dziewczyna i wstała od stołu. Chwyliła za talerz i ostentacyjnie zrzuciła całą jego zawartość na podłogę.

– O co mi chodzi?! – krzyczał. – O ciebie. O to, że wszystkich krytykujesz, że nic w życiu nie osiągnęli. Chętnie się, że ty zaraz młodą milionerką będziesz. A to wszystko iluzja. Mówisz, że ja mam problemy z logicznym myśleniem, ale zastanów się, co byś osiągnęła, gdyby nie twój ojciec. Pracujesz u niego. Daje ci najlepsze zlecenia. Płaci więcej niż innym pracownikom. A to wspaniałe mieszkanie, którym tak bardzo się chwalisz, jest jego. Gdyby nie twój ojczulek, byłabyś zwykłym szarym pracownikiem. Nie miałabyś szans na kontrakty, z których jesteś tak dumna, a tym samym na kasę, którą się tak chwalisz. Totalna hipokryzja.

Bartosz Bogucki wstał i nie przejmując się panującymi w domu zasadami, włożył talerz do zmywarki razem z przyklejonymi do niego resztkami obiadu.

Teraz, stojąc w kuchni i słuchając kolejnego monologu o własnych przywarach, poczuł, że czara goryczy się przelała. Nie miał już siły na ciągnięcie tego. Bez słowa opuścił kuchnię i poszedł się pakować.

Rozdział 14

ONA

Od kiedy pamiętam, mama zawsze powtarzała mi, że o sprawach rodzinnych nie powinno się mówić. Że nikogo to nie obchodzi, a jakby nawet ktoś wykazał jakieś zainteresowanie, może się to źle skończyć. Przede wszystkim dla mnie. Gdy to mówiła, z jej ust wypadały drobinki śliny, które niczym śrut waliły we mnie, zostawiając smutek i niesmak.

Gdy kolejny dzień z rzędu nikt z mojej rodziny nie pojawił się u mnie w szpitalu, postanowiłam mimo wszystko powiedzieć lekarce, która codziennie przychodziła na obchód, prawdę. Prawdę o tym, dlaczego jestem tak przeraźliwie chuda, o co spytała dzień wcześniej. Dlaczego przy moich stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach ważę czterdzieści jeden kilo.

Wiele osób w szkole przezywało mnie „szkieletor” lub „wieszakolud”. Nie znosiłam tego.

Mama twierdziła, że jak jestem chuda, wyglądam lepiej. Tylko nigdy nie widziała mnie z większą masą, więc nie mam pojęcia, skąd to wiedziała. Zawsze patrzyła, ile zjadam, i gdy na talerzu miałam więcej, niż według niej powinnam zjeść, zabierała mi. Rodzeństwo

oczywiście jadło tyle, ile chciało, jakby tym wydzielaniem porcji dodatkowo chciała mnie ukarać za to, że aborcja, którą wykonała, się nie udała.

Wyrzygała mi to dwa miesiące wcześniej, gdy dostałam z klasówki z chemii czwórkę z plusem. Bardzo bolał mnie brzuch. Wymiotowałam przez trzy dni, a i tak musiałam chodzić do szkoły. Przed klasówką poszłam do toalety. Niestety znowu przykleiłam się do kibla i nie mogłam przestać. Dzwonek niczego nie zmienił. Minuty leciały, a moim ciałem co chwilę wstrząsały jakieś dziwne torsje, a z ust wypadały resztki jedzenia.

W końcu nie miałam już czym wymiotować. Wypłukałam usta i poszłam do klasy. Pewnie mogłabym poprosić o zwolnienie, bo wyglądałam jak trup. Moja skóra zrobiła się półprzezroczysta, a pod oczami pojawiły się sińce. Jednak wiedziałam, że nie ma takiej opcji.

Usiadłam do ławki, po drodze zgarniając test, i napisałam klasówkę. Odpowiedziałam na większość pytań. Na dwa nie miałam już czasu, bo zadzwonił dzwonek. I tak nauczyciel pozwolił mi dopisać ostatnie zdanie, mimo że zazwyczaj wyszarpywał uczniom kartki z odpowiedziami.

Gdy matka dowiedziała się, jaki stopień dostałam, wpadła w szal. Darła się na mnie, jakbym co najmniej kogoś zabiła. Wiedziałam, że od jakiegoś czasu ma problemy w pracy i jest bardziej drażliwa, ale tego się nie spodziewałam.

– Jesteś niczym zaraza. Panoszysz się i wysysasz energię. Pewnie dostałabym awans, ale ty niszczysz moją kreatywność. Zabierasz mi przyjemność z bycia matką. Dumną matką. Boże, dlaczego ty się w ogóle urodziłaś? – darła się na mnie. – Powiem ci coś. – Uśmiechnęła się z tym przerażającym błyskiem w oku, którego zawsze się ba-

łam. – Gdy urodziła się twoja siostra, naszym marzeniem było drugie dziecko. Syn. Taki uroczy, kochany, jak twój brat. Gdy zaszłam w ciążę, skakałam z radości. Ale znajoma wróżka, która zawsze wszystkim przepowiadała płeć dziecka, powiedziała, że urodzę dziewczynkę. Rozpłakałam się. Wylałam całymi dniami. Miało być idealnie. Nasza czwórka. Nie chciałam mieć więcej niż dwójkę dzieci. Policzyliśmy to. Aby żyć godnie, mogła być nas czwórka. Tylko czwórka. Wiem, że to nie chrześcijańskie, ale postanowiłam cię zabić. – Ostatnie słowa wysyczała z taką nienawiścią, że aż nogi mi się ugięły. – Poszłam na aborcję, jednak stało się coś dziwnego. Ta głupia lekarka nie była w stanie tego naprostować, naprawić. Urodziłaś się, a na pamiątkę masz to swoje zrąbane biodro. Kuśtykasz jak jakiś paralityk, za każdym razem przypominając mi o tym, że jesteś, jakbym przez ciebie nie miała innych problemów.

Płakałam po tym przez tydzień.

Zawsze wiedziałam, że byłam niechciana, ale usłyszenie czegoś takiego zabiłoby wielu.

Jednak wtedy w szpitalu nie mogłam o tym myśleć. Musiałam skupić się na powiedzeniu prawdy o mojej chudości i o lekach. O tym, jak mnie traktują w domu, by w końcu mnie od nich uwolniono.

– Proszę pani... – zaczęłam tak cicho, że sama ledwo usłyszałam swój głos.

Kobieta, która wpisywała coś w moją kartę, podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Mówiłaś coś?

– Ja... Hmm... – Próbowałam wydusić z siebie coś, co miałoby sens, ale nie mogłam. Strach paraliżował mnie od środka.

Lekarka podeszła do mnie i stanęła przy łóżku. Nie czułam się z tym komfortowo, ale starałam nie myśleć o tym.

– Ja nie mam żadnego uczulenia – powiedziałam trochę głośniej.

– Słucham? – spytała, mrużąc oczy, jakby jej mózg nie do końca zrozumiał wypowiedziane przeze mnie słowa.

– Nie mam uczulenia. Mogę dostać leki przeciwbólowe. Nic mi nie będzie.

– A to.... – westchnęła i przysiadła na stojącym obok krześle, które zapewne zazwyczaj zajmowali troszczący się o swoje dzieci rodzice. Niestety moje zionęło pustką. – Twoja mama wytłumaczyła mi. Byłaś wtedy bardzo mała i możesz nie pamiętać. Dostałaś silnej reakcji alergicznej na leki przeciwbólowe. Niestety nikt nie wie, co to dokładnie było, stąd ostrożność przed podaniem ci czegokolwiek.

– Ale to nieprawda... – wydusiłam z siebie, czując rosnącą w gardle gulę. Jakbym zjadła coś, co pod wpływem kontaktu ze śliną zaczęło pęcznieć, zamykając krtań.

– Rozumiem. Masz prawo tego nie pamiętać. Byłaś mała, gdy poprzednio byłaś w szpitalu...

– Ale ja nigdy nie byłam... – wtrąciłam i nie skończyłam, bo drzwi się nagle otworzyły i weszła moja mama.

Od progu uraczyła mnie przyklejonym do twarzy uśmiechem, jakby faktycznie cieszyła się na odwiedzinę. Jednak powód był inny. Rola. Rola troskliwej matki, którą tak świetnie odgrywała przed każdym, mamiąc, kłamiąc i wmawiając historie, które nawet nie otarły się o prawdę.

– Dzień dobry – zapiszczała. – Miło panią widzieć. Mam nadzieję, że moja córka nie sprawia problemów.

- Nie, jest grzeczna i bezproblemowa. Chociaż ataki bólowe nadal są dość mocne. Tak jak pani obiecałam, nic nie podajemy. No i jak pani przewidziała, córka nie pamięta poprzedniej wizyty w szpitalu.

Matka westchnęła i pogładziła mnie po ręku. Jakie to było miłe, choć wiedziałam, że to zapowiedź czegoś złego. Chwilę pogadały, wymieniając grzecznościowe zwroty, i kobieta poszła do następnego pacjenta.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, z twarzy matki niczym za dotknięciem zaczarowanej różdżki zniknął uśmiech, a pojawił się znany mi dobrze grymas.

- Nie rób tak więcej - wysyczała i ścisnęła mi palce tą samą dłonią, którą chwilę wcześniej tak delikatnie mnie dotykała. - Jak zwykle przysparzasz nam kłopotów. Mam dość tych bredni, które opowiadasz dookoła. Masz natychmiast przestać.

Zostawiła mi na stoliku książki, żebym nie miała zaległości w szkole, i wyszła.

Nie wiem, czy zasnęłam, czy odpłynęłam z bólu, ale gdy ponownie otworzyłam oczy, nie byłam sama. Obok postawiono kolejne łóżko.

Jakoś nie przyszło mi do głowy, że w każdej chwili mogę mieć towarzystwo.

Leżała na nim dziewczyna, podpięta do tak wielu rurek, urządzeń, że nie byłabym w stanie ich policzyć. Co chwilę jakiś tłok przesuwiał się, a w przezroczystych plastikowych rurkach coś płynęło. Nie to jednak przyciągało najbardziej moją uwagę, ale monitor, na którym cały czas wyświetlał się jakiś szlaczek ze zmieniającymi się liczbami.

Po chwili do pokoju weszła kobieta. Od razu wiedziałam, że to jej matka.

Smutno na mnie spojrzała i delikatnie się uśmiechnęła. Tak jakby się wstydziła. Jakby stan jej córki nie pozwalał jej na okazywanie jakichkolwiek pozytywnych uczuć. Podeszła bliżej córki i szepnęła nieme „dzień dobry”. Kiwnęłam tylko głową.

Ta cisza była rozdzierająca, ale nie chciałam jej sama przerywać. Tak jakby słowa wypowiedziane na głos mogły być oznaką braku szacunku.

Minuty płynęły, a ból brzucha robił się coraz większy. Miałam ochotę zacząć krzyczeć, wezwać kogoś, ale nie miałam sił. Wsunęłam rękę pod kołdrę, chcąc pomacać ranę. Wcześniej delikatny ucisk rany dawał chwilową ulgę. Jednak teraz, gdy tylko dotknęłam opatrunku, poczułam coś wilgotnego pod palcami.

Pierwsze, o czym pomyślałam, to że się zsikałam. Była to absurdalna myśl, ale uczepiłam się jej. Podniosłam pościel i momentalnie zapomniałam o bólu.

Cały pokój zaczął wirować.

Nigdy nie miałam problemów z krwią. Wręcz mnie fascynowała.

Ale widok własnej...

Widok swojego ciała broczącego w czerwonej mazi może przerażać.

Gdy człowiek widzi coś takiego, tylko jedna rzecz przychodzi mu do głowy.

Wezwać kogoś na ratunek.

Jednak mnie nie było to dane.

Ogromna ilość krwi, która ze mnie uszła, i silne emocje zrobiły swoje.

Zanim jakkolwiek dźwięk wydobył się z moich ust, odpłynęłam, patrząc, jak siedząca przy łóżku kobieta z miłością, jakiej nigdy nie doznałam, głaska po twarzy swoją córkę.

Rozdział 15

Tyle lat czekał na tę chwilę... Dlatego od kilku dni cały czas odtwarzał tę scenę wielokrotnie.

Ten moment, gdy stanął nad jej zwiotczalym ciałem, gdy jej serce jeszcze pracowało, zupełnie nie mając świadomości, że to jego ostatnie podrygi, podniecał go zdecydowanie bardziej niż seks. Zresztą to nigdy nie fascynowało go jak kolegów. Seks nie stanowił celu, nie był przedmiotem rozmyślań. Nie był obsesją. Żonie tłumaczył, że tak ma i nie ma czym się przejmować i odbierać tego personalnie, nigdy jednak nie zdradził jej prawdy. Nigdy nie powiedział, że poznał go zbyt wcześnie, co zaburzyło go na całe życie.

Przygotowywał się do tego momentu, gdy w końcu kogoś własnoręcznie zabije, i chciał, żeby było idealnie.

Jednak jak to bywa w życiu, nie było.

Najpierw pojawił się problem z zamontowaniem kamer w domu Moniki Wieczorek. Nagły powrót jej faceta wytrącił go na chwilę z równowagi. Przez cały wieczór chodził struty, ciesząc się, że wyjątkowo żona z dziećmi wyszli z domu. Pojechali na jakieś przedstawienie, w którym grała znajoma. On od razu powiedział, że nie da rady jechać, więc mógł skupić się na swoim planie.

Dwa dni później przeciął kable od internetu i zgłosił się jako serwisant z firmy ich obsługującej. Bez problemu wszedł do domu

wpuszczony przez panią sprzątającą i zamontował swoje małe urządzenie.

Później poszło już łatwo. Spotkanie w sklepie. Zaproszenie do znajomych. Obserwował ją tak długo, aż poczuł, że to jest ten moment. Plan, jak ją zwabić, miał przed oczami od początku. Bazował na jej próżności, którą emanowała na każdym kroku. Wywiad. Wywiad, który miała z nią przeprowadzić jedna z najbardziej cenionych dziennikarek w kraju. Cały podstęp dopracował do perfekcji. Zaproszenie wysłał z kupionej domeny o adresie bardzo zbliżonym do tego, którym posługiwało się wydawnictwo reprezentowane przez tę kobietę. Różnica była znacząca, lecz niedostrzegalna dla kogoś, kto chciał wierzyć w iluzję.

Miejsce wywiadu też mogło zaskakiwać. Na łonie natury, na łące. Tak aby pokazać rozmówczynię w nowym, niespotykanym świetle.

A na koniec wisienka na torcie. Limuzyna, która miała zawieźć ją na miejsce całego zamieszania.

No i jeszcze jedno. Nie mogła nikomu pisać o tym słowa. Nawet Krisowi, a właściwie przede wszystkim Krisowi.

Tylko nic z tego nie stało nawet koło prawdy. Nikt nie chciał zrobić wywiadu w sielskiej scenerii, a kierowca zamiast na rozmowę, która miała otworzyć Wieczorek drzwi do jeszcze bardziej spektakularnej kariery, zrobił coś zupełnie innego.

Nie dość, że zawiózł ją do opuszczonych budynków na Żeraniu, to potem przeniósł do zaparkowanego tam samochodu i zostawił w bagażniku, nieświadomą losu, jaki ją czekał.

Nie miał z tym najmniejszego problemu, ponieważ drink, który dostała na wejściu, zawierał nie tylko sporą dawkę alkoholu, ale również miks pigułki gwałtu i środków zwiotczających mięśnie. Po kilku

minutach leżała nieprzytomna na tylnej kanapie, a gdy dojechali do celu, wyciągnął ją jak szmacianą lalkę. Przelewała mu się przez ręce, co dla niektórych stanowiłoby problem, ale jego metr dziewięćdziesiąt wzrostu i masa mięśniowa ponad normę powodowały, że niósł ją na jednym ramieniu.

Kierowca ani przez chwilę się nie zawahał. Na co dzień pracował dla typków spod ciemnej gwiazdy, a czasami świadczył usługi dla zwykłych ludzi, którzy chcieli wprowadzić do swojego życia trochę koloru. Symulowane porwania. Pobudki w nieznanym miejscu. Wszystko to stanowiło codzienność dla przypakowanego kierowcy, który każdą wolną chwilę spędzał, pielęgnując swoje bicepsy, tricepsy i inne mięśnie, które napinał, jak tylko w okolicy pojawiła się jakaś dziewczyna. Ładna czy brzydka, nie miało to znaczenia.

Najważniejszą jego cechą, którą cenił każdy z jego klientów, była dyskrecja. Wielokrotnie zatrzymywany przez policję, nigdy nie puścił pary z ust. Raz nawet został skazany za cudze przestępstwo, dostał za to dwa lata, ale nie sypnął. Odsiedział rok, a dzięki temu wartość jego usług wzrosła tak bardzo, że bez wahania potrafił odmówić zlecenia, ponieważ miał ochotę danego dnia pójść do kina lub nie podobała mu się twarz zlecniodawcy.

Jak zwykle zrealizował wszystko idealnie i po kilku godzinach kobieta leżała przed organizatorem całej akcji. Naga. Tak jak Pan Bóg ją stworzył. Oczywiście poza piersiami, ustami, wypełnionymi policzkami, botoksem, który zaburzał mimikę twarzy. Jednak dla niego nie miało to znaczenia. Chciał jej. Niezależnie od wszystkiego. Chciał poczuć smak zemsty, chociaż to nie ona wyrządziła mu krzywdę, ale jej matka.

Poprawił prawy rękaw niebieskiego stroju ochronnego, który założył na gołe ciało. Nie chciał zostawić nawet najmniejszego śladu.

Popatrzył na spokojną twarz Moniki Wieczorek i sięgnął po małą piłę mechaniczną, którą kupił w sklepie z narzędziami. Oczywiście za gotówkę, na wypadek gdyby jakiś nadgorliwy policjant wpadł na pomysł sprawdzenia transakcji kupna tego typu sprzętów we wszystkich okolicznych punktach, co oczywiście wiązałoby się z ogromem pracy, ale wiedział, że policja potrafi wdrożyć i bardziej żmudne działania, chcąc rozwiązać sprawę.

Już wcześniej ją przetestował, przecinając kupione w sklepie mięsnym kości. Bawił się przy tym jak dziecko w wesołym miasteczku.

Przekręcił małe pokrętko i do jego uszu dobiegł dźwięk urządzenia. Uśmiechnął się. Od zawsze lubił ciąć, kroić, piłować. Gdy w gospodarstwie dziadków pierwszy raz pozbawił kure głowę, miał wrażenie, że ogłuchnie, a i tak radosny i pełen satysfakcji banan nie schodził mu z twarzy. Huk wydawany przez starą wysłużoną piłę został z nim na długie dni. Cały czas piszczało mu w uszach, a na pytanie babci, czy coś się stało, dlaczego tak dziwnie się zachowuje, uśmiechał się serdecznie i mówił, że wszystko jest w porządku.

Teraz już nie musiał przed nikim udawać. Podniósł urządzenie i ustawił na wysokości szyi kobiety, która swoim białym kolorem świeciła niczym gwiazdy w bezchmurną noc. Powoli zaczął opuszczać ostrze, aż dotknęło skóry. Gdy zobaczył pierwszą kroplę krwi, włosy na rękach stanęły mu. Nie spiesząc się, zatapiał ostrze w krtani Moniki Wieczorek, która chwilę wcześniej oprzytomniała. Patrzyła na niego przerażonymi oczami – miał wrażenie, że zaraz wystrzelą, pozostawiając puste oczodoły. Uśmiechnął się do niej

i złożył na jej czole pocałunek. Był pewien, że gdyby mogła, wrzeszczałaby teraz wniebogłosy, wydając dźwięki głośniejsze niż piła dziadka. Wierzgałaby, waliła rękoma, szamotała się, próbując wyswobodzić z lin, których na wszelki wypadek użył. Jednak nic z tego nie mogło się wydarzyć. Dobrze wiedział, ile czego z czym ma wymieszać, aby powalić konia, a tym bardziej kobietę, na której tkanka tłuszczowa zredukowana była do minimum ćwiczeniami i zabiegami medycyny estetycznej.

Przeszedł przez przednią część krtani, a następnie ostrze cięło dalej boki pierścienia. Nagle wszystko zalała krew, gdy dotarł do tętnicy szyjnej. Ilość czerwonego płynu nawet jego zaskoczyła, mimo że wielokrotnie obcował ze zwłokami. Krwi płynęło tyle, jakby ktoś otworzył kran, mimo to on ani na sekundę nie zwolnił. Jego ruchy były pewne i płynne jak u wirtuoza gry na skrzypcach, który z pomocą smyczka tworzy dzieło muzyczne. Tak samo czuł się on, choć jego dzieło nie było skierowane do nikogo poza nim samym. Nie planował nikogo zapraszać, nikomu go prezentować. Miało być tylko dla niego, a przy okazji zamierzał zranić kilka osób. Taki gratis w całej tej sytuacji.

Rozdział 16

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki nigdy nie postrzegał siebie jako pracoholika, ale też nie unikał roboty. Przychodził o czasie, a czasami dwie minuty przed. Nigdy nie patrzył nerwowo na zegarek, próbując przesunąć wskazówkę, żeby szybciej pokazała godzinę, o której mógł wrócić do domu. Nie wściekał się jak Jaworski, gdy sytuacja wymagała zostania dłużej, bo właśnie byli w trakcie spisywania zeznań lub zabezpieczany mecz się przedłużał.

W końcu zupełnie przypadkiem los puścił do niego oczko. Idąc teraz wąskim korytarzem na spotkanie z Obrębskim, nie mógł przestać się uśmiechać, mimo że był niewyspany. Wczorajszy wieczór skończył się zbyt dużą ilością alkoholu i rozmowami, których starał się unikać.

Zaczęło się dość niewinnie.

– Dobra, to zejdźmy już z Ali, bo od tego obrabiania jej dupy uszy dziewczynie odpadną, czy jak to się mówi – rzucił rozbawiony Kamil Jaworski. Siedział w wysłużonym dresie na kanapie o niewiadomym kolorze, i robił wszystko, aby pocieszyć kolegę z pracy, a tymczasowo również i współlokatora. – Pracujemy razem od trzech lat, a w sumie niewiele mi o sobie mówiłeś. Od zawsze w stolicy?

– Od ośmiu lat. A ty? – spytał Bartosz Bogucki i napił się piwa. Dochodziła już północ, a on nie czuł się ani trochę senny. Zazwyczaj

kładł się około dwudziestej drugiej, żeby rano przed pracą poćwiczyć lub pobiegać, ale buzujące w nim emocje nie pozwoliłyby mu zasnąć, więc postawił na inny wyciszacz. Procenty.

– Ja rodowity warszawiak z dziada pradziada, nie tam jakiś słoik – zaśmiał się głośno i zmienił program w telewizji. Film, który próbowali oglądać od dwóch godzin, właśnie się skończył i leciała długa na kilometry lista osób zaangażowanych w jego produkcję.

– Ja nigdy żadnego nie dostałem od swojej mamy – powiedział smutno.

– Co, mamusia nie karmi synusia? – rzucił Jaworski, cały czas patrząc na ekran telewizora, na którym pokazywały się kolejne programy. Nie słysząc odpowiedzi, spojrział na kumpla. Ten powoli pił piwo ze wzrokiem wlepionym w okno, za którym panowała grobowa ciemność. – Walnąłem coś nie tak?

– Spoko, tylko... – Bogucki zawahał się. Jego rodzina to był temat, którego unikał jak ognia, jednak siedzący przed nim kolega sprawiał wrażenie dobrego słuchacza. – Byłem adoptowany – powiedział smutno.

Jaworski odłożył pilota i wywołując niemałe zdziwienie, zaczął się śmiać.

– Jezu, myślałem, że powiesz mi, że zabiłeś całą rodzinę albo coś w tym stylu. Ja znam kilka osób, które wychowywały się w rodzinach ...

Bartosz nie dał mu skończyć:

– Ale ja ich zabiłem.

– Co ty chrzanisz? Po kiego grzyba pieprzysz takie głupoty? – rzucił gospodarz i schylił się po butelkę piwa Lech, które stało na szklanym stoliku przed nim. Wytarł dłonią kilka kropel wody, które osa-

dziły się na szkle od spodu, a rękę wysuszył o spodnie, zupełnie nie przejmując się kolejną plamą na nich. Ta przynajmniej miała szansę stosunkowo szybko zniknąć w odróżnieniu od tych po kilku posiłkach.

– Oni umarli przeze mnie. Gdyby nie ja, żyliby, a tak...

Kamil Jaworski nie odrywał oczu od kolegi, który nie wyglądał teraz jak rosły mężczyzna. Przypominał raczej małego krasnala, który jest bezbronny i najchętniej schowałby się w jakiejś jamie.

– O czym ty gadasz? – Pociągnął ostatni łyk z półlitrowej butelki i odstawił ją na stolik.

– Miałem pięć lat, gdy przeprowadziliśmy się do Grudziądza, wiesz, gdzie to jest?

Kolega pokręcił przecząco głową.

– To niedaleko Bydgoszczy i Torunia. Takie średniej wielkości miasteczko nad Wisłą. Nic specjalnego. Mama odziedziczyła tam mieszkanie po dziadkach, dlatego tam zamieszkaliśmy. Rok później urodził się mój brat Kacper. Tata często wyjeżdżał. Pracował jako zawodowy kierowca. Jeździł po kraju z jakimiś towarami. Często go nie było w domu. To mama się nami zajmowała, dlatego mimo że byłem szcзыłem, czułem się jak jedyny mężczyzna w domu, jak ten, który się wszystkimi opiekuje. Często zajmowałem się młodym, żeby mama mogła odpocząć. Gotowała na kuchni w restauracji, więc gdy wracała z pracy, padała ze zmęczenia. Wtedy wchodziłem ja i zajmowałem się bratem. Kacper uwielbiał zabawy typu berek, chowanego. Często podbiegał do mnie i zasłaniał mi oczy, mówiąc, że teraz mam go szukać. Jakoś nigdy nie rozumiał, że to bez sensu, przecież nie uda mu się schować, jak ma ręce na mojej twarzy.

Bogucki westchnął smutno, dopił swoje piwo i odstawił butelkę na podłogę, gdzie stały już dwie puste, które zdążył opróżnić.

– Przyszło lato. Tata wyjątkowo był w domu. Specjalnie wziął wolne, żebyśmy mogli pobyc razem. Mama też nie chodziła do pracy. Miałem wtedy dziesięć lat, mieliśmy pojechać nad jezioro. Takie niewielkie, chyba jeszcze w granicach Grudziądza, nazywało się Rudnickie. Zresztą nieważne. W samochodzie młody cały czas chciał się bawić i ja bezmyślnie rzuciłem, że może pobawimy się w chowanego. – Zamilkł. Oparł łokcie o szeroko rozstawione kolana, a głowę podparł dłońmi. – Jezu, jaki ja byłem głupi. Zapatrzyłem się za okno. Obok jechało porsche. Czerwone, przyjemnie buczało. W pewnym momencie autem szarpnęło. Usłyszałem krzyk „Kacper, nie!” i po chwili samochód stanął na boku, a następnie przewrócił się na dach. Rodzice nigdy nie dbali szczególnie o bezpieczeństwo, zresztą to były inne czasy... Młody wyleciał przez okno, a rodzice z impetem walnęli głowami w deskę rozdzielczą. Ja jakimś cudem przeżyłem, miałem tylko złamaną rękę, nic poza tym. Wygramoliłem się z auta i na czworakach podszedłem do młodego. Jego małe ciało było nie-naturalnie powykrzywiane. Gdy przyjechała karetka, siedziałem z Kacprem na kolanach i próbowałem go obudzić, mimo że wiedziałem, że to nic nie da. Mówiłem do niego, ale nie reagował.

Bartosz Bogucki wstał i ruszył do lodówki po kolejne piwa. Nie chciał, aby kolega zauważył spływające po jego polikach łzy. Wszystko to wydarzyło się prawie dwadzieścia lat temu, a każda rozmowa o tym wywoływała ten sam efekt. Łzy, złość i ból brzucha.

Kamil Jaworski patrzył na jego plecy, trawiając informacje, które właśnie usłyszał.

– Stary, wiem, że nie jestem zbyt ogarnięty, ale to mi się nie klei. Jaka w tym twoja wina?

– Jaka?! – krzyknął zdecydowanie za głośno, wyciągając dwa piwa z lodówki. – Gdybym zajmował się bratem odpowiednio, nie spławiłbym go głupim „pobaw się w chowanego”. Dobrze wiedziałem, co on wtedy robi. Mogłem przewidzieć, że zasłoni komuś oczy i będzie to zapewne ojciec, który prowadził auto, bo młody siedział za nim. Wystarczyła ta sekunda, żeby tata stracił orientację. Jak znowu zobaczył drogę, to pojawiła się na niej jakaś kobieta z dzieckiem i chcąc ją ominąć, zjechał z drogi, a wtedy...

– Stary, miałeś wtedy dziesięć lat. Nie możesz się przecież za to winić.

Bogucki już nie odpowiedział. Wewnętrzne rozmowy na ten temat prowadził od lat i zawsze wygrywało serce, które mówiło mu, że on jest winny. Rozsądne podejście, że jako dziecko mógł nie być w stanie przewidzieć takiego rozwoju zdarzeń, było spychane w głąb umysłu.

Resztę wieczoru spędzili na oglądaniu „Terminatora”, który jak zwykle stanął na wysokości zadania, i na rozmowach o dość lakonicznej wymianie zdań na Facebooku między Jaworskim a poznaną w firmie od monitoringu Marleną.

Teraz Bogucki musiał dojść do siebie i poradzić sobie z kacem, a wspomnienia i emocje związane z rozstaniem z Alą odsunąć na bok. Zgarnął po drodze mocną kawę, którą na siłę w siebie wlał, i stanął przed pokojem Obrębskiego. Zapukał i słysząc jakiś szelest za drzwiami, wszedł. Komisarz Maksymilian Obrębski siedział za zastawionym teczkami biurkiem i rozmawiał przez telefon. Głową dał znak, żeby policjant usiadł. Ten zdjął kilka leżących na krześle pa-

pierów, usiadł i czekał, rozglądając się po pomieszczeniu. Starszy ranga, ale wiekiem niekoniecznie, kolega nie dzielił z nikim biura, co oznaczało, że był dobry w tym, co robił, lub znał kogoś na górze, może i samego komendanta. Wszędzie, zarówno na biurku, jak i na komodzie, leżało mnóstwo teczek. Bogucki dobrze wiedział, że prawdziwi policjanci kryminalni, w odróżnieniu od filmowych bohaterów tej samej profesji, nie zajmują się jedną sprawą. Ciągną równolegle kilka, a czasami kilkanaście, i w każdą mają obowiązek angażować się na podobnym, maksymalnym poziomie.

– Tak, wiem, że media ostrzą sobie na nas zęby, ale uwierz mi, w żaden sposób nie przyspieszy to prac – tłumaczył komuś policjant, kręcąc z dezaprobatą głową, jakby rozmówca widział to inaczej. – Badania w laboratorium nadal trwają tyle samo, a liczba policjantów, którzy mogą zajmować się tą sprawą, nie wzrosła, a wręcz przeciwnie, zmalała. To, co się dzieje, to jakaś rzeź. Niedługo nie będzie komu pracować. Już lecimy na nadgodzinach, jak pracownicy sieciówek spożywczych w okresie przedświątecznym. I zapewniam cię, że nie sprzyja to szybkiemu rozwiązywaniu spraw.

Na chwilę zapadła cisza. Siedzący po drugiej stronie biurka Obrębski kiwał tylko głową i raz na jakiś czas stukał długopisem o białą kartkę, która leżała przed nim.

– Tak, robię tak. Nawet teraz przede mną siedzi... – Nie skończył, bo prawdopodobnie rozmówca mu przerwał. Mimo to uśmiechnął się do Boguckiego i dalej posłusznie słuchał. – Dobra, jesteśmy w kontakcie, trzymaj kciuki, żeby nie wylało się jeszcze większe szambo. – Rozłączył się i odłożył telefon na biurko. – Przepraszam, ale takie sprawy jak ta Moniki Wieczorek zawsze wywołują wiele emocji. Niestety trafiła się w złym momencie i wszyscy dostają jesz-

cze większej sraczki. Najgorsze jednak jeszcze przed nami, bo nie wszystkie szczegóły poszły do prasy, między innymi fakt odcięcia głowy. Mam przecucie, że przy nadarzającej się okazji ten jej facet się wygada, żeby wyjść na jeszcze bardziej pokrzywdzonego, jakby już sam fakt jej śmierci nie dawał takiego prawa. A jeżeli okazałoby się, że... – Przerwał i sięgnął po jedną z teczek. – Nasz mistrz od przeszukiwań baz próbował znaleźć coś podobnego i nic. Były oczywiście odcięcia głów, ale zazwyczaj wszystko się znajdowało. Nie wiem, czy znasz taką znaną sprawę znalezienia głowy pływającej w garnku w Jeziorku Czerniakowskim? – spytał komisarz i spojrzał na kolegę.

Bogucki pokręcił przecząco głową, dając znak, że chętnie wysłucha historii.

– To było na początku lat osiemdziesiątych. Pracownica telewizji polskiej zaginęła. W końcu znaleziono jej głowę, właśnie w garnku w jeziorze, a kilka dni później milicjanci dokonali paskudnego odkrycia na Dworcu Centralnym. W dwóch walizkach znaleziono resztę ciała kobiety. Nie zgadniesz, kto za tym stał. – Mężczyzna spojrzał na Boguckiego i widząc jego zainteresowanie, kontynuował: – Córka, osiemnastolatka. Okazało się, że matka pastwiła się nad nią psychicznie. Gdy pewnego dnia poprosiła ją o wyciągnięcie czegoś z pawlacza, ta zamiast przynieść ten przedmiot, wyciągnęła siekiere, która również tam leżała. Zabiła matkę, a ciało poćwiartowała. Okazało się, że zamordowana uprzykrzała życie nie tylko córce, ale również wielu innym osobom, dlatego sąd wydał najniższy z możliwych wyroków, bodajże osiem lat. – Mężczyzna westchnął i podrapał się za uchem. – Więc jak widzisz, zdarzały się już podobne sprawy. Tylko tam znaleziono wszystkie części ciała. W ostatnich latach nic

podobnego nie miało miejsca, więc mamy trzy opcje. Opcja pierwsza i chyba najlepsza to pojedynczy przypadek. Druga jest taka, że ten ktoś już mordował, ale w inny sposób, co dość utrudnia rozwiązanie sprawy. No i wersja trzecia, której obawiam się równie mocno jak drugiej, czyli początek... – Zaakcentował ostatnie słowo i zapatrzył się na swój telefon, który nagle rozbrzysnął i zawibrował.

– Początek? – spytał z niedowierzaniem Bogucki, próbując dostrzec, co tak zainteresowało kolegę.

– Tak, początek. – Obrębski, wyraźnie wkurzony, odsunął od siebie aparat, poprawił się w fotelu i rozpiął górny guzik koszulki polo. Temperatura za oknem wynosiła około dwudziestu stopni, a mimo to w pokoju było nieznośnie gorąco, jakby panowały tropikalne warunki. – Niestety mam coraz większe obawy, że to pierwsze morderstwo i będą kolejne.

– Dlaczego? – spytał. Jego ciocia, która przejęła opiekę nad nim, zawsze powtarzała, że nie ma co się bać pytań. Trzeba bać się odpowiedzi.

– Nie widać motywu. Przynajmniej na tym etapie. Zbrodnia została dobrze zaplanowana. A jeżeli prawdą jest to, co mi powiedziałeś, że mógł specjalnie uszkodzić monitoring, to oznacza, że mamy do czynienia z ostrym zawodnikiem, który ma chory plan do zrealizowania.

– Jezu, w ogóle o tym nie pomyślałem.

– W sumie i fajnie – zaśmiał się i narysował coś na leżącej przed nim kartce. Było na niej kilka kropek, które zrobił, stukając długopisem podczas rozmowy telefonicznej. – Jest w tobie jeszcze ta naiwna wiara w dobro. Nie zakładasz najgorszego. Masz nadzieję, że to pojedyncza sprawa i nikt więcej nie ucierpi. Ja po latach pracy w wy-

dziale mam wrażenie, że moja wyobraźnia przeszła jakąś chorą metamorfozę. Wszędzie widzę zło, nawet tam, gdzie go nie ma. Doszukuję się, tworzę niestworzone scenariusze, a najgorsze są momenty, gdy prawda wychodzi na jaw i jest jeszcze gorsza od moich projekcji. Ale dość chrzanienia o dupie Maryny. – Pochylił się nad kartką i napisał dużymi literami „FACET”. – Co wiemy o narzeczonym, partnerze czy kim tam on był dla Moniki Wieczorek? Jakie zrobił wrażenie?

Bartosz Bogucki poprawił się na krześle, jakby nagle mundur, który miał na sobie, zaczął go uwierać. Czuł się jak w szkole, gdy wywołany do odpowiedzi stawał przed nauczycielem i całą klasą. Niby się nauczył i znał odpowiedź na pytanie, ale wewnętrzny lęk nie pozwalał mu otworzyć ust.

– Nie krępuj się. Tutaj nie ma złych odpowiedzi.

– Celebryta, filmowiec...

– Nie mów mi, co można przeczytać w Wikipedii. Poproszę o twoje odczucia. – Odłożył długopis i wlepił wzrok w kolegę, powodując u niego jeszcze większy ucisk w brzuchu.

– Boi się związków. Jego rodzice się rozwiedli, gdy miał kilka lat, a takie sprawy zostawiają wyrwę w człowieku na całe życie. Z żoną, zanim pojawiła się Wieczorek, też nie miał dobrych relacji. Byli w separacji od kilku lat, ale nie chcieli się rozwodzić. Rozmawiałem z kobietą. Wypowiadała się dość stonowanie o eksmężu. Powiedziała, że przepracowała nienawiść, którą w sobie miała, już lata temu i teraz nie jest na niego zła, ale kiedyś tak nie było. Zdradzał ją non stop. I wcale nie byli w otwartym związku, jaki niby łączył go z zamordowaną. Kobieta dowiadywała się co chwilę od jakiejś koleżanki, że ktoś widział go z długonogą modelką. Co chwilę inną. Gdy zaszła w ciążę, liczyła, że to się zmieni, że jako ojciec zrobi się bar-

dziej odpowiedzialny. Niestety pomyliła się, i to mocno. Mimo to trwała w tym latami, aż w końcu przeniósł się do innej sypialni. Ale nawet wtedy się nie rozwiodła. Wystąpiła o separację, licząc, że może jak zrozumie, że niewiele dzieli ich od nieodwracalnego końca, coś się w nim zmieni. Ale znowu nic. No i w końcu spadła bomba w postaci Moniki Wieczerek. Nie dość, że o tej relacji wszyscy gadali non stop, media trąbiły na prawo i lewo, to na dodatek ich córka się z nią przyjaźniła. Wyrzuciła jego rzeczy, a ukochany motor wystawiła na aukcji charytatywnej. Później podobno próbował odkupić go od nowego właściciela, ale mu się nie udało. Facet się uparł i powiedział, że żadne pieniądze go nie przekonają.

– A jaki masz feeling? Myślisz, że ten cały Kris byłby zdolny zrobić coś tak strasznego? – dopytywał Obrębski, podkreślając napisane wcześniej słowo „FACET” kolejny raz.

– Nie sędzę – powiedział Bogucki po chwili namysłu i mocniej oparł się o krzesło, czego od razu pożałował. Oparcie lekko wygięło się do tyłu i miał wrażenie, że zaraz runie. Często zdarzały mu się takie sytuacje, więc momentalnie zrezygnował z wygody. Pochylił się do przodu, licząc, że siedzący przed nim mężczyzna tego nie zauważył. Na szczęście ten patrzył na leżące przed nim dokumenty i czekał na jego odpowiedź. – Ma lekkie zaburzenia oceny moralności tego, co robi. Nie do końca widzi, że spanie z kim popadnie jest niestosowne, a w szczególności gdy dziewczyna jest w wieku jego córki, ale nie sędzę, że byłby zdolny do takiej przemocy jak dekapitacja. Zresztą żona powiedziała, że nigdy nie podniósł na nią ani na córkę ręki, a nieraz go prowokowała. Przyznała ze skruchą, że kiedyś rzuciła w niego popielniczką i miał limo pod okiem, a zachował spokój,

czym zadziwił ją niezmiernie. Więc jeszcze raz to powiem, ale nie. Nie wyobrażam sobie go w roli sadystycznego mordercy.

– To może ona zabiła Monikę Wieczorek? Była żona?

– Nie – odpowiedział już pewniej. – Jak opowiadała o ofierze, nie było w tym emocji, a wręcz smutek. Zachowała się tak po ludzku, mimo że można śmiało powiedzieć, że to przez zamordowaną jej sen o rodzinie ulotnił się bezpowrotnie. Mąż zdradzał ją wcześniej, ale liczyła, że separacja nim wstrząśnie i wróci do rodziny, a stało się zupełnie inaczej.

– No dobra. A co wiemy o jej rodzinie? – spytał Obrębski i napisał poniżej słowo „RODZINA”, które natychmiast podkreślił.

– I tu też jest ciekawie. Okazało się, że Wieczorek to nazwisko panińskie jej matki, do którego ta wróciła po rozwodzie z ojcem ofiary. Córce też zmieniła. A ojcem jest nie kto inny jak sławetny Dominik Sowiński.

Komisarz Maksymilian Obrębski aż zagwizdał. Dominik Sowiński swego czasu był gwiazdą wśród prokuratorów. Pierwszym, który wychodził do kamer i z chęcią opowiadał o prowadzonej aktualnie sprawie. Zapraszano go do programów typu śniadaniówki czy talk show i do audycji radiowych. Niestety wszystko trwało do czasu, aż wyszło, że molestował swoją asystentkę. Kobieta zdecydowała się mówić dopiero po kilku latach od zakończenia ich współpracy.

Nikt nie spodziewał się takiego obrotu zdarzeń. Pewnego środowego przedpołudnia w lutym 2010 roku dziennikarze wszystkich największych telewizji, gazet i portali informacyjnych zostali zaproszeni przed gmach sądu. Nikt nie wiedział, co się ma wydarzyć, ale każdy został zapewniony, że warto się zjawić.

Gdy równo w południe wyszła kobieta w średnim wieku pod rękę z nieznanym mężczyzną, można było usłyszeć westchnięcia zawodu, który tak często przeżywali żądni sensacji reporterzy. Kilka osób, które liczyły na kogoś znanego, szybko zawinęło swój sprzęt i wróciło do redakcji z przeświadczeniem, że stracili sporo czasu na zupełnie nic nieznaczącą sprawę. Ci, co zostali, przestępowali nerwowo z nogi na nogę, próbując wymusić rozpoczęcie tego wielkiego „czegoś”.

– Nazywam się Michalina Drozd – rozpoczęła niezwykle chuda kobieta z rudymi prostymi włosami. Jak później wiedziała praktycznie cała Polska, miała trzydzieści dziewięć lat, chociaż wyglądała na dużo starszą. Jej oczy były bardzo zapadnięte, a pod nimi widoczne już z daleka worki. – Pięć lat temu pracowałam z prokuratorem Dominikiem Sowińskim. Byłam, jak to lubił mówić, jego prawą ręką... – W tym momencie wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy. Stojący obok mężczyzna pogłaskał ją po ramieniu i szepnął coś do ucha. Po jej policzkach popłynęły łzy, a każdy stojący fotoreporter zrobił krok do przodu, chcąc wykonać jak najlepsze ujęcie. Jako wprawieni w boju dobrze wiedzieli, że rozpacz i zapłakana twarz sprzedaje się dużo lepiej niż uśmiech i zadowolenie. – On mnie dotykał – powiedziała po chwili z nadal zamkniętymi oczami. – Dotykał w miejscach, w których nie powinien. Nigdy nie dałam mu na to przyzwolenia. Robił to zawsze z zaskoczenia. – Otworzyła oczy, ale wzrok utkwiała w szarej kostce, którą wyłożony był dziedziniec sądu. – Nigdy nikomu tego nie zgłosiłam, bo twierdził, że i tak nikt mi nie uwierzy. Powtarzał przy każdej sposobności, że jest cenionym i poważanym prokuratorem. Zawsze wszyscy go chwalili. Był obrońcą uciśnionych. Walczył przeciw pedofilom, gwałcicielom i damskim

bokserom, ale ja wiedziałam, że gdy schodził z wokandy, nie był lepszy od nich. Upokarzał mnie latami. Szydził ze mnie. Dotykał. Powiedział, że jeżeli spróbuję cokolwiek z tym zrobić, zniszczy mnie. Aż w końcu mnie zgwałcił. Za karę, że w końcu postanowiłam odejść. Długo się zbierałam do tej decyzji. Miałam już dość i chciałam uniknąć najgorszego. Ale mi się nie udało. Dwunastego grudnia dwa tysiące piątego roku powiedziałam, że odchodzę. Że mam już dość. Uśmiechnął się. Cynicznie podziękował za te lata współpracy, wiedząc, że wyciągnęły ze mnie całą energię. Widział, jak z roku na rok stres coraz bardziej mnie zżera. Tak żeby nakreślić, co te lata pracy z tym potworem ze mną zrobiły, muszę powiedzieć, że gdy zaczynałam pracę w prokuraturze, ważyłam siedemdziesiąt dwa kilogramy, a te pięć lat temu czterdzieści siedem. Wyglądałam potwornie i on czerpał z tego dodatkową satysfakcję. Gadał jakieś straszne farmazony, że stanowiliśmy superduet, który doskonale radzi sobie z najgorszymi zwyrodnialcami. Miałam dość, zgarnęłam swoje rzeczy i już wychodziłam z biura, gdy wyprzedził mnie, zamknął drzwi na klucz i pociągnął mnie za rękę. Chciałam się wyrwać, ale był silniejszy, większy. Rzucił mnie na podłogę. Przygniótł swoim ciężarem i podciągnął spódnicę, rozerwał rajstopy i...

W tym momencie kobieta przerwała. Już nikt nie rozmawiał, nikt nie tupał nerwowo nogą. Każdy czekał z niecierpliwością na dalszy ciąg historii, bo wiedział, że jak tylko kobieta skończy swój monolog, będą musieli ruszyć do redakcji w tempie ekspresowym. Będą musieli przegadać sprawę i zdecydować, czy ją publikować już teraz, czy jak wypowie się grupa prawników. Redakcje zawsze z dużą rezerwą podchodziły do takich tematów. Bały się, że obsmarowany człowiek, gdy już upora się z osobą, która wymierzyła mu siarczysty policzek,

ruszy następnie na media, które opublikowały nieprawdziwe informacje.

– Nie wiem, ile to trwało – kontynuowała, pociągając raz po raz nosem, z którego spływała wodnista maź. Mówiła coraz głośniej i szybciej, widząc zainteresowane i zatroskane twarze. – Dla mnie były to wieki. Próbowałam krzyczeć, ale zakrył mi ręką usta, a drugą trzymał za biodra. Gdy w końcu skończył, zszedł ze mnie i zostawił na podłodze. Pokręcił się chwilę po biurze i najzwyczajniej w świecie wyszedł, jakby nigdy nic, zostawił mnie jak jakiegoś śmiecia. Tego dnia czekała go rozprawa. Oskarżał brutalnego i wielokrotnego gwałciciela. Co najśmieszniejsze, wygrał. A ja wtedy leżałam na podłodze, krwawiąc, ponieważ doprowadziła do tego jego brutalność. Płakałam. Wyłam, nie mając siły wstać. Leżałam tam z godzinę, aż usłyszałam jakiś szelest za ścianą. Przestraszyłam się, że ktoś wejdzie i mnie zobaczy. Tak! – krzyknęła. – Ja, zgwałcona, poniżona, zbrukana, wstydziłam się. Wtedy myślałam, że to wszystko to moja wina. Że to ja będę miała problemy. Ale dzisiaj wiem, że nie miałam prawa tak myśleć. – Uśmiechnęła się do stojącego obok mężczyzny, a ci, co stali bliżej, zauważyli, że mocniej ścisnęła jego dłoń. – To ja jestem ofiarą. To ja zostałam skrzywdzona, zraniona. Gdy w końcu zebrałam się w sobie, założyłam zapasowe ubranie, które zawsze miałam w szafie, zabrałam kilka rzeczy i wyszłam. Nie wróciłam już nigdy. – Kobieta wzięła głęboki oddech i zaśmiała się bez wesołości. – Dominik Sowiński zwolnił mnie dyscyplinarnie, bo w następnych dniach nie pojawiłam się w pracy. Od tego czasu z nim nie rozmawiałam. Nigdy. Płakałam codziennie, chcąc umrzeć, podczas gdy ten skurwiel... – Urwała, ale to słowo mocno zadźwięczało w jej ustach i tak bardzo nie pasowało do chudej kobiety, która wyglądała na kwinte-

sencję niewinności i delikatności. – Ten skurwiel jakby nigdy nic chodził po ulicach i świetnie się bawił. Nie raz i nie dwa widziałam w telewizji jego roześmianą twarz, dumnie wypiętą pierś, gdy wychodził z sądu, chwając się wam, że dzięki niemu skazano kolejnego przestępcę. On się prężył, a ja zapadałam w sobie. Dopadła mnie depresja i najczarniejsze z możliwych myśli. Chciałam zniknąć z tego świata. Na zawsze. Dopiero dzięki mojemu mężowi i psychoterapii zrozumiałam, że nie zrobiłam nic złego. On jest tym niedobrym i powinien zapłacić za to, co mi zrobił. Nie jestem tego pewna, ale wydaje mi się, że są jeszcze inne ofiary pana Sowińskiego. – Kobieta podniosła głowę i spojrzała na zgromadzonych. Obróciła głowę w stronę kamery z przyklejoną z boku naklejką z logo jednej z prywatnych stacji telewizyjnych i spojrzała w sam środek obiektywu. – Jeżeli spotkało cię to samo co mnie, jeżeli ten zboczeniec dotykał cię lub zgwałcił, nie pozwól, by wygrał. Musimy być w tym silne, razem. Nazywam się Michalina Drozd. Znajdź mnie na Facebooku i napisz do mnie. Chętnie się spotkam i porozmawiam. Wierzę, że razem damy radę go pokonać. Dziękuję.

Przerwała, kiwnęła głową do męża i bez słowa wycofali się do budynku, zostawiając za sobą poruszony tłum dziennikarzy, który żądny był kolejnych informacji.

To był początek końca imponującej kariery prokuratora Dominika Sowińskiego. Szybko okazało się, że Michalina Drozd nie stanowiła wyjątku. Do aktu oskarżenia dołączyło jeszcze osiem kobiet, a z każdą kolejną mężczyzna zapadał się w sobie. Z przystojnego, rośłego faceta przeobrażał się w wysuszonego żywego trupa, którego oczy zrobiły się nienaturalnie wyłupiaste, a cera ziemista i poplamiona od zbyt dużej ilości alkoholu.

Aż w końcu nie wytrzymał.

Powiesił się.

Podobno po ujawnieniu się pierwszej ofiary żona dzielnie przy nim trwała, ale gdy ujawniały się kolejne, nie chciała uwierzyć w zmasowany atak na jej męża, wiedziała, że to nie przypadek. Ponoć zrozumiała, że jej mąż jest potworem, który znęcał się nad niewinnymi kobietami, gwałcił je. Nie chciała, aby jej jedyna córka na to patrzyła. Wyprowadziła się, zabierając piętnastoletnią wtedy Monikę ze sobą. Przeprowadziły się z Mokotowa na odległy Wawer. Córka nie wierzyła w jego winę, usprawiedliwiała na różne sposoby. W tajemnicy przed matką spotykała się z ojcem.

Tego dnia chciała zrobić mu niespodziankę, ponieważ miał urodziny.

On też postanowił zrobić niespodziankę – nie sobie, ale swoim ofiarom.

Zawiesił na haku od lampy znaleziony w szafie koński uwiąz córki, która trenowała jeździectwo. Wszedł na niewielki taboret i wykopał go sobie spod stóp. Chwilę później weszła jego córka, wtedy jeszcze Monika Sowińska. W zeznaniach powiedziała, że miała wrażenie, że ojciec jeszcze żył, gdy otworzyła drzwi. Długo szarpała się z liną, a gdy w końcu ją przecięła i ściągnęła z szyi mężczyzny, już nie oddychał.

Wtedy rozpętało się kolejne piekło, tym razem wokół mediów. Trwały debaty, czy nagonka, którą mu zaserwowali, była adekwatna do popełnionych przez niego czynów. Czy śledzenie, nagabywanie wszystkich dookoła, przesiadywanie pod oknem było potrzebne i czy mogło mieć wpływ na ostateczny krok, na który się zdecydował.

Teraz młodszy aspirant Bartosz Bogucki i komisarz Maksymilian Obrębski musieli ustalić, czy ojciec Moniki Wieczorek mógł mieć jakikolwiek związek z okrutnym morderstwem swojej córki.

– Trzeba też brać pod uwagę – zaczął ten drugi – że mordercą może być ktoś, kogo Sowiński wpakował do więzienia. Ktoś, kto przez lata karmił się nienawiścią, bo na przykład wylądował w pierdlu za niewinność, a teraz wyszedł i mści się na rodzinie.

– Czyli mam sprawdzić jego sprawy? – spytał Bogucki i wyciągnął swój notes.

– Tak. Poproś o pomoc tego twojego kolegę, bo będzie tego sporo.

– Dobrze – odpowiedział i zapisał to sobie w notesie obok coraz dłuższej listy rzeczy do zrobienia.

– Ojca już znamy, a coś wiemy więcej o matce? Rodzeństwie? – rzucił i odwrócił się w stronę okna, od którego biło coraz większe ciepło. Wstał i otworzył jedno skrzydło, wpuszczając trochę zimniejszego powietrza do środka, ale również hałasu, a to za sprawą remontu, który wykonywano przed komisariatem.

– Grażynę Sowińską, a później znowu Wieczorek, przedstawiono mi jako spokojną kobietę. Wiem to, ponieważ pojechałem pod adres, gdzie zameldowana była Monika Wieczorek. Okazało się, że mieszkanie należało do jej mamy, przez lata mieszkały tam razem. Popytałem o jedną i drugą. I jak o Monice większość osób opowiadała raczej rzeczy zasłyszane z telewizji lub przeczytane w prasie, tak o jej matce to już z autopsji. Jedna pani powiedziała, że pani Grażyna to był istny anioł. Pracowała w szkole, pomagała biednym, szczególnie dzieciom. Jednak inna sąsiadka nie była już nią taka zachwycona. Twierdziła, że wielokrotnie słyszała krzyki z ich domu i że starsza Wieczorek odeszła od męża nie dlatego, że była oburzona jego za-

chowaniem, ale dlatego, że nie chciała, żeby ludzie gadali. Babka zapewniła, że ona wcale święta nie była, ale niestety nie chciała więcej powiedzieć, bo stwierdziła, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

– Zmarłych? – powiedział zdziwiony Obrębski i uchylił drugie okno, wywołując mały przeciąg.

– Przepraszam. Tak, matka Moniki Wieczerek zmarła dwa lata temu, więc od niej już się niczego nie dowiemy.

– A rodzeństwo?

– Nie, Monika była jedynaczką.

– Rozumiem, sprawdźcie skazanych przez Sowińskiego i zacznijcie przeświecać znajomych, byłych pracowników, wszystkich, którzy żywiliby jakieś negatywne uczucia do dziewczyny. Może jest gdzieś ktoś, kto nienawidził jej tak bardzo, że postanowił pozbawić ją głowy.

Rozdział 17

ONA

Życie w bólu jest nieznośne.

Już kolejną noc z rzędu płakałam.

Gdy rano się obudziłam, koło mnie siedziała ta kobieta, matka nowej dziewczynki, i głaskała po głowie. Powiedziała, że mówiłam przez sen i strasznie się wierciłam. Chciała mi pomóc, ale nie wiedziała jak, dlatego usiadła koło mnie i coś do mnie szeptała. Uspokoiliłam się.

Cicho podziękowałam, a ona, zachęcona tym, zaczęła mi opowiadać o swojej córce, choć wcale mnie nie interesowała.

Była w jakiejś śpiączce, bo pobił ją partner tej kobiety. Dopiero gdy mi to powiedziała, przyjrzałam się dziewczynie. Faktycznie, jej oczy wyglądały, jakby ktoś przesadził z mocnym makijażem. Podobno lekarze nie wiedzieli, czy przeżyje. Facet uszkodził jej śledzionę, połamał zebra i doprowadził do stłuczenia mózgu. Ale najgorszy był uraz kręgosłupa. Jeszcze nikt nie powiedział tego głośno, ale wszystko wskazywało na to, że zostanie kaleką do końca życia.

Smutne.

Zawsze myślałam, że złe rzeczy spotykają tylko mnie.

Po dwóch dniach nawet się cieszyłam z tego, że cały czas nie ma poprawy.

W końcu pojawił się ktoś, kto się mną interesował.

Gdy spytała mnie, dlaczego nie ma nikogo z moich bliskich, dlaczego nikt mnie nie odwiedza, nie wytrzymałam. Zapomniałam o ściskającej moje dłonie matce.

Zaczęłam płakać. Łzy leciały po moich wychudzonych polikach coraz mocniej, jednocześnie powodując, że ból brzucha się wzmacniał. Robiło się tak za każdym razem, gdy mocniej się napinałam.

Pielęgniarki już wielokrotnie zwracały mi na to uwagę, zmieniając zakrwawiony opatrunek, który już od kilku dni powinien być suchy. Trochę z przekąsem śmiały się, że tak mi się u nich podoba, że robię wszystko, aby zostać jak najdłużej.

Gdyby znały prawdę, wiedziałyby, że wszystko jest lepsze niż mój rodzinny dom.

Gdy w końcu przestałam płakać, cichym głosem powiedziałam, że nikt mnie nie kocha. Że rodzice mają zawsze coś lepszego do robienia i że jestem niechcianym dzieckiem.

Kobieta siedziała i kiwała tylko głową, raz po raz muskając swoją aksamitną dłonią moją. To była ta jedna z niewielu chwil, gdy czułam, że ktoś mnie lubi. Nie kocha, bo znałyśmy się za krótko. Ale lubi. Interesuje się mną. Chce poznać mnie i tajemnice, które skrywam gdzieś głęboko zakopane.

Chciałam, aby ta chwila trwała jak najdłużej, ale nie było mi to dane. Nagle salę wypełnił przeraźliwy pisk. Dźwięk tak rozdzierający, że miałam wrażenie, że zaraz pękną mi bębenki.

Gdy zorientowałam się, co jest jego źródłem, kobieta już nie siedziała obok. Jak sprinter po wystrzale sędziego ruszyła do córki,

która zaczęła wic się na łóżku niczym piskorz.

Wtedy otworzyła oczy i wszystko się skończyło.

Przez kilka kolejnych dni wszyscy chodzili wokół niej, jakby była jakąś bohaterką. Podobno lekarze nie dawali jej szans, a tu nagle obudziła się i z dnia na dzień zdrowiała.

Za to mój stan się nie zmieniał, co mocno ich irytowało. Patrzyli na mnie i kręcili głowami z dezaprobatą, jakby to była moja wina, że mój organizm nie chce dojsć do siebie. Aż w końcu odpuścili, wychodząc z założenia, że robię sobie krzywdę, rozdrapując rany czy robiąc coś innego. Nikt się nie zastanawiał, czemu nigdy nie widywali mojego ojca lub rodzeństwa, które przecież mogło wchodzić na oddział. Każdy liczył, że w końcu będę w stanie wyjść i pozbędą się mnie. Problemu. Niewdzięcznej pacjentki, która tylko blokuje łóżko dla bardziej potrzebujących.

Po prawie dwóch tygodniach w końcu wyszłam. Nie dlatego, że wyzdrowiałam, ale dlatego, że rodzice mnie wypisali, a żaden z lekarzy nie uznał, że może mi się stać krzywda.

Tylko lekarka w ostatnim momencie dała mi karteczkę z adresem i powiedziała, że jeżeli potrzebowałabym pomocy, to mam przyjść. Nie wiem, dlaczego to zrobiła, ale był to jeden z pierwszych razów w życiu, gdy ktoś mnie zauważył, i planowałam to wykorzystać.

Rozdział 18

W ciągu dnia młodszy aspirant Bartosz Bogucki jakoś sobie radził. Miał zestaw ćwiczeń, które mu pomagały, aby dźwięki, które słyszy za bardzo, nie atakowały go ze zdwojoną siłą. Jednak gdy przychodziła noc, cisza podbijała każdy najcichszy, nawet najsubtelniejszy odgłos.

Krople kapiącej z kranu wody słyszał niczym wodospad, który z wielką siłą uderza o skały. Zegar tykający na ścianie brzmiał jak dzwon wybijający każdą sekundę. Chrapanie Kamila Jaworskiego, od którego oddzielała go ściana, było niczym wystrzały z armat.

I to wszystko pomimo korków do uszu, bez których by oszalał. Gdy był mały, wkładał sobie w uszy kawałki gazy lub chusteczki higieniczne, co parokrotnie skończyło się wizytą u laryngologa, ale inaczej nie potrafił przetrwać nocy. Nadwrażliwość na dźwięki zdiagnozowano mu, gdy miał trzynaście lat. Dzięki temu ciocia, u której zamieszkał po wypadku, wiedziała, co mu dolega, ale nikt nie miał pomysłu, co z tym zrobić. Nauczyciele cały czas dziwnie na niego patrzyli, gdy zaczynał się denerwować ponad normę przy głośniejszych sytuacjach w sali.

W końcu pokonany przez dźwięki bloku na warszawskim Żoliborzu, gdzie kolega mieszkał w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu, wstał i odpalił komputer. Stary sprzęt potrzebował chwili, zanim

załadowała się odpowiednia strona. W końcu na ekranie wyświetliło się okno do wpisania wyszukiwanej frazy. Wstukał: „mieszkania do wynajęcia”. Nie zdążył nawet wyświetlić pierwszego ogłoszenia, gdy jego telefon zaczął świecić.

Ustawiony dwa lata wcześniej tryb nocny powodował, że poza efektem świetlnym aparat nie wydawał żadnych dźwięków i nie wibrował. Niespiesznie schylił się po niego, starając się być jak najciszej.

– Obrębski? – wyszeptał ze zdziwieniem sam do siebie i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Bogucki, mamy trupa. Potrzebuję rąk do pracy. Jedziesz ze mną?! – wykrzyczał komisarz, a Bartosz aż podskoczył z radości.

– Tak – odpowiedział.

Na taki moment czekał od dawna. Nocne wezwanie. Praca w patrolu polegała na przychodzeniu na określone godziny. Czasami oczywiście zdarzało się, że musiał zostać dłużej, ale tylko raz został wezwany w nocy, gdy po meczu na Stadionie Narodowym rozpętała się niezła bijatyka, która z godziny na godzinę rozprzestrzeniała się na kolejne ulice.

– Masz samochód?

– Nie – przyznał zawstydzony.

– Podeślij SMS-em adres, to wyślę kogoś po ciebie – powiedział komisarz i nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Gotowy był już po dwóch minutach, więc szybko naskrobał Jaworskiemu informację na kartce, którą przykleił do lodówki, aby po przebudzeniu kolega nie dostał zawału, że jego gość nagle zniknął. Piętnaście minut później Bogucki jechał radiowozem z funkcjonariuszem, którego widział pierwszy raz w życiu. Chwilę pogadali o uro-

kach jazdy samochodem w nocy, a gdy żadna ze stron nie miała już nic więcej do powiedzenia, w pojeździe zapadła cisza.

Podjeżdżając pod dom na granicy Żoliborza i Bielan, poczuł ekscytację i na jego twarz wjechał szeroki uśmiech. Zupełnie nie wiedział, czego ma się spodziewać, ale w głębi ducha liczył, że będzie brał udział w sprawie jako pełnoprawny członek zespołu. Jeszcze nie do końca wiedział, co zostanie mu powierzone, ale zupełnie się to nie liczyło. Nagle zostały przed nim otwarte wrota, które prowadziły do wymarzonej krainy.

Podziękował młodemu policjantowi, który lekko mu się uklonił, jakby przewoził jakiegoś ważnego człowieka, i Bogucki ruszył w kierunku domu, gdzie stało kilku funkcjonariuszy.

Już z daleka zauważył Obrębskiego. Ubrany w niebieskie jeansy i ciemną kurtkę typu parka, do której swoim zwyczajem założył białe buty, rozmawiał przez telefon. Jak zwykle zupełnie nie przypominał wyglądem policjanta, ale nic sobie z tego nie robił. Gdy tylko zobaczył Boguckiego, uniósł rękę i przywołał go gestem, a on pewnym krokiem ruszył do mężczyzny, bacznie obserwując okolicę.

Nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie. Małe brzydkie domki, wokół których roślinność na niewielkich działkach wołała o pomstę do nieba. Ten, przed którym stali policjanci, zdecydowanie należał do najmniej urodziwych. Obdrapana elewacja, której prawdopodobnie nikt nie naprawiał od momentu, kiedy została ukończona, straszyla z daleka.

– Ponad godzinę temu kobieta zadzwoniła pod sto dwanaście – zaczął Obrębski, chowając telefon do tylnej kieszeni, i ruszył w stronę domu. – Charczała coś dziwnego, nie do końca zrozumiałego. Tak naprawdę poza „pomocy” ciężko było zrozumieć jej wypo-

wieść. Na szczęście wydusiła jeszcze swój adres i połączenie zostało zakończone. Na miejsce przyjechał patrol. Obeszli dom dookoła z zewnątrz i nic. Zapukali. Cisza. Nikt się nie odzywał, w domu zero ruchu. Już chcieli odjechać, gdy jeden z nich postanowił jeszcze zajrzeć przez okno na piętrze. – Widząc zdziwioną minę kolegi, który od razu omiół wzrokiem budynek, dodał: – Tak, wspiał się po elewacji jak jakiś ninja. Okazało się, że przecucie go nie zawiodło i warto było. Przez małe okienko dostrzegł leżącą na podłodze na piętrze starszą kobietę. Zszedł na dół i już bez żadnych obiekcji wybił okno. Weszli do środka i szybko popędzili po schodach. Niestety już nie żyła. Ktoś zaszedł ją od tyłu i ugodził nożem w plecy, a później – policjant wykonał dziwny ruch ręką, jakby nią kręcił – obrócił nóż, robiąc wielką dziurę między boczną krawędzią łopatki a kręgosłupem. Narzędzie zbrodni cały czas tkwi w ranie. Ułożenie ciała wskazuje, że szła do córki, którą się opiekowała. Kobieta jest sparaliżowana, więc nie mogła pomóc matce. Mimo to to ona wezwała pomoc.

Stanęli przed wejściem i Obrębski podał Boguckiemu jeden z leżących w wielkim koszu przed wejściem strojów zabezpieczających.

– Zakładaj – rzucił i sam zaczął się ubierać. Najpierw nałożył rękawiczki, a następnie powoli, metodycznie, włożył niebieski strój wraz z nakładkami na buty. Na koniec naciągnął na dłonie jeszcze jedną parę rękawiczek. – Nasz ulubiony patomorfolog, który czasami pracuje jako technik, zawsze powtarza, że jedna para rękawiczek może nie wystarczyć i aby policjanci i inne osoby kręcące się po miejscu zbrodni nie dorzuciły mu dodatkowej roboty, wszyscy powinni chodzić w dwóch parach.

Stojący obok Obrębskiego Bogucki jak małe dziecko powtórzył wszystkie ruchy za bardziej doświadczonym kolegą. Gdy już wygła-

dali jak przybysze z odległej galaktyki, ruszyli.

Dom nie robił dobrego wrażenia również w środku. Poszarzała tapeta, która pamiętała zapewne lata dziewięćdziesiąte, a możliwe, że nawet i osiemdziesiąte, gdzieniegdzie odpadała, a podłoga w jodełkę falowała przy każdym kroku, jakby niektóre jej elementy unosiły się pod naciskiem innych. Jednak mimo poczucia, że są w jakimś skansenie lub muzeum, wszędzie panował porządek, a każda rzecz w salonie, do którego weszli w pierwszej kolejności, leżała na swoim miejscu.

– Tu się chyba czas zatrzymał – powiedział sam do siebie Bogucki, zupełnie ignorując fakt, że wokół niego kręcą się ludzie. Jeden chudy technik zabezpieczał ślady na meblach, inny policjant robił zdjęcia. Nikt się nie odzywał, jakby nie chciał zakłócać powagi sytuacji, dlatego poczuł się niekomfortowo, że sam to zrobił.

– Dokładnie – skomentował Obrębski, stając na środku pokoju. – Sprawdziłszy na szybko. W tym domu zameldowane są Urszula i Brygida Kubiak. Córka z matką. Ojciec zmarł lata temu na zawał, ale i tak wcześniej nie mieszkał z nimi. Od sąsiadki, która od razu podeszła do mnie mimo wczesnej pory, dowiedziałem się, że nikt ich raczej nie odwiedzał. Prowadziły smutny, samotny tryb życia. Matka opiekowała się córką, która dwadzieścia kilka lat temu miała jakiś wypadek. Od tego czasu Urszula Kubiak nie opuszczała domu, poza wyjątkowymi sytuacjami jak wizyta u lekarza. Wtedy przyjeżdżała karetka i ją zabierała. Brygida wychodziła tylko po zakupy i w ważnych sprawach. Siedziała z córką, rezygnując ze swojego życia.

– A co z nią?

– Z córką? – spytał i ruszył na górę po drewnianych schodach, które przy każdym kroku wydawały z siebie piskliwy dźwięk.

Bogucki momentalnie zacisnął lewą dłoń w pięść, co czynił za każdym razem, gdy do jego uszu dolatywał drażniący go dźwięk.

– Przepraszam, nie powiedziałem – odezwał się znowu komisarz. – Urszula Kubiak żyje. Jest już w szpitalu, na stole operacyjnym. Morderca chciał ją udusić kablem od pulsometru, który miała podpięty do palca, ale coś poszło nie tak. Ledwo dychała, jak przyjechała karetka. Prawdopodobnie ma pogruchotaną krtań, więc nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze coś powie. O ile w ogóle przeżyje, bo to też jest pod znakiem zapytania.

– Zawsze może coś napisać – rzucił Bogucki, ale Obrębski pokręcił głową.

– Raczej nie. Ona nie ma czucia w rękach i nogach. Jedynym jej sposobem komunikowania się ze światem były usta. Podobno potrafi nawet przy ich użyciu pisać, a teraz nie wiem... – Przerwał i stanął w bezpiecznej odległości od patologa, który pochylał się nad ciałem matki.

Kłęczący kilka metrów od nich Mirosław Zawada zachowywał się tak, jakby był jedynym człowiekiem w okolicy. Nie podniósł głowy, gdy w końcu stanęli na piętrze, a musiał ich słyszeć. Akurat fotografował każdy szczegół miejsca zbrodni, robiąc najpierw dalsze ujęcia, a następnie zbliżając się coraz bardziej, aby w końcu skończyć na fotografowaniu każdego najmniejszego szczegółu, po drodze dwa razy zmieniając obiektywy.

Obrębski również stanął jak zaczarowany, mimo że prawdopodobnie miał przyjemność obserwować kolegę już wielokrotnie. Ruchy Zawady zachwycały każdego, niezależnie od doświadczenia i lat spędzonych w towarzystwie morderców i trupów.

– Chodź, pokażę ci pokój córki.

Ruszyli w stronę znajdującego się na końcu korytarza pokoju, który niczym nie przypominał zwykłego pomieszczenia w domu mieszkalnym. Zdecydowanie pierwsze skojarzenie, jakie wywoływał, to szpital.

Pokój miał około dwudziestu metrów kwadratowych, a jego centralnym punktem było wysokie, opatrzone masą przycisków łóżko. Obok stała mała szafka, a na niej leżał stosik książek.

– Agatha Christie, „Dziesięciu Murzynków” – powiedział Bogucki, podnosząc kryminał. – Moim zdaniem najlepsza jej książka. Czytałem chyba z pięć razy – skomentował, odkładając na miejsce.

– Teraz już „I już nie było nikogo”.

– Co? – spytał zdziwiony młodszy policjant.

– Moja babcia jest wielką fanką twórczości Christie i ostatnio zaczęła mi się żalić, że świat na głowę już padł, bo zmieniają nawet tytuły książek. No wiesz, poprawność polityczna. „Murzynki” to słowo, które jest na cenzurowanym.

– Nie wiedziałem.

– Dobra, to nie fanklub kryminalnych powieści. Wracamy myślami do roboty. Kobieta zapewne już spała – rzucił Obrębski i obszedł łóżko z drugiej strony, niczego po drodze nie dotykając. – Morderca wszedł do pokoju, próbował ją zabić. Wygląda na to, że obudziła się i wcisnęła przycisk umożliwiający połączenie z numerem alarmowym, miała taki umieszczony pod poduszką. Myślę, że morderca się tego nie spodziewał. Wycharczała „pomocy” i adres i prawdopodobnie zemdląca albo morderca zakończył rozmowę. Nie wiemy, co słyszała. Czy wiedziała, że jej mama nie żyje.

– Ktoś w okolicy coś widział, słyszał? – spytał Bogucki, cały czas bacznie się rozglądając. Na komodzie stojącej przy prostopadłej do

łóżka ścianie poustawiano równo butelki, strzykawkę i inne sprzęty, które zapewne Brygida wykorzystywała do codziennej pielęgnacji Urszuli. Patrząc na wszystko to dookoła, zaczął pojmować, jak niezwykle smutny był los kobiety, która spędziła długie lata, nie wychodząc poza cztery ściany tego pokoju.

– Nie wiemy. Nikt się dotychczas nie zgłosił. Bezwzględnie trzeba popytać sąsiadów. Może ktoś podejrzany kręcił się tutaj wcześniej.

– A czy wiadomo, czy coś zniknęło?

Maksymilian Obrębski uśmiechnął się i podszedł do okna. Noc cały czas panowała nad senną stolicą, a mimo to na ulicy przed domem zamordowanej kłębiło się sporo osób.

– Widzę, że się wczuwasz. I bardzo dobrze. Na razie nic nie wiemy. Mamy jedną ofiarę śmiertelną i jedną w stanie krytycznym. Trzeba przepytac sąsiadów, sprawdzić monitoring. Porozmawiać z rodziną i jeżeli Urszula wyjdzie z tego, spróbować wyciągnąć coś od niej. Jeżeli miałbym strzelać, nie sądzę, że motywem był rabunek. Zbyt okrutnie. Poza tym popatrz, tutaj nie ma co kraść. Jest schludnie, czysto, ale żeby ryzykować dożywociem za kradzież kilku złotych? Nie sądzę. – Pokręcił głową.

Rozdział 19

Kochał swoją pracę. Marzył o niej od zawsze, mimo że wszyscy na niego dziwnie patrzyli, jak o niej opowiadał. To jednak zeszło na dalszy plan, gdy w jego życiu pojawiła się Monika. Musiał zapewnić jej odpowiednie warunki, szczególnie że już niebawem miała mieć towarzystwo.

Na co dzień starał się być dobrym mężem, oczywiście według tylko sobie znanych zasad. Szanował żonę, otwierał jej drzwi, ustępował miejsca, nigdy nie podnosił głosu. Jednocześnie jednak nigdy nie okazywał uczuć. Jak to kiedyś wykrzyczała mu w kłótni, zachowywał się jak głaz, który robi sympatyczne wrażenie, ale nie ma serca.

Nie zaprzeczał, ale też nie czuł, aby to stanowiło jego wadę. Taki stan rzeczy dawał mu niezwykłą przewagę. Nikt nie mógł go zranić. Raz w życiu doprowadził do takiej sytuacji i od tego czasu obrósł warstwą obronną i do wszystkiego podchodził zdroworozsądkowo. Coś wynikało z czegoś. Nawet swoje ofiary typował w sposób niezwykle przemyślany.

Oczywiście nie zawsze tak było, ale obarczony doświadczeniami, które zniszczyłyby wielu, wybrał dla siebie inny los. Odizolował się. Stworzył alternatywny świat, do którego nikogo nigdy nie zaprosił,

i czuł się z tym znakomicie. A żeby nie rzucać się w oczy, robił wszystko, jak Pan Bóg przykazał.

Ożenił się, ponieważ takie są normy społeczne. Mężczyzna ma mieć żonę. Ona rodzi dzieci, aby podtrzymać ciągłość genów. Uważał, że jego są znakomite i stratą byłoby nie przekazać ich dalej. Jego zadaniem było zapewnienie jej i pociechom godnych warunków życia, co robił bez zająknięcia. Nie żyli w przepychu, ale żona nigdy nie narzekała na jego zarobki. Na samą pracę już tak, bo wydawała jej się dziwna, dlatego praktycznie od początku ich znajomości nie opowiadał o niej zbyt dużo. Skrawki informacji zdecydowanie jej wystarczały. Nie opowiadał też o swoich zarobkach, których część odkładał.

Jeżeli chodzi o dzieci, to w tej kwestii również kierował się rozsądkiem. Dwójka była optymalna i dawała rezerwę, gdyby któremuś coś się stało.

Fakt, że jedenaście, a później dziewięć lat temu został ojcem, nie specjalnie zrobił na nim wrażenie. Nie wiązało się to dla niego z żadnymi emocjami. Nie czuł przyspieszonego bicia serca na widok małych rączek czy stópek. Nie cmokał z zachwytu nad pierwszymi krokami czy wypowiedzianymi słowami. Nie nosił ich na rękach, nie głaskał. Czasami wręcz go denerwowały. Te płacze, piski, pojękiwania.

Wszystko, co robił, czynił z obowiązku. Tak został nauczony. Tak robił jego ojciec, którego podziwiał i który, jak śmiało mógł powiedzieć, był dla niego wzorem. Jedynym.

Dlatego gdy poznał przyszłą żonę, wiedział, że będzie idealna do realizacji społecznych standardów. Ożenił się, mimo że nie czuł potrzeby posiadania u swojego boku kobiety.

Spłodził dzieci, mimo że nie znosił harmidru, który wokół siebie generowały.

Uważał to za swoją powinność i nigdy nie zamierzał z tym dyskutować.

Teraz, pierwszy raz w życiu, chciał w końcu dostać coś od życia.

Coś na kształt przyjemności.

Ale tylko dla niego zrozumiałej i od wielu lat tak bardzo oczekiwanej.

Rozdział 20

ONA

Myślałam, że wiem, co to koszmar. Upokorzenie. Odrzucenie. Ale się myliłam.

Pobyty w szpitalu pomimo bólu, który cały czas mi towarzyszył, był miłą odmianą w moim życiu. Czasami pojawiał się ktoś, kto się mną interesował.

Oczywiście niewiele później przychodziła moja mama, która opowiadała o mnie niestworzone rzeczy, robiąc ze mnie konfabulantkę, kłamczuchę, jakiej świat nie widział, a ci wszyscy ludzie, którzy początkowo wykazywali cię zainteresowania moją osobą, nagle się ode mnie odsuwali. No, może poza mamą tej dziewczynki i panią doktor.

Gdy wróciłam do domu, przez pół dnia wszyscy chodzili wokół mnie na palcach. Jakbym nagle stała się kimś ważnym. Kimś nadzwyczajnym.

Wszystko się zmieniło, gdy ojciec wrócił z pracy.

Wyjątkowo usiedliśmy razem do stołu. Mama mnie zaprosiła, a rodzeństwo patrzyło na mnie z niesmakiem, nie mogąc odnaleźć się w sytuacji. Raczej normą było to, że oni jedli wspólnie, gdy ja mu-

siałam odrabiać lekcje lub sprzątać. Gdy kończyli, zostawiali brudne naczynia na stole i resztki w garnku. Czasami tego drugiego nie wystarczało dla mnie, więc musiałam robić sobie kanapki i tym sposobem nie jadłam danego dnia nic ciepłego.

Ale nikogo to nie obchodziło.

Zjedliśmy w ciszy, a ja zrobiłabym wszystko, żeby było po staremu. Ta cisza wypalała mi skórę, powodowała, że brzuch zaczął mnie boleć jeszcze bardziej. Jakby rana miała się rozejść, a wnętrzności wypłynąć na podłogę.

Gdy skończyliśmy, posprzątałam bez zająknięcia, mimo że byłam bliska omdlenia, i wróciłam do siebie.

Po chwili ojciec wszedł do mojego pokoju.

Zamknął za sobą drzwi, a bardziej trzasnął nimi tak, że stojąca na komodzie ramka przewróciła się i jedno z niewielu zdjęć, jakie miałam z koleżanką z klasy, wylądowało na blacie.

Zaczął na mnie wrzeszczeć. Darł się, że ma dość kłamstw, które rozsiewam wokół. Że przez to stresuję mamę, która od lat zмага się z depresją. Krzyczał, że jestem niewdzięczna, mówiąc o nich złe rzeczy. Nie zaprzeczałam, bo wiedziałam, że to nie ma sensu, że cokolwiek powiem, będzie tylko gorzej.

Więc milczałam. Trzęsłam się, jakbym była na mrozie, a na zewnątrz tego dnia było ponad dwadzieścia stopni. Po policzkach spływały mi łzy, ale nie wydawałam z siebie nawet najmniejszego dźwięku. Od zawsze ojciec nie znosił mojego płaczu.

Dobrze pamiętam, gdy kiedyś spadłam ze schodów i złamałam sobie rękę. Bolało niemiłosiernie. Gdy przyszłam do kuchni, gdzie siedzieli rodzice, tata na mnie nakrzyczał, bo tak głośno płakałam. Dziwny wygląd mojej ręki nie skłaniał go do żadnej refleksji. Kazał

mi iść do pokoju... Miałam go nie denerwować. To było najważniejsze.

Dlatego teraz siedziałam cicho. Próbowałam się wyłączyć, nie słuchać tych raniących mnie niczym brzytwa słów, które zadawały rany niewidoczne na moim ciele.

W tym momencie byłam tylko ja i widok lasu, który zawsze mnie uspokajał.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale drzewa, ich zapach dawały mi jakieś ukojenie, dlatego w tych trudnych momentach właśnie o tym myślałam. Teraz nie było inaczej.

Zamknęłam oczy. Czułam pod palcami miękki mech, który pod naporem moich dłoni się uginał, delikatnie łaskocząc wewnętrzną część ręki. Nie przeszkadzało mi to. Po chwili nie tylko dłonie się w nie zapadały, ale i całe moje ciało. Powoli, milimetr po milimetrze, otaczała mnie zielona miękkość, a ja odpływałam w jakiś niebyt. Jakby to, co działo się w moim pseudopokoju, było wymysłem, a ten las, jego zieleń, piękny zapach szyszek, żywicy i jagód stanowiły rzeczywistość. Mój prawdziwy świat.

Jednak to wszystko nagle się skończyło. W jednej sekundzie zniknęło.

Ojciec z całej siły mnie uderzył, a ja upadłam, uderzając głową o łóżko lub szafkę.

Zresztą nie wiem i nikt mi tego nie powie.

Obudziłam się po kilku godzinach na podłodze.

Leżałam bez sił na płacz ani na wołanie o pomoc. Zresztą i tak nikt by nie przyszedł.

Nie wiem, ile tak leżałam.

W końcu zebrałam się w sobie i spróbowałam wstać, ale cały pokój mi wirował, jakbym właśnie zeszła z karuzeli.

Spojrzałam na mój sfatygowany zegarek, którego pasek ledwo się trzymał. Była trzecia trzydzieści siedem w nocy.

Miałam siedemnaście lat i w końcu zrozumiałam, że jak nie ucieknę, to oni zrobią wszystko, abym w końcu umarła. Aby w końcu mogli żyć jak szczęśliwa rodzina.

Zabrałam pieniądze, które zbierałam od kilku lat i chowałam pod łóżkiem, po czym wyszłam, łykając w ciszy łzy.

Nie miałam pomysłu, co ze sobą zrobić, dokąd pójść.

To, czego byłam pewna, to to, że więcej już nie wytrzymam i nie chcę spędzić w tym domu ani sekundy dłużej.

Rozdział 21

Urszula Kubiak wybudziła się już następnego dnia, czym zaskoczyła wszystkich. Jej stan lekarze uważali cały czas za ciężki, jednak stabilny. Na szczęście uszkodzenie krtani okazało się niezwykle lekkie i nie odebrało kobiecie jedyne go sposobu komunikacji, jaki jej pozostał. Niestety ze względu na traumę związaną ze śmiercią matki lekarz prowadzący nie zgodził się na przesłuchanie jej przez policję, dlatego zrobiła to doświadczona w takich sprawach policyjna psycholog.

Młodszy aspirant Bartosz Bogucki nacisnął „play” i na ekranie pojawiło się szpitalne łóżko, a na nim leżąca kobieta. Z akt, które otrzymali, wynikało, że ma trzydzieści dziewięć lat. Jako piętnastolatka została dotkliwie pobita i od tego czasu nie wstała z łóżka.

Nie wyglądała na swój wiek, a raczej na osobę dużo starszą. Zapadające się policzki, wisząca skóra i oczy głęboko osadzone w czaszce powodowały, że policjant dałby jej z pięćdziesiąt lat, o ile nie więcej.

– Dzień dobry. – Wraz z Maksymilianem Obrębskim usłyszeli sympatyczny głos dochodzący gdzieś zza kamery. Komisarz w reakcji pokręcił głową i dziwnie westchnął. – Nazywam się Beata Mikulska i jestem psychologiem pracującym dla policji. Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać. Jeżeli w którymkolwiek momencie będziesz chciała przestać, daj mi znać.

– Oczywiście – powiedziała tak cicho, że obaj funkcjonariusze przysunęli się bliżej do ekranu, aby lepiej słyszeć jej odpowiedzi.

– Zaczniemy od sprawy przyziemnej. Podaj mi swoje imię i nazwisko.

– Urszula Kubiak.

– Kiedy się urodziłaś i gdzie?

– Dziesiątego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku w Warszawie.

– Co robisz na co dzień? – spytała kobieta.

– Leżę – zaśmiała się smutno Kubiak. – A tak serio, to ostatnio zaczęłam pisać książkę o moim życiu. Taki pamiętnik połamańca, ale teraz... – Przerwała i spojrzała gdzieś w bok.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało... – odezwała się psycholog, gdy dziewczyna przez dłuższą chwilę milczała. – Jednak może okazać się, że wiesz coś, co pomoże policji, dlatego tak bardzo chciałam, abyś opowiedziała mi, co się wydarzyło. Dasz radę?

– Tak, postaram się – westchnęła i spojrzała ponownie na kobietę, a następnie utkwiała wzrok w kamerze, powodując, że włosy na rękach obu funkcjonariuszy się uniosły. Miała w spojrzeniu coś złowrogiego, co sprawiało, że człowiek miał ochotę odwrócić wzrok, bojąc się, że coś może mu się stać od samego patrzenia na nią.

– Zaczniemy od tego, co działo się wczoraj. Zdarzyło się coś dziwnego? Nietypowego?

– Nie, wszystko jak zwykle – odpowiedziała spokojnym, lecz niezwykle smutnym głosem i lekko przekrzywiła głowę. – U mnie w życiu nie ma nic ciekawego. Cały czas leżę. Mama przychodziła do mnie co chwilę i wykonywała wszystkie pielęgnacyjne rzeczy. Wczo-

raj jak co rano mnie wymyśla, abym miała miły dzień. Później czytałam książkę.

– Agathę Christie? – wtrąciła psycholog.

– Tak. Mama twierdziła, że to nie dla mnie, ale mnie się podobało. Mam już dość poważnych książek. Poza tym ona zawsze traktuje mnie... traktowała... – poprawiła się, a w kąciku oka pojawiła się łza. – Jak małe dziecko. A już dawno nim nie jestem. Poza tym czasami potrzebuję jakiejś rozrywki, a nie tylko karmienia mózgu mądrościami, jak to powtarzała. Później około dwunastej wypadła jak zwykle drzemka. Wczoraj nie mogłam zasnąć. Miałam w sobie jakiś lęk. Boże, gdybym była w stanie to poprawnie zinterpretować... – Kobieta załkała cicho. – Mama zawsze się śmiała, że jestem jak medium. Kiedyś nie mogłam spać w nocy, coś mi nie dawało spokoju, co jest dziwne, bo mimo mojej niepełnosprawności zawsze śpię jak dziecko. Rano okazało się, że kotka, która do nas przychodziła, poraniła sobie łapkę.

– Rozumiem – skomentowała Mikulska. – A co wczoraj się stało? Co nie dawało ci spokoju? Może coś słyszałaś?

– Nie – odpowiedziała od razu. – W domu panowała totalna cisza. Mama zawsze dbała, żeby nie dochodziły do mnie żadne dźwięki z zewnątrz, abym nie była przez to jeszcze smutniejsza, że nie mogę podejść do okna i zobaczyć, co jest na dworze. Oczywiście nie zawsze to się udawało. Wtedy wpadała do mnie niczym błyskawica i włączała mi telewizor, mimo że zawsze powtarzała, że lepsze są książki. Mnie to pasowało. Uwielbiam te o lekarzach, chociaż mama woli... to znaczy wołała, jak oglądałam programy na National Geographic. Wczoraj robiła porządki, więc mogłam puścić, co chciałam.

Potem zjadłam obiad. To w moim przypadku trwa dość długo, a około piętnastej przyszedł czas na moje pisanie.

– Opowiesz o tym więcej? – poprosiła kobieta, a Obrębski ponownie cicho prychnął.

– Tak, nie jest to łatwe, ale staram się robić to codziennie. To taka moja namiastka normalnego życia. Kiedyś próbowałam pracować. Udzielać korepetycji albo robić tłumaczenia, ale raz na jakiś czas łapie mnie poważna infekcja, więc wtedy znikam i nic mnie nie interesuje poza zdrowiem. Zresztą nie mam wtedy możliwości pracy. Kilka razy wylądowałam na intensywnej terapii. Proszę mi uwierzyć, że jak człowiek jest podpięty do tryliarda rurek, to nie myśli o zleceniach. Chce tylko przeżyć, chociaż coraz częściej... a teraz... – Ku biak spojrzała w podłogę i zamarła. Jej pustego wzroku nie można było interpretować inaczej niż jako rezygnacji.

– Współczuję ci. Musi być ci ciężko...

– Powiem pani – przerwała psycholożce – że przyzwyczałam się do mojego beznadziejnego życia. Leżę w tym durnym łóżku tyle lat. Wiele straciłam, choć wiem, że inni mają jeszcze gorzej, ale teraz... – Jakość nagrania nie była najlepsza, ale z daleka widzieli, że kobieta płacze. – Nie wiem, co będzie... – Jej głos łamał się coraz bardziej. – Nawet teraz nie jestem w stanie sobie pomóc. Głowa działa, ale moje ciało ze mną nie współgra. Ja nawet nie mogę wydmuchać nosa!

Na te słowa ukrywająca się za kamerą Mikulska nagle wstała. Podeszła do stojącej przy łóżku szafki i sięgnęła po chusteczkę higieniczną, po czym nachyliła się nad kobietą.

– Proszę dmuchnąć – powiedziała miłym głosem. Nie widać było, co robi, ale obaj policjanci wiedzieli, że pewnie ścisła lekko nasadę

nosa i grzecznie czeka, aż kobieta pozbędzie się zgromadzonej w nosie wydzieliny.

Postała jeszcze chwilę, zasłaniając Urszulę Kubiak, i wróciła na swoje miejsce.

– Dziękuję – wyszeptała niedoszła ofiara i lekko się uśmiechnęła. – Widzi pani. Ciężko tak żyć bez kogoś, kto pomoże. A mama robiła to świetnie. Wiadomo, czasami się kłóciłyśmy, ale zajmowała się mną najlepiej. Nie wiem, jak to teraz... – Głos jej znowu zadrżał i zrobiła wdech. – Nie mogę nawet sobie popłakać. – Zamknęła oczy. Sekundy płynęły, a oni czekali. Wiedzieli, że przeprowadzająca rozmowę psycholog niewiele może zrobić, a wręcz nie powinna. Jej zadaniem jest wspierać, a nie popędzać i wymuszać zeznania.

– Jesteś bardzo silna – usłyszeli w końcu głos psycholożki. – Ja cię podziwiam. Niewiele osób by się tak trzymało w zaistniałej sytuacji.

– Dziękuję – odpowiedziała Urszula Kubiak smutno.

– Mogłabyś mi opowiedzieć, co robiłaś po pisaniu?

– Tak. Chwilę pograłam w pasjansa – powiedziała kobieta i delikatnie się uśmiechnęła do rozmówczyni. – Nie jest to dla mnie łatwe, ale mama mi pomagała. Gdy skończyłyśmy, poszła zrobić naleśniki. Zawsze mnie rozpieszczała i gotowała to, na co miałam ochotę. Później przebrała mnie w piżamę, wymyła zęby i chwilę poczytałam. Zasnąłam około ósmej.

– Czy wydarzyło się cokolwiek nietypowego tego dnia?

– Nie. Dzień jak co dzień. Zwykły. Sztampowy. Nic specjalnego.

– Czy mama się zachowywała inaczej niż zwykle? – psycholożka nie odpuszczała.

– Nie – odpowiedziała kobieta, kręcąc przy tym delikatnie głową na boki.

– Przyszedł wieczór. Poszłaś spać. Czy coś się obudziło? Usłyszałaś coś?

– Tak. Ale... – Przerwała i zaczęła oddychać szybciej, a na jej twarz wystąpiły czerwone plamy. Najpierw kilka małych, ale z każdą upływającą sekundą pojawiały się kolejne, zlewając się z wcześniejszymi. – Usłyszałam krzyk mamy. Ona... ona błagała, żeby ten ktoś nie robił mi krzywdy. – Sapała coraz głośniej. – Ja nie wiedziałam, co się dzieje. Na początku myślałam, że mi to się śni, a później że to jakiś film, który mama ogląda za głośno. Ale gdy usłyszałam, że jej krzyk zrobił się głośniejszy i dobiegał już ze schodów, a nie jak wcześniej z dołu, wiedziałam, że jest źle, a mimo to... – Jej głos stał się bełkotliwy, jakby nagle przestała mieć kontrolę nad językiem.

– Spokojnie. – Mikulska zerwała się na równe nogi i złapała kobietę za rękę podpiętą do aparatury, która zaczęła głośno i natrętnie popiskiwać. – Oddychaj spokojnie. Wdech i wydech. Jestem tu z tobą. Nic ci już nie grozi – mówiła wolno, a jej głos był wręcz hipnotyzujący.

– Ja mogłam wezwać pomoc. Mogłam od razu nacisnąć przycisk alarmowy, ale czekałam. Ona mnie broniła. Robiła wszystko, aby ten ktoś nie przyszedł zrobić mi krzywdy, a ja zawiodłam... – wyszeptała ostatnie słowa, jakby nie miała sił.

– Nie mogłaś wiedzieć, co się dzieje i czy mamie coś grozi. Poza tym i tak byłoby już za późno...

Siedzący przed ekranem Bartosz Bogucki wiedział, że psycholożka nie powinna była tak mówić, ale zdawał sobie sprawę, że nie miała wyjścia, a na jej miejscu zrobiłby zapewne to samo.

– Gdy ona weszła do pokoju...

– Ona? Twoja mama? – spytała Mikulska i przysunęła się bliżej dziewczyny.

W tym momencie do sali wpadła pielęgniarka.

– Proszę już wyjść – rzuciła i doskoczyła do aparatury.

– Nie, ja muszę to powiedzieć – oznajmiła podniesionym głosem pacjentka. – Ona, to znaczy morderczyni.

– To była kobieta? – upewniła się psycholożka i odsunęła się delikatnie.

– Tak. Wcześniej nie byłam pewna, ale dzisiaj wszystko mi się przyśniło. Ona weszła do mojego pokoju. Miała kaptur na głowie, a pod nim jeszcze kominiarkę. Praktycznie nie było widać ani centymetra jej twarzy.

– To skąd wiesz, że to była kobieta?

– Hmm... – westchnęła. – Miała bardzo małe dłonie. Mniejsze od moich, a podobno ja mam jak dziecko.

– Powiedziała coś do ciebie? – Mikulska przysiadła na łóżku przesłuchiwanej, zmniejszając dzielący je dystans.

– Nie. Mierzyła mnie wzrokiem, jakby chciała mi coś przekazać. Jakby miała coś na końcu języka, ale się powstrzymała. Nie odezwała się ani słowem. Stała tak kilkadziesiąt sekund, a ja czekałam, aż mama pojawi się w drzwiach. Też nic nie powiedziałam, a mogłam przecież krzyknąć. Mogłam szybciej wezwać pomoc, może wtedy...

– Byłaś w szoku.

– Może – powiedziała smutno. – Ale powinnam była coś zrobić. Moja niepełnosprawność tego nie tłumaczy. Dopiero gdy podeszła i zaczęła mnie dusić kablem od pulsoksymetru, wiedziałam, że jest źle, i próbowałam się wyrwać i jednocześnie namierzyć guzik alarmowy, który mama zamontowała mi pod poduszką. Użyłam go wcze-

śniej tylko raz, gdy wpadłam w panikę, bo mama nie wracała ze sklepu. Okazało się, że spotkała koleżankę i się zagadała, a gdy przyszła, zastała karetkę przed drzwiami. – Urszula Kubiak ponownie zamknęła oczy, a zabłąkana łza spłynęła po policzku, aż zatrzymała się na wardze. Kobieta wysunęła czubek języka i zlizwała ją, nie mając innej możliwości usunięcia słonej kropli z twarzy. – Gdy alarm zaczął wyć, a ja wezwałam pomoc, poluzowała ucisk kabla na mojej szyi i uciekła.

– Zapamiętałaś coś poza dłońmi?

– W sumie to miałam wrażenie, że ją kiedyś widziałam – powiedziała, a dwóch siedzących na żoliborskim komisariacie mężczyzn wstrzymało oddech. – Tylko nie wiem gdzie. Ja nie opuszczałam domu od lat. Nikt nas nie odwiedzał. Nie wiem, gdzie mogłam ją spotkać, ale takie miałam wrażenie, że jej twarz nie jest mi obca.

– Jakbyś sobie coś przypomniała, kto to mógł być, to bardzo nam to pomoże – powiedziała spokojnie, aby nie obciążać jej wielkimi oczekiwaniami. Stojąca obok pielęgniarka założyła ręce na piersiach i ze srogą miną czekała na koniec tego przesłuchania. – A czy miałyście w domu coś wartościowego?

– Mama sprzedała wszystko lata temu – odpowiedziała cicho. – Dla mnie pozbyła się biżuterii, zegarka, pamiątek rodzinnych. Od tego czasu utrzymujemy się z mojej renty, zbiorów w internecie i jednego procenta.

– Czyli nie przychodzi ci do głowy ktokolwiek, kto mógłby chcieć zrobić wam krzywdę?

– Nie – powiedziała tym razem pewnym głosem. – Ani mama, ani ja nigdy nikomu nie zrobiłyśmy nic złego.

Rozdział 22

– Jak chcesz, mogę sobie czegoś poszukać – rzucił Bartosz Bogucki i popchnął drzwi do pubu w pobliżu mieszkania, w którym nocował od kilku dni. Jego kolega koniecznie chciał napić się piwa z kija i tak długo o tym gadał, aż w końcu się zgodził, chociaż po ostatnim wieczorze obiecał sobie, że skończy się na jednym kuflu.

Znaleźli miejsce przy samym barze, gdzie po prawej stronie siedziały dwie kobiety, żywo o czymś dyskutując, a po lewej na drugim końcu jakiś starszy pan w samotności zapijał smutki, sącząc drinka z niskiej szklanki.

– Powiedziałem ci. Możesz siedzieć, ile chcesz. Mam miejsce do spania, dziewczyny na razie brak, więc nawet fajnie mieć do kogo wieczorem otworzyć gębę lub z kim wyskoczyć na piwo.

– Dzięki, chociaż zacząłem już powoli szukać...

– Oj nie! – stęknął zawiedziony Jaworski i teatralnie ułożył usta w podkówkę.

– Nic na razie nie znalazłem, więc nie becz jeszcze za mną. A co do tej dziewczyny, to czuję, że może się to szybko zmienić! – zaśmiał się.

Dobrze wiedział, że kolega od dwóch dni cały czas jest na łączach z nowo poznaną kobietą. Jeszcze nie ustalili, kiedy się spotkają, ale

była to kwestia czasu, a co stanie się później, nikt nie mógł przewidzieć.

– Się zobaczy. Korespondencyjnych dziewczyn miałem na pęczki. W przypadku tej chociaż wiem, jak wygląda, bo jakiś czas temu wpadłem na niezłego wieloryba. – Kamil Jaworski wypchnął poliki, udając, że jest okrągły niż w rzeczywistości. – Nie powiem, była sympatyczna. Miała rewelacyjny, radiowy głos, ale... Wyjdę na fiuta, ale nie znoszę, gdy kobieta waży więcej niż ja. Miałbym z nią problemy w łóżku. Lubię poszaleć na ostro, a z taką to ciężko, poza tym bałbym się, że we śnie położy się na mnie i zgniecie. Rozpłaszczy.

– Nie wydaje mi się to możliwe, ale trochę cię rozumiem.

– Oj, mylisz się. Kiedyś kolega opowiadał mi, że prawie się udusił, bo kot położył mu się na twarzy. Więc gdyby taka baba zarzuciła na mnie rękę lub inną część ciała, to mogłoby być źle. I nie miałbyś już takiego zajebistego kumpla.

– Hmm. Nadal wydaje mi się to raczej mało prawdopodobne – skomentował Bogucki i wlepił wzrok w barmana, który unikał go, od kiedy usiedli przy barze, jakby lokal wypchany był ludźmi po korek.

– A jak tam u ciebie na froncie? Odpuściła już trochę?

– Ala? No co ty. Napieprza telefonami i wypisuje jak wariatka. A ja muszę zrobić sobie przerwę od niej i jej czepiania się. Od tych kilku dni, jak jestem u ciebie, czuję jakiś luz, chociaż... – Przerwał na chwilę i obejrzał się przez ramię. Za nim siedziała szczupła blondynka z włosami splecionymi w dwa ciasne warkocze, które kojarzyły mu się z walkami bokserskimi kobiet. Nie jej fryzura zwróciła jednak jego uwagę, ale głos. Był podobny do czyjegoś, ale nie mógł skojarzyć go z konkretną osobą. – Przepraszam! – Kiwnął do kelnera, który w końcu stanął na ich wysokości. – Dwa piwa.

– Jakie? – odpowiedział ten znudzonym głosem, jakby zaraz miał paść ze zmęczenia.

– Dla mnie jasne, a dla kolegi...? – Spojrzał pytająco na Kamila Jaworskiego.

– Też.

– Przepraszam, co mówiłem? – Bogucki poczuł się trochę zmieszany.

– Chwaliłeś pod niebiosa moje towarzystwo. Że jestem czytany, rozmowa ze mną to sama przyjemność, no i przystojniak ze mnie, więc możesz poobcować w końcu z kimś zajebiście fajnym – rzucił rozbawiony kolega.

– No tak. W sumie jak to teraz powiedziałeś, to może byś został takim pokrzepiaczem złamanych serc. Twoje towarzystwo łagodzi wszelkie ludzkie dolegliwości – recytował niczym lektor w reklamie środków na przeczyszczenie. – A tak na serio, jakby cokolwiek się działo, mogę zniknąć szybciej, niż się pojawiłem.

– Oj, nie pieprz farmazonów. Mnie się podoba. A jak zaczniesz jeszcze gotować i sprzątać, będzie miódzio! – Zaśmiał się na głos, powodując zainteresowanie dwóch siedzących obok dziewczyn, które jak na zawołanie się obróciły i obdarzyły go pytającym spojrzeniem. – Lepiej powiedz, czy już definitywnie zostajesz singlem? Bo mam dla ciebie kilka propozycji. Kolejka do twojego złamanego serca nie jest krótka, więc ja na ochotnika mogę zająć się logistyką randek. Musisz tylko przedstawić mi swoje oczekiwania. Osobiście najpierw poszedłbym w cielesne uciechy. Nie wiem, jak Ala ogarniała te sprawy, ale zawsze warto zobaczyć, co inne niewiasty mogą ci dać.

- Chyba jaja sobie robisz - parsknął i pociągnął duży łyk z kufla, który przed sekundą postawił przed nim wytatuowany barman z włosami postawionymi na zbyt dużą ilość żelu. Już chciał odstawić kufel, ale smakowało wyśmienicie, więc wlał w siebie jeszcze jedną porcję. Po całym dniu, który był nie tylko niesamowitą przygodą, ale i wielkim wysiłkiem intelektualnym niespotykanym podczas pracy w prewencji, potrzebował chwili wytchnienia. - W tym momencie dziewczyny to ostatnia rzecz, o której myślę. Mam dość narzekania, miesięczek, ckliwych filmów i rozmów o rzeczach nieistotnych.

- Skoro tak mówisz... To będziemy prowadzić żywot samotnych. W sumie brzmi nieźle.

Zaśmiali się i kontynuowali rozmowę o sprawach męskich. Omówili terminarz meczy Legii Warszawa, której obaj byli kibicami, potem płynnie przeszli do zbliżającej się gali MMA, choć to interesowało już głównie Jaworskiego. Próbował przekonać Boguckiego, że te walki są niezwykle spektakularne, ale on ku jego rozpaczy był nieugięty. Nie chciał też towarzyszyć koledze na zbliżającej się gali, na którą dostał od znajomego dwa bilety, choć podobno wystąpić na niej mieli topowi zawodnicy.

Niestety jedno piwo przeszło w kolejne, a w połowie trzeciego Bartosz Bogucki poczuł taki ucisk na pęcherz, że myślał, że zaraz wybuchnie. Przeprosił kolegę i ruszył do łazienki, która według wytycznych znudzonego życiem barmana była po prawej stronie od drewnianego baru.

Dopał do pisuaru w ostatnim momencie. Rozpiął rozporek i... poczuł ulgę nieporównywalną do niczego. Stał tak dobre kilka minut, aż jego pęcherz wyzbył się ostatniej kropli moczu. Podciągnął

bokserki, a następnie spodnie, zapiął rozporek i umył ręce. Spojrzał w lustro i uśmiechnął się do siebie. Dawno nie czuł się tak dobrze.

Brak Ali u boku spowodował, że czuł, że może nieco opuścić gardę. Nie musiał się zastanawiać, za co tym razem spadnie na niego reprimenda.

Postał chwilę, napawając się momentem, po czym wyszedł z ubikacji. Już miał skręcić w prawo, gdy poczuł mocne uderzenie w lewy bok.

– Jezu, przepraszam, ale jestem niezdara! – usłyszał damski głos, a następnie dźwięk rozsypywanych rzeczy.

Obrócił się przez lewe ramię i zobaczył szczupłą blondynkę, która siedziała obok niego przy barze. Dopiero teraz zauważył, że była niezwykle niska. Sięgała mu zaledwie do klatki piersiowej, ale zawsze lubił takie filigranowe kobiety, więc momentalnie się uśmiechnął. Schyliła się, a on przykucnął obok niej i zaczął pomagać w zbieraniu rzeczy.

– Jak wy to robicie, że jesteście w stanie wepchnąć tyle rzeczy do czegoś tak niewielkiego? – spytał, wrzucając dwie pomadki, portfel, notatnik, dwie paczki gum do żucia do jej chwilowo pustej torby. Ona w tym czasie zebrała trzy paczki chusteczek higienicznych, dezodorant, kilka tamponów, które zgarnęła szybkim ruchem, jakby się ich wstydziła.

– Nie mogę ci powiedzieć, bo musiałabym cię...

– Zabić – skończył za nią i uniósł brwi.

Nie podniosła na niego wzroku, tylko dalej chowała rzeczy, które wały się po brudnej podłodze barowego korytarza. Podniosła ostatni długopis i wyprostowała się.

- Ślicznie dziękuję – powiedziała i spojrzała na niego z uśmiechem na twarzy. Teraz zobaczył na jej nosie kilka uroczych piegów. – Postawiłabym ci piwo w ramach przeprosin, ale z tego, co słyszałam, to chwilowo nie lubisz dziewczyn. Poza tym twój chłopak mógłby być zazdrosny.

- Oho, ktoś tu podsłuchiwał – zaśmiał się i chwycił za bok, udając obrażonego.

- Niestety, takie zboczenie z pracy. Słucham więcej, niż powinnam. – Skinęła mu głową i odwróciła się.

W tym momencie jakiś brakujący element układanki wpadł na swoje miejsce i przed oczami Bartka pojawił się kadr z nagrania, które oglądał tak niedawno. Wówczas skojarzył, że głos, który przed chwilą usłyszał, brzmiał dokładnie jak tamten z przesłuchania Urszuli Kubiak.

- Wiem, kim jesteś! – krzyknął trochę za głośno, aż sam skarcił się w myślach.

Dziewczyna przystanęła, obróciła się i zmierzyła go wzrokiem, więc odezwał się ponownie:

- Ty mnie nie znasz i nie masz prawa, ale ja dzisiaj oglądałem film, a dokładniej nagranie, i mogę sobie dać palec uciąć, że słyszałem twój głos.

- Jesteś gliną? – spytała i pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się grymas rezygnacji i rozczarowania.

Przytaknął zmieszany, licząc na kontynuację rozmowy, ale ona tylko wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i ruszyła do koleżanki. Poszedł za nią, ale gdy usiadła obok koleżanki, ostentacyjnie go ignorując, odebrał to jako wyraźny sygnał i znak, że nie ma na co liczyć.

W sumie to się ucieszył. Miał szansę zrealizować swoje postanowienie dotyczące detoksu od kobiet i po tych kilku dniach spędzonych w towarzystwie Jaworskiego czuł, że dobrze mu to zrobi.

Rozdział 23

ONA

Nie pamiętam wszystkiego z tego, co się stało po wyjściu z domu. Każdy dzień był inny. Każdy niósł coś nowego.

Za punkt honoru wzięłam sobie znalezienie pracy. Jakiegokolwiek, tak żeby wystarczyło mi na wynajęcie jakiegoś lokum. Pokoju, mini-kawalerki, jakiegokolwiek kąta, gdzie mogłabym żyć z dala od mojej patologicznej rodziny.

W końcu po tylu latach upokorzeń i wyzwisk stwierdziłam, że albo oni, albo ja. Nie ma nic pomiędzy.

Oni nigdy mnie nie zaakceptują. Nigdy nie będą traktować jak swoją.

Zawsze będę niechciana.

Zawsze będę tą, co chciała zniszczyć im życie, a w sumie według matki tą, co je zniszczyła.

Kolejną noc spędziłam na ławce nad Wisłą. Latem kręci się tam sporo ludzi, więc z jednej strony czułam się bezpiecznie, a z drugiej co któryś z przechodniów był tak pijany, że ledwo stał na nogach i rzucał w moją stronę niecenzuralne hasła.

Aż stało się coś strasznego.

Spałam smacznie. Ławka nie była najwygodniejsza, ale mimo to czułam się doskonale. Chyba coś mi się śniło, ale nie pamiętam co, gdy nagle obudził mnie czyjś dotyk.

Najpierw poczułam na mojej nodze dużą rękę, która nagle zjechała między uda.

Gdy otworzyłam oczy, przeraziłam się. Wisiał nade mną wielki sapiący mężczyzna, z którego ust spływały na mnie cienkie nitki śliny. Coś do mnie seplenił, ale nie rozumiałam słów, zresztą nie miało to znaczenia.

Spuścił spodnie do kolan, więc pierwsze, co zobaczyłam, to jego czerwone bokserki. I tak powinnam się cieszyć, że nie zdążył ich zdjąć.

Jego wzrok był mętny, rozbiegany. Wypił zdecydowanie za dużo, bo sam nie wiedział, co ma robić. Uderzyłam go z całej siły, wierzgając nogami, ale nie drgnął nawet o milimetr. Patrzył tylko na mnie tym pustym spojrzeniem i cały czas sapał, a ja czułam zapach potu wymieszanego z piwem. Niewiele dzieliło mnie od wymiotowania.

Zaczęłam walić go pięściami, ale to tylko bardziej go rozsierdziło. Szybkim ruchem włożył rękę w moje legginsy, które wkładałam wieczorem jako namiastkę piżamy, i już chciał mi je zsunąć, gdy nagle jego ciało zrobiło się bezwładne i runęło na mnie. Miałam wrażenie, że napiera na mnie wielki głaz, ale nie miałam siły, aby go z siebie zepchnąć.

Po chwili ucisk zelżał, a facet zsunął się na ziemię, jakby jego ciało stało się bezwładnym workiem. Przez chwilę leżałam na ławce z zamkniętymi oczami, bojąc się tego, co zobaczę, gdy je otworzę.

W końcu się odważyłam. Nade mną stały dwie kobiety i chudy mężczyzna, który trząsał się nie mniej niż ja.

– Wszystko w porządku? – spytała wyższa z nich, a ja spojrzałam na nią i powoli usiadłam. Miałam wrażenie, że pod wpływem ciężaru leżącego na ziemi mężczyzny moje ciało zostało zdeformowane, rozplaszczone jak po przejechaniu walca i że nie mam nad nim w pełni kontroli.

– Nie wiem... – wydukałam, cały czas patrząc na spoczywającego u moich stóp faceta. Gdybym czuła się na siłach, wstałabym i przywaliła mu w brzuch lub kopnęła w głowę, ale nie miałam w sobie aż tyle energii. Już siedzenie i trzymanie tułowia w pionie stanowiło wyzwanie.

– Ty krwawisz! – krzyknęła nagle druga kobieta, blondynka o krótkich włosach i z wytatuowanym za uchem kotkiem, którego zobaczyłam, gdy odwróciła lekko głowę.

– Czyli mnie rozplaszczył – powiedziałam sama do siebie i zaśmiałam się.

– Musimy wezwać pogotowie – przemówił w końcu ledwo słyszalnym głosem stojący trochę z tyłu chłopak.

Nie mogłam na to pozwolić. Nie po to uciekłam z domu, aby już po kilku dniach tam wrócić. Dobrze wiedziałam, że skończyłoby się to dla mnie gorzej niż źle. Zapałam się dłońmi o ławkę i spróbowałam podnieść. Nie wiem, dlaczego łokcie się pode mną ugięły. Tak jakbym nagle przytyła, co nie mogło być prawdą. Od kilku dni prawie nie jadłam.

– Nie ruszaj się. Zaraz wezwiemy pomoc.

Podniosłam głowę i wbiłam wzrok w jedną z kobiet. Próbowalam przybrać błagalną minę, ale chyba mi nie wyszło, bo patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Proszę, nie... – wydusiłam w końcu. – Nic mi nie jest...

Nie dała mi skończyć.

– Rozumiem – powiedziała, a po moim policzku momentalnie popłynęły łzy. – Okej, nie wezwiemy karetki, ale pojedziesz z nami. – Uśmiechnęła się do mnie serdecznie. – Jestem Gabrysia. Mamy z Wiolą wolny pokój. Odpoczniesz. Zobaczymy, co z twoją raną. Jak będzie trzeba, wezwiemy lekarza. Może być?

Jej głos był niczym miód na moje uszy. Miałam ochotę rzucić się na nią i wyściskać, ale nie mogłam. Nie miałam siły. Poza tym mogłaby pomyśleć, że jestem wariatką, i uciec, zabierając swoich znajomych.

Kiwałam tylko głową, dając znać, że się zgadzam.

Chłopak wraz z niższą kobietą pomogli mi wstać.

Złapali taksówkę i po chwili jechaliśmy na Mokotów, gdzie w starym niskim bloku mieszkały kobiety. Od razu zaprowadziły mnie do łazienki, gdzie jedna z nich opatrzyła ranę na twarzy, a druga w tym czasie przyniosła mi czyste ubrania: miękki i pachnący jakimś kwiatami dres. Nie dość, że jego kolor – delikatny róż połączony z szarym – zachwycał, to jeszcze zapach koił moje zszargane nerwy. Nigdy nie miałam niczego, co tak pięknie pachniało.

Gdy już się przebrałam, skierowały mnie do pustego pokoju, o którym wspominały, a ja zamarłam i od razu zapomniałam o wyczerpaniu. Przy dużym oknie z widokiem na park stało niewielkie, ale posłane czystą pościelą łóżko. Obok było niewielkie biurko z komodą, a na przeciwległej ścianie do okna wielka szafa. Na ścianie, na której znajdowały się drzwi, stała sporych rozmiarów biblioteczka.

Pewnie podeszłabym do niej, gdyby nie coś innego, co przyciągnęło moją uwagę. Z sufitu zwisała wiklinowa kula. Kiedyś widzia-

łam taką w jakimś zagranicznym programie. Oczywiście nie oglądałam go, bo w domu nikt mi na to nie pozwalał, ale raz, gdy przechodziłam obok telewizora, gdy mama siedziała na kanapie z rodzeństwem, a ja szłam posprzątać łazienkę, zerknęłam.

Wszystko, co działo się później, było jak bajka, o której tak długo marzyłam, a która w końcu stała się rzeczywistością.

Rozdział 24

Od kiedy pierwszy raz piłą poćwiartował kurę w gospodarstwie u dziadków na wsi, wiedział, że uwielbia widok krwi, wnętrzności. Uwielbia dotykać to, co w środku ma nie tylko człowiek, ale i zwierzęta. Ten aksamit pod palcami, tak unikatowy, dostępny dopiero po przecięciu skóry, kości. A dźwięk miażdżonych chrząstek mógłby nagrać na telefonie i odtwarzać zapętłony w trybie ciągłym.

Jedyne, czego nie znosił, a wręcz nienawidził, to zapachy z tym związane. Kwaśne, metaliczne, nieprzypominające niczego innego. Dlatego zawsze nosił ze sobą małe opakowanie blokera zapachów. Wsmarowywał sobie pod nos tony specyfiku, aby smród nie odbierał mu zabawy, którą tak perfekcyjnie przygotował.

Od dawna wiedział, że jeżeli z pierwszą ofiarą wszystko pójdzie bez problemów, a tak się stało, szybko przejdzie do następnego etapu, który miał go wznieść na jeszcze wyższy poziom doznań.

Tym razem planował dłużej pobawić się z ofiarą. Chciał sprawdzić, czy jest w stanie delektować się nie tylko odbieraniem życia, ale i dłuższym znęcaniem się.

Ponownie wybór ofiary nie stanowił problemu. Znał ją doskonale. Dobrze wiedział, jakie ma zwyczaje, gdzie mieszka, a to za sprawą swojego kolegi, który poślubił ją dwadzieścia lat temu i sporo opowiadał o swojej małżonce.

- Całymi dniami siedzi w domu i nic nie robi. Wyobraź sobie, że przestała nawet gotować, bo stwierdziła, że jej się nie chce. Ja po powrocie do domu muszę wszystko ogarniać, bo jest syf, a nie znoszę, gdy walają mi się kłaki po podłodze...

Powtarzał co jakiś czas niewiele różniące się od siebie historie o tym, jak jego żona się zachowuje, a bardziej o tym, jak objawia się jej lenistwo. Było to coś, na co on sam miał uczulenie i czego nienawidził szczerze. Poza tym chciał zrobić pewnego rodzaju prezent przyjacielowi. Dlatego nie wahał się ani sekundy nad wyborem jej jako kolejnej ofiary.

Przez kilka dni obserwował ich mieszkanie i dobrze znał rozkład dnia nie tylko swojej przyszłej ofiary i jej męża, ale i sąsiadów. Na szczęście wszyscy mieli stałe prace i w okolicach południa nikogo nie było w małym trzykondygnacyjnym budynku. Oczywiście poza nią.

Drzwi na dole otworzył wprawnym ruchem przy użyciu cienkiego pilnika i w paru susach dostał się na pierwsze piętro. Zrobił dwa wdechy, nasunął na głowę czapkę i zadzwonił. Gdy drzwi zaczęły się otwierać, ściągnął delikatnie usta w dzióbek, zmarszczył czoło i przymknął oczy, aby sprawić wrażenie smutnego i zatroskanego.

- Stało się coś? - powiedziała kobieta z przerażeniem w głosie, gdy tylko go zobaczyła. Najchętniej zaśmiałyby się z radości, że tak łatwo dał radę ją wkreślić, ale zamiast tego westchnął teatralnie.

- Jeszcze nie wiem. Musisz pojechać ze mną.

Minutę później siedzieli w samochodzie, który ukradł spod sklepu spożywczego, widząc, jak jego właściciel odchodzi. Mocniej

naciągnął czapkę na twarz, aby być jeszcze mniej widocznym, i ruszył.

– Powiesz mi, co się stało? – spytała zdenerwowana kobieta i wyciągnęła z torebki e-papierosa. Najchętniej wyrwałby to ustrojstwo z jej rąk i wyrzucił przez okno, bo nienawidził smrodu tego urządzenia jeszcze bardziej od zapachu prawdziwych papierosów.

Znowu przybrał smutny wyraz twarzy i potrząsnął głową na boki.

– Problem w tym, że sam nie wiem, jak to się stało... – odpowiedział ściszym głosem

Próbując go usłyszeć, nachyliła się w jego kierunku. To był moment, na który czekał. Nikt nie stał w pobliżu ani nie przejeżdżał obok nich. W okolicy nie krążyli piesi, a z tego, co sprawdził, na żadnym budynku nie zamontowano kamer, które mogłyby pomóc w jego identyfikacji. Szybkim ruchem wyjął schowaną w kieszeni kurtki strzykawkę i wbił jej całą igłę w szyję. Wszystko to trwało kilka sekund. Kobieta nie zdążyła zareagować, szarpać się ani wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku.

Momentalnie opadła na siedzenie, więc mógł zobaczyć jej twarz. Zazwyczaj szeroko otwarte oczy teraz przymykały się, wzrok mętniał, a ciało robiło się wiotkie. Na najbliższych światłach poprawił jej głowę, aby wyglądało, że śpi, i jadąc zgodnie z przepisami, dotarł do swojego domu.

Wjechał do garażu i przez wewnętrzne drzwi wniósł ją do wiatrołapu, a następnie zniósł do piwnicy, gdzie czekała już na nią Monika Wieczorek.

Dobrze wiedział, że kobiety się znały, zresztą nie dziwił się. Obie były próżne i roszczeniowe. W jego mniemaniu ludzkość nie zapłacze po ich utracie.

Rozdział 25

– Możesz przestać się szczerzyć? – rzucił Bogucki w stronę kolegi, który od rana zachowywał się nienaturalnie. Chodził uśmiechnięty, jakby był upalony, i co chwilę podśpiewywał sobie coś wesołego pod nosem. A to wszystko za sprawą randki, na którą zgodziła się w końcu znokautowana przez niego Marlena. Uzgodnili już miejsce i godzinę, więc można było uznać ich spotkanie za wielce prawdopodobne, a prawie pewne. – Szkoda, że na obowiązki służbowe nie reagujesz taką euforią.

Jaworski nic sobie jednak nie robił z przytyków siedzącego przy biurku obok Bartosza i zamiast przeglądać kolejne sprawy ojca zamordowanej Moniki Wieczerek, zastanawiał się, dokąd może zaprosić dziewczynę po kinie, na które się zgodziła.

– Może zabiorę ją do tego baru, co byliśmy wczoraj, albo na spacer po Polach Mokotowskich.

– Stary, zaraz mnie wkurwisz... – Bogucki kliknął w link do kolejnej sprawy Dominika Sowińskiego i nie czekając na załadowanie się strony, odwrócił się w kierunku kolegi. – Nie wiem, czy wiesz, ale w tym momencie są na tapecie dwie sprawy morderstwa, w których mamy brać czynny udział. Pozbawiono głowy Monikę Wieczerek, a inny pojeb zabił matkę niepełnosprawnej dziewczyny, a ją również chciał pozbawić życia. I nasza w tym rola, aby popchnąć śledztwo do

przodu. Nie sądzę, abyśmy sami wpadli na rozwiązanie, ale nie możemy tracić czasu na szukanie lokalu, gdzie będziesz mógł kokietować jakąś lalę, więc błagam cię, weź się w garść, bo Obrębski, jak zaraz wpadnie i nie będzie miał wyników naszych poszukiwań, to się wścieknie. A ja jako przykładowy policjant rzucę mu ciebie na pożarcie. I nie myśl, że będę miał przy tym jakieś wyrzuty sumienia. Więc nie zawracaj mi głowy pierdołami, tylko zepnij dupę i rób swoje.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak bohaterowie westernów chwilę przed wyciągnięciem rewolweru podczas pojedynku. W końcu Jaworski mruknął coś z rezygnacją, spuścił wzrok i obrócił się w stronę monitora komputera. Przez następną godzinę obaj w milczeniu sprawdzali, kto ze skazanych w procesach prowadzonych przez Sowińskiego wyszedł w niedalekiej przeszłości z więzienia. Okazało się, że lista ta składa się aż z osiemnastu nazwisk.

Do sprawdzenia tych wszystkich osób potrzebowaliby mnóstwa czasu, więc wybrali skazanych z najcięższymi przestępstwami na koncie i zaczęli wyszukiwać namiary na nich.

– Dzień dobry, z tej strony młodszy aspirant Bartosz Bogucki, chciałbym rozmawiać z Zygmuntem Dobrzyńskim – oznajmił. Chwilę musiał wczekać, aż usłyszał odpowiedź.

– On nie żyje – powiedziała kobieta i skończyła połączenie.

Policjant pochylił się nad kartką, wykreślił nazwisko i dzwonił dalej. W końcu głowę miał już kwadratową od wyzwisk, płaczu i dziwnych zwierzeń, ale sporządzili listę trzech nazwisk do dalszej weryfikacji.

Grzegorz Barański. Sześćdziesięciodwuletni mieszkaniec Marek. Ostatnie piętnaście lat spędził w więzieniu za brutalny gwałt na młodej dziewczynie, której groził, że obetnie jej rękę lub nogę, jeżeli na

niego doniesie. Po wszystkim zostawił ją przywiązaną do drzewa. Ofiara nie powiedziała, kto tego dokonał, bo знаła sprawcę z widzenia i obawiała się, że szybko domyśli się, że to ona. Policji zaś nie ufała, ponieważ kiedyś mocno pobili jej brata, który miał pecha i został wzięty przez przypadek za złodzieja.

Po miesiącu od zdarzenia próbowała odebrać sobie życie. Napisała list, w którym zrelacjonowała wszystko ze szczegółami, mimo że wcześniej praktycznie nic nie zdradziła policji. W liście również to wyjaśniła. Opisała, że przesłuchujący ją funkcjonariusze nie wykazali się jakąś wielką empatią i wmawiali jej, że to, co się stało, spowodowała ona sama zbyt krótką spódniczką i dekoltem, który mógł prowokować. List położyła na stoliku kawowym i połknęła garść tabletek.

Gdyby to był zwykły dzień, jej mama dotarłaby do domu dopiero o osiemnastej. O siedemnastej kończyła swoją zmianę, po drodze zawsze robiła małe zakupy i jadąc dwoma autobusami do domu, docierała około szóstej po południu. Jednak tego dnia od rana bolał ją brzuch, a około trzynastej zaczęła wymiotować. Gdy powtórzyło się to trzeci raz z rzędu, zwolniła się z pracy i wyjątkowo wzięła taksówkę. Modliła się tylko, aby w drodze nie ułało jej się w samochodzie nieznajomego. Zrezygnowała nawet z zakupów, bo cały czas coś kręciło ją w żołądku, a wielokrotne wizyty w łazience spowodowały odwodnienie i w konsekwencji totalny brak sił.

Gdy weszła do domu, przywitała ją cisza, co było dość dziwne, bo córka od czasu wypadku, jak matka w głowie nazywała brutalny gwałt na jej jedynaczce, bała się ciszy. Podobno gdy leżała w lesie przywiązana do drzewa, nie słyszała nic, dlatego w domu musiało coś grać, telewizor lub radio.

Weszła do salonu i od razu zwymiotowała na leżący przed nią jasnobrązowy dywan, który szybko wchłonał w siebie to, co jeszcze przed chwilą zalegało kobiecie na żołądku. Jej córka leżała na skórzanej, brązowej kanapie. Oczy, delikatnie otwarte, nie wykonywały żadnego ruchu, a prawa ręka zwisała bezwładnie nad podłogą. Kobieta podbiegła do dziewczyny i zaczęła energicznie uderzać ją po twarzy, licząc, że ta się obudzi. Nie widząc reakcji, trzęsącymi się rękoma wyjęła z torebki telefon i wykręciła numer alarmowy.

Na szczęście dziewczynę uratowano, a dzięki listowi, w którym wszystko opisała, Grzegorz Barański został zatrzymany, a następnie skazany. Ofiara wraz z rodziną wyjechała po ogłoszeniu wyroku. Podobno wiele osób obwiniąło ich za to, że złamali życie mężczyźnie. Powtarzano wersję zbliżoną do tej, którą próbowali przeforsować przesłuchujący dziewczynę policjanci, doszukując się winowajczynie w niej, nie w nim.

Drugi na liście uplasował się Zenon Ludwiczak. Czterdziestosiemioletni warszawiak, nie uzyskawszy awansu w pracy, stwierdził, że zemści się na koledze z pracy, który w jego mniemaniu zabrał mu wymarzoną posadę. Pożyczył od teściowej samochód, skłaniając ją do zgłoszenia kradzieży, a sam zaczął się w niewielkiej uliczce. Gdy konkurent wracał z psem ze spaceru, potrącił go, jadąc ze sporą prędkością. Może uniknąłby ręki sprawiedliwości, gdyby nie jeden fakt. Gdy mężczyzna leżał na ziemi nieprzytomny, kierowca wyszedł z samochodu i splunął na niego, a następnie odjechał, zostawiając konającego. Sprawdzone okoliczne kamery i udało się namierzyć samochód. Niestety zgłoszenie kradzieży mocno skomplikowało pracę policji. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, gdy jednak okazało się, że nadgorliwy technik znalazł ślinę na koszulce denata, wszyscy

wstrzymali oddech. Ludwiczak był na krótkiej liście podejrzanych, więc po długich bojach udało im się zdobyć jego DNA i powiązać ze sprawą.

Trzecią wytypowaną osobą był Piotr Krawiecki, który w barze w Konstancinie pobił młodego chłopaka. Początkowo wszyscy myśleli, że to przypadkowa bójka, jednak w toku śledztwa okazało się, że to przemyślana zemsta na młodym mieszkańcu warszawskiego Ursynowa. Jak ustalili policjanci, cztery miesiące wcześniej ofiara wraz z dwoma kolegami przedziurawiła mu opony w aucie. Krawiecki jednego z wandalii złapał na gorącym uczynku i zaciągnął go na pobliski komisariat policji, gdzie spisano protokół.

Mężczyzna czekał, aż sprawa się ruszy, ale nikomu na tym nie zależało. Dni mijały, a nic się nie działo. W końcu sprawę umorzono, a on nie zobaczył ani złotówki. Wkurzył się, bo nie miał nic na koncie, aby kupić nowe opony. Dziewczyna go rzuciła, wyzywając od życiowych nieudaczników, bo przez brak samochodu, który kolejny tydzień stał niesprawny pod blokiem, stracił pracę. Spirala nieszczęść nakręcała się i gdy usłyszał od właściciela mieszkania, że ten planuje podnieść czynsz, ułało mu się. Wiedział, gdzie chłopak mieszka, ponieważ stał obok niego, gdy ten podawał swoje dane młodemu funkcjonariuszowi.

Poszedł do niego, żądając od jego rodziców pieniędzy w ramach zadośćuczynienia. Ci jednak wyśmiali go, twierdząc, że chyba coś mu się pomyliło, że ich cudowny syn nigdy niczego takiego by nie zrobił. Świetnie się uczy i brzydzi się wszelkimi aktami wandalizmu.

Przez kilka dni krążył pod ich blokiem, aż pewnego dnia poszedł za chłopakiem. Wszedł do niewielkiego baru i usiadł nieopodal. Za-

mówił najtańsze piwo za ostatnie pieniądze, jakie miał, i gdy chłopak przechodził obok, podstawił mu nogę.

Rozpętała się awantura. Jeden popychał drugiego, aż Krawiecki wyciągnął nóż i wbił mu go w udo, po czym wyszedł. Nie uciekał, co wszystkich zadziwiło. Został zatrzymany przez gości baru. Później powiedział policjantom, że poczuł ulgę, bo gnój dostał karę za to, co mu zrobił. On sam wylądował w więzieniu na osiem lat, ale ostatecznie przesiedział dłużej, bo dał się sprowokować i wdał w bijatykę, która rozpętała się w więzieniu podczas porannego apelu.

Z tymi trzema nazwiskami dumny Bogucki wraz z Jaworskim podreptali do Obrębskiego.

Rozdział 26

ONA

Nie wiem, czy kiedyś się tak wyspałam. W pierwszym momencie, gdy otworzyłam oczy, nie wiedziałam, gdzie jestem. Pościel pachniała jakimiś kwiatami, była miękka i taka... inna niż w domu. Gdy po kilku sekundach doszłam do siebie, stwierdziłam, że niewiele trzeba, aby coś sprawiało lepsze wrażenie niż to, co znałam z domu, bo tam wszystko było złe.

Długo leżałam w łóżku, tocząc ze sobą walkę. Miałam w sobie jakiś wewnętrzny lęk. Jakby za białymi drzwiami naprzeciwko łóżka czekało mnie coś złego. W końcu wygramoliłam się spod najcudowniejszej kołdry, pod jaką spałam, i podeszłam do drzwi. Drżącą ręką nacisnęłam na klamkę i pociągnęłam ją do siebie. Gdy wyszłam z pokoju, pierwsze, co ujrzałam, to wielki ścienny zegar. Jego olbrzymie wskazówki poruszały się bezpośrednio po ścianie. Nie to jednak zrobiło na mnie wrażenie, ale godzina, którą pokazywał. Kwadrans po dwunastej. Stałam chyba dłuższą chwilę, bo z otępienia wyrwało mnie delikatne stukanie w klawiaturę.

Wiola i Gabrysia siedziały przy długim drewnianym stole i pracowały. Przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Wpatrzone w ekrany

swoich komputerów, pisały coś. Przez pierwsze kilka minut żadna się nie odzywała, jakby dając mi czas na oswojenie się, obejrzenie wszystkiego. Wczoraj od razu zaprowadziły mnie do pokoju, w którym spałam, pokazując tylko, gdzie jest łazienka.

Teraz po raz pierwszy widziałam sporych rozmiarów kuchnię połączoną z jadalnią. Stół, przy którym siedziały, pełnił rolę zarówno mebla do jedzenia, jak i miejsca pracy kobiet. Koleżanek. Kochanek. W sumie mnie to nie interesowało. Biło od nich ciepło, jakiego ja sama nigdy dotąd nie zaznałam, dlatego zwisało mi to, co je łączy.

Stałam tam dość długo, z każdą sekundą czując, jak zdenerwowanie gdzieś umyka, i w końcu poczułam się dość komfortowo, by się odezwać:

– Dziękuję. – Mój głos brzmiał dziwnie. Niby powiedziałam to niezwykle cicho, ale nie trzęsłam się jak zazwyczaj. Zresztą to jedno słowo wypowiedziane w tym momencie miało dla mnie wielką moc. Był to jeden z pierwszych razy, gdy odezwałam się sama z siebie, niepytana.

Kobiety synchronicznie, w tej samej sekundzie, jak zaprogramowane roboty, podniosły głowy i uśmiechnęły się do mnie. Uśmiechy były podobne, ale cała reszta już nie.

Wiola miała twarz okrągłą niczym księżyc i ogoloną na łyso głowę, dlatego nie wiedziałam, jaki kolor mają jej włosy. W lewym łuku brwiowym mienił się kolczyk, a w prawym płatku ucha jeszcze kilkanaście niewielkich. Tego dnia włożyła szarą bluzę z dużym kapturem i jakimś kolorowym obrazkiem, którego nie widziałam dokładnie.

Twarcz Gabrysi wyglądała zupełnie inaczej. Pociągła, poważna, z mocno zarysowanymi kośćmi żuchwy i lekko wyłupiastymi

oczami. Pewnie gdyby nosiła tę samą fryzurę co Wiola, mogłaby bez dodatkowej charakteryzacji występować w horrorach, bo łyśa głowa podkreślałaby tę chudość. Na szczęście jej twarz okalały blond włosy, które wraz z ciemnymi niczym węgiel oczami stanowiły dziwne zestawienie.

– Jak się czujesz? – rzuciła ta pierwsza i wstała. – Czego się napijesz? – spytała i podeszła do kuchni. Wlała wodę do czajnika i postawiła go na kuchence.

Patrzyłam na nią i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Dwa takie proste, prozaiczne pytania stanowiły dla mnie problem. W domu nikt nigdy nie pytał mnie o samopoczucie, no, chyba że na pokaz, bo akurat ktoś obok stał i trzeba było poudawać. Na co dzień nikogo nie interesowało, jak się czuję, nawet wtedy, gdy mój wygląd świadczył o chorobie czy bardzo złym samopoczuciu. Drugiego pytania też nie kierowano do mnie, chociaż mama, skacząc wokół rodzeństwa, często dopytywała, na co mają ochotę. Ja jadłam czy piłam to, co mi dano, a czasami to, co zostawiono jako resztki.

– Dawno się tak nie wyspałam – odpowiedziałam po pierwszym szoku. – Chyba wczorajśy stres dał o sobie znać.

– Nie dziwię się – odezwała się Gabrysia i sięgnęła po jedno z jabłek leżących na wielkiej misce na środku drewnianego stołu. – Ja bym umarła ze strachu.

– Może nie wracajmy do tego – wtrąciła cały czas stojąca przy kuchennych urządzeniach Wiola, która piorunowała wzrokiem koleżankę, jakby dawała jej znać, aby nie ciągnęła tego wątku. – Kawa czy herbata? – spytała dla zmiany tematu, za co byłam wdzięczna. Nie chciałam wracać do tego, co działo się dzień wcześniej.

I tutaj pojawił się kolejny problem. Nie wiedziałam. W domu nie pijałam żadnego z tych napoi i nie miałam pojęcia, czy któryś mi jakoś mocniej smakuje.

– Kawę poproszę – odpowiedziałam w końcu, wiedząc, że brak odpowiedzi może zostać źle odebrany.

– Z mlekiem, cukrem? – zapytała, a ja poczułam, że zaraz zapadnę się pod ziemię. Nie znałam smaku kawy, a kobieta pytała mnie o szczegóły, których nie mogłam znać.

Bezradnie wzruszyłam ramionami.

W pokoju zapanowała cisza, przzerwana po chwili gwizdem czajnika. Wiola zalała kubek z nasypaną wcześniej kawą, po czym postawiła go przede mną wraz z cukiernicą i małym dzbanuszkem mleka.

– Dziękuję – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się.

Wiedziałam, że teraz pewnie chciałyby usłyszeć ode mnie kilka słów wyjaśnienia. W nocy sporo o tym myślałam i stworzyłam w głowie pewną historię. Nigdy nie lubiłam wypowiadać się na forum, ale wyjątkowo postanowiłam to zrobić. Byłam im to winna.

– Możecie mi mówić Dolores. Mam osiemnaście lat. Moi rodzice zmarli dwa lata temu. – Zrobiłam smutną minę.

– Jezu, tak mi przykro. To straszne... – skomentowała moje zwierzenia Gabrysia i zrobiła smutną minę. – Masz jeszcze kogoś poza nimi?

– Tak jakby, ale... – odpowiedziałam cicho. Nabrałam powietrza i kontynuowałam wymyśloną historię: – Moja rodzina po ich śmierci rzuciła się na nasz majątek jak szczury na resztki po obiedzie. Niby mieszkanie było na mnie, ale ciotka, która się mną zajmowała przez te dwa lata, bardziej interesowała się nim niż mną. Ostatnio okazało

się, że jakimś dziwnym trafem moje mieszkanie zostało już wynajęte i nie mogę się tam przeprowadzić, a bardzo bym chciała. A pieniądze z wynajmu nie idą do mnie. Pokłóciłam się z nią, a ona... – Ponownie zrobiłam podkówkę, która nie stanowiła dla mnie problemu. Wystarczyło, że myśli pobiegły w stronę mojej prawdziwej rodziny i momentalnie robiło mi się przykro. – A ona mnie wyrzuciła z domu. Tak po prostu. Od razu wymieniła zamki, a sąsiadom powiedziała, że jestem złodziejką i żeby na mnie uważali. Nie mam już żadnej rodziny, która mogłaby mi pomóc, dlatego wylądowałam na ulicy. Nie mam też żadnych dokumentów, bo spaliły się w pożarze... – Zawiesiłam głos w teatralny sposób, przerywając monolog. Wiedziałam, że teraz ich poczucie troski jeszcze wzrośnie. – W pożarze, w którym zginęli rodzice. Chciałam pójść do pracy, ale nikt nie chce mnie zatrudnić. Nie dlatego, że jestem leniwa, ale dlatego, że boją się zatrudniać ludzi na lewo. Nie wiem, co robić.

– O matko... – jęknęła Wiola i usiadła obok, ale na tyle daleko, że nie czułam się niekomfortowo.

Poczułam wpadający do moich nozdrzy zapach kawy i pochyliłam się nad kubkiem. Kiedyś, myjąc naczynia, dopiłam kilka kropli zostawionych przez mamę albo tatę, ale ta smakowała dużo lepiej. Może też dlatego, że była ciepła, podana w pięknym niebieskim kubku w kolorowe kwiaty i mogłam się nią delektować bez strachu, że ktoś wejdzie i wydrze się na mnie, że spijam resztki, których nikt nie chciał. Każdy powód do awantury był dobry.

– Trzeba zastanowić się, jak ci możemy pomóc – zaczęła Gabrysia, która cały czas bacznie patrzyła na mnie swoimi wylupiastymi oczami. Choć ich widok mógłby napawać strachem, nie bałam się jej. Miały w sobie dobro. Coś przyjemnego, jak pita przeze mnie

kawa. Coś, co kołło moje nerwy i powodowało, że przejmowałam się wszystkim mniej. – Na początek przejrzymy swoje szafy. Jesteś podobnego wzrostu co ja, trochę niższa niż Wiola, ale część jej rzeczy też powinna być na ciebie dobra – powiedziała żołnierskim tonem, jakby to ona była dowódcą w tym dwuosobowym oddziale.

Druga kobieta kiwnęła tylko głową i upiła łyk ze swojego żółtego kubka. Zrobiłam to samo, jakbym bała się pić we własnym tempie i wtedy, kiedy miałam ochotę.

– Następną kwestia do ogarnięcia to zajęcie dla ciebie. Jeżeli masz u nas zostać, musisz się czymś zajmować. Oszalejesz, jak będziesz całymi dniami leżała w łóżku. Oczywiście przez chwilę możesz poleniuchować, bo wyglądasz na osobę, której ten luksus jest raczej obcy. Ale na dłuższą metę nie dałabyś rady tak nic nie robić.

Powiedziała to tak pewnym głosem, że początkowo nie zrozumiałam sensu wypowiedzianych przez nią słów.

Miałam zostać u nich?

Chciały się mną bezinteresownie zaopiekować?

To nie mogła być prawda.

Widząc moje zmieszanie połączone ze strachem, które pewnie miałam wymalowane na czole wielkimi literami, Wiola wtrąciła:

– Mój tata od zawsze mnie bił. Mama na swój sposób próbowała z tym walczyć. Chowwała lub wyrzucała mu butelki z wódką, bo to po niej włączał mu się agresor. Ale on był niestrudzony i zawsze skądś wydobywał alkohol. Kiedyś tak mnie pobił, że leżałam trzy tygodnie w szpitalu. Mama powiedziała policji, że spadłam ze schodów, bo jak zwykle bawiłam się w berka na klatce. Nie wiem dlaczego, ale uwierzyli. Nie mogłam jej zrozumieć. Lata leciały, a moje ciało cały czas traktowane było niczym worek bokserski, w który w każdej chwili

można przywalić. Myślałam, że nigdy nie wyjdę z tego koszmaru, aż pewnego dnia... Wpadł pod samochód. Miałam wtedy tyle lat co ty teraz. Na pogrzeb nie poszłam. Zamiast tego spakowałam się i wyjechałam do Warszawy. Zawsze marzyłam, żeby tu zamieszkać. Miałam odłożone kilka złotych plus koleżankę, która obiecała mi pomóc. – Kobieta westchnęła i spojrzała na Gabrysię. – Pewnie się zastanawiasz, czemu nie zostałam. Czemu kiedy w końcu mój kat umarł, ja zniknęłam. Ojca nienawidziłam, ale chyba jeszcze bardziej matki. Patrzyła na moją krzywdę i nigdy mi nie pomogła, a po jego śmierci na prawo i lewo rozpowiadała, jakie to niesprawiedliwe, że umierają tak wspaniali ludzie. Teraz opowiadam o tym bez łez, ale wtedy było mi ciężko. Nie budzę się już w nocy z krzykiem, bojąc się, że zaraz wpadnie i zrobi mi krzywdę. Nie wyszukuję w tłumie twarzy matki, która wydrze się na mnie, twierdząc, że to moja wina. Teraz jestem spokojna i wiedz, że na ciebie też przyjdzie czas. Musi tylko trochę go upłynąć.

Gdy skończyła, Gabrysia wstała, podeszła do niej i przytuliła ją. Zrobiła to w taki naturalny sposób... Nawet moi rodzice w stosunku do swoich idealnych dzieci tacy nie byli. Patrzyłam na to i chłonełam, licząc, że może kiedyś mnie też coś takiego spotka.

– Dobra, dość tych smutków na dziś – rzuciła Gabrysia, poluzowała uścisk i podeszła do szafki. Pogrzebała chwilę na najwyższej półce i wyciągnęła tabliczkę czekolady w czerwono-beżowym kartoniku z okienkiem. Tę, która zawsze mi się śniła. – Na osłodę trochę kalorii.

Otworzyła opakowanie i położyła przede mną. Patrzyłam na długie brązowe paski, w których zatopiono orzechy laskowe, i czułam, że ślina zaraz zacznie wypływać mi z kącików ust, a następnie po

brodzie, aż spadnie na ten cudowny dres, którego miałam nadzieję, że nie będę musiała oddawać.

– Częstuj się! – Kobieta nachyliła się, ułamała kawałek, położyła go na małym talerzyku i podsunęła w moim kierunku. – Nie wstydź się. Musimy cię trochę podtuczyć, bo wyglądasz... jakbyś zaraz miała się złamać – zaśmiała się.

Wyciągnęłam rękę w stronę słodkości, czując, że dłoń trzęsie mi się, jakbym była na mrozie bez ubrania. Pierwszy raz w życiu miałam bezkarnie zjeść coś tak dobrego. Nawet w szkole, gdy dzieci przynosiły na urodziny cukierki, omijały mnie szerokim łukiem – najpierw dlatego, że moja mama wmówiła wszystkim, że jestem uczulona na wszystko, co możliwe, a z czasem dlatego, że patrzyły na mnie jak na ufoludka. Stworzenie, które przybyło z odległej galaktyki i do którego lepiej się nie zbliżać, bo może przenosić niebezpieczne choroby.

Odlamałam połowę paska i powoli włożyłam do ust. Czekolada zaczęła rozpuszczać się pod wpływem śliny i trzydziestu sześciu stopni mojego języka. Cudowna słodycz rozchodziła się po moim podniebieniu, nie przypominając swoją doskonałością niczego, co dotychczas jadłam. Zamknęłam oczy, chcąc zapisać w pamięci to wszystko, co się właśnie działo. Gdy dotarłam do orzeszka, delikatnie oblizałam go i dopiero gdy cała czekolada z niego zniknęła, ugryzłam. On też był idealny. Twardy, ale nie na tyle, aby stanowił problem dla moich zębów. Gdy przełknęłam ślinę, całe to dobro przeszło do przetyku, a mnie zrobiło się smutno. Jakby wszystko, co przyjemne, się skończyło i znowu wróciłam do mojej szarej rzeczywistości.

Jednak gdy otworzyłam oczy, pierwsze, co zobaczyłam, to kolejny kawałek czekolady i dwie uśmiechające się szczerze twarze. Od teraz wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, aby moje życie już nigdy nie było takie smutne i szare.

Rozdział 27

Grażyna Trawińska patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, mimo że nie znali się od dzisiaj. Wiele osób po dwudziestu latach znajomości i wielokrotnych spotkaniach uznałoby, że nawet się przyjaźnili. Dokładnie pamiętał, jak się poznali – i już wtedy wiedział, że jest leniwa jak mało kto.

Podczas pierwszego spotkania, na które przyprowadził ją kolega, przedstawiając dwudziestodwuletnią tlenioną blondynkę jako swoją narzeczoną, opowiadała wszem wobec, że nie jest stworzona do pracy. Mogłaby zatrudnić się u ojca w firmie, ale jej to niepotrzebne. Jej mama nigdy nie pracowała i ona też nie zamierza. Wtedy jeszcze mówiła wszystkim zgromadzonym podczas kolacji w taniej knajpce w centrum Warszawy, że jak wyjdzie za mąż, będzie zajmowała się domem, ale lata leciały, dzieci się rodziły, a ona niewiele dawała od siebie. Nie gotowała, nie sprzątała, nie wozila dzieci do szkoły. Dopiero gdy zaczął ją śledzić, dowiedział, co robiła całymi dniami, ale nie było to nic, co miało jakąkolwiek wartość dla innych.

Teraz siedziała zakneblowana, już trzeźwa, bo leki, którymi ją nafaszerował, przestały działać, próbowała wyswobodzić się z więzów.

Nie miała jakichkolwiek szans.

Jego zestaw umiejętności był imponujący, a od zawsze znajdowało się w nim wiązanie lin. Ojciec, który stanowił dla niego jedyny

autorytet w życiu, pokazał mu, jak to robić podczas nielicznych wypraw nad jezioro, gdzie wynajmowali małą łódkę i żeglowali. Robili to tak rzadko nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że ponad wszystko stawiał swoją pracę. A mimo to zawsze znajdował dla niego czas, chociaż pięć minut na wspólne poczytanie książki. Oczywiście sam nie narzucał się za bardzo, bo gdy widział, jak bardzo ojciec jest zmęczony po całym dniu w zakładzie produkującym samochody, gdzie harował jako inżynier, dawał mu spokój.

Pomagał w obowiązkach domowych, uczył się i dopiero gdy ojciec wychodził z sypialni po drzemce, którą zawsze sobie ucinał, zadawał mu pytania czy prosił o pomoc. Ten nigdy mu nie odmawiał i za każdym razem rzeczowo odpowiadał czy udzielał wsparcia. Po latach liczył, że jego dzieci będą takie same, ale niestety zawiódł się. Okazały się leniwe, rozkapryszone, nieciekawe świata. Wyrosły na małych darmozjadów, które nie napawały go dumą i z którymi spędzanie czasu traktował jak karę. Nic nie wносиły w jego życie. Zresztą ciężko było znaleźć płaszczyzny, które zadowolilyby obie strony. On uwielbiał naukę, książki, spokój i przyrodę. Dla nich wyjazd do lasu, wizyta w muzeum czy najzwyczajsze czytanie książek nie stanowiły żadnej atrakcji. Jako wyjątkowo rozpieszczone dzieci, gdy tylko ktoś je do czegoś zmuszał, wyrażały sprzeciw krzykiem, minami, jakby zjadły najobrzydliwszą rzecz na świecie. Nienawidził tego, dlatego odpuścił i starał się ich unikać, licząc, że może gdy wejdą w wiek dorosły, coś się zmieni.

Popatrzył jeszcze raz na kobietę, nie odezwawszy się do niej ani słowem, i odwrócił się do stojącego obok stołu, przy którym siedziała Monika Wieczorek.

Przywiązana kobieta jakby dopiero teraz zauważyła jej obecność. Jej nozdrza jeszcze bardziej się rozszerzyły, tętnica na szyi urosła do niewyobrażalnych rozmiarów, jakby miała wybuchnąć, a płynąca w niej krew prysnąć na całe pomieszczenie.

Podszedł do swojej pierwszej ofiary i pogłaskał ją po głowie, choć się jej brzydził. Jednak gest ten wynikał nie z tego, że mu się podoba albo go podnieca, ale z podkreślenia faktu, że nad nią króluje.

Popatrzył chwilę na kobietę, a bardziej na głowę, którą umiejętnie zakonserwował i w finezyjny sposób zamontował na kupionym za pobraniem w sieci manekinie, i podszedł do torby, którą przyniósł z pomieszczenia piętro wyżej. Wypchana po brzegi piłami i nożami, które kolekcjonował od wielu lat w ukryciu przed żoną i dziećmi, od razu wywołała na jego twarzy uśmiech. Wyjął sporych rozmiarów nóż, który kupił sobie w ramach prezentu urodzinowego.

Przetestował go kilka razy i wiedział, że idealnie nada się do tego, co planuje.

Założył dwie pary rękawiczek, przetaił dokładnie ostrze i podszedł do kobiety, po której polikach leciały łzy. Małym strumieniem spływały do linii żuchwy, a następnie na koszulę z wyhaftowaną nazwą znanej firmy odzieżowej.

– Miło mi cię gościć w moich skromnych progach – odezwał się do niej po raz pierwszy. – Mam nadzieję, że ci się tu spodoba i zostaniesz ze mną na dłużej.

Trawińska cały czas patrzyła na niego wielkimi oczami, kręcąc przy tym głową na prawo i lewo. Nie wyglądała już tak perfekcyjnie jak zwykle. Maskara, którą naniosła zapewne po przebudzeniu się w okolicach dziesiątej na regularnie uzupełniane sztuczne rzęsy, spływała jej czarnymi śladami po wypełnionych policzkach. Usta,

które wyglądały jak po ataku stada os, odstraszały jeszcze bardziej za sprawą materiału, który wepchnięty do ust kobiety wystawał i drażniąc ją, powodował małe ranki, z których sączyła się krew.

– Zawsze zastanawiałem się, jak to jest być tak leniwym człowiekiem jak ty... – rzucił, wiedząc, że nie uzyska odpowiedzi. – Wydawałoby się, że jesteś myślącą osobą, ale niestety nie. Jesteś bezużyteczną kreaturą, której nie obchodzi nikt poza tobą. – Podszedł do niej jeszcze bliżej, cały czas trzymając w ręku nóż. – Dlatego postanowiłem cię zaprosić do mojej zabawy. W sumie powinnaś się cieszyć, że do niej trafiłaś. Nie każda kobieta ma to szczęście.

Cały czas trzymając narzędzie w rękach i mierząc kobietę wzrokiem, obszedł ją, stanął z tyłu i chwycił za czoło. Jej skóra była lepka od potu wymieszanego z podkładem, który w nadmiarze naniosła na twarz, chcąc wyrównać koloryt cery w nadziei, że będzie przez to ładniejsza i atrakcyjniejsza dla męża, który bzykał na boku kogo popadnie. Był to niezobowiązujący seks, ale z własną żoną unikał stosunków jak ognia. Nawet w tak intymnych sytuacjach była leniwa, o czym stojący za nią mężczyzna dobrze wiedział. Parokrotnie podglądał ich w sypialni za pomocą pozostawionej na półce z książkami małej kamerki.

Co zaskakujące, ona też go zdradzała, ale nawet wtedy zwykle tylko leżała bez ruchu, zostawiając adoratorowi całą robotę do wykonania.

Jeszcze mocniej chwycił ją za głowę, a ostrze noża przysunął blisko policzka. Kobieta próbowała się wyrwać, ale nie miała szans. Zawdzięczał to godzinom spędzonym na siłowni, gdzie nie tylko wyciskał coraz cięższe hantle, jak większość bezmózgich kulturystów, ale również wykonywał mnóstwo ćwiczeń dających mu realną siłę. Pod-

ciągał się, robił burpeesy, a pompki diamentowe ze złączonymi rękoma stanowiły formę przerwy.

Kilka razy przesunął ostrze tak blisko jej twarzy, że przestała się ruszać, aby nie spotkać się z ostrzem, które cięło wszystko.

- To co? Zaczynamy? - rzucił niespodziewanie i w tym samym momencie wykonał szybki ruch, a na śnieżnobiałą dotychczas koszulę poleciała spora ilość krwi.

Rozdział 28

Komisarz Maksymilian Obrębski z uwagą przejrzał przygotowane przez mniej doświadczonych kolegów wyniki researchu. Odłożył kartki, na których znalazło się podsumowanie informacji o trzech podejrzanych, i rzucił:

– Który jedzie ze mną?

Zanim Bogucki zdążył cokolwiek powiedzieć, zazwyczaj mało wyrywny do udzielania się Kamil Jaworski otworzył usta i przemówił:

– Kolega zdecydowanie bardziej się do tego nadaje. Ja pogrzebię jeszcze w dokumentach, a młodszy aspirant Bogucki będzie mnie godnie reprezentował. – Uśmiechnął się do swojego partnera, a widząc jego zmieszana minę, wyszedł z pomieszczenia, nie dając im sposobności do dyskusji.

Już po pięciu minutach jechali starym saabem 99 turbo, który był oczkiem w głowie Obrębskiego. Od kiedy tylko Bogucki zaczął pracę w komisariacie na Żoliborzu, nasłuchiwał się wielu historii na jego temat. O tym, jak właściciel siedzi po pracy i go pucuje. O tym, że raz mu go skradziono, ale nie zasnął, dopóki go nie odzyskał. Siedział godzinami, oglądając filmy z monitoringu, męczył ludzi mieszkających obok parkingu, z którego dwóch młodych chłopaków, rozpoczynających dopiero karierę w przestępczym świecie, zwędziło jego samochód. Okazało się, że potrafi być wrzodem na dupie. Długo mę-

czył swoich kolegów, wymuszając na nich zwrot przysług z przeszłości, których podobno sporo nazbierał w ostatnich latach. Technik po godzinach zabezpieczał ślady wokół samochodu, jakby ktoś tam kogoś zabił. Był mu to winny z powodu sytuacji sprzed lat, kiedy to Maksymilian Obrębski pojechał po kolegę aż do Szczecina, gdy wkurzona żona zostawiła go w ośrodku wypoczynkowym. Kobieta ubzdurała sobie, że ją zdradza, gdy na koncie zauważyła podejrzaną transakcję. Mąż swoim zwyczajem poszedł sam do kina i kupił bilet z zestawem popcornu, a ona nie wiedziała, że tak można, więc zinterpretowała to na swój sposób. Kupił dwa bilety. Tylko dla kogo ten drugi? Odpowiedź dla kobiety była jedna. Dla kochanki. Tym sposobem został sam, setki kilometrów od domu, bez samochodu i pieniędzy. Komisarz pojechał po niego i lata czekał na odebranie rewanzu.

Na szczęście śledztwo skończyło się sukcesem i Obrębski mógł się cieszyć swoim ukochanym autem ponownie. Od razu zamontował kilka systemów wspomagających odnalezienie go w przypadku ponownej kradzieży.

– Piękne auto – skomentował Bartosz Bogucki, gdy tylko zajął miejsce pasażera.

Samochód w środku nie tylko wyglądał, jakby chwilę temu wyszedł z linii produkcyjnej, ale pachniał świeżością i nowością, w odróżnieniu od radiowozu, którym na co dzień jeździł na patrolu z Jaworskim. Tam pachniało stęchlizną, potem i brudem – pełna gama odorów, które zostawiali po sobie przewożeni przez nich bezdomni i pijani.

– Dziękuję. To moje dziecko, jak się śmieją niektórzy na komisa-riacie. Potrafię godzinami siedzieć w nim i polerować kierownicę czy czyścić szyby, takie zboczenie. Ale nie robię nikomu tym

krzywdy. Dziewczyna rzuciła mnie jakiś czas temu, więc mogę tu nawet spać – zaśmiał się na głos, jakby powiedział coś zabawnego.

Skręcili na niewielkie osiedle małych szarych bloków na Targówku, zaparkowali i wysiedli. To tutaj według aktualnych danych mieli zastać Krawieckiego. Podeszli do klatki, na której elewacji zawieszono tabliczkę z informacją, że w niej znajdują się mieszkania od 1 do 15. Ich interesowało to pod numerem 7. Bogucki wybrał odpowiedni przycisk i wcisnął ikonkę z dzwonkiem. Po kilku sekundach ktoś odebrał.

– Kto tam? – odezwał się zniekształcony głos.

– Policja, musimy porozmawiać z panem Krawieckim – powiedział niższy rangą policjant.

– Nie będę... – odpowiedział tamten, ale nie skończył, bo w tle usłyszeli damski głos:

– Proszę!

Po chwili ich uszu dobiegł syk, dający znać, że mogą wchodzić. Niższy rangą policjant popchnął drzwi i przeskakując po kilka schodów naraz, wdrapali się na drugie piętro.

Gdy tylko dotarli przed drzwi z numerem 7, te momentalnie się otworzyły. Pojawiła się w nich kobieta, a za nią mężczyzna. Oboje byli około pięćdziesiątki, z dość nalanymi twarzami. Jednak choć ona uśmiechała się serdecznie, on piorunował przybyłych funkcjonariuszy wzrokiem. Zaciśnięte zęby, przymknięte oczy i zmarszczony nos przywodziły na myśl pitbulla chwilę przed atakiem.

– Czego chcecie? – rzucił, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

– Komisarz Maksymilian Obrębski i młodszy aspirant Bartosz Bogucki, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz, mamy do pana kilka

pytań – powiedział spokojnym głosem i wyciągnął wiszącą na sznurku blachę, którą miał pod połami czarnej bomberki, jakby chciał uwiarygodnić ich przybycie.

– Znowu chcecie mi coś wcisnąć? Odsiedziałem swoje i jestem świętszy niż papież! – wykrzyczał z taką nienawiścią, że już co niektórzy odebraliby to jako atak na funkcjonariusza policji.

– Bardzo nas to cieszy, ale chcielibyśmy spytać, co robił pan siódmego maja wieczorem, a później w nocy?

Dwaj policjanci uważnie obserwowali mężczyznę. Zgodnie z ustaleniami patologa Monika Wieczorek umarła około dwunastu godzin przed jej znalezieniem. To dawało im godzinę dwudziestą jako punkt kontrolny. Następnym była pierwsza w nocy, kiedy artysta widział podejrzaną postać w parku na Kępie Potockiej.

Krawiecki stał z założonymi rękoma i kręcił głową.

– Serio? Chcecie mi wcisnąć coś, czego nie zrobiłem? Teraz tak się angażujecie, a jak ja was potrzebowałem, to mieliście mnie gdzieś. Zawsze wasz interes jest najważniejszy.

– Rozumiem, że nie pała pan do nas miłością. Jednak nie odpowiadam za czyny moich kolegów, ale mogę panu obiecać, że jeżeli nie ma pan nic do ukrycia, to damy panu święty spokój – odpowiedział cicho Obrębski, powodując szybką zmianę na twarzy mężczyzny. Ten prawdopodobnie oczekiwał ataku po swojej niezbyt sympatycznej deklaracji. – Dlatego jeszcze raz zapytam, co robił pan siódmego maja wieczorem?

Podejrzany spojrzał na stojącą przy nim kobietę, która przesunęła się na bok i nie stała już w pierwszej linii.

– Byliśmy razem – powiedziała, zanim on zdążył się odezwać. – Siedzieliśmy w domu i oglądaliśmy telewizję. Leciła wtedy... no... –

Próbowała sobie przypomnieć, ale gdzieś jej umknęło. Jej wzrok przeskakiwał bezradnie z jednego policjanta na drugiego.

– „Akademia policyjna” – odpowiedział jej Krawiecki, czym wywołał uśmiech na jej twarzy.

– No tak. Ty to zawsze masz dobrą pamięć, nie to co ja. Proszę sprawdzić. Grali o dwudziestą. A później jeszcze...

– „Żony z Hollywood”, na Playerze – skończył za nią lekko zawstydzony mężczyzna. – Później poszliśmy spać. Czy coś jeszcze chcą państwo wiedzieć? Co jedliśmy? Co piliśmy i w co byłem ubrany?

– Nie. – Wyraźnie rozbawiony Obrębski popatrzył na mężczyznę, mając mieszane uczucia. – Czy zna pan Monikę Wieczorek?

Mężczyzna pokręcił głową przecząco, a na jego twarzy nie pojawił się nawet cień grymasu, który mógłby świadczyć o tym, że kłamie.

– A kto to taki? – spytała kobieta z zainteresowaniem i zrobiła pół kroku do przodu.

W tym momencie stojący bliżej niej Bartosz Bogucki poczuł zapach smażonego jedzenia, a dokładniej cebuli lub innego składnika, które podsmażane wydzielają intensywny zapach i wżerało się w ubranie na długo.

– Kobieta, która została zamordowana – odpowiedział Obrębski, nie odrywając wzroku od mężczyzny.

Ten patrzył gdzieś ponad policjantami. Jego wzrok był nieobecny, jakby próbował w pamięci znaleźć jakieś połączenie z wymienioną kobietą. Po kilkunastu sekundach, które trwały niezwykle długo, w końcu się odezwał:

– Nie mam pojęcia, kto to. Zupełnie nie kojarzę nazwiska.

– A Dominika Sowińskiego pan zna?

– Pewnie, że znam! – krzyknął oburzony i spojrzał na rozmówcę. – To ten skurwiel, co mnie oskarżał.

– Monika Wieczorek była jego córką.

– O kurwa... – powiedzieli w tym samym momencie kobieta z mężczyzną.

Niestety policjanci podczas tej wizyty nie uzyskali nic poza zapewnieniem, że Krawiecki nie znał kobiety i w dniu jej zamordowania grzecznie siedział w domu.

Kolejny podejrzany, Grzegorz Barański, został wyeliminowany w momencie, gdy otworzył drzwi. Wspierał się na kulach z powodu złamanej nogi. Wypadek miał ponad dwa tygodnie wcześniej, na potwierdzenie czego przyniósł im wypis ze szpitala z długim opisem, gdzie lekarz w skomplikowany sposób tłumaczył doznane w wyniku upadku z rusztowania złamanie, które skończyło się gipsem i długą śrubą. Szybko się pożegnali i pojechali do ostatniego z trzech wytypowanych mężczyzn.

– Zenon Ludwiczak? – spytał Obrębski stojącego przy dystrybutorze mężczyzny. Według jego żony powinien być w pracy, na jednej ze stacji benzynowych na wylocie na Gdańsk.

– A kto pyta? – rzucił niezbyt miłym głosem i zmierzył wzrokiem stojących przed nim funkcjonariuszy. Żaden z nich nie zdążył odpowiedzieć, bo z jego ust padło krótkie słowo, wypowiedziane z nienawiścią: – Psy?

– Komisarz Maksymilian Obrębski i młodszy aspirant Bartosz Bogucki. Komisariat Policji na Żoliborzu. Mamy do pana kilka pytań.

– Nie możecie mi już odpuścić? Będziecie mnie nękać do końca życia?

- Chyba pan na to zasłużył – rzucił podirytowany Obrębski. – Co pan robił wieczorem siódmego maja?

- Nie pamiętam. Pewnie byłem w domu albo poszedłem na piwo, a może siedziałem w robocie. Kuźwa, ja nie pamiętam, co robiłem pół godziny temu. – Mężczyzna odwrócił się do nich tyłem i pokazał długą bliznę z tyłu głowy. – W więzieniu mnie pobili. Już prawie im uciekłem, gdy jeden typek mnie popchnął. Wywinałem orła, bo to w łaźni się działo, i przywaliłem łbem w próg. Medycy powiedzieli, że powinienem się cieszyć, że żyję, że nie umarłem lub nie zostałem pieprzoną roślinką. Ale niestety od tego czasu nie działa mi pamięć, no ta... – Ludwiczak zaciął się i spojrzał błagalnie na policjantów, licząc na ich pomoc.

- Pamięć krótkotrwała – pomógł mu Bogucki i poczuł lekkie ukłucie współczucia do stojącego przed nim starszego mężczyzny. Nie różnił się od tych, których codziennie mijał na ulicach: wielka łysina na czubku głowy, sporych rozmiarów brzuch i skóra na twarzy tak porozciągana, jakby była z jakiejś miękkiej masy.

- No właśnie. Ja już nic nie jarzę, ale wiem, że gdyby nie ten pieprzony Sowiński, moje życie wyglądałoby inaczej.

- Przecież skazano pana na podstawie znalezionych dowodów genetycznych ze śliny – wtrącił Bogucki, zupełnie ignorując ustalenia z ich podróży. To kolega miał zadawać pytania, a on miał słuchać i się uczyć.

- Ten śliski gad zrobiłby wszystko, żeby mieć wyniki. Poznałem kilku gości, których jak ja wjechał do pierdła na podrobionych dowodach. On miał wszystkie moje ślady... no te...

- Biologiczne. – Tym razem Obrębski dokończył za mężczyzną.

- No. I wszystko sobie świetnie ogarnął. Szkoda, że nigdy nikt się temu nie przyjrzał. A mój obrońca był za słaby, żeby się w to zagłębić i pociągnąć za odpowiednie sznurki, więc przesiedziałem swoje. Mam nadzieję, że ten prokurator kiedyś zapłaci za to. Chętnie uciałbym mu ten łeb i naszczał do szyi, ale ja nie z tych, co przemocą rozwiązują problemy - powiedział mężczyzna smutno i odszedł.

Nie zatrzymywali go. Nie mieli więcej pytań.

- Myślisz, że mówi prawdę? - spytał Bogucki, gdy szli do samochodu.

- Nie wiem, wszystko jest... - Nie dokończył zdania, bo w tym momencie jego telefon zaczął dzwonić. Od razu odebrał. - Tak. Aha... - Kiwał głową, jakby rozmówca mógł go zobaczyć. - Brak śladów to też ślad - skomentował i rozłączył się. - Szef techników zabezpieczających dom Urszuli i Brygidy Kubiak stwierdził jednoznacznie, że nie ma żadnych oznak włamania, a to oznacza jedno. Kobieta знаła mordercę, skoro wpuściła go do domu.

- Morderczynię - wtrącił Bogucki i od razu pożałował. Poprawianie wyższego rangą kolegi, szczególnie na początku ich znajomości, nie było dobrym pomysłem.

- No tak. Więc trzeba sprawdzić wszystkich, którzy ich odwiedzali, znali. Nie wiem jak, ale musisz z Jaworskim sporządzić taką listę, a wtedy ruszamy z przesłuchaniami.

Rozdział 29

ONA

– Hej, Basiu! – usłyszałam i ktoś nagle rzucił mi się na szyję.

W pierwszym momencie miałam ochotę zacząć krzyczeć. Nigdy nie lubiłam, jak ktoś mnie dotyka, przytula. Oczywiście w domu tego nie doświadczałam, ale czasami przy okazji imprez rodzinnych jakaś ciotka się zagalopowała i zarzuciła na mnie ręce. Zawsze od razu moje ciało tężało i stawałam jak słup soli. Tym razem nie było inaczej. Po pierwszym szoku powiedziałam:

– Pomyłka. – Odepchnęłam kobietę i zmierzyłam ją wzrokiem.

Miała na moje oko dwadzieścia dwa, może dwadzieścia cztery lata. Niefarbowane włosy spięta w kucyk, a szara bluza z kapturem powodowała, że wyglądała nijak. Chwilę patrzyła na mnie, jakby trawiła to, co właśnie powiedziałam.

– To niesamowite. Jesteś tak podobna do mojej koleżanki z liceum, że to aż niewiarygodne. Spokojnie mogłabyś robić za sobowtóra Basi – rzuciła podekscytowana.

Jej oczy świeciły dziwnym blaskiem i cała trzęsła się z ekscytacji. Spoglądała na mnie, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nigdy nie lubiłam, gdy ludzie zawieszali na mnie wzrok, a ona robiła to w sposób

wyjatkowo intensywny. Czułam się tak, jakby przeświała mnie na wylot, miałam wrażenie, że zaraz jak bohater bajki zrobi we mnie dziurę, a moje wnętrze wyleją się przez nią na ziemię. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i odeszła jak najdalej, mimo że stałam na przystanku i czekałam na autobus. Jednak coś kazało mi zostać i drążyć temat. Nagle pojawiła się dziwna myśl, której uczepiłam się jak tonący liny.

– Nie znam jej, ale... – odpowiedziałam cicho i spojrzałam dziewczynie w oczy. – Jestem adoptowana, więc może ta...

– Basia – skończyła, zanim zdążyłam sobie przypomnieć wypowiedziane chwilę wcześniej imię.

– Tak, może ta Basia to moja rodzina.

Na jednym wydechu powiedziałam to zdanie i poczułam dziwną ulgę.

– W sumie to możesz mieć rację! – Podskoczyła radośnie, jakby właśnie trafiła szóstkę w totka. – Dam ci jej numer, zadzwonisz sobie do niej, jak wrócisz do domu.

Zaczęła grzebać w średnich rozmiarów torbie, którą przewiesiła sobie po przekątnej, tak że jej zasadnicza część opierała się na lewym biodrze. O tym zupełnie nie pomyślałam. Chciałam na spokojnie, siedząc w swoim nowym pokoju, wśród ludzi, którzy mnie polubili, zastanowić się, jak to wykorzystać.

– Ja... – zaczęłam się jąkać. – Potrzebuję chwili – powiedziałam i spojrzałam na rozmówczynię błagalnie.

Od razu przerwała swoje poszukiwania i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Rozumiem. W sumie to też byłabym w szoku, gdyby ktoś mi powiedział, że jestem ekstremalnie podobna do kogoś, kogo nie znam.

A może to twoja zaginiona lata temu siostra, o której istnieniu nie miałaś pojęcia? – rzuciła podekscytowanym głosem, a ja miałam ochotę zacząć się śmiać. Dziewczyna chyba wierzyła w to, co mówi, bo aż podskoczyła z radości z powodu swojego abstrakcyjnego pomysłu.

– Może... – westchnęłam, nie chcąc tego komentować dosadniej. Potrzebowałam jeszcze informacji dotyczących Basi, więc obrażanie rozmówczynie nie wchodziło w grę. – A jak ona się nazywa?

– Basia Wierzbicka. Słyszałaś to nazwisko?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Jakaś starsza kobieta stała kilka metrów od nas i patrzyła na nas nienawistnym wzrokiem. Spotkałam się z tym wielokrotnie, ale nigdy nie znalazłam uzasadnienia dla takiego zachowania. Osoby starszej daty patrzyły na innych z taką nienawiścią w oczach, że często bałam się tych wiotkich staruszek. Uśmiechnęłam się do niej, a ta momentalnie odwróciła głowę, jakbym rzuciła w jej stronę granat.

– To jest świetna dziewczyna. Jeżeli okaże się, że to twoja rodzina, to masz szczęście. Studiuje architekturę na Politechnice Warszawskiej. Nie ma rodzeństwa, ale nie jest rozpieszczoną jedynaczką, od razu ci powiem, żebyś się nie bała. Jest bardzo ogarnięta, a to pewnie dlatego, że od szesnastego roku życia mieszka sama. Najpierw w liceum w bursie, a potem w akademiku. Niestety jest z jakiejś małej dziury i tam nie było szkoły średniej, więc dojeżdżała codziennie siedemdziesiąt kilometrów. Po roku rodzice z bólem serca się zgodzili, żeby przeniosła się do stolicy. I tak się poznałyśmy. Wychowawczynie poprosiła mnie, żebym pomogła nowej uczennicy w adaptacji. Szczerze ci powiem, miałam wrażenie, że to jakaś forma kary. Nigdy nie lubiłam nikogo niańczyć. Przez pierwszy dzień traktowa-

łam ją jak odludka. Później, po latach, nie omieszkała mi tego wytknąć – zaśmiała się i zaczęła szperać w torbie.

Po chwili wyciągnęła paczkę papierosów. Wystawiła ją w moją stronę, ale pokręciłam przecząco głową, więc wyciągnęła tylko jednego i zapaliła go.

– Zachowywałam się jak największa sztywniara na świecie. Następnego dnia przyniosła mi ciasto, jabłecznik, w ramach podziękowania. To było chyba najlepsze ciasto, jakie w życiu jadłam. Podobno zrobiła je specjalnie dla mnie. Wciągałam je tak, że aż mi się uszy trzęsły, a Basia stała i się nie odzywała. Gdy skończyłam, rozmowa już szła innym torem. Od tego czasu się przyjaźnimy. Zawsze mi mówi, że kumpluję się z nią, bo liczę na ciasto. – Dziewczyna zaśmiała się i zaciągnęła mocniej trzymanym w prawej dłoni papierosem. – Koniecznie musisz się do niej odezwać. Jej rodzice zginęli rok temu w wypadku, więc nie ma zbyt licznej rodziny – rzuciła, nie usłyszawszy żadnego mojego komentarza. Zgasiła wypalonego w jednej trzeciej papierosa, rzucając go na ziemię i depcząc czarnym sportowym butem, i znowu zaczęła grzebać w torbie. Tym razem wyciągnęła notes, a ja się momentalnie uśmiechnęłam. – Dam ci jej adres – powiedziała, a ja poczułam się dziwnie, jakby czytała w moich myślach.

Pogadała jeszcze chwilę o tej dziewczynie, rzekomo podobnej do mnie, ale ja już nie słuchałam. W rękę trzymałam wyrwaną kartkę z adresem i liczyłam, że ten kawałek papieru rozwiąże wiele moich problemów.

Rozdział 30

– Ktoś na Żoliborzu znalazł właśnie ucho w swojej skrzynce na listy – powiedział Maksymilian Obrębski, wchodząc do pomieszczenia, gdzie siedzieli Jaworski z Boguckim. Jak zwykle wyglądał, jakby szedł na mecz lub do pubu. W rękę trzymał termiczny kubek, a zaczesane do tyłu włosy tworzyły coś na kształt irokeza. – I teraz pytanie, czy ma to związek z naszą damą bez głowy?

– A może to ucho Moniki Wieczorek? – rzucił Jaworski, który na prośbę kolegi obiecał bardziej angażować się w prowadzone śledztwa.

– To byłoby zbyt piękne – westchnął komisarz. – Poza tym już to sprawdziliśmy. Przede wszystkim kształt się nie zgadza. To znalezienie ma wolny płatek, a zamordowana miała zrośnięty, co, jak się dowiedziałem, jest cechą rzadszą. Dla nas nie ma to znaczenia, poza tym, że już bez badań genetycznych wiemy, że to nie ucho Moniki Wieczorek.

– To ciężko będzie dopasować je do konkretnej osoby.

– Generalnie tak, ale jest jeden szczegół, który daje szansę na identyfikację. Kolczyk. Podobno bardzo drogi. Wezwałem już do pomocy specjalistę od biżuterii, może dzięki temu uda nam się dojść, kto go kupił, a tym samym kto jest ofiarą.

– Ale czy ona może jeszcze żyć? – spytał Bogucki z troską w głosie.

– Tak, chociaż wtedy to by oznaczało, że jest w rękach jakiegoś psychopaty, chyba że ją gdzieś porzucił, żeby wykrwawiła się w rowie. Na razie jest więcej pytań niż odpowiedzi. Czyje to ucho? Czy ma to coś wspólnego z morderstwem Wieczerek? Czy ofiary się znały? Czeka nas sporo roboty. I... – Mężczyzna zawiesił głos i zerknął na telefon, który zapiszczał z powodu odebranej właśnie wiadomości. Szybko coś komuś odpisał i podniósł wzrok na dwóch wyczekujących dalszych informacji funkcjonariuszy. – Pewnie zastanawiacie się, kto miał tę niezbyt miłą przygodę i dostał paczkę z uchem.

Obaj kiwnęli głowami.

– Starsza pani – zaśmiał się smutno i włożył aparat do tylnej kieszeni spodni. – Prawie dostała zawału, a mimo to zachowała się bardzo rozsądnie, bo nie dotknęła ucha i natychmiast zadzwoniła po policję, informując od razu o zdarzeniu, przez co szybko na miejsce dotarli technicy. Pani zupełnie nie wiedziała, dlaczego ktoś jej to wysłał ani czyje ucho mogłoby to być. Nie ma dzieci, a jedyna jej siostra ma dwóch synów.

– Czyli teraz wszystko w rękach tego specy? – westchnął Bogucki i sięgnął po kubek z zimną kawą. Tak zaaferował się przeszukiwaniem informacji dotyczących Urszuli i Brygidy Kubiak, że zapomniał, że ciepło ulatuje z brązowego napoju. Z lekkim obrzydzeniem wlał w siebie kilka łyków. Nigdy nie znosił zimnego jedzenia oraz picia, oczywiście z wykluczeniem piwa i drinków z alkoholem.

– Tak, chociaż w tej kwestii na wejściu mieliśmy trochę szczęścia, bo akurat był w okolicy i już siedzi i się zmóżdża. Mam nadzieję, że

zaraz ... – Nie skończył, bo jego telefon zaczął dzwonić. – O wilku mowa.

Wyciągnął go z tylnej kieszeni, odebrał i po szybkiej, kilkuzdaniowej rozmowie wyszedł.

– Marlena do mnie właśnie napisała – rzucił Kamil Jaworski, jak tylko za Obrębskim zamknęły się drzwi. – Twierdzi, że przeze mnie ma zakwasy od śmiania się i nigdy nie bawiła się tak świetnie. – Obrócił się w stronę kolegi, prezentując pełen zadowolenia uśmiech.

– Co ty jej zrobiłeś? Łaskotałeś ją cały wieczór? – spytał z przekąsem Bogucki.

Z niewiadomych przyczyn poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Od ponad tygodnia czuł się wolny, mimo że była dziewczyna cały czas nękała go telefonami, SMS-ami, mailami, a raz nawet przyszła do pracy.

Gdy trzy dni wcześniej wyszedł z komisariatu, usłyszał jej głos:

– Musimy pogadać.

Siedziała na ławce niedaleko głównego wejścia i czekała na niego. Musiała spędzić tam trochę czasu, bo tego dnia wyszedł ponad dwie godziny później, niż powinien. Ubrała się tak, jak lubił najbardziej. Obcisłe spodnie typu rurki z wysokim stanem i wpuszczona w to koszula. Wiedział dobrze, że poświęciła się dla niego, ponieważ wielokrotnie komentowała taki strój, mówiąc, że nie lubi, gdy ma coś wsunięte w spodnie. Jednak teraz z przyklejonym do twarzy uśmiechem biegła za nim, ponieważ gdy tylko ją zobaczył, skręcił w przeciwnym kierunku. Nie miało znaczenia, że idzie nie tam, gdzie powinien. Nie chciał konfrontacji, szczególnie przed miejscem pracy, gdzie w każdym momencie mógł wyjść któryś

z jego kolegów i zobaczyć dramat, który, jak się niestety spodziewał, miał się zaraz rozegrać.

– Proszę, porozmawiajmy! – krzyczała, biegnąc za nim.

Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, a ona o trzydzieści centymetrów mniej, co powodowało, że stawiał zdecydowanie większe kroki, więc nie musiał iść bardzo szybko, aby mieć nad nią przewagę.

– O czym? – W końcu zatrzymał się i obrócił do niej. – O tym, jak beznadziejny jestem? O tym, że wszyscy mężczyźni robią wszystko lepiej ode mnie? O tym, jak okropną pracę wykonuję i najlepiej, jakby twój tatuś mnie zatrudnił, bo inaczej niczego w życiu nie osiągnę? O czym? Proszę, mów! – Wyrzucał z siebie każde słowo, powodując, że stojąca przed nim Ala zrobiła się jeszcze mniejsza.

– No... Hmm... – Dziewczyna błędziła wzrokiem, patrząc raz na stojącego przed nią mężczyznę, raz na przechodzące osoby. Bartosz Bogucki dobrze wiedział, że Ala nie czuje się teraz komfortowo. Od zawsze go uciszała, gdy będąc w miejscu publicznym, nagle zaczynał głośno się śmiać czy krzyczeć. Nie lubiła zwracać w taki sposób na siebie uwagi, mimo że bycie na świeczniku jej nie przeszkadzało.

– No, hello, powiesz coś? Nie mam zamiaru tutaj stać wieki – rzucił i zaczął się odwracać, jednak nie zdążył wykonać do końca tego ruchu, bo chwyciła go za przedramię.

– Zaczekaj – powiedziała i pokazała głową na stojącą obok drewnianą ławkę, na której ktoś sprejem napisał „Legia pany”. – Możemy usiąść i pogadać. Na spokojnie.

Spojrzała na niego z głową pochyloną lekko w dół i zrobiła smutną minę. Wiedział dobrze, że robi to celowo. Już wielokrotnie testowała na nim te chwytaki i często dawał się ugłaskać. Miły ton, od-

powiednia mimika i zapominał o przyczynie kłótni. Ale teraz sprawa wyglądała inaczej i zamierzał być twardy.

– Dobra. Masz pięć minut. – Spojrzał na zegarek, jakby faktycznie wyznaczał jej czas. Nigdzie się nie spieszył. Mógł dotrzeć do mieszkania kolegi i za trzy godziny, ale stojąca przed nim dziewczyna o tym nie wiedziała, a on zamierzał to z premedytacją wykorzystać. Podszedł do ławki i usiadł. Nie patrzył na nią. Czekał.

– Ja... No... – Jak nie ona, nie mogła znaleźć odpowiednich słów. – Po pierwsze przepraszam.

Bartosz Bogucki cały czas patrzył w dal z poważną miną. Obserwował małego pieska, który po drugiej stronie ulicy załatwiał się na trawniku, a wyprowadzający go przypakowany ponad normę mężczyzna udawał, że tego nie widzi. Gdyby nie sytuacja, w której się znalazł, chętnie podszedłby do niego i zwrócił uwagę.

– Za co? – odpowiedział beznamiętnie. Był świadomy, ile ją kosztują takie słowa jak „przepraszam”, ale nie zamierzał ułatwiać jej sprawy. Poza tym znęcanie się nad nią niezmiernie go radowało.

– Za wszystko. Wiem, że przesadzam. Wiem, że się czepiam. Nie powinnam. Nie jestem lepsza od ciebie. Brakuje mi twojego towarzystwa w domu. Proszę, daj mi szansę...

Ostatnie zdanie powiedziała bardziej melodyjnie, aż poczuł ścisk w żołądku. Tak bardzo czekał na te słowa, a gdy przysły, poczuł zderzenie. Nie było ono jednak spowodowane radością, że w końcu je usłyszał, ale tym, że czuł, że już nie chce być z nią.

– A co chcesz zmienić, żeby było lepiej? – rzucił, nie odwracając wzroku od mężczyzny, który wyglądał prześmiesznie z małym włochochatym czworonogiem. Jego wielkie mięśnie były widoczne z daleka za sprawą mocno opinającej jego ciało koszulki z długimi rękawami

i spodni dresowych, które powinien mieć co najmniej o numer większe.

– No... – zaczęła dziewczyna, ponownie się zacinając. Dobrze wiedział, że nie zastanawiała się nad tym ani przez sekundę. Liczyła, że pustymi frazesami przekona go do powrotu do niej. – Będę się mniej czepiać – zaczęła niepewnie, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi.

– Czyli jednak się mnie czepiasz? – powiedział z lekką radością w głosie i odwrócił się w jej stronę. – Przy każdej kłótni twierdziłaś, że sobie wymyślam i wcale się mnie nie czepiasz, a teraz zmieniasz zdanie?

Dziewczyna oblała się rumieńcem, a jej oczy momentalnie się zaszkliły.

– Wiem. Jestem okropna. To wszystko mnie chyba przerasta – powiedziała cichym głosem i takim innym niż zazwyczaj. – Nie wiem dlaczego, ale zachowuję się jak ostatnia żoźza.

– Ostatnia żoźza – powtórzył po niej cicho Bogucki i spojrzał na nią. – Powtórzę się, bo już wiele razy ci to mówiłem, ale mnie wyśmiewałaś. – Zawiesił głos. Za każdym razem, gdy o tym wspominał, dostawał bury, więc przez chwilę się zawahał. Wziął głęboki wdech i powiedział: – Wyssałaś to z mlekiem matki. Zauważ, że twoja mama robi dokładnie to samo, a ty jesteś jej wierną kopią.

– Chyba tak – westchnęła, czym go niezmiernie zdziwiła. Nie krzyczała, nie powtarzała, że sobie coś ubzdurał. Pierwszy raz przyznała mu rację. – I co teraz z nami będzie?

– Nie wiem – powiedział. Dobrze mu było bez niej, ale lata spędzone razem powodowały, że czuł się w obowiązku dać jej szansę. – Muszę to przemyśleć. Możemy umówić się w weekend na kawę.

- Na kawę? - powtórzyła po nim mocno zmieszana. Swoim zwyczajem wydeła nozdrza i zmarszczyła nasadę nosa, który miał mały garb. Według Boguckiego dodawał jej uroku, jednak dziewczyna miała inne zdanie na jego temat. Nieraz słyszał, że kiedyś podda się operacji, bo wygląda jak wiedźma.

- Tak, odezwę się później - rzucił i szybko wstał. Nie chciał tego przeciągać. Czuł, że ma nad nią władzę. Pierwszy raz to on był górą.

Dzięki temu od dwóch dni chodził jeszcze bardziej wyprostowany. Wszystko układało się idealnie. W końcu czuł się wolny, a w pracy otworzyły się możliwości, jakich nigdy nie miał. Z Jaworskim przesłuchali sąsiadów zamordowanej Brygidy Kubiak i leżącej nadal w szpitalu Urszuli. Okazało się, że jedna z sąsiadek miała wrażenie, że widziała kogoś kręcącego się w pobliżu ich domu.

- Może pani opisać tę postać? - dopytywał Jaworski, który coraz bardziej wczuwał się w swoją nową rolę i chyba zaczynało mu się to podobać.

- Nie widziałam twarzy, bo stałam za daleko. Poza tym wtedy wracałam z bardzo ciężkimi zakupami ze sklepu spożywczego i zastanawiałam się, co za zupę powinnam zrobić. To był czwartek, a w sobotę syn planował wpaść. On lubi pomidorową, ale kręci nosem, jak nie jest świeża, a ja potrzebowałam obiad też na piątek. W końcu wymyśliłam, że zrobię najpierw rosół, a w sobotę go zabarwię pomidorami i będzie jak w tej piosence, „dzisiaj będzie pomidorowa, zrobiona z rosółu z wczoraj” - zaczęła podśpiewywać kobieta, a dwaj policjanci aż się uśmiechnęli, mimo że po pięciu godzinach rozmów ze sfrustrowanymi dziadkami i babciami mieszkającymi w okolicy czuli zmęczenie.

– Mam nadzieję, że zupa smakowała, jednak wróćmy do sedna – przerwał koncertowe wykonanie Bogucki i uśmiechnął się. – Co pani widziała?

– Ten ktoś był niewysoki i raczej szczupły, dlatego stawiałabym na kobietę. Przepraszam, ale twarzy nie widziałam, ponieważ miała nasunięty kaptur i pochylała w dół głowę. Zawsze w filmach robią tak ci źli.

– Kiedy to dokładnie było?

– W czwartek przed tym atakiem na Kubiak – odpowiedziała kobieta i zarzuciła głową, powodując, że jej długie włosy mocno się zakolewały. Rozmówczyni miała około czterdziestu pięciu lat. Jej twarz dekorowały liczne zmarszczki, za to idealnie brązowe włosy zupełnie nie pasowały do wieku i przyciągały uwagę. – Stała po drugiej stronie ulicy niż one mieszkają. Ani tam nie ma przystanku, ani sklepu, ani niczego, więc wyglądało to nienaturalnie. Niby grzebała w telefonie, ale coś mi w niej nie pasowało.

– I jest pani pewna, że to nikt z okolicy? – spytał Bogucki i podrapał się za uchem.

– Nie – odpowiedziała i pokręciła głową. – Nie ma takiej opcji. Ja tutaj się wychowałam, mieszkam od urodzenia w tej okolicy. Przeprowadziliśmy się, gdy miałam siedem lat, ale raptem o trzysta metrów. Nosiliśmy wszystko kartony sami, co zajęło nam tydzień i spowodowało, że mama później do końca życia borykała się z poważnymi problemami z plecami od dźwigania ciężkich rzeczy. Tylko meble pomógł przewieźć sąsiad, który jeździł wiekowym starem. Niestety był wstrętnym dziadem i powiedział, że za flaszkę to tylko dwa kursy może zrobić. Całe życie tutaj spędziłam, więc muszą mi pano-

wie uwierzyć, że chyba w promieniu kilkuset metrów znam wszystkich.

– A czy później widziała pani tę postać?

– Wydaje mi się, że gdzieś mi mignęła, ale nie pamiętam... – Podrapała się po czole. – Przepraszam. Chyba sobie nie przypomnę.

– Rozumiem, a czy jest ktoś w okolicy, kto zna wszystkich równie dobrze jak pani? – spytał Bogucki.

– Nie. Wszyscy się powyprowadzali. To miejsce nie zachęca niestety. Kto mógł, to się wyniósł na lepsze. Ja zostałam z sentymentu.

Dalsze przesłuchania sąsiadów nie wniosły nic do sprawy. Na komisariacie wrócili do dalszych poszukiwań informacji o zamordowanej, gdy drzwi do pokoju się otworzyły i wpadł niczym błyskawica Maksymilian Obrębski. Zmierzył dwóch policjantów z prewencji i rzucił:

– Jaworski, jedziesz ze mną.

Bogucki spojrzał na kolegę zdziwiony, ale nie pozostało mu nic innego, jak wzruszyć ramionami. W końcu sam zachęcał go do większego zaangażowania w prowadzone sprawy, a najłatwiej było to zrobić, będąc na pierwszej linii, a szczególnie mając u boku samego komisarza.

Rozdział 31

Grażyna Trawińska patrzyła na niego już inaczej. Nie nienawistnie. Jej oczy nie wychodziły z oczodołów, jak przy niedoczynności tarczycy. Jej spojrzenie kryło zrezygnowanie. Jakby wola walki o własne życie, którą prezentowała wcześniej, szarpiąc się z linami, gdzieś zaginęła.

Po jej nabrzmiąłych od wypełniaczy policzkach łzy leciały już bardzo sporadycznie.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Nigdy nie darzył jej sympatią, ale liczył, że będzie jak lwica, która walczy ile sił, a ona okazała się małą sarenką, która szybko czmycha przerażona w kącik i czeka na zbliżający się koniec.

Usiadł naprzeciwko niej i obserwował. Dziwnie wyglądała bez jednego ucha. Gdy się uspokoiła, założył jej opatrunek. Nie dlatego, że brzydził się krwi. Nie dlatego, że chciał ją zabezpieczyć przed bakteriami, aby nie wdało się zakażenie.

Sprawa była o wiele prostsza. Nie chciał, aby jej krew ubrudziła podłogę jego ukochanego mieszkania. Zabezpieczył posadzkę podwójną warstwą folii, ale i tak obawiał się, że gdzieś zostawił małą dziurkę lub jakaś pojawi się w niewyjaśnionych okolicznościach, przez co choćby niewielka kropla dotrze do białych paneli.

– Pewnie chcesz wiedzieć, co tu robisz i dlaczego jest tutaj twoja koleżaneczka.

Kobieta nie kiwnęła nawet głową, ale zignorował to.

– Monika Wieczorek. Modeleczka, aktoreczka, a przede wszystkim osoba, która z jakichś nieznanych mi przyczyn uwierzyła, że jest lepsza od innych. Jej pycha i pewność siebie gorszyły wielu, ale dopiero ja miałem jaja, by coś z tym zrobić. Zetrzeć jej z ust ten głupi uśmieszek... – W tym momencie zaśmiał się tak przerażająco, że kobieta zamknęła oczy. Nie mogła uciec, założyć rąk na uszy... ucho... aby chociaż w ten sposób odciąć się od tego dźwięku. Tylko cienkie powieki dawały jej iluzoryczną barierę między nią a oprawcą. – Ten uśmieszek miała do samego końca. Prężyła się do mnie niczym piszczak, zapominając, że był ktoś, komu niby oddała serce. Suka jedna. Kolejna. Dlatego pozbawiłem ją głowy. – Z dumą wypisaną na twarzy spojrzał na umieszczoną na siedzącym przy stole manekinie głowę, która nawet teraz sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie i życia. – A ty dołączyłaś do niej, ponieważ jesteś największym leniem, jakiego matka natura stworzyła. Twój brak ambicji, chęci do bycia kimkolwiek więcej poza lalą do dmuchania, wywołuje u mnie obrzydzenie. Mogłabyś pomagać innym. Dawać coś od siebie, ale nie. Ty zajmujesz się tylko sobą. Nawet twoje dzieci patrzą na ciebie jak na gówno, które lepiej omijać z daleka, bo spotkanie z nim nie przynosi jakichkolwiek korzyści, a raczej tylko problemy i smród nie do zniesienia.

Kobieta otworzyła delikatnie oczy, a po jej policzkach popłynęła dawno niewidziana łza. Jakby jego słowa zagrały na jakiejś strunie, tak długo, a może nigdy nieużywanej.

– Ojoj, zasmuciła się biedronka – powiedział ze sztuczną troską w głosie, a jego usta wygięły się w podkówkę. – Nie bój się, dam ci

szansę się zrewanżować. Twoje organy oddamy na przeszczepy. Uwierz mi, nie było to łatwe do zorganizowania, bo w tym naszym chorym kraju prawo związane z transplantologią jest zadziwiająco skomplikowane, ale dałem radę. – Zaśmiał się, a na twarzy kobiety pojawiło się znowu przerażenie. Jakby te kilka słów zadziało jak strzał w policzek. – Niestety nie wszystko da się wykorzystać, bo coś muszę zostawić dla siebie. Ale parę osób na tym skorzysta.

Mężczyzna wstał z krzesła, na którym siedział dłuższy czas, i momentalnie poczuł ulgę. Miał wrażenie, że jego pośladki się spłaszczyły, a plecy zgarbiły ponad normę.

Podszedł do kobiety i dotknął jej twarzy. Ku jego zaskoczeniu próbowała się wyrwać, ale nie miała jak uciec. Mocniej docisnął swoją dłoń do jej skóry i mierzył ją wzrokiem. Przesuwając rękę od lewego ucha, które było na swoim miejscu, dotarł do nosa, przejechał przez jego grzbiet na drugą stronę, aż przez prawy policzek dotarł do miejsca, gdzie jeszcze niedawno było ucho.

Oddech kobiety robił się coraz cięższy, jakby spodziewała się najgorszego.

Zerwał plaster i zapominając o swoim lęku przed plamami na podłodze, zaczął drapać ją po ranie, wbijając paznokcie w skórę. W końcu włożył palec wskazujący prawej dłoni w kanał słuchowy tak głęboko, że dotarł do błony bębenkowej i... ją przebił.

Rozdział 32

ONA

Wiola i Gabrysia nie tylko zapewniły mi wikt i opierunek, ale również pomogły znaleźć pracę. Początkowo myślałam, że to dlatego, że chcą się mnie jak najszybciej pozbyć, ale się pomyliłam. Ani razu nie napomknęły o mojej wyprowadzce, a nawet nie chciały ode mnie pieniędzy, żebym dorzuciła się do czynszu czy innych kosztów.

– Młoda – powtarzały zamiennie za każdym razem, gdy przychodziłam z wypłatą i w wyciągniętej ręce podawałam którejś z nich. – Schowaj to. Kup sobie coś fajnego. Nam to życia nie odmieni, a tobie trochę. Korzystaj z niego. Pójdź do kina lub muzeum. Do imprez namawiać nie będę, ale jak bardzo chcesz, trudno. Tylko z głową, bo z tego mogą być różne problemy.

No to tak robiłam, tylko zamiast oglądać filmowe nowości na sali wypchanej obcymi ludźmi, wołałam co innego. Śledzenie. Już dawno temu odkryłam, jak dobrze się w tym czuję i jak bezproblemowo mi to wychodzi. Może dlatego, że przez całe życie starałam się być niewidzialna. Nie wzbudzać jakichkolwiek reakcji czy emocji.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam Barbarę Wierzbicką, aż mnie zaskoczyła. Wyglądała jak moja kopia. Może mierzyła trochę więcej centy-

metrów niż ja, ale bałam się sprawdzić, bo od razu by mnie zauważyła, a wtedy cały plan ległby w gruzach i nie wybaczyłabym sobie tego przez długi czas.

Praktycznie codziennie za nią chodziłam. Każdego dnia po pracy w gabinecie fizjoterapeutycznym ojca Gabrysi, gdzie zaczynałam już od siódmej rano, szłam pod biuro architektoniczne, gdzie pracowała moja sobowtórka. Z tego, co udało mi się dowiedzieć od jej koleżanki spotkanej na przystanku, studiowała na Politechnice Warszawskiej na kierunku architektura. Od dwóch lat miała chłopaka, ale nigdy nie pokazywali się razem w miejscach publicznych. Od razu czułam, że musi za tym stać coś ciekawszego. Dlatego gdy śledząc ją po pracy, zobaczyłam, jak wsiada do samochodu zaparkowanego trzy ulice od biura, aż podskoczyłam z ekscytacji. Wszystko wyglądało dość dziwnie, bo zanim pociągnęła za klamkę, rozejrzała się trzy razy. Najpierw pomyślałam, że może jest panią do towarzystwa i za kierownicą zobaczę dużo starszego mężczyznę, jednak bardzo się pomyliłam. Czekał na nią niejaki Miłosz Kot, którego kojarzyłam z broszury firmy zatrudniającej Barbarę. Po zbieżności nazwisk od razu wiedziałam, kim jest – synem właścicieli.

Niestety tego dnia musiałam odpuścić dalsze śledzenie. Brak auta mocno mnie ograniczał, a śledzenie na nogach nie wchodziło w grę. Mimo to byłam z siebie zadowolona.

Każdy kolejny dzień utwierdzał mnie w przekonaniu, że Wierzbicka jest rozwiązaniem moich problemów. Gdy po trzech tygodniach obserwacji udało mi się podsłuchać, że wybiera się nad morze, wiedziałam, że to dobry moment, aby przejść do następnego etapu.

Trochę mnie przerażało to, że muszę jakoś dostać się do jej mieszkania, ale okazało się to łatwiejsze, niż myślałam. Przez kilka dni siedziałam w swoim pokoju i ćwiczyłam otwieranie różnych kłopotliwych u ślusarza zamków. Wreszcie się odważyłam i poszłam na zwiady pod jej mieszkanie na warszawskiej Ochocie. Okolica nie prezentowała się najlepiej, ale nie miało to znaczenia.

Gdy w końcu Barbara Wierzbicka wsiadła do taksówki z wielką torbą podróżną, ucieszyłam się. Wróciłam następnego dnia, pewna, że moja sobowtórka odpoczywa już nad Bałtykiem. Weszłam po kilku schodach na niski parter i stanęłam przed drzwiami z cyfrą 2. Wyjęłam cieniutki wytrych – kupiłam go u śmiesznego pana, który przez dobre piętnaście minut opowiadał mi o swoim wnuczku pragnącym zostać włamywaczem, zupełnie ignorując totalny brak zainteresowania z mojej strony.

Ręce mi się trzęsły niemiłosiernie, a pot spływał po plecach, mimo że majówka nie należała do najcieplejszych. Na dworze było raptem kilka stopni i w powietrzu czuło się jeszcze zimę, a nie wyczekiwaną przez większość wiosnę.

Wtedy stało się coś strasznego. Drzwi za mną otworzyły się i stanęła w nich starsza kobieta. Myślałam, że zsikam się ze zdenerwowania. Dłonie drżały mi tak, że aż metalowy przyrząd wypadł mi z rąk i poleciał w jej kierunku. Byłam bliska omdlenia. Ale wtedy wydarzył się cud, o którym zupełnie nie pomyślałam.

Głupia ja.

– Ale mnie przestraszyłaś – rzuciła i uśmiechnęła się do mnie. – Myślałam, że to złodziej. – Kobieta szczyrzyła się do mnie, pokazując zapewne sztuczne zęby, a ja tkwiłam jak wmurowana. Przez kilka sekund nie wiedziałam, o co jej chodzi, ale gdy pierwszy szok minął,

uzmysłowiłam sobie, że ona myśli, że stoi przed nią właścicielka mieszkania, Barbara Wierzbicka.

– Przepraszam – odpowiedziałam cicho. W mojej głowie pojawiła się żaróweczka, jak w kreskówkach Walta Disneya. Mój głos był nieco inny niż mojej sobowtórki, więc pokazałam na gardło i teatralnie zakaszlałam, zasłaniając usta i odsuwając się na dwa metry.

– Coś cię łapie? – spytała, a ja kiwnęłam głową. – Teraz tyle jakichś paskudstw lata w powietrzu... Mój wnuk ostatnio wylądował w szpitalu. Zresztą mówiłam ci, że dostał wysokiej gorączki. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Nudności. Przestał jeść, więc musieli zawieźć go na SOR, żeby dostał kroplówki, i tym sposobem siedzi tam już tydzień.

– Przykro mi – skomentowałam szeptem i kaszlnęłam trzy razy, aby uwiarygodnić moją niedyspozycję.

– A właściwie co ty robisz? Klucze zgubiłaś?

Kiwnęłam głową i zrobiłam smutną minę. Ta zabawa coraz bardziej mi się podobała.

– Boże, dziecko drogie! – zapiszczała babcia i potrząsnęła głową, na której krótkie włosy w kolorze gołębim nawet nie drgnęły, zapewne za sprawą dużej ilości lakieru. – Przecież ja mam zapasowe, zapomniałaś? – I nie czekając na mój komentarz, zniknęła w swoim mieszkaniu.

Po minucie wróciła z dwoma kluczami zawieszonymi na kolorowej smyczy.

– Proszę – powiedziała i podała mi je.

Wyszeptałam cicho „dziękuję” i uśmiechnęłam się najszczerzej, jak potrafiłam. Chwilę jeszcze stała, opowiadając o ostatnio kupio-

nej włoszczyźnie, która już w domu okazała się zgniła, i w końcu wróciła do swojego mieszkania.

Obróciłam się do drzwi pod numerem 2, włożyłam do zamka jeden z kluczy i przekręciłam go. Od razu na wejściu zdjęłam buty. Nie chciałam zostawiać po sobie żadnego śladu.

Mieszkanie było spore. Z szerokiego korytarza, gdzie całą jedną ścianę zajmowała szafa wnękowa, przeszłam do ogromnego salonu. Na środku stała gigantyczna skórzana kanapa, na co najmniej pięć osób. Do kompletu były dwa pufy, a w centralnym miejscu ustawiono szklany stolik, na którym w wazonie dziewczyna wstawiła piękny bukiet kwiatów, zapewne otrzymany od swojego potajemnego chłopaka.

Dopiero gdy obróciłam się w lewo, zobaczyłam kawałek szafki przez coś, co wyglądało jak okno. Gdy podeszłam bliżej, okazało się, że jest to sporych rozmiarów dziura, a po drugiej stronie jest kuchnia wraz z jadalnią, do której prowadzą drzwi mieszczące się na prawo od tego wynalazku.

Nigdy nie widziałam takiego rozwiązania. Tak jakby ktoś, kto gotuje, chciał mieć kontakt z wypoczywającym na kanapie, ale również odgrodzić sekcję jadalnianą od tej do relaksu.

Gdy weszłam do kuchni, zdębiałam. Barbara Wierzbicka miała dość specyficzny gust, tak inny od mojego. Ja uwielbiam beże, drewno, a tutaj królowała biel i czern. Wszystkie fronty szafek lśniły jasną barwą, z czym matowa podłoga w czarnym kolorze mocno kontrastowała. Stół również był czarny, jednak stojące przy nim krzesła oraz wielki żyrandol – białe.

Podeszłam do lodówki, otworzyłam ją i oniemiałam. Gabrysia i Wiola zawsze miały wszystko, co potrzebne, ale ta imponowała mi

jeszcze bardziej. Miałam wrażenie, że jedzenie ustawione jest kolorystycznie. Na górze stał nabiał w jasnych lub wręcz białych opakowaniach. Niżej zawekowane zupy, sądząc po kolorze – głównie pomidorowa i dyniowa, a na samym dole sałaty, ogórki. Na drzwiach od środka również panował niezwykle porządek. Soki w niewielkich plastikowych buteleczkach zajmowały prawie całą przestrzeń.

Wyjęłam jedną butelkę, czując się jak rasowa złodziejka. Odkręciłam nakrętkę i rozejrzałam się. W tym pomieszczeniu poza drzwiami do salonu znajdowały się jeszcze jedne. Powoli do nich podeszłam, otworzyłam je i zrobiłam krok do przodu. Od razu wpadłam na mop i zestaw do sprzątania.

– Składzik – powiedziałam sama do siebie i wróciłam do salonu.

Tak bardzo zaaferowałam się dziurą między kuchnią a salonem, że nie zauważyłam dwóch par białych drzwi. Jedne prowadziły do gigantycznej łazienki, w której stała przepiękna wanna na czterech filkuśnych nóżkach. Jak dla mnie nie wyglądały stabilnie, szczególnie że miały utrzymać ciężar nie tylko wanny, ale i jej zawartości – osoby kąpiącej się i masy wody. Ku mojemu zaskoczeniu Wierzbicka miała do dyspozycji również prysznic, więc mogła korzystać z nich zamiennie.

Z łazienki można było przejść do sypialni. Ona też nie przypominała żadnego pomieszczenia z mojego rodzinnego domu. Ogromna, z wielkim łóżkiem mogącym pomieścić trzy, a nawet więcej osób, a na ścianach piękna tapeta w monstrualne czerwono-białe kwiaty, które doskonale pasowały do białych mebli. Ale chyba to, co podobało mi się najbardziej, to dywan – tak miękki, że ledwo się opanowałam, żeby nie zdjęć skarpetek i gołymi stopami zatopić się w długim włosiu.

Jednak musiałam się skupić. Potrzebowałam kilku rzeczy, które należały do Barbary Wierzbickiej. Poszukiwania zaczęłam od sypialni, pewnie dlatego, że moi rodzice wszystko, co najcenniejsze, trzymali właśnie w tym pomieszczeniu. Zanim zaczęłam szperanie, zerknęłam do szafy z ubraniami. Nie wiem, dlaczego chciałam zobaczyć, jaki styl ma moja sobowtórka. Gdy otworzyłam olbrzymie drzwi, oczom moim ukazały się równo powieszony wieszaki, a na nich koszule. Białe, niebieskie, ale również pstrokate, z naszytymi świecidełkami. Praktycznie każdą wyjęłam i przyłożyłam do siebie. Może w dwóch czułabym się dobrze, a to dlatego, że były niezwykle stonowane. Większość przyciągała uwagę, a tego zawsze unikałam jak ognia. Potem przeszłam do sekcji spodnic. Poza jedną, którą dostałam po siostrze na rozpoczęcie pierwszej klasy, nigdy żadnej nie nosiłam. Zawsze chodziłam w spodniach, co generalnie mi pasuje, ale chciałam zobaczyć, jak czułabym się w takim ubraniu.

Wybrałam dwie najbardziej w moim stylu, jedna leżała idealnie. Czarna, obcisła, niewyzywająca. Na Barbarze Wierzbickiej pewnie prezentowała się lepiej, bo ona była trochę wyższa ode mnie, ale mnie się podobała.

Już chciałam ją zabrać, ale coś mi nie pozwalało.

Nie zrobiłam tego. Nie jestem złodziejką.

To znaczy...

W sumie wtedy nie wiedziałam, kim jestem.

Wszystkim przedstawiam się jako Dolores. Część osób patrzy na mnie jak na wariatkę, myśląc sobie pewnie, że nie ma takiego imienia. Ale mówię zawsze tak cicho, że rzadko kto zadaje kolejne pytanie.

Wiedziałam, że długo tak nie pociągnę. Pracowałam na lewo. Mieszkałam u najlepszych osób, jakie w życiu spotkałam. Nie miałam czym się przejmować, stresować. No, może poza raną na brzuchu, która cały czas bolała, a czasami nawet coś się z niej sączyło, ale teraz w każdej chwili mogłam wziąć tabletki przeciwbólowe. Przepisał mi je lekarz, gdy zemdlałam z bólu dwa dni po zamieszkaniu u dziewczyn.

Podczas wizyty u lekarza popłakałam się. To była kompilacja dwóch rzeczy. Po pierwsze – gdy młody lekarz, znajomy dziewczyn, dotykał rany, miałam wrażenie, że zaraz umrę z bólu. Wiem, że starał się robić to jak najdelikatniej, ale zaogniona rana strasznie piekła. A po drugie – ze wzruszenia. Gdy wyczuł, że nie chcę mówić więcej o tym, co mnie spotkało, nie zadawał kolejnych pytań. Powiedział bardzo rzeczowo, jak powinien przebiegać prawidłowy proces gojenia, co ma wzbudzić mój niepokój i kiedy bezwzględnie mam przyjść do niego lub do innego lekarza.

Wypisał leki przeciwbólowe i jeszcze jakieś, których działania nie zrozumiałam. Poprosił, żebym odezwała się za jakiś czas. Nie narzucał się. Chciał po ludzku mi pomóc i z troski wiedzieć, czy wszystko idzie w dobrym kierunku.

Przejrzałam pośpiesznie resztę szaf. Na dole znalazłam wielkie pudło. Aż podskoczyłam z radości, gdy uniosłam mleczne wieko: w środku znajdowały się chyba wszystkie dokumenty Barbary Wierzbickiej. Nawet przez ułamek sekundy nie sądziłam, że tak łatwo uda mi się zdobyć to, czego szukam. W sumie nie wiedziałam, gdzie ludzie chowają takie rzeczy, ale bałam się, że w jakichś odległych zakamarkach, tak aby nikt niepożądany się do nich nie dostał.

Wyciągnęłam pudło z szafy i ostrożnie położyłam na łóżku. Dobrze wiedziałam, czego potrzebuję. Przede wszystkim aktu urodzenia, który ku mojej uciechu leżał na samej górze, w przezroczystej koszulce. Znalazłam też kilka zdjęć i, co mnie chyba najbardziej uradowało, paszport. Na szczęście Barbara Wierzbicka nie wyjechała za granicę i nie zabrała go ze sobą. Na dnie pudełka leżał akt własności mieszkania, w którym właśnie byłam. Wszystko schowałam do małego plecaka.

Odłożyłam pudełko na swoje miejsce i wyciągnęłam aparat fotograficzny, kolejny prezent od Gabrysi. Dała mi go z przeproszącą miną, jakby robiła mi krzywdę, że to dość stary model, a ja chyba nigdy się tak nie ucieszyłam.

Od zawsze zazdrośnie patrzyłam na dzieciaki w klasie, które przynosiły coraz nowsze zabawki. Bawiły się nimi, chwaliły, a ja patrzyłam na to i jeszcze bardziej smuciłam. Dobrze wiedziałam, że nie mam na co liczyć. Rodzice nigdy mi nic nie kupowali, a wszystko, co dostawałam od dziadków czy cioć, przejmowali, tłumacząc, że to mój wkład w dobro rodziny.

Raz nawet próbowałam się postawić, gdy od chrzestnej dostałam wymarzoną lalkę, która bardzo spodobała się siostrze, ale źle się to dla mnie skończyło. Ojciec tak wykręcił mi ramię, że aż poczułam pstryknięcie w nadgarstku. Następnego dnia ręka mocno spuchła i pojawił się wielki siniak. Dobrze, że to była lewa, bo mogłam pisać. Inaczej oberwałoby mi się również za problemy w nauce.

Sprawdziłam godzinę, więc wiedziałam, że mam jeszcze czas. Po-deszłam do stojącego na komodzie radia, włączyłam je i usłyszałam piosenkę Stinga. Czuję się jak w raj.

Rozdział 33

– Dzień dobry, komisarz Maksymilian Obrębski, a to aspirant Kamil Jaworski, możemy wejść?

Około czterdziestoletni mężczyzna ubrany w czarne jeansowe spodnie i błękitną koszulę z kołnierzykiem chwilę patrzył na nich spokojnie, zanim odpowiedział:

– Tak, zapraszam. – Wpuścił do mieszkania w szeregowcu wybudowanego w pierwszej linii od Lasu Kabackiego na warszawskim Ursynowie. – Coś się stało?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Stanęli w salonie połączonym z kuchnią. Obrębski wyciągnął wcześniej wydrukowane zdjęcie kolczyków i wysunął rękę w stronę mężczyzny. – Czy poznaje pan te kolczyki?

Gospodarz chwycił wydruk i podszedł do niewielkiego drewnianego stolika, na którym leżały okulary. Podniósł je, nałożył na nos i spojrzał jeszcze raz na zdjęcie.

– Tak. Zamówiłem takie dla żony na piętnastą rocznicę ślubu – powiedział opanowanym głosem.

– Czy mógłby pan sprawdzić, czy są w domu? – zapytał Obrębski, uważnie obserwując otoczenie.

Na ścianach wisiały dwa obrazy, które wyglądały bardziej jak nieudolne wycpiny jakiegoś dziecka, jednak wiedział dobrze, że może bardzo się mylić. Już kiedyś skomentował nieprzychylnie wiszący

u kogoś obraz, a później okazało się, że wart był ponad sto tysięcy złotych.

– Hmm... – Mężczyzna ściągnął okulary w eleganckich czarnych oprawkach i odłożył je na podłokietnik kanapy. – Są mojej żony. Nie wiem, gdzie je przechowuje.

– Nie mają państwo jakiegoś sejfu? – spytał Obrębski.

– Mamy, ale wątpię, aby tam były. Grażyna jakoś sceptycznie nastawiona jest do takich rzeczy. Może dlatego, że gdy włamali się nam do domu, jak jeszcze mieszkaliśmy w Łomiankach, to łomem wyciągnęli sejf i zabrali go ze sobą, zostawiając taki bałagan, że ciężko było go posprzątać.

– Rozumiem. A moglibyśmy porozmawiać z pana żoną? Teraz. – Komisarz zadał kolejne pytanie, licząc, że jego głos nie załamał się ani na sekundę.

– Niestety będzie to trudne. Przedwczoraj wyjechała. Wysłała mi SMS, że musi odpocząć i jedzie na Mazury do jakiegoś spa.

– Odzywała się od tego czasu? – kontynuował wypytywanie Maksymilian Obrębski, a stojący obok niego aspirant Kamil Jaworski milczał jak zakłęty.

– Nie. Jest dorosłą kobietą. Nie musi mi się meldować.

– A czy mógłby pan do niej teraz zadzwonić? Koniecznie musimy z nią porozmawiać.

– Ale po co? – Podniósł głos. – Coś się stało? Tu nie chodzi o te głupie kolczyki? – Mężczyzna mówił coraz głośniejszym głosem, a jego twarz nabrała wyrazistszych kolorów. Na policzkach pojawiły się czerwone plamy, a na czole po prawej stronie uwidoczniła się sporej wielkości żyła.

– Tak jak powiedziałem na początku, na razie niewiele wiemy. Pilnie musimy porozmawiać z pana żoną. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zadzwonił pan do niej. Teraz. – Ostatnie słowo zabrzmiało zdecydowanie mocniej.

Mężczyzna poszedł do stolika, zabrał leżący na nim telefon, po drodze ponownie zgarnął okulary z kanapy. Chwilę później trzymał aparat przy uchu, jednak zaraz się odezwał:

– Ma wyłączony telefon – wyszeptał i zbladł. – Jej się to nigdy nie zdarza. Ma fioła na punkcie bycia online. Co chwilę sprawdza, czy ma zasięg. Zresztą hotele też sprawdza pod tym kątem i nigdy nie jeździ tam, gdzie mogą być z nim problemy.

– Rozumiem – skomentował Obrębski i wyciągnął drugie przygotowane wcześniej zdjęcie. – Czy to może być ucho pana żony?

Mężczyzna wziął do ręki fotografię i przysunął ją na odległość kilkunastu centymetrów, tak jakby okulary, które miał na nosie, nie pomagały mu. Jego twarz ponownie zaczęła zmieniać kolor, ale tym razem robiła się coraz bledsza, aż w końcu cicho zapytał:

– O co tu chodzi? Czemu pokazujecie mi to zdjęcie? Czy wy myślicie, że to mojej żony?

Policjanci spojrzeli na siebie.

– Dzisiaj rano – zaczął komisarz – starszej pani na Żoliborzu została dostarczona niewielka paczka. W środku znajdowało się ucho. Z kolczykiem, który pan rozpoznał... – Policjant zawiesił głos, dając rozmówcy chwilę na przetrawienie informacji.

– Kurwa mać! – krzyknął mężczyzna, a jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. – Aaa!!! – wrzasnął i z całej siły kopnął w kanapę, tak że leżąca na podłokietniku z drugiej strony książka spadła z hukiem na ziemię. – Przepraszam panów... – powiedział po chwili,

a jego twarz powoli zaczęła odzyskiwać normalne kolory. – Od zawsze mam problemy z emocjami i mój terapeuta kazał mi w stresowych sytuacjach wykrzykiwać to, co mnie męczy. Tyle razy powtarzałem Grażynie, że musi być bardziej uważna. Że są na świecie osoby, które nie życzą nam dobrze. Zawiść, zazdrość. Już nieraz się przekonała, że ludzie potrafią być niemili. Zresztą dlatego dwa lata temu musiała wyjechać na miesiąc. Nie radziła sobie z depresją, której się nabawiła. Wiele osób nie może zaakceptować, że Grażyna nigdy nie przepracowała ani jednego dnia. Oczywiście w domu i przy dzieciach pomagała, o ile miała w danym momencie ochotę, ale raczej należy do takich ludzi, którzy zostali stworzeni do wyższych celów.

– Proszę pana...

– Franciszek Trawiński – wtrącił mężczyzna i lekko się pochylił. – A tak wracając do tego ucha, to myślę, że to niekoniecznie musi być moja żona. Może ktoś ukradł kolczyki. Ostatnio zwolniliśmy gospośkę, bo według żony przestała się przykładać, więc może ostatniego dnia po złości zabrała co nieco. Sprzedała i tym sposobem nosi je teraz inna kobieta i to jej ucho dostała ta biedna staruszka.

Obrębski jeszcze raz przybliżył zdjęcie.

– Niech pan się przyjrzy. Albo – rozejrzył się dookoła – ma pan jakieś zdjęcie żony?

Mężczyzna bez słowa ruszył w głąb mieszkania.

– Co o tym myślisz? – szepnął Obrębski, gdy plecy mężczyzny zniknęły za drzwiami.

– Dziwnie się zachowuje. Jakby robił, wymyślał wszystko, aby odrzucić możliwość, że jego żonie coś się stało.

– A zwróciłeś uwagę, że nie ma tutaj żadnych jej rzeczy? Przy wejściu nie stały damskie buty, a męskich były ze trzy pary. I wisiały same kurtki i płaszcze należące do...

Nie zdążył dokończyć, bo usłyszeli zza drzwi jakiś rumor, a po kilku sekundach wyłonił się Franciszek Trawiński.

– Znalazłem takie.

Podszedł do gości i podał im sporych rozmiarów wydruk przyklejony do trzymilimetrowej dykty. Ze zdjęcia uśmiechała się do nich ładna kobieta o tlenionych włosach do ramion i niewiarygodnie dużych oczach z gęsto przyklejonymi sztucznymi rzęsami. Miała na sobie czerwoną obcisłą sukienkę, która mocno eksponowała obfite piersi – było raczej mało prawdopodobne, aby stworzyła je matka natura.

Jednak to, co najbardziej ich interesowało, to kształt uszu. Sekundy mijały, a oni coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że to żona mężczyzny stała się ofiarą – w najlepszym razie okaleczenia.

– Czy pana żona ma jakichś wrogów?

– Wrogów? Nie. Bardziej zazdrośników. Gdy poznałem Grażynę, zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Nigdy czegoś takiego nie poczułem do żadnej innej kobiety. Powiedziałem jej, że chcę, aby była szczęśliwa. Aby niczym się nie przejmowała. Po ojcu odziedziczyłem firmę, którą prowadzę do teraz. Jestem ustawiony do końca życia. Mógłbym nie pracować, żyć w wielkiej willi, ale ja nie z tych. Mam kilka mieszkań. Sporo inwestycji. Korzystam z życia, ale nie obnoszę się z bogactwem. Może dlatego, że moi przyjaciele żyją na trochę niższym poziomie, a uwielbiam ich. Wiem, że gdybym zaprosił ich na jacht do Saint-Tropez, nie czuliby się komfortowo, dlatego jeżdżę z nimi na Mazury i zrzucamy się na łódkę. Ale Grażyna od za-

wsze wiedziała, ile mam na koncie, i korzystała z tego, ile miała ochotę. Kto bogatemu zabroni... – zaśmiał się, ale w jego głosie po-brzmiewała nuta smutku. Żalu.

– A jest ktoś, kto wyróżnia się w tej zazdrości?

– Nie wiem – odpowiedział, jakby spodziewał się takiego pyta-nia. – Nigdy nie lubiłem takich gierek, plotek. Nawet jeżeli żona mó-wiła o kimś konkretnym, to nie pamiętam. Ale... – Mężczyzna zawie-sił głos, jakby wahał się, czy ma powiedzieć więcej.

– Proszę nic nie ukrywać. Szczególnie rzeczy, które mogą mieć znaczenie dla śledztwa.

– Od lat niestety nie jestem zbyt wierny Grażynie – wes-tchnął. – Pewnie zastanawiają się panowie, czemu się nie rozwio-dłem. – Wzruszył ramionami i znowu wydał z siebie dźwięk rezygna-cji. – Jestem już na tyle stary i tyle widziałem, że wiem, iż nigdy nie znalazłbym żony idealnej. Grażyna jest próżna i leniwa, za to wspiera mnie i stoi przy mnie, gdy pojawiają się problemy. Zawsze mogę na niej polegać. Poza tym zawsze mam z kim pójść do teatru czy na kolację.

– A czy któraś z kochanek mogłaby chcieć zrobić żonie krzywdę? – wtrącił stojący dotychczas cicho Kamil Jaworski. Obaj mężczyźni spojrzeli na niego, jakby zapomnieli o jego istnieniu.

– Nie sędzę. Nigdy żadnej niczego nie obiecywałem. Układ był dość jasny, interesował mnie czysty seks, nic więcej. Ja nie potrze-buję nikogo, kto mnie zabawi intelektualną rozmową, ugotuje obiad, tylko zaspokoi fizycznie.

– Rozumiemy, ale i tak potrzebowalibyśmy listy, o ile było ich więcej.

Mężczyzna podrapał się po głowie i skrzywił.

– Postaram się, ale nie wiem, czy wszystkie pamiętam. Nie będę ukrywał, trochę ich było.

– Będziemy wdzięczni za pomoc – wtrącił Obrębski.

– A czy pana żona wiedziała o pana zdradach?

– Niestety ostatnio mnie wkurzyła i na spotkaniu towarzyskim jej to wykrzyczałem. Chciała mnie zachęcić do jakiejś głupiej zabawy w zagadkę albo prawdę.

– Prawdę czy wyzwanie – poprawił go Jaworski.

– Może i tak, ja nie miałem ochoty. Byli znajomi, ja wypilem całkiem sporo i wydarłem się na nią. Nie powinienem był, ale jakoś tak wyszło, rzuciłem jej prosto w twarz, że spałem z jej przyjaciółką.

– Jak zareagowała?

– Panowie, a jak można zareagować? Wyła pół nocy, odgrażała się, że odejdzie. Oczywiście przeproszałem, bo nie powinienem jej tak traktować. Głupio mi, ale też wiem, że jakbym się z nią rozwiódł, byłaby w jeszcze większej rozpacz. Ona nic nie ma. Żadnego majątku. Pewnie musiałbym płacić jej jakieś alimenty, ale poziom życia spadłby na łeb na szyję, a może musiałaby zacząć pracować. Następnego dnia już na spokojnie pogadaliśmy i zażegnaliśmy konflikt.

– A czy żona mogła pana zdradzać?

– Grażynka? – Mężczyzna westchnął i podrapał się za lewym uchem. – Nie wiem. Ktoś kiedyś mi mówił, że widział ją z jakimś facetem, ale nie pytałem.

– Mam jeszcze dwa pytania. Co pan robił wczoraj, a także dzisiaj w nocy? – spytał Obrębski.

– Byłem w firmie. Mam na to kilkunastu świadków. Przeszedłem wcześniej rano, bo musieliśmy zamknąć ważny projekt. Cały dzień wraz z zespołem pracowaliśmy, a jak skończyliśmy, zamówiłem cate-

ring z alkoholem i oblewaliśmy koniec zlecenia. Wróciłem do domu bardzo późno, byłem zmęczony i pewnie pijany.

– Rozumiem. Wracając jeszcze do pana żony, potrzebowalibyśmy kogoś, kto mógłby nam więcej opowiedzieć o pana małżonce.

– Myślę, że jej przyjaciółka, Dominika Maciąg. One często się spotykają, chociaż ostatnio mniej, bo jest po operacji zmniejszenia piersi, więc leży od dwóch tygodni w domu.

– No dobrze, to nie będziemy panu już zawracać głowy. Proszę przesłać nam wszystkie namiary na pańskie kochanki i przyjaciółki żony – powiedział Obrębski.

– Ale będziecie jej szukać? – upewnił się mężczyzna, jakby teraz dopiero doszedł do niego sens całej rozmowy. – Ktoś pewnie ją porwał i przetrzymuje gdzieś. To ucho da się przyszyć? – zapytał, a oni spojrzeli na siebie. Technik po zabezpieczeniu wszystkich śladów umieścił je w specjalnym słoiku i nikt ani przez sekundę nie rozważał możliwości, że jeżeli jego właścicielka odnajdzie się żywa, chciałaby je odzyskać.

– Hmm... Nie wiem – powiedział lekko zawstydzony Obrębski. – Oczywiście będziemy szukać pana żony. To nasz priorytet. Musimy ustalić, gdzie przebywała ostatnio, czy faktycznie dotarła do hotelu na Mazurach. Czy ktoś ją widział? Gdzie jest jej samochód? Bo rozumiem, że jeździ jakimś? – spytał i wlepił w mężczyznę wzrok.

– Tak, ma najnowszą tesłę. Czerwoną. Sama sobie wybrała. Ja jakoś sceptycznie podchodzę do tego tematu. Niby jeździ ekologicznie, ale o tym, ile trzeba spalić węgla, aby to naładować, to jakoś się zapomina.

– Czy samochód ma jakiś system namierzania?

– Nie. Kiedyś stosowałem, ale jak mi skradziono najnowszy maybacha i po sekundzie był w naćkanym zagłuszcaczami sygnału tirze, a następnie zniknął bez śladu, stwierdziłem, że to bez sensu. Wydaje się tylko pieniądze, a efektów brak.

– Rozumiem, że samochodu nie ma w garażu?

– Nie, zabrała ze sobą. Ona zawsze wszędzie jeździ samochodem. Proponowałem jej wielokrotnie kierowcę, ale odmawiała. Można rzec, że to jedyne, co umie. Jest znakomitą kierowcą. Wszyscy, jak ją widzą za kierownicą, to myślą, że kolejna dziunia. Ale nie. Zaliczyła kilkanaście szkoleń, i to kilka u topowych kierowców. Jeździła na... no, tych małych...

– Trolejach? – uratował mężczyznę Jaworski.

– No właśnie. I muszę powiedzieć, że gdy prowadzi, czuję się bezpieczny, a z większością osób nie mam tego komfortu.

– A czy zauważył pan, czy coś zginęło w domu?

– O nie, w życiu. Nawet jakby ktoś zabrał połowę jej rzeczy, pewnie bym nie zauważył, ponieważ ma tego tyle wszystkiego. Poza tym mamy kilka mieszkań, w których czasami pomieszkujemy, a bardziej Grażyna, więc zupełnie nie wiem, co gdzie jest.

– Rozumiem. To czekamy na dane od pana. Bardzo zależy nam na czasie...

– Tak, oczywiście. Już siadam. – Sięgnął po kawałek kartki i podał go stojącemu bliżej Obrębskiemu. – Proszę napisać adres mailowy lub numer telefonu, to zaraz wyślę.

Rozdział 34

Wszyscy czekali na badania DNA, które mogły dać im jasną odpowiedź na pytanie, czy to właśnie ucho Grażyny Trawińskiej leży w słoiku w policyjnym laboratorium, ale wyprzedzając wydarzenia, młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski zostali oddelegowani do zebrania jak największej ilości informacji o kobiecie.

Oczywiście równolegle trwały poszukiwania. Sprawdzano miejsca, które ostatnio odwiedziła, dzwoniło po znajomych, rodzinie. Jednak nikt nie wiedział, gdzie jest.

Niestety sprawa zaczęła nabierać niezbyt optymistycznych barw, gdy okazało się, że od dwóch dni karta kobiety nie została obciążona żadną plątnością, a telefon ostatni raz logował się w ich mieszkaniu na Żoliborzu, przed którym stała bijąca po oczach swoją czerwienią tesla.

– No dobra panowie, co macie? – rzucił Obrębski, który swoim zwyczajem usiadł na biurku, a stopy położył na siedzisku krzesła, nie zważając na fakt, że ma brudne buty.

– Grażyna Trawińska to ten typ kobiety, który dogadałby się z żonami z Hollywood czy Miami – zaczął Bartosz Bogucki i położył przed sobą przygotowany chwilę wcześniej wydruk. – Bardzo mądry mąż, który przejął rodzinny biznes. Działają przede wszystkim

w branży mięsnej, ale od kilku lat za jego sprawą nabywają nieruchomości i powoli wchodzą w deweloperkę. Trawiński nie obnosi się z majątkiem, a to za sprawą porwania, które miało miejsce dwadzieścia pięć lat temu. Wtedy został uprowadzony jego brat...

– No właśnie! – wtrącił podniesionym głosem Maksymilian Obłęski. – Cały czas miałem wrażenie, że skądś znam to nazwisko. A to chodziło o to. Zresztą mamy prawo nie pamiętać, bo dziećmi byliśmy – zaśmiał się na głos i zmierzył siedzących przed nim funkcjonariuszy.

– Faktycznie ja nie pamiętam – skomentował Jaworski, który od rana uśmiechał się, jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. – Ganiałem wtedy za dziewczynami i kopałem piłkę.

– To niewiele się zmieniło – skomentował Bogucki i momentalnie spoważniał. – Brata porwali sprzed jego domu. Jechał właśnie odwiedzić córki do szkoły, gdy trzech zamaskowanych mężczyzn wyskoczyło z samochodu, wyciągnęło go zza kierownicy i wrzuciło do swojego auta. A wszystko na oczach siedmio- i ośmiolatki, które bardzo to przeżyły. Przez tydzień nikt się nie odzywał. Cisza. W końcu nester rodu, Zenon Trawiński, dostał list, w którym żądano dziesięciu miliardów. To było praktycznie w przededniu denominacji, więc na dzisiejsze było to około miliona. Dla przeciętnego Kowalskiego bardzo dużo, ale dla Trawińskiego niezbyt wygórowana kwota. Tylko że on powiedział, że nie zapłaci. Jak to tłumaczył prasie, która wieszała na nim psy, że jest skąpcem, uważał, że jak raz zapłaci, będą mu co chwilę kogoś porwać. Mijały dni, aż przysłała paczka z palcem.

– Trochę podobna sytuacja do naszej – wtrącił Jaworski.

– Tak, tylko u nas nie ma listu.

– Ale może będzie jeszcze.

- Może tak. Ale teraz trochę historii – powiedział dumnym głosem Bartosz Bogucki. – Od razu wiedzieli, że to jego palec, bo przez całe życie źle trzymał długopis, przez co miał charakterystyczne odciski. Żona od razu po tym poznała palec męża, a badania to potwierdziły. Sęk w tym, że nie dostali żadnego kolejnego listu. Oczywiście w międzyczasie trwały zakrojone na szeroką skalę prace śledczych. Rozmawiałem z jednym prowadzącym, bo głównodowodzący już nie żyje. Powiedział, że sprawdzano zarówno pracowników i konkurencję, jak i zawistnych członków rodziny. Okazało się bowiem, że Trawiński nie chciał pomóc swojemu bratankowi w rozkręceniu biznesu. Mówiąc „pomóc w biznesie”, mam na myśli „dać kasę”. Gdy go przesłuchiowano, podobno zionął nienawiścią do wujka, ale na jego szczęście w czasie, gdy porwano mężczyznę, nie przebywał w kraju. Oczywiście sprawdzono, czy nie mógł tego komuś zlecić, i niczego nie odkryto. Poszukiwania trwały, ale policja błędziła. Aż pewnego dnia zdarzył się cud. Odnaleziono Trawińskiego na północnych obrzeżach Warszawy. Okazało się, że został porwany przez rodziców koleżanki jednej z córek.

- O matko! – krzyknął podekscytowany Obrębski i rozpiął jeden z guzików lawendowej koszulki polo, którą założył tego dnia.

- Wszyscy byli w szoku. Na dodatek to mała ośmioletnia dziewczynka go uwolniła, słysząc jego błagalne krzyki. Okazało się, że przetrzymywali go w piwnicy domu w okolicach Łomianek. Przez pierwsze dni bardzo pilnowali, jednak gdy nic się nie działo, nikt nie wpadł na ich trop, wyluzowali. Matka pojechała na chwilę do sklepu, zostawiając córkę wraz z uwięzionym mężczyzną. Gdy wróciła, jego już nie było, a mała siedziała w swoim pokoju w kącie i płakała.

- Czyli happy end, tylko dlaczego to zrobili?

- I tu najlepsze. Okazało się, że Trawiński Junior, bo chyba nie powiedziałem, że też ma na imię Zenon, podczas jakiejś kolacji z rodzicami koleżanki swojej latorośli zaczął planować z jednym z nich biznes. Podobno przegadali całą noc, omawiając wszystkie szczegóły, tworząc biznesplan i wstępny plan promocji. W aktach nie znalazłem informacji, co to dokładnie miało być, ale podobno znajomi Trawińskiego mocno się nakręcili. Pod wpływem tych planów facet zrezygnował z pracy, sprzedał na szybko mieszkanie, tracąc na tym trochę, i gdy poszedł do nowego wspólnika, Trawiński powiedział, że zmienił zdanie i jednak to nie jest dobry pomysł. Mężczyzna nie mógł w to uwierzyć. Świat legł mu w gruzach. Nie miał pracy, stracił na sprzedaży mieszkania sporą sumkę. No i wtedy wkroczyła żona. Podobno to ona była mózgiem operacji. To ona znalazła trzech gości, którzy porwali mężczyznę i przywieźli do ich domu. Wyobraźcie sobie, że to ona odcięła palec, a policjant, z którym gadałem, powiedział, że gdy wszystko wyszło na jaw, byli w szoku. Pani około czterdziestoletnia, niezwykle niska i szczupła, a okazała się krwiożerczą bestią, która nie ma problemu z tym, żeby zrobić komuś krzywdę dla pieniędzy.

- To może raz jeszcze to zrobiła? - spytał Jaworski.

- Ona po wszystkim zszikowała i nie wsadzili jej do więzienia. Jeżeli to była strategia obrońcy, to kobieta wczuła się w stu procentach, bo uznano ją za wariatkę i trafiła do psychiatryka. Przesiedziała tam kilka lat i gdy wyszła, popełniła samobójstwo, więc mało prawdopodobne, aby maczała w tym palce.

- A mąż?

- Mąż przesiedział dziesięć lat i wyjechał z kraju.

- To została jeszcze córka.

– Tak, ale też nie pasuje. Nie mieszka w Polsce.

– Czyli to ślepy zaułek? – spytał Obrębski.

– Tak, zdecydowanie. Od tego czasu rodzina Trawińskich mniej się udziela. Siostra Trawińskiego podobno zmieniła nazwisko i wyjechała się w Bieszczady, ponieważ nie radziła sobie z nękającymi ją dziennikarzami, którzy atakowali na każdym kroku.

– Okej. A udało wam się dotrzeć do kogoś, kto dobrze zna panią Grażynkę? – Obrębski zaśmiał się delikatnie, wypowiadając imię kobiety. Stanowiła raczej przeciwieństwo typowej Grażyny, o której memy królowały w internecie od jakiegoś czasu.

– Tak. – Tym razem głos zabrał Jaworski, który ku zaskoczeniu kolegi coraz lepiej odnajdywał się w postawionym przed nim zadaniu. – Rozmawiałem z jej koleżanką. Taką, która najbardziej udzielała się na jej profilu. Napisałem do kobiety i już po pięciu minutach ćwierkaliśmy jak najlepsze psiapsi. – Mężczyzna zapiszczał i zatrzepotał rzęsami, wywołując uśmiech kolegów. – Pani Agata Zubrzycka. Na zdjęciach wygląda jak niezła blachara. Tipy tak długie, że nie wiem, jak robi podstawowe sprawy. Twarz zupełnie nieprzypominająca tej, co matka natura dała. Wargi permanentnie opuchnięte, a policzki wypchane nie mniej niż cycki. No i bardzo skora do zwierzeń. Po trzech minutach niby w sekrecie opowiadała mi dość pikantne szczegóły z życia Trawińskiej. Podobno ta nie tylko przesadnie o siebie dba. – Widząc zdziwione spojrzenia kolegów, kiwnął głową. – Tak, według Agatki, jak kazała się nazywać, Grażynka zdecydowanie przesadza z zabiegami upiększającymi. No, ale nie tylko na siebie łoży z nieograniczonej niczym kieszeni męża. Podobno uwielbia robić za sponsorkę innym, a szczególnie młodym chłopac-

kom, którzy odwdzięczają się doznaniem, raczej nieprzystającymi mężatce. Podobno trójkąty nie stanowią niczego nadzwyczajnego.

– Fiu, fiu... – zagwizdał Bogucki, a Obrębski zapukał kilka razy energicznie długopisem o blat i od razu dorzucił:

– Czyli udaje przed mężem świętą, a taka nie jest.

– Zdecydowanie. Ona nawet szła o krok dalej. Podobno zdarzało się, że jechała gdzieś z mężem i wymykała się w nocy, bo w pokoju obok czekał na nią gorący dwudziestolatek. Na dodatek chwaliła się koleżankom, że jej Franek nie ma o tym zielonego pojęcia. Jego kasa idzie na jej kochanków i jeszcze jest z tego powodu szczęśliwy.

– Trzeba to sprawdzić, no i namierzyć jej lowelasów.

– Ale na koniec mam hit – powiedział z dumą w Jaworski i wyciągnął z teczki, którą miał przed sobą, kilka zdjęć. Podniósł jedno z nich i obrócił w stronę Obrębskiego, a po chwili Boguckiego. Na wydrukowanej fotografii mimo jej czarno-białych kolorów widać było dwie twarze uśmiechających się kobiet. Z tyłu wysokie palmy sugerowały, że nie zrobiono jej w Polsce. – Monika Wieczorek i Grażyna Trawińska się znały. Mimo dzielących je prawie dwóch dekad dwa lata temu uczestniczyły w wyjeździe, który miał pomóc im odkryć wewnętrzne moce czy jakąś inną bzdurę. Od jakiegoś czasu jest to podobno modne. Przynajmniej tak mi powiedziała Agata Zubrzycka. Oczywiście wypowiadała się na ten temat w samych superlatywach. Sama nie pojechała na ten wyjazd, ale uczestniczyła w kilku innych i twierdzi, że zmieniły jej życie nie do poznania.

– A gdzie cyknięto tę fotkę? – spytał Bogucki, cały czas bacznie przyglądając się fotografii.

– Na Bali. Panie codziennie zaczynały dzień od jogi, później miały masaże, sesje z trenerem personalnym, no i na koniec jakieś

coachingowe bzdury. Dodatkowo pojechała z nimi jakaś gwiazdeczka, ale Agatka nie pamiętała jaka. Podobno to standard, że celebryci z pierwszych stron gazet są zapraszani i w zamian za darmowy pobyt robią selfiki, kręcą story i inne dziwne rzeczy. – Jaworski zabrał koleżkę zdjęcie i odłożył do teczki.

– Wiadomo, czy później miały kontakt? – rzucił Bogucki.

– Tak, wiadomo, i tak, miały. Podobno od tego czasu spotykały się regularnie, a kilka razy wyjechały wspólnie w tropiki. Oczywiście, co nie będzie zaskoczeniem, bez partnerów. Przejrzałem jeszcze raz media społecznościowe Moniki Wieczorek, ale już inaczej patrzyłem na ten zbiór zdjęć i filmików. Okazało się, że regularnie pojawiały się uwiecznione na sweet fociach wspólne obiady, wyjścia na eventy typu otwarcie galerii czy wyjazdy. Faktycznie kobiety się żyły. Więcej nie wiem. Pogadałem też z jej kolejną przyjaciółką, na którą namiary dał mąż. Ona potwierdziła wszystko, czego dowiedziałem się od Agaty Zubrzyckiej. Dodatkowo dorzuciła, że Trawińska ma jednego głównego kochanka, z którym spotyka się od prawie dwóch lat. Wyprzedzając pytanie, mam jego dane, ale nie zdążyłem się z nim skontaktować.

– Robi się ciekawie. To teraz mała burza mózgów. U was w prewencji tego nie robiliście, ale my, śledczy, czasami bawimy się i rzucaamy przeróżne, nawet najdziwniejsze pomysły. Kiedyś ktoś mi powiedział, że to metoda rodem z marketingu czy zarządzania, ale nie ma to znaczenia. To lecimy. Dlaczego kobiety zginęły? Oczywiście zakładając, że pani Grażyna podzieliła smutny los koleżanki.

Dwaj siedzący przed nim mężczyźni spuścili wzrok, zachowując się jak uczniowie, którzy wychodzą z założenia, że skoro nie nawią-

zują z nauczycielem kontaktu wzrokowego, to ominie ich konieczność udzielenia odpowiedzi.

– Dobra, to dla przykładu ja zacznę – rzucił Obrębski i zszedł z biurka. – Mamy dwie ofiary. Każdej coś obcięto. Nie wiemy, z jakimi urazami skończy Grażyna Trawińska, ale to, co możemy powiedzieć, to to, że nie są to zbrodnie w afekcie. To nie było tak, że ktoś przechodził obok ich domów, zapukał i pozbawił je jakiegoś elementu ciała. Ktoś to dobrze zaplanował. Obie zniknęły tak, że rodzina myślała, że gdzieś wyjechały. Nie sądzę, żeby był to przypadek. Ktoś dobrze zna zwyczaje ofiar lub długo je obserwował. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, czy ktoś podejrzany kręcił się wokół nich. Ja osobiście stawiałbym na kogoś znajomego. Kogoś, kto żywił do nich jakiś uraz. Może jakaś zawistna koleżanka, której coś zrobiły? A może obserwator na Instagramie, który poczuł większą zażyłość?

– I myślisz, że koleżanka odcięłaby głowę w ramach zemsty? – spytał Jaworski z powątpiewaniem. – To nie raczej męski sposób na zabijanie? Kobiety z reguły są bardziej wysublimowane. Trują i tak dalej. Przecież, żeby odciąć głowę, potrzebne jest sporo siły.

– Podobno akurat głowa jest stosunkowo łatwa do odcięcia – wtrącił Bogucki ze słyszalną dumą w głosie. – Spotkałem wczoraj mistrza Zawadę i powiedział, że przecięcie chrząstek tchawicy nie powinno stanowić problemu, szczególnie że po cięciach na szyi Moniki Wieczorek widać, że użyto mocnego i bardzo precyzyjnego sprzętu. Później kręgi mogą stawiać większy opór, ale to nie kość udowa. Więc teoretycznie kobieta powinna dać radę. Odcięcie ucha to też raczej nie jest problematyczna sprawa.

– To może to jest trop?! – krzyknął podekscytowany Jaworski i machnął ręką, strącając zakręconą butelkę z wodą. Przeturlała się

pod nogi Obrębskiego, który niespiesznie schylił się, podniósł ją i rzucił koledze. – Może trzeba iść śladem tych narzędzi do cięcia?

– O to też spytałem – odpowiedział ze skwaszoną miną Bogucki. – Podobno ciężko określić, co to dokładnie było. Piła do metalu, drewna, a może jakaś bardzo specyficzna. Lista sklepów do sprawdzenia byłaby cholernie długa, szczególnie że ten ktoś mógł kupić narzędzie lub narzędzia za granicą. Niestety w dzisiejszych czasach opcji jest mnóstwo. Mógł również komuś ukraść lub pożyczyć od sąsiada.

– Panowie – przerwał mu Obrębski. – Jeżeli w najbliższym czasie nie pojawią się jakieś dowody, będzie trzeba przypatrzyć się wszystkim takim sklepom. Zacząć od lokalnych i sukcesywnie poszerzać obszar poszukiwań. Niestety, czasami inaczej się nie da. Ale najpierw dalej myślimy! – Klasnął w dłonie i znowu oparł się o biurko. – Kto jeszcze mógł chcieć ich śmierci?

– Partnerzy! – krzyknęli dwaj policjanci w tym samym momencie i spojrzeli na siebie, marszcząc brwi, jakby każdy uzurpował sobie prawo do prawidłowej odpowiedzi.

– Doskonale. W większości spraw to mężowie, konkubenci czy partnerzy stoją za takimi zbrodniami. Trzeba ich prześwietlić. Może oni też się znają. Kiedyś wypili za dużo i wpadli na pomysł pozbycia się ukochanych. Wiadomo, że nie przyznają się, ale może z ich kont zeszły ostatnimi czasy podobne kwoty. Wszystko trzeba uważnie przejrzeć. Co jeszcze?

– To może kogoś wkurzyły. Ostatnio sporo jest tego – rzucił Bogucki. – Przypomniałem sobie właśnie... – W tym momencie sięgnął po leżącą na stole przed nim komórkę. – O profilu Moniki Wieczorek na Twitterze, o którym wspominał Mogielnicki.

– Super, dobrze idzie – Obrębski pokiwał głową. – Koniecznie sprawdźcie ten wątek. Sporo już tego mamy, ale dajcie dalej.

– Zastanawiałem się nad organami, chociaż nie wiem, czy to ma sens. Może w przypadku Wieczerek potrzebował tylko rogówki. Nie wiem, czy coś jeszcze przeszczepia się z głowy... – odezwał się Jaworski z zadowolonym wyrazem twarzy.

– Teraz dzieją się takie rzeczy, że mógłbym w to uwierzyć, gdyby nie inna sprawa. Monika Wieczerek była zdrową kobietą po dwudziestce. Spokojnie mógł wykorzystać resztę jej organów, a tego nie zrobił. Poza tym jeżeli Grażyna Trawińska jest ofiarą tego samego psychopaty, to nie składa się to w racjonalną całość. No, chyba że faktycznie mamy dwóch popieprzeńców, to okej. Pierwszy zabił Wieczerek z powodu, powiedzmy, zazdrości, a druga ofiara to zupełnie inna historia, na przykład potrzebował na organy. Może być też tak, że Trawińska żyje, a my niepotrzebnie ją już uśmierciliśmy i jeszcze na dodatek przypisaliśmy temu samemu mordercy, tworząc seryjnego. W sumie nie byłoby to takie złe. – Uśmiechnął się smutno i podszedł do okna. W pomieszczeniu zrobiło się dość ciepło, dlatego uchylił jedno ze skrzydeł, licząc, że na zewnątrz temperatura jest przyjemniejsza.

– A... – Jaworski podniósł rękę, ale od razu ją opuścił, jakby chciał się wycofać.

– Mów – rzucił starszy rangą kolega. – Czasami najdziwniejszy pomysł okazuje się bliski prawdy. Lecisz, Kamil.

– Nie wiem, czy kiedyś słyszałem o tym podcast, czy oglądałem film albo serial, ale kojarzę jakąś historię o facecie, który próbował złożyć z części ciał różnych kobiet żonę idealną. Zabił ich kilka, wycinał to, co mu potrzebne, a resztę wyrzucał na składowisko śmieci.

Nie pamiętam, jak go namierzyli, ale w sumie zabił chyba około ośmiu niewinnych kobiet.

– O matko, fajne filmy oglądasz do poduszki – mruknął Bogucki, kręcąc głową.

– Czasami niestety nam, policjantom, takie straszdyła są potrzebne – powiedział Obrębski i wrócił na biurko. – O niektórych makabrycznych pomysłach nie wiedziałbym, gdyby nie seriale kryminalne, które ostatnio oglądam w ramach „douczenia się”. – Wypowiadając ostatnie słowa, palcami obu dłoni wykonał znak cudzy-słowu. – One poszerzają horyzonty i pozwalają wymyślać takie nierealne scenariusze, które niestety raz na jakiś czas się spełniają. Ale dość tych moralizatorskich pogadanek. Wróćmy jeszcze do podstaw, dlaczego ludzie mordują?

– Zazdrość – rzucił pierwszą propozycję Bogucki.

– Tak. Zdecydowanie to jeden z głównych motywatorów. Mąż zazdrosny o żonę. Koleżanki zazdrosne o inną. A może konkurencja firmy męża zazdrosna, że innym idzie lepiej. Sporo wątków do sprawdzenia. Co jeszcze?

– Nienawiść. – Tym razem szybszy był Jaworski.

– Tak. Chociaż nienawiść ma w sobie zazdrość. Z reguły gdy jesteśmy zazdrośni, to z czasem nienawidzimy. – Mężczyzna westchnął. – Czekają nas sporo roboty. Poszukiwania Trawińskiej cały czas trwają, ale efektów brak. Trzeba przyzwyczajać się do myśli, że są dwie ofiary. Jeżeli wyjdzie to do prasy, zrobi się niezły Meksyk, dlatego, panowie, czas wejść na wyższe obroty.

Rozdział 35

ONA

Moje życie nigdy nie było cudowniejsze. Otaczali mnie ludzie, którzy widzieli we mnie zalety, a nie tylko wady. Stawiali mi możliwości, a nie rzucali pod nogi kłody.

Ale wiedziałam, że to nie będzie trwało wieki. Moi rodzice mnie nie kochali, nie zależało im na mnie, ale to, co ich na pewno interesowało, to opinia innych. Nagle zniknęła ich rodzona córka, więc nie mogli tego zbyt długo ukrywać. Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś zapyta ich w szkole, gdzie jestem, lub któryś z sąsiadów rzuci jakąś kąśliwą uwagę, aż w końcu zadzwoni po raz kolejny do opieki społecznej.

Przez ponad miesiąc nic się nie działo, ale czułam, że to tylko cisza przed burzą.

Pierwszy sygnał dostałam od mojej siostry, gdy poszłam do kafejki internetowej, co bardzo lubiłam. Patrzyłam na wiadomość, która przyszła od niej na moją skrzynkę mailową.

„Cześć, co u ciebie? Gdzie jesteś? Rodzice się martwią”.

Te kilka słów brzmiało tak nierealnie jak opis lądowania kosmitów na Ziemi. Po pierwsze, Magda napisała do mnie pierwszy raz

w życiu. I tak się zdziwiłam, że zna mój adres poczty elektronicznej. Po drugie, mój śmiech wywołało zdanie o martwiących się rodzicach. Wypowiedź składająca się z dziewięciu wyrazów niosła za sobą tyle kłamstw... Pewnie gdyby nie Wiola i Gabrysia, nowe życie, jakie prowadziłam, i perspektywy, które sobie tworzyłam, przejęłabym się, a tak tylko się zaśmiałam.

Najzabawniejsza w tym wszystkim była ich motywacja, która nie wynikała z troski o mnie. Oni jak zawsze martwili się o swoje dupy. O to, że ktoś zorientuje się, że zgubili jedno dziecko. Inwentarz się nie zgadza, a trzeba się z tego rozliczyć przed państwem, sąsiadami czy rodziną.

I tak powinni się cieszyć, że zrobiłam to dopiero w wieku siedemnastu lat. Zawsze mogli zrzucić to na bunt nastolatki, która postanowiła wyjechać i nie powiedziała dokąd. Przecież rocznie tyle dzieciaków znika bez wieści, ja mogłam być kolejnym z długiej listy nieodnalezionych.

Kiedyś na lekcji wychowawczej mieliśmy pogadankę o problemach w domu i tych związanych z dorastaniem i przemądrzała pani psycholog opowiadała, że jak mamy jakieś troski, to powinniśmy mówić o tym dorosłym. Miałam ochotę wstać i zaśmiać jej się w twarz. Kogoś, kto pierdzielił takie farmazony, na wejściu skreślałam z listy osób, które mogą mi pomóc. Ile razy prosiłam kogoś o wsparcie i gównem z tego wyszło? W głowie mam listę tych patałachów. Czasami mam wrażenie, że nienawidzę ich jeszcze bardziej niż moich rodziców. Moi starzy chociaż zawsze jasno i wyraźnie wyrażali niechęć do mnie. A ci wszyscy specjaliści z koziej wólki najpierw mówili o pomocy, a później gównem robili. Dawali nadzieję, a później z uśmiechem na twarzy pokazywali środkowy palec, odha-

czając w notatkach „zrobione”, odwracali się na pięcie i znikali, zostawiając mnie po raz kolejny samą. Bez nadziei na lepszą przyszłość.

Niestety to samo spotkało mnie ze strony kilku dorosłych, którzy stanęli na mojej drodze. Kreowali się na takich empatycznych, sympatycznych i chcących zrobić coś dla mnie. Ale gdy przychodziłam i prosiłam o wsparcie, odwracali się plecami i udawali, że nie wiedzą, czego oczekuję. Nienawidzę ich wszystkich.

Już dawno temu zrobiłam listę osób, które bym zabiła, jeżeli wiedziałabym, że jestem śmiertelnie chora.

Ale to postanowiłam zrobić kiedyś. Może.

Śniłam o tym wielokrotnie i za każdym razem budziłam się z uczuciem ulgi. Jakby ktoś zdjął z moich barków jakiś niewyobrażalny ciężar.

Jednak teraz najważniejsze stało się to, aby moja rodzina została mnie w spokoju. Analizowałam różne warianty. Wzięłam czystą kartkę i napisałam na niej: „Jak zniknąć na zawsze”. Przez dłuższą chwilę patrzyłam na to z pustką w głowie. Nigdy nie próbowałam zniknąć. Po kilku minutach patrzenia na te kilka słów przypomniałam sobie motyw z książki, którą kiedyś czytałam. Tytułu nie pamiętałam, ale główny bohater uciekł z kraju.

Sięgnęłam na beczynnie leżący długopis i napisałam pierwszy punkt: „Wyjedź z kraju”. Ale ja nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Nie znam języka. Nie należę do tych obrotnych ludzi, co wszędzie się odnajdują. Ja boję się nowego.

Myślałam dalej. „Ukryj się”. Już lepiej, ale to nie to...

W końcu wpadła mi irracjonalna myśl. „Zabij się”. Uśmiechnęłam się sama do siebie, a w mojej głowie zaczął układać się plan

działania, który od dawna miałam pod nosem, a go zupełnie nie dostrzegałam.

Rozdział 36

Raz na jakiś czas podejmował próbę nawiązania lepszych relacji ze swoją rodziną. Dobrze wiedział, że zupełnie nic to nie da, ale dzięki temu czuł się lepiej. Tym razem wyciągnął Scrabble. Gdy tylko postawił na stole pudełko z grą, dzieci jak zsynchronizowane przewróciły oczami i westchnęły.

– Tato, ja umówiłem się z Konradem... – zaczął syn głosem cierpiénika. – Muszę wyjść za chwilę.

– A ja mam na jutro wierszyk do nauki i mama ma mi zaraz pomóc w powtarzaniu. Ja tak się najlepiej uczę – wtrąciła córka i chwyciła książkę, która od trzech dni leżała na szafce nieruszana, po czym czmychnęła do swojego pokoju.

Chwilę zastanawiał się, czy chce mu się z nimi przekomarzać. Odpowiedź nasunęła się szybko. Nie. Westchnął tylko, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wieczór spędził na czytaniu kryminału, który już prawie kończył. Jednak mimo że historia wciągała niczym bagno, nie mógł skupić się na niej w stu procentach. Myślami był już na dole.

Po kilku godzinach, gdy wszyscy już spali, przeszedł po kolei wszystkie etapy sprawdzania, czy nikt go nie zobaczy, i w końcu wyładował w swoim królestwie.

O ile głowa Moniki Wieczorek zamontowana na beżowym manekinie ubranym w czarny szlafrok cały czas robiła na nim wrażenie, to jednak leżąca niczym kłoda Grażyna Trawińska denerwowała go niezmiernie.

Nie miała w sobie ani krzty walki o życie. Podpięta do kroplówki czekała na swój koniec. Gdy przychodził do niej, nie reagowała na niego, jakby pogodziła się ze swoim losem.

Podszedł do metalowego stołu, który postawił na środku pomieszczenia, i patrzył na nią z obrzydzeniem. Jej lenistwo dotyczyło nawet woli przetrwania, czego nie mógł zaakceptować i zrozumieć. Dlatego jedyne, co mu zostawało, to skończyć ten cyrk.

Sięgnął po swoją ulubioną, pełną narzędzi torbę, w której centralne miejsce zajmowała ręczna piła do cięcia. Specjalnie dzień wcześniej odebrał nowe ostrze, które w internecie zachwalano jako niezawodne i nadające się do cięcia wszystkiego. Zamówił, oczywiście używając fałszywego konta e-mailowego, płacąc kartą męża Grażyny Trawińskiej, którą podebrał z jego portfela podczas ostatniej wizyty u nich w domu. Taki mały prztyczek w stronę kolegi, którego przez lata szanował i podziwiał, a który od jakiegoś czasu denerwował go lekkim podejściem do przysięgi małżeńskiej.

- No dobra - rzucił sam do siebie, wiedząc, że nikt mu nie odpowie.

Monika Wieczorek milczała z wiadomych powodów, a leżąca przed nim kobieta, choć świadoma, nie miała szansy na napięcie choćby najmniejszego mięśnia w swoim ciele, a to za sprawą środków zwiotczających, które podał jej w nadmiarze. Mogła tylko patrzeć na to, co robi, słyszeć stukające o siebie narzędzia i oczami dawać znać, jaki poziom przerażenia nią miota. Jednak na razie pa-

trzyła na sufit, ignorując go, jakby tak chciała go zmusić do zmiany planów.

Podszedł jeszcze bliżej i chwycił piłę. Włączył ją i przesunął ostrze kilka centymetrów od twarzy kobiety. Kręcący się dysk z małymi szpiczastymi trójkącikami wywołał lekki wiaterek, który musiała poczuć na twarzy, ale nie dała mu satysfakcji i cały czas patrzyła w górę pustym wzrokiem.

– Jak chcesz. Możemy to zakończyć bez pożegnania.

Nie licząc na jakąkolwiek reakcję, przesunął urządzenie w dół jej ciała i powoli zaczął ciąć prawą nogę w połowie uda. Ostrze nieśpiesznie przechodziło przez mięśnie, rozrywając je na dwie części. Gdy doszedł do kości udowej, najdłuższej i najmocniejszej kości ludzkiego szkieletu, poczuł lekki opór, ale nie poddawał się. Zwiększył nacisk, zupełnie nie przejmując się pyłem kostnym i krwią, która coraz intensywniej wypływała z jej ciała. Lekko przechylił piłę, aby zahaczyć o tętnicę udową.

Do tego momentu leżąca przed nim kobieta miała jeszcze jakieś szanse na przeżycie, ale gdy naruszył ściany jednego z najważniejszych naczyń krwionośnych, liczyła się każda sekunda. Krew już się nie sączyła, ona wylewała się strumieniem na podłogę, jakby ktoś odkręcił kran.

Chwilę pomocował się z kością udową, ale gdy poczuł, że ustępuje, sprawnym ruchem skończył zabieg. Grażyna Trawińska nie była już posiadaczką szczupłych nóg, które chętnie prezentowała, licząc na gromkie oklaski, jakby była to jej zasługa, a nie genów, na które nie miała żadnego wpływu. Zresztą to i tak przestało mieć znaczenie. Wraz z kilkoma litrami krwi życie uszło z niej bezpowrotnie.

Rozdział 37

Prowadzenie przesłuchań i szukanie śladów z jednej strony ekscytowało młodszego aspiranta Boguckiego, ale z drugiej męczyło intelektualnie, niczym czytanie encyklopedii. Po każdym dniu pracy czuł się jak wyciągnięty z wyzymaczki, ale również szczęśliwy. Obaj z Jaworskim odczuli, że mają dużo mniej czasu na palenie papierosów, ale za to ilość wypijanej kawy wzrosła wykładniczo.

– Przynieść ci? – rzucił Bogucki, wstając od biurka. Od rana siedział nad wyciągami z kont męża Trawińskiej i partnera Wieczorek. Każdy z nich miał po kilka rachunków, więc przeanalizowanie ich stanowiło nie lada wyczyn, szczególnie że nie wiedzieli, ile wstecz muszą się cofnąć.

Siedzący obok Jaworski, zatopiony w swojej pracy, nawet się nie odezwał. Kiwnął tylko głową, nie chcąc tracić czasu choćby na zdawkowe „tak”.

Bogucki zrobił kilka dziwnych ruchów, chcąc porozciągać kręgosłup, którego stan wołał o pomstę do nieba. Brak treningów na siłowni spowodował, że szybko powrócił ból pleców, z którym walczył latami. Dopiero prawie roczna rehabilitacja, a później treningi pod okiem trenera, który nauczył go prawidłowo ćwiczyć, aby po kilku miesiącach mógł kontynuować zabawy z żelastwem samemu, spowodowały, że przestał garściami jeść leki przeciwbólowe.

Czując lekką poprawę, zgarnął kubek kolegi i swój, po czym wyszedł z pomieszczenia. Komisariat o tej porze był pełen ludzi. Część przychodziła zgłosić przestępstwo: kradzież, porysowanie samochodu na parkingu czy coraz częstsze przestępstwa internetowe. Inni wpadali, by dowiedzieć się, co dzieje się w ich sprawie: czy nastąpił jakiś spektakularny postęp, a nikt nie pamiętał o tym, by poinformować zainteresowaną stronę. Jednak to wszystko działo się na dole. Na pierwszym piętrze panowała cisza. Nikt nikomu nie przeszkadzał, a rozmowy prowadzono półgłosem.

Poszedł do pomieszczenia socjalnego, które mieściło się w drugiej części budynku. Chętnie wyszedłby na zewnątrz, ale wiedział, że robota sama się nie zrobi i powinien jak najszybciej wrócić do pracy. Obrębski traktował ich coraz bardziej jak partnerów, a nie popychadła, na które można zrzucać najgorsze zadania. Bogucki zrobił dwie kawy, obie dość mocne, i wyposażony w napoje ruszył w drogę powrotną.

Lista rzeczy do zrobienia ciągnęła się bez końca. Zamierzał posprawdzać znajomych kobiet, poszukać ludzi, którym obie stanęły na odcisk, no i planował wrócić do sprawy Urszuli i Brygidy Kubiak. Po długich bojach udało im się dostać do nagrań z kamer ustawionych przy pobliskim oddziale banku. Kierownik placówki zapierał się rękami i nogami przed udostępnieniem materiałów, twierdząc, że jego głównym celem jest ochrona swoich klientów, i ignorując fakt, że została zamordowana kobieta, a jej córka leży w szpitalu, straciwszy jedyną osobę, która się nią zajmowała.

– Kurwa!

Krzyk i mocne uderzenie wyrwały go z zamyślenia, a następnie dwa kubki, które trzymał, z hukiem wylądowały na ziemi, a ich za-

wartość na jego spodniach, ścianach. To, co zostało, rozlało się po podłodze, tworząc sporych rozmiarów kałużę. Co zaskakujące, kubki nie rozprysły się na miliony części, ale przeturlały się w głąb korytarza i tam czekały na właściciela.

Bartosz Bogucki obrócił się za siebie, żeby zobaczyć źródło tego całego nieszczęścia. Stojąca za nim kobieta nie wyglądała lepiej niż on. Nogawki białych spodni upstrzone miała kawą, a na podłodze leżała zawartość jej torebki.

– Boże, przepraszam – powtarzała, patrząc to na kałużę, to na swoją torbę, bojąc się spojrzeć mężczyźnie w twarz. Gdy w końcu to zrobiła, w jej oczach pojawiło się zdziwienie. Zmarszczyła czoło i lekko się uśmiechnęła.

– To znowu ty? No nie mogę... – rzuciła, kręcąc głową niedowierzająco. – Prześladujesz mnie?

– Ja? – prychnął Bogucki. – Niby po co? Poza tym to ty na mnie wpadasz i to z takim impetem, że znowu będę miał siniaka.

– Znowu? – powtórzyła z przekąsem i schyliła się po torbę. Na szczęście jej zawartość nie wysypała się do kałuży kawy, jednak materiał, z którego została zrobiona, nie stanowił wystarczającej ochrony przed wilgocią.

– Tak, proszę pani – zwrócił się oficjalnie, złapał pod boki i zrobił najpoważniejszą minę, jaką potrafił, mimo że uśmiech cisnął mu się na usta. – Po ostatnim ataku na moją osobę na lewej stronie brzucha miałem wielkiego siniaka. Kolega sugerował, że powinienem pójść na obdukcję i zgłosić to przełożonym. Był to ewidentny atak na moją osobę, a chyba wie pani, że podniesienie ręki na funkcjonariusza jest karalne. – Całą wypowiedź wyrzucił z siebie jednym tchem, co wywołało lekką zadyszkę. Wziął głęboki wdech i widząc lekkie prze-

rażenie mieszające się na twarzy kobiety ze zdziwieniem, kontynuował swój monolog: – My, mężczyźni, coraz częściej jesteśmy ofiarami mobbingu, prześladowań, jednak każdy z nas boi się to zgłosić, ponieważ obawia się społecznego ostracyzmu. Ofiary przemocy, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, gdy nie są kobietami, są dyskryminowane. Nikt nie patrzy na nas – ostatnie słowo powiedział głośniej – poważnie. Nikt nie współczuje. Każdy tylko się zastanawia, czy może jednak kobieta nie jest ofiarą, a całe zdarzenie nie jest mocną nadinterpretacją faktów. Dlatego teraz zostaje mi jedno... – Zawiesił głos i spojrzał za plecy psycholog. Pani Teresa, sprzątaczką, która pracowała na komisariacie od prawie trzydziestu lat i która podobno miała detektor wszelkich plam i nieczystości, a niektórzy podejrzewali ją o pakt z diabłem, leciała już z mopem i ścierą. Musiał się streszczać. – Czy...

Nie dane mu było skończyć, bo w tym momencie otworzyły się drzwi na ich wysokości i wyszedł z nich jeden z policjantów, nie patrząc przed siebie. Zaaferowany rozmową przez telefon, szedł tak szybko, że nie zwrócił uwagi na kałużę. To trwało ułamek sekundy, gdy lewa noga straciła przyczepność i z impetem runął plecami na podłogę.

Chwilę później cały komisariat usłyszał dobrze i wyraźnie kolejne siarczyste „kurwa!”.

Rozdział 38

ONA

Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, bo niby czemu miałam. Nikt normalny nie myśli o swojej śmierci, mając raptem siedemnaście lat. Nie ukrywam, że jeżeli myślałam o śmierci, to w kontekście moich rodziców. Co by się stało, gdyby matka lub ojciec umarli? Czy moje życie stałoby się normalniejsze? Czy w końcu mogłabym się czuć bezpieczna?

Jednak wtedy już wiedziałam, że jedynym wyjściem jest to, abym to ja umarła, a na nich przyjdzie jeszcze czas.

Wiedziałam, że nie jest to dobry pomysł.

Wiedziałam, że będzie ciężko mi to przez całe życie.

Wiedziałam, że przez to stanę się tą złą, ale czułam, że to jedyna opcja, aby grubą kreską, murem mocnym niczym ten w Chinach, odciąć się od przeszłości i zacząć nowe życie. Moje. Bez żadnych obciążeń i bez obawy, że moja rodzina znowu będzie mnie prześladować.

A najpiękniejsze w tym wszystkim było to, że rozwiązanie podano mi jak na talerzu.

Barbara Wierzbicka. Raptem trzy lata starsza ode mnie.

Jej rodzice zmarli rok wcześniej w wypadku samochodowym.

Rodzeństwa brak.

Z dalszą rodziną, z tego, co udało mi się ustalić, nie utrzymywała kontaktu, poza jedną kuzynką, która mieszkała we Włoszech, co też sprzyjało.

Było niewiele osób, które mogły się przejąć jej zniknięciem. Tym, który wydawał się najgorszym zagrożeniem dla mojego planu, był jej narzeczony, dlatego to od popsucia ich relacji chciałam zacząć. Musiałam tak namącić, aby ze sobą zerwali. Nigdy nie byłam w związku, nie miałam chłopaka, ale wiedziałam, że zazdrość to jeden z głównych powodów rozpadu relacji, a po swojej stronie miałam tajną broń – siebie.

Trochę zajęło mi wymyślenie, jak to wykorzystać do realizacji mojego planu, ale jak nigdy szczęście mi sprzyjało. Wokół Wioli i Gabrysi zazwyczaj kręciły się inne koleżanki lub faceci, którzy byli średnio przystojni. Ale pewnego dnia wpadł do nich kuzyn tej pierwszej. Gdy go zobaczyłam, moje serce aż stanęło na moment. Wysoki brunet o przepięknym uśmiechu siedział w kuchni i zachowywał się tak, jakby był u siebie. Niepewnie podeszłam i się przedstawiłam. Przesiedział cały dzień, pomagając zrobić obiad i opowiadając o swoich przygodach podczas rejsu, w który ostatnio wypłynął. Po kilku godzinach czułam się z nim niezwykle swobodnie, co mnie zdziwiło, ale też umożliwiło realizację planu. Zrobiliśmy sobie kilka zdjęć, na których szczerzyłam się jak nigdy, robiąc zalotne miny.

Rozdział 39

Słońce nad Warszawą jeszcze nie zdążyło wstać, gdy komisarz Maksymilian Obrębski stawiał się na miejscu odnalezienia kolejnej części ciała. Tym razem była to prawa noga, która praktycznie natychmiastowo została zidentyfikowana jako własność Grażyny Trawińskiej, a to za sprawą małego kolibra wytatuowanego nad kostką.

Odkrycia dokonał tym razem pies. Pięcioletni owczarek niemiecki wyciągnął ją z krzaków podczas nocnego spaceru po małym parku na warszawskiej Woli. Jego właściciel wrócił bardzo późno ze służbowej kolacji i zmuszony przez swojego czworonożnego przyjaciela wyszedł na małą rundkę, aby ten nie załatwił potrzeby w domu, a dokładniej w bucie, co zawsze czynił w ramach zemsty.

– O której dokonał pan znaleziska? – spytał Obrębski i zapiął skórzaną kurtkę, którą w ostatnim momencie chwycił, wybiegając z mieszkania. Teraz, czując na plecach chłodny wiatr, żałował, że nie zgarnął cieplejszej bluzy lub nawet swetra, bo bawełniana koszulka z długimi rękawami, którą miał pod spodem, zdecydowanie nie była wystarczającą ochroną.

– Jakies czterdzieści minut temu, czyli... – Dwudziestopięcioletni Karol Makowski spojrział na zegarek na nadgarstku i po chwili rzucił: – Plus minus o drugiej piętnaście. Zresztą chwila... – Tym razem

wyciągnął z tylnej kieszeni dresowych spodni komórkę. – Dokładniej mówiąc, była druga trzynaście, jak zadzwoniłem pod sto dwanaście.

– Proszę dokładnie opisać, co się wydarzyło.

– Tak jak mówiłem pana koledze, wyszedłem z Buryem na spacer. Biedak cały dzień siedział sam, bo wyskoczyło mi spotkanie, które się trochę przeciągnęło. Nie ukrywam, miałem nadzieję, że już mu się nie będzie chciało, będzie spał i nie zauważy, że wróciłem, ale przeliczyłem się. Zaczął robić wokół mnie kółka, dając znać, że musi iść. Nie protestowałem, bo już kilka razy nasikał mi do buta, a raz pogryzł ukochaną czapeczkę z daszkiem. – Mężczyzna schylił się i pogłaskał kręcącego się psa, który zachowywał się tak, jakby doskonale rozumiał, że o nim mowa.

– Czyli wybraliście się na spacer, i co dalej?

– Nic szczególnego. Jak zwykle poszliśmy do parku. O tej porze nikogo nie ma, więc Bury lata sobie, jak chce. To młody i zwariowany pies. Nikomu krzywdy nie byłby w stanie zrobić, ale w ciągu dnia zawsze wyprowadzam go na smyczy, bo raz jedna pani wezwała straż miejską i zrobiła się nikomu niepotrzebna awantura.

– Gdzie dokładnie pana pies znalazł nogę? – wtrącił Obrębski, rozglądając się dookoła.

– Na chwilę zniknął w tych krzakach – pokazał niedaleko rosnące niskie rośliny – i wybiegł jak to on podekscytowany, ciągnąc coś za sobą. Zdarzało się to już nieraz, dlatego w pierwszym momencie myślałem, że to jakiś konar czy coś w tym stylu. Już wielokrotnie mnie uraczał takimi podarunkami. Ale gdy podbiegł bliżej, chyba nawet krzyknąłem. To było całe we krwi – powiedział, kręcąc z przerażeniem głową. Jego niebieskie oczy zrobiły się większe, a przygryziona po lewej stronie dolna warga powodowała, że wyglądał dziwnie.

- Dotykał jej pan?

- Nigdy, w życiu! – wrzasnął, aż chodzący dookoła policjanci obrócili się w ich stronę. – Przepraszam. Nie. Ja boję się lekarzy, wszystkiego, co łączy się z igłami, cięciem, krwią. W życiu nie dotknąłbym czegoś takiego. Jak tylko zorientowałem się, co to jest, odszedłem na bezpieczną odległość, jakby mogła mnie zaatakować.

- Rozumiem, że pies przyniósł tylko to?

- Tak. – Kiwnął głową potakująco i wyjął coś z kieszeni.

Stojący przed nim Obrębski obserwował go bacznie i dopiero gdy pies zaczął energicznie machać ogonem, nie widząc jeszcze, co jego pan ma w dłoni, zorientował się, co to jest. Smaczek. Mężczyzna podał go swojemu pupilowi i podrapał za uchem. Komisarz chciał zadać jeszcze kilka pytań odnośnie do wcześniejszych dni, gdy do jego uszu dobiegł czyjś krzyk:

- Czy to moja Grażyna?!

Szybko przeprosił rozmówcę i ruszył w stronę źródła dźwięku, który po chwili przerodził się w kłótnię. Nie widział osób biorących w niej udział, ponieważ zasłaniała mu kępa kilku drzew. Szybko obszedł ją z lewej strony i po chwili stanął twarzą w twarz z Trawińskim.

- Dobry wieczór – rzucił lekko zmieszany. Stojący przed nim mężczyzna był ostatnią osobą, którą chciał tutaj zobaczyć. Lata pracy w policji nauczyły go, że krewni, małżonkowie ofiar wprowadzają tylko zamęt i niepotrzebnie odciągają od prowadzonych działań. Oczywiście mógł grzecznie poprosić go o powrót do domu, ale wiedział, że z reguły nie przynosi to żadnego efektu. – Co pan tutaj robi? – spytał, jakby niczego nie ukrywał.

– Hmm... Ja... No... – Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale przy każdej podejmowanej próbie coś go blokowało.

– Spokojnie. Może pan usiądzie? – Pokazał na stojącą nieopodal ławkę i ruszył w jej kierunku, tym samym odciągając mężczyznę od znaleziska, które by ujrzał, gdyby zrobił kilka kroków dalej. – Proszę powiedzieć, czemu pan tu przyjechał? Skąd pan wiedział, że coś znaleźliśmy?

Franciszek Trawiński zamknął oczy i położył prawą rękę na klatce piersiowej, a lewą na brzuchu i zaczął powoli oddychać, kontrolując, aby to ta na brzuchu się unosiła. a nie druga. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na rozmówcę, cały czas trzymając ręce w tej samej pozycji.

– Przepraszam. Od kilku lat mam napady lękowe i wtedy mnie odcina. Mój terapeuta nauczył mnie, jak z tym sobie radzić. Już jest lepiej – powiedział już spokojniej.

– Cieszę się niezmiernie – skomentował Obrębski i rozejrzał się. Miał nadzieję, że szybko się go pozbędzie. Teraz powinien przesłuchiwać świadków, a nie niańczyć mężczyznę, który, jak wszystko wskazywało, właśnie został wdowcem. – To wracając do mojego pytania, czemu pan się tu pojawił? Raczej nie przejeżdżał pan przypadkowo obok.

– Nie. Ja nie mogę spać od jej zaginięcia. Siedzę i śledzę, co w sieci, a już są informacje o znalezisku. Ktoś opublikował post, że w parku na Woli znaleziono ludzką nogę. Kobięcą. I wydawało mi się, że dostrzegłem na tym niewyraźnym zdjęciu kolibra. Takiego, jak ona ma. Boże...! – Ostatnie słowo mężczyzna wykrzyczał i zaczął się bujać w przód i w tył. – Tylko żeby to nie była ona...

- Panie Trawiński, na chwilę obecną nie możemy niczego zdradzić. Nie będę ukrywać, że dla dobra śledztwa dobrze byłoby, gdyby wrócił pan do domu, a ja, gdy tylko zabezpieczymy wszystkie ślady, skontaktuję się z panem – powiedział najspokojniej, jak mógł.

- Dobrze – westchnął mężczyzna i ku zaskoczeniu komisarza wstał.

Niespiesznie ruszył w kierunku samochodu, który zaparkował po drugiej stronie parku. Po chwili zniknął z widoku, jednak do uszu Obrębskiego doleciało jeszcze ciche „cześć”, które rzucił do kogoś z przybyłych na miejsce znaleziska. Więcej nie usłyszał, ponieważ odwrócił się i wrócił do urwanej rozmowy z właścicielem psa.

Rozdział 40

– Dzień dobry wszystkim – zaczął Obrębski i starł kroplę potu, która pojawiła się na jego skroni. Tego dnia znowu było cieplej niż wcześniej, a on mimo prognozy pogody włożył koszulę z długimi rękawami. – Sprawa wygląda tak, że jeżeli szybko czegoś nie znajdziemy, to mamy przerąbane. Media jeszcze tego nie podchwyciły, ale mamy do czynienia z fanem cięcia atrakcyjnych kobiet. Jednak jak połączą kropki, gwarantuję, że to będzie pożywką dla padlinożerców jak nic dotychczas. Wiemy, że golizna się sprzedaje. Przemoc się sprzedaje. Cycki się sprzedają. A jak to połączymy, to będzie bomba nuklearna, po której wybuchu nie wiem, czy coś zostanie. Musimy się zatem spiąć i popchnąć śledztwo do przodu. Co wiemy dotychczas?

W tym momencie podszedł do wielkiej tablicy, na której poprzyczepiał najważniejsze materiały. W sali konferencyjnej zebrało się kilkanaście osób, które zostały wciągnięte w śledztwo. W związku z powagą sytuacji komendant zaangażował w nie o wiele więcej osób, niż było standardem.

– Dwie ofiary. Monika Wieczorek i Grażyna Trawińska. Znały się. Co to oznacza? Ciężko powiedzieć. Obie były dość medialne, szczególnie młodsza z nich, ale Trawińska też uwielbiała pokazywać się w mediach społecznościowych. Na Instagramie obserwowano ją ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Kolejna sprawa to zostawiane nam

części ciała. Po co to robi? I co z resztą? Chowa je? A może jest fanem Hannibala Lectera i nigdy nie odnajdziemy brakujących części, bo je zjadł? To, co wiemy na pewno, to fakt, że jest przestępcą zorganizowanym. Nikt przecież przypadkowo nie ma pod ręką piły. Raz odcięta głowa czy kończyna mogłaby się zdarzyć, ale dwa takie przypadki to już bardzo dobrze przemyślany plan działania. Kolejna ważna rzecz: działa lokalnie, co zapewne oznacza, że sam jest stąd. – Mężczyzna pochylił się po stojącą przed nim szklanę z wodą i upił łyk. – Chciałbym teraz poprosić Mirosława Zawadę o kilka słów na temat ciała, nogi i ucha, które na chwilę obecną posiadamy. Mirku, zapraszam.

W tym momencie z najdalszego kąta sali wstał niespiesznie jeden z najbardziej docenianych i podziwianych patologów w kraju, który wielokrotnie przyczynił się do złapania, a później skazania najgroźniejszych przestępców. Był przed czterdziestką i miał naturalnie umięśnione ciało. Gdy gdzieś się pojawiał, przyciągał uwagę jak mało kto, a to nie tylko za sprawą postury czy ogolonej na łyso głowy, oczu otoczonych jeszcze niezbyt mocnymi zmarszczkami, wąskich ust i kwadratowej szczęki. Wytwarzał wokół siebie jakąś niesamowitą atmosferę, której nikt nie potrafił zlekceważyć.

– Dzień dobry – zaczął po kilku sekundach, gdy stanął koło Obłębskiego. – Sprawa na chwilę obecną nie wygląda dobrze. Mamy dwie ofiary, o ile potwierdzą to badania genetyczne, których wyniki powinniśmy mieć w miarę szybko. Jeżeli ucho okaże się należeć do zupełnie innej osoby, to będzie mogło oznaczać, że jest i trzecia ofiara, ale nie wyprzedzajmy faktów. Tak jak powiedział Maks, ktoś wszystko dobrze planuje. Zarówno po sposobie dekapitacji, jak i od-

cięcia nogi oraz ucha mogę stwierdzić, że jest niebywale pewny w ruchach, tak jakby się na tym znał albo często używał piły.

– Może to drwal? – rzucił jeden z policjantów.

– Może, chociaż wydaje mi się, że jest więcej zawodów, w których wykorzystywane są piły. Może to budowlaniec albo lekarz ortopeda, oni przecież też tną kości. Na chwilę obecną trudno powiedzieć. To, że Monika Wieczorek nie żyje, to wiemy na pewno. Co do pani Trawińskiej, nie mamy pewności, ale bazując na mojej wiedzy, niestety muszę powiedzieć, że jest wielce prawdopodobne, że szukamy już ciała. Dlaczego? Niestety krwotok z dużych tętnic, a mam na myśli ramienną, udową czy szyjną wspólną, może spowodować bardzo szybkie wykrwawienie. Może trwać nawet tylko kilka minut. Gdy w naczyniach krwionośnych brakuje krwi, dochodzi do zatrzymania akcji serca, a wtedy jest koniec. Jeżeli po odcięciu nogi, a tym samym przecięciu tętnicy udowej, nie zatrzymano krwotoku, kobieta nie miała szans i chwilę później nie żyła.

– Niestety tego się musimy spodziewać – powiedział smutno Obrębski. – Coś jeszcze udało ci się ustalić?

– Na chwilę obecną próbuję dobrać z dość szerokiej bazy, czym dokładnie dokonano cięcia, ale niestety nie ma żadnych charakterystycznych cech. Na pewno narzędzie było wyjątkowo ostre.

– A czy wiadomo, czy ofiary żyły w czasie, gdy je krojono? – spytał kolejny policjant, a po sali przeszedł słyszalny szelest. Chyba nikt dotychczas o tym nie pomyślał.

– Niestety jest to niezmiernie trudne do stwierdzenia. W ciągu dwóch do czterech godzin od zgonu krew zaczyna krzepnąć, więc do tego czasu mocno się nie zmienia. Mogę stwierdzić, że nogę odcięto

za życia albo niewiele później. Co do głowy, to nie jestem w stanie tego ustalić.

– Dzięki, Mirku. Czy ktoś zdołał ustalić coś ciekawego?

Obrębski rozejrzał się po sali, na co wszyscy zgromadzeni mimowolnie zaczęli błędzić wzrokiem dookoła, a siedzący wśród nich Bogucki bił się z myślami, co ma zrobić. Niewiele wcześniej odbył ciekawą rozmowę, ale nie wiedział, czy wnosi cokolwiek do sprawy.

– Ja chyba mam – powiedział w końcu i podniósł rękę. Wszystkie oczy momentalnie skierowały się w jego stronę.

– Super! – Obrębski klasnął w dłonie. – Jakby ktoś nie wiedział, to jest młodszy aspirant Bartosz Bogucki, a koło niego siedzi aspirant Kamil Jaworski. Na co dzień pracują w prewencji, ale wspomagają nas na potrzeby aktualnej sprawy i w sumie jeszcze jednej. A jak wszystko dobrze pójdzie, to kto wie, czy nie zostaną z nami na dłużej. Dajesz, kolego.

– Cześć – zaczął Bogucki i wstał. – Wraz z kolegą sprawdziliśmy dość ciekawy wątek. Może zacznę od... – Zawiesił się i spojrzał na swojego partnera, licząc, że ten go wspomocze, jednak Jaworski spuścił tylko wzrok i swoim zwyczajem nie odezwał się słowem. – Hmm, Grażyna Trawińska, podobnie jak jej mąż, nie była wierna przysiędze małżeńskiej. Jej koleżanki twierdzą, że od lat kręciło się wokół niej wielu panów. Kobieta mogła uchodzić za atrakcyjną, więc możliwe, że w normalnych warunkach pewnie też miałaby adoratorów. Jednak ona lubiła bardzo konkretny typ. Chłopaków około dwudziestoletnich, o ciemnych włosach, zarysowanych mięśniach. Najlepiej z korzeniami włoskimi lub hiszpańskimi. Udało nam się namierzyć sześciu, chociaż podobno było ich znacznie więcej. Trzech z nich wyjechało, dwóch jest w szczęśliwych związkach. Za to szósty okazał

się strzałem w dziesiątkę – powiedział pewnym głosem, czując się coraz bardziej komfortowo w zaistniałej sytuacji. – Marcel Bobrowski. Dwudziestotrzylatek, który od dwóch lat mieszka w stolicy. Przyjechał ze Szczecina z myślą, że załapie się gdzieś do jakiejś agencji modelingowej. Niestety okazało się, że takich chłopaków jak on jest mnóstwo. Nie mając już nic na koncie, dał się zaprosić jakiejś starszej pani na drinka. Kobieta nie należała do najurodziwszych, ale powiedział, że nie było najgorzej. Na koniec dała mu trzysta złotych. Nie oczekiwała niczego więcej. Chciała po prostu spędzić z kimś miło czas. Później były kolejne kobiety, a on powoli rozszerzał zakres swoich usług, co znaczy, że... – Na chwilę zawiesił głos i uniósł prawą brew.

– Został męską prostytutką – skończył za niego komisarz.

– Dokładnie. Co mnie, to znaczy nas, dość zaskoczyło, to fakt, że zupełnie się nie przejmował tym, że to raczej słaby sposób na zarabianie. Oczywiście nie powiedział tego wprost, ale między słowami można było to wyczytać. Zresztą zapewniliśmy, że nie ścigamy męskich prostitutek, ale mordercę. – Po tych słowach spojrzał pytająco na Obrębskiego.

– I słusznie – rzucił komisarz, widząc wyczekujące spojrzenie kolegi.

– Jednak wszystko zaczęło się komplikować, gdy poznał Trawińską. Powiedział, że była inna niż jego wcześniejsze panie. Tak, mówił na nie „moje panie”. Zamordowana wymagała od niego bardziej zmysłowych usług. Czasami dopraszała do nich kogoś jeszcze, zwykle kobietę, ale mężczyźni też się pojawiali. Na początku mu to nie przeszkadzało. Nie dość, że świetnie się bawił, to jeszcze mu płacono. Aż pojechał z nią na weekend nad morze. Pierwszy raz się

przed nim otworzyła. Opowiedziała o małżeństwie, dzieciakach. O tym, że czuje się niekochana i niechciana. Wcześniej patrzył na nią jak na dominatorkę, ale wtedy dostrzegł coś innego, delikatnego. Zaczął się w niej zakochiwać. Gdy powiedział, że nie chce pieniędzy, bo ją kocha, wkurzyła się. Przez dwa tygodnie się nie odzywała, nie odpisywała. Gdy w końcu się spotkali, była oschła. Powiedziała, że go nie kocha i nie chce już z nim się spotykać. Oznajmiła, że ma innych kochanków i oni rozumieją ich układ. Seks, pieniądze, miłe spędzanie czasu. Zero uczuć. Chłopak twierdzi, że odpuścił i próbował poukładać sobie życie na nowo bez niej.

– Wierzysz mu? – spytał Obrębski.

– Nie, dlatego sprawdziliśmy alibi, jakie podał na noc znalezienia nogi Trawińskiej.

– I?

– I niestety chłopak ma problem. Okazało się, że pani, z którą był i która bardzo się zdenerwowała, gdy do niej przyjechaliśmy, powiedziała, że widziała się z Marcelem Bobrowskim, ale było to dwa dni wcześniej.

– Dobra robota, przywieźcie go natychmiast na komisariat. Chętnie z nim jeszcze raz pogadam – rzucił Obrębski i klasnął w dłonie.

Rozdział 41

ONA

Zobaczyć swój nekrolog w gazecie – to wielka sprawa.

W pierwszym momencie czytałam go niczym scenę z najlepszego science fiction.

„Załamani rodzice pragną poinformować o śmierci swojej najukochańszej córki...”

Boże, kto im to napisał? Obłuda wylewająca się z tych słów z jednej strony mnie bawiła, a z drugiej powodowała, że momentalnie wrócił mój odruch zaciskania pięści. Może dlatego, że obok radości, że wraz z moim pogrzebem na zawsze pozbyłam się koszmaru mojego życia, pojawił się strach. Strach, że ktoś zorientuje się, co się stało, i że w grobie nie leżą ja, ale ktoś zupełnie inny.

Nie planowałam jej zabijać. W pewnym momencie to wszystko mogło wyglądać inaczej, ale Barbara Wierzbicka nie chciała mi pomóc.

Gdy wywołałam zdjęcia z kuzynem Wioli i narysowałam na ich odwrocie parę serduszek, przyszedł czas na dostarczenie ich jej chłopakowi. No i tutaj pojawił się pierwszy problem. Jak miałam to zrobić? Nie chciałam ich wysłać pocztą, to byłoby dziwne. Chyba

trzy dni chodziłam i rozmyślałam, aż przypomniałam sobie o kluczach do jej domu. Dobrze wiedziałam, że już wrócili znad morza, bo pojawiła się w pracy.

Tego wieczora wybrała się ze znajomymi do baru. Obserwowałam ich z daleka, jak piją kolejne drinki, więc liczyłam, że wróci do domu pod wpływem. I tak się stało. Rozbawiona koleżanka, która uznała, że wypła mniej, odprowadziła ją pod same drzwi.

Barbara wtoczyła się do mieszkania, nawet nie zwracając uwagi na moją obecność. Siedziałam w kącie w salonie, ubrana w ochronny strój, i obserwowałam, jak przewraca się o pozostawione wcześniej buty. Jak niezgrabnie wstaje i zrzuca z siebie ubrania, zostawiając je na oparciu kanapy w salonie, a niektóre na podłodze. W samych rajstopach i bieliźnie zniknęła w łazience, skąd zaraz zaczęły dochodzić dziwne dźwięki świadczące o pozbywaniu się szkodliwej treści z żołądka, która zapewne zaczęła jej ciążyć.

Po dobrym kwadransie, cały czas chwiejąc się na nogach, wróciła do kuchni, skąd zgarnęła butelkę z wodą, a z salonu torebkę i pomaszerowała do sypialni. Na moje szczęście nie zamknęła do niej drzwi. Czas dłużył się niesamowicie, a ja bałam się ruszyć. Plecy bolały mnie okrutnie, ale wolałam wytrzymać, by nie wpaść na dziewczynę. W końcu po dobrej godzinie usłyszałam pochrapywanie. Wyprostowałam się, czując, jak strzyka mi w kręgosłupie.

Cichutko, na paluszkach, powędrowałam do sypialni. Musiałam dostać się do jej torebki i wsadzić do niej zdjęcia. Umieściłam je w kieszeni z przodu, której zatrzask działał niezwykle ciężko. Chwilą się z nimi posiłkowałam, ale wiedziałam, że warto. Oznaczało to, że nie zagląda do tej kieszonki zbyt często.

Posiedziałam jeszcze chwilę, patrząc, jak pochrapuje, i wyszłam. Musiałam jeszcze podzucić jej chłopakowi anonim, że jego dziewczyna w torebce nosi zdjęcia z innym – dowody swojej niewierności.

Rozdział 42

– Imię i nazwisko? – spytał komisarz Maksymilian Obrębski siedzącego naprzeciwko młodego chłopaka, a przyglądający się przesłuchaniu Bogucki i Jaworski przysunęli krzesła jeszcze bliżej weneckiego lustra w obawie, że zaraz przyjdą inni chętni na zobaczenie tej rozmowy.

– Marcel Bobrowski.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty drugi czerwca, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty rok, Szczecin.

– Czym się pan zajmuje?

Chłopak podniósł wzrok, który dotychczas wbity miał w zniszczony blat stolika dzielącego go od policjanta. Przez chwilę patrzył na niego, jakby zapomniał języka w gębie lub nie usłyszał pytania.

– Ja nie jestem od ścigania takich jak pan – dodał Obrębski na zachętę.

– Jestem facetem do towarzystwa.

– Czy zna pan Grażynę Trawińską?

– Tak – odpowiedział krótko, a na jego twarzy zagościł delikatny uśmiech.

– Kiedy się poznaliście?

- W marcu dwa tysiące siedemnastego.

- Dokładnie pan pamięta, super - pochwalił go policjant. - A może pan powiedzieć, jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie?

- Lady Gaga... - zaczął chłopak, a zobaczywszy zmarszczone czoło siedzącego naprzeciwko mężczyzny, od razu dorzucił: - Grażyna chciała, żebym tak do niej mówił. Nie lubiła swojego imienia. Mówiła, że czuje się przez nie stara. Dostała do mnie kontakt od koleżanki, która umawiała się ze mną przez kilka miesięcy. Pierwszy raz spotkaliśmy się w restauracji na Nowym Świecie. Jakoś nie bardzo przejmowała się tym, że ktoś może nas zobaczyć. Zjedliśmy kolację, a potem... - Chłopak nerwowo zaczął drapać się prawą ręką po wierzchniej stronie lewej. Zachowywał się tak, jakby to, co miał powiedzieć, go stresowało.

- Panie Marcelu, ja wiem, jakie relacje łączyły pana z Grażyną Trawińską, więc nie musi pan ukrywać, że sypiał z nią za pieniądze. My szukamy mordercy, a nie ludzi, co za kasę uprawiają seks z innymi - powiedział Obrębski spokojnym tonem.

- Okej. - Bobrowski zrobił wdech i odsunął dłonie od siebie. - Okazało się, że miała zarezerwowany pokój w hotelu nieopodal. Gdy tylko zamknęliśmy za sobą drzwi, rzuciła się na mnie jak lwica na ofiarę. Na początku się trochę przestraszyłem. Zazwyczaj moje klientki są bardzo powściągliwe. Powoli zaczynają. Gra wstępna przedłużona jest do maksimum. A tu zero. Raz dwa i byliśmy nadzy. Nie będę opisywał, co i jak, bo to chyba dla śledztwa nieistotne, ale seks z nią był niezmierny, chociaż...

- Tak? - wtrącił Obrębski, chcąc zachęcić chłopaka do kontynuowania.

– Zachowywała się trochę jak księżniczka. To ja musiałem się starać, ona inicjowała wszystko, a później odpuszczała.

– Rozumiem. Ile trwała państwa relacja?

– Około półtora roku.

– Czy w tym czasie spotykała się z innymi?

– Tak. – Mężczyzna smutno pokiwał potwierdzająco.

– Jak się pan z tym czuł?

– To był układ handlowy, więc generalnie na początku mi to nie przeszkadzało. Zresztą sam cały czas miałem inne klientki, ale z czasem...

– Zakochał się pan – skończył za niego Obrębski.

– Tak – odpowiedział ten cicho, a jego ciemne oczy zaszyły łzawą mgiełką.

– Jak Grażyna Trawińska na to zareagowała?

– Wyśmiała mnie i powiedziała, że to koniec. Ja wiem, że od początku mieliśmy taki układ, mogłem się tego spodziewać, ale gdy mi powiedziała, że w takim razie już nigdy się nie spotkamy, zdębiałem. Miałem wrażenie, że umrę na miejscu.

– Co było później?

– Nic – odpowiedział smutno Marcel Bobrowski. – Próbowałem z nią porozmawiać. Wrócić do tego, co było, ale nie odbierała, nie odpisywała. Dała mi wyraźnie znać, że to definitywny koniec.

– Uszanował pan to?

– Tak.

– Co robił pan siedemnastego maja i w nocy z siedemnastego na osiemnasty?

– Byłem z klientką, podałem jej dane tym policjantom, którzy mnie przepytawali wcześniej – powiedział, lekko się jękając, i znowu zaczął drapać wierzchnią stronę lewej dłoni.

– No i tu pojawia się problem. Pani tego nie potwierdziła.

– Niemożliwe! – skomentował wypowiedź Obrębskiego podniesionym głosem. – Na sto procent byliśmy tego dnia razem. Rano poszedłem do lekarza. Specjalnie przesunąłem wizytę na rano, bo Bogna chciała umówić się już na obiad. Później poszliśmy do parku na spacer. Byliśmy w kinie, a na końcu...

Policjant zmarszczył złowrogo brwi i spojrzał na weneckie lustro, za którym ukrywali się dwaj policjanci.

– Ma pan na to jakieś dowody?

Chłopak przez chwilę myślał, przewracając oczami i kiwając głową, aż po kilkunastu sekundach się uśmiechnął.

– Tak, mam. Wiem, że nie powinienem był, ale zrobiłem zdjęcie, jak byliśmy w restauracji. Kolega chciał pójść na miasto, ale napisałem, że do wieczora jestem zajęty. Dopytywał się, co takiego robię, więc wysłałem mu zdjęcie. Widać mnie i kawałek Bogny od boku. Ona jest trochę ślepa i nie chce nosić okularów, bo twierdzi, że źle wtedy wygląda, więc zupełnie nie zauważyła.

Chłopak włożył rękę do jeansowej kurtki, którą miał tego dnia na sobie, i wyciągnął smartfon. Po chwili poszukiwań pokazał im ekran z odpowiednim zdjęciem.

– Spędziłem z nią cały dzień, z hotelu wyszedłem o trzeciej w nocy, na co mam potwierdzenie w aplikacji Ubera. – Szybko coś poklikał i pokazał kurs zaczynający się pod jednym z warszawskich hoteli.

Rozdział 43

Kamil Jaworski wszedł do pomieszczenia współdzielonego z Bogucim oraz dwoma nieobecnymi kolegami i stanął przed jego biurkiem z hollywoodzkim uśmiechem, prezentującym średnio białe zęby.

– Ten Marcel mówił prawdę, babce się pomyliły dni – rzucił jego kolega, patrząc w klawiaturę. Nie słysząc reakcji, podniósł głowę. – Co się tak szczerzysz? A może boli cię coś i nie możesz zamknąć szczęki? – powiedział lekko poirytowany.

Po wpadce z kochankiem zamordowanej atmosfera stała się napięta, a jego kolega, zamiast się na tym skupić, zajmował się innymi sprawami. Mieli sporo tropów do sprawdzenia, a czas przelatywał między palcami.

– Wszystko okej, a nawet i lepiej. Idziemy dzisiaj na kolację – odpowiedział Jaworski i usiadł za swoim biurkiem, które z dnia na dzień zasypywała coraz większa ilość papierów. Przetawił jedną kupkę na podłogę, a w jej miejsce położył pudełko z zamówionym makaronem z sosem bolognese.

– Chyba sobie jaja robisz. Po pierwsze, to mamy przerąbane. Po drugie, roboty po pachy i nie wyrobimy się z tym przez najbliższe pół roku, a po trzecie, co my, jacyś celebryci, że na kolację będziemy się zapraszać?

- Wiedziałem, że będziesz się stawiał. Ale nie bój żaby, przed chwilą wpadłem na Obrębskiego i kazał, powtórzę: kazał, słowo klucz, nam dzisiaj odpocząć. Powiedział, cytuję: „Jak nie odpoczniecie, to nic z was nie będzie pożytecznego”. Zeszło już z niego ciśnienie i nie wrzeszczał, dlatego trzeba to wykorzystać. Bo... umówiłem nas na podwójną randkę ze świetnymi dziewczynami.

Bartosz Bogucki podniósł ręce z klawiatury, na której sekundę temu jeszcze coś pisał, i obrócił się w stronę kolegi. Jego krzesło biurowe miało już swoje lata, dlatego musiał pomóc sobie nogami, aby wykonać obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

- Ja pierdolę, czy ja powiedziałem ci, że mam ochotę na randkę?! - krzyknął, wprowadzając kolegę w zdziwienie. - Nie zakończyłem jeszcze oficjalnie związku z Alą i mam już umawiać się z innymi? Jakoś nie wydaje mi się, że to dobry pomysł i nie w porządku w stosunku do Ali.

- O Boże, przepraszam - powiedział Jaworski. - Myślałem, że się ucieszysz. Podobno to świetna laska. Przyjaźni się z Marleną od lat. Ładna, szczupła blondynka. I na dodatek niegłupia. Nie wiem, co robi, ale... - Wstał od biurka i podszedł do kumpla. - Stary, nie musisz się od razu z nią żenić. Wystarczy, że zjemy kolację w miłym towarzystwie. Pogadamy, pośmiejemy się i tyle. Nic zobowiązującego. Pliiiz. - Jaworski podszedł jeszcze bliżej i zrobił smutną minkę.

- Jezus Maria, ale ty trujesz dupę. Zgodzę się, ale pod warunkiem, że to ostatnia taka akcja, i od jutra skupimy się tylko na robocie, bo co chwilę nawalamy. Zapomnieliśmy o jednej rzeczy. - Kiwnął głową na kolegę, dając znak, aby podszedł bliżej. - Mieliśmy sprawdzić konto Wieczerek na Twitterze.

– Tak. – Kamil kiwnął głową i podsunął sobie krzesło, aby nie wisić nad kolegą.

– Wyobraź sobie, że zamordowana podała adres pedofila na swoim profilu i trzy tygodnie temu został on śmiertelnie pobity. Jego syn oskarżył zamordowaną o pomówienie. Winił ją za śmierć ojca. Podobno to, co opublikowała na Twitterze, nie było prawdą.

– O matko, to może on ją zabił. Trzeba powiedzieć Obrębskiemu.

Bogucki spojrzał na kolegę w dziwny sposób. Jak małe dziecko, które coś kombinuje.

– Nie – rzucił Jaworski, od razu zrozumiałwszy pomysł kolegi. – Nie możemy. Nie powinniśmy. Za małe smrody z nas. Nie możemy sami go przesłuchiwać.

– Przestań. Damy radę, a tak wpadną nam punkciki i awans będziemy mieli w kieszeni!

Kolega mierzył go wzrokiem, nie odzywając się.

– W zamian za to pójdę na kolację i będę bawił się przednio. Obiecuję.

Jaworski zgodził się i dziesięć minut później jechali pod adres syna rzekomego pedofila. Dwanaście kilometrów dzielących ich od celu pokonali w pół godziny i mimo że każdy miał głowę pełną myśli, żaden nie odezwał się ani słowem. Jak zwykle prowadzący Bogucki zaparkował przed czteropiętrowym blokiem na warszawskiej Woli i kiwnął głową, dając znak, że jest gotowy.

W drodze zamierzał ustalić plan przesłuchania, ale nie chciał wyjść na tego wywyższającego się, przejmującego dowództwo. Miał nadzieję, że jakoś to wyjdzie i uzyskają odpowiedzi na ważne dla nich pytanie.

Weszli na klatkę, wykorzystując fakt, że idąca przed nimi młoda kobieta przytrzymała im drzwi. Wgramolili się na trzecie piętro i stanęli przed drzwiami z numerem 37.

– Gotowy? – zapytał Bartosz Bogucki z uśmiechem na twarzy.

Kolega nie odpowiedział, tylko kiwnął głową i nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi zaczęły się otwierać i ukazał się w nich mały chłopiec.

– Kacper, tyle razy mówiłem ci, żebyś nie otwierał sam drzwi. Najpierw trzeba sprawdzić, kto przyszedł – usłyszeli męski głos, a po chwili zobaczyli około trzydziestoletniego mężczyznę w szarej bluzie z kapturem i czarnych jeansach. – Dzień dobry – rzucił na widok funkcjonariuszy i momentalnie się napiął, jakby się czymś zdenerwował lub czegoś przestraszył. – Wiecie coś? – rzucił, czym zbił policjantów z pantafyku.

– Pan Szymon Stasiak? – odpowiedział pytaniem Bogucki.

– Tak.

– Młodszy aspirant Bartosz Bogucki, a to mój kolega aspirant Kamil Jaworski, Komisariat Policji z Żoliborza. Możemy panu zająć chwilę?

– Tak – odpowiedział mężczyzna, cały czas bacznie przyglądając się policjantom. – Proszę wejść – rzucił po kilku sekundach, jakby dopiero obudził się z głębokiego snu. Otworzył szerzej drzwi i wpuścił ich do domu. Od razu po przekroczeniu progu weszli do sporego salonu, gdzie na środku stała kanapa w kształcie litery L, zwrócona w stronę ściany, na której wisiał sporych rozmiarów telewizor. Wszędzie na podłodze walały się dziecięce zabawki, samochodziki, klocki, książeczki. – Przepraszam. Młody jest chory i się nim opiekuję. Nie

jest łatwo, ale jakoś daję radę – powiedział smutnym głosem, jakby chciał wzbudzić litość.

– Mamy do pana kilka pytań, co robił pan siódmego maja wieczorem i później w nocy? – rzucił jako pierwszy Bogucki, nie odrywając wzroku od twarzy mężczyzny. Momentalnie pojawiły się na niej zmarszczki, a szczęka zacisnęła, czego efektem były mocniej zarysowane mięśnie na twarzy.

– Ale o co chodzi? Myślałem, że przyszlście w sprawie mojego taty – powiedział z przerażeniem w głosie.

– Bo przychodzimy. Proszę odpowiedzieć na pytania.

– Byłem w domu. Z Kacprem. Żona wyjechała na dwa tygodnie i zostawiła mnie z tym wszystkim samego. Nie dość, że tata... – Przerwał na chwilę i odwrócił głowę. Z daleka widać było, jak jego ręce się trzęsą. – Od kiedy to się stało, jestem cały czas w domu, a ostatnio dodatkowo zajmuję się młodym, bo choruje. Przedszkole ma niby pomagać rodzicom i ich odciążać, ale mam wrażenie, że jest jednym wielkim siedliskiem zarazków i chorób.

– Ktoś może to potwierdzić? – odezwał się Jaworski, zupełnie nie przejmując się żalami Szymona Stasiaka.

– No, mówię przecież, że siedzę w domu. Możecie spytać Kacpra, ale nie wiem, czy zeznania pięciolatka są wiarygodne. On za gumę do żucia lub możliwość pogrania na telefonie wszystko powie – rzucił i zaśmiał się smutno.

– Czy znał pan Monikę Wieczorek?

– Czy znałem ją? – prychnął ze słyszalną ironią w głosie i zaczął kręcić głową. – Przecież już wam wszystko opowiedziałem i myślałem, że jasno postawiłem sprawę. To wszystko to splot jakichś dziw-

nych zdarzeń, które doprowadziły do tragedii. Niewyobrażalnej tragedii.

– Każdy zawsze tak mówi – wtrącił Jaworski z szyderczym uśmiechem na twarzy. Przed wejściem ustalili, kto będzie tym dobrym policjantem, ale teraz, gdy stali przed mężczyzną, zupełnie o tym zapomnieli. – Niestety mamy pewne poszlaki i musimy wykluczyć, czy nie stoi pan za jej śmiercią. Musimy wyjaśnić, co dokładnie się stało – oznajmił Jaworski, lawirując między faktami.

– Wy się z choinki urwaliście czy co?! – Mężczyzna, który dotychczas próbował się kontrolować, teraz zrobił groźną minę. Całe ciało napięło mu się, a na czole pojawiła się duża żyła. – Mój ojciec został pobity na śmierć. Moją rodzinę obrażono w sieci chyba na wszelkie możliwe sposoby. Zostaliśmy uznani za pedofilów, morderców, zboczeńców, a nawet znalazłem wpis o kanibalistycznych obrzędkach. Ja rozumiem, że ludzie są głupi, ale że policja, która obiecała pomóc i uciąć ten bzdurny łańcuszek nienawiści, przychodzi i znowu mnie nęka, to jest nie do wyobrażenia.

– Proszę pana – zaczął tym razem nakręcony Bogucki – my chcemy tylko ustalić fakty. Przez Monikę Wieczorek pana tata zginął. Jest pan pełen złości i wcale się nie dziwię. Jednak wyłączenie systemu sprawiedliwości do niczego dobrego nie doprowadzi.

– Ja pierdolę! – krzyknął mężczyzna i ręką strącił stojącą na komodzie obok lampkę. Obaj funkcjonariusze natychmiast do niego doskoczyli i powalili na ziemię. – Co wy robicie?! – krzyczał, wierzgając nogami. – Nie macie do tego prawa!

– Tato! – W tym momencie zza rogu wyskoczył chłopiec. W rękach trzymał małego pluszowego królika z długimi uszami. – Zo-

stawcie go! – Podbiegł do Boguckiego i zaczął się z nim szarpać. –
Nie możecie go zabić jak dziadka!

Rozdział 44

– Czy was totalnie popierdoliło?! – Obrębski wrzeszczał na cały głos, nic sobie nie robiąc z faktu, że ktoś może go usłyszeć. – Myślicie, że po dwóch tygodniach pracy w kryminalnym pozjadaliście wszystkie rozumy?!

Dwaj policjanci stali przed kolegą jak uczniowie wezwani na dywanik do dyrektora – żaden z nich nie miał odwagi podnieść wzroku i spojrzeć na swojego czasowego przełożonego.

– Pojechaliście przesłuchać człowieka, którego ojciec został niesłusznie oczerniony, a następnie pobity na śmierć, człowieka, który przeżył wielką traumę, a wy tam wparowaliście jak wielcy panowie i co myśleliście, że wydusicie z niego zeznania, które uratują świat?

– To nie tak – odezwał się jako pierwszy Bogucki, który czuł się prowodyrem tej całej sytuacji. Podniósł powoli wzrok i choć był wyższy od Maksymiliana Obrębskiego, w tym momencie miał wrażenie, że jest rozmiarów małego krasnoludka, nad którym stoi wielki ogr.

– To nie tak? – powtórzył po nim komisarz prześmiewczym głosem. – To, kurwa, jak? Ten pięcioletni chłopiec będzie miał przez was traumę przez wiele lat. Jak zobaczy mundurowych, włączy mu się motorek w tyłku i będzie spieprzał na drugą stronę ulicy jak Struś Pędziwiatr. I dlaczego? Bo wam się chciało pobawić w policjantów!

– On jest synem gościa, którego Monika Wieczorek wskazała jako pedofila. Facet został przez to zabity, więc myślałem...

Bogucki nie zdążył skończyć, bo przerwał mu Obrębski, który zrobił krok do przodu i stanął pół metra od niego. Jego na co dzień sympatyczna twarz zionęła teraz zdenerwowaniem. Ciemne oczy zmrużył, a małe i tak wargi przygryzał tak skutecznie, że praktycznie cała czerwień zniknęła w jego ustach.

– To może nie myśl tyle, bo ci nie wychodzi. Ty pracujesz w jakimś brukowcu czy w państwowej instytucji, która opiera swoje działania na sprawdzonych informacjach? Bo na chwilę obecną wydaje mi się, że sprawdzilibyście się jako pudelkowi donosiciele. Ktoś coś powiedział, ktoś coś napisał, czyli to oznacza, że to prawda? – Zrobił krok w bok i stanął przed Jaworskim, który dopiero kilka sekund wcześniej podniósł głowę. – A teraz chciałbym usłyszeć, dlaczego wyładowaliście w mieszkaniu Szymona Stasiaka.

Bartosz Bogucki i Kamil Jaworski spojrzeli na siebie. Ich blade twarze i nietęgie miny świadczyły o przerażeniu.

– To ja chciałem tam pojechać – odezwał się ten pierwszy, westchnął i spojrzał w sufit, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie tej patowej sytuacji. – Wiem, że powinienem był pójść do ciebie, wyjaśnić podejrzenia, i wtedy...

– Dowiedziałbyś się, że to niewłaściwy trop – wciął mu się w pół zdania Obrębski, odsunął o metr do tyłu i oparł o biurko. – Wy, z prewencji, wielu rzeczy nie wiecie i w sumie się nie dziwię. Sprawa Nikodema Stasiaka pojawiła się trzy miesiące temu. Dziwna, zawiała i niestety bez happy endu. Pan Nikodem Stasiak od wielu lat prowadził mały zakład krawiecki przy dość ruchliwej ulicy. Wszędzie dookoła znikwały podobne biznesy. Budynki, w których je prowadzono,

przejmowali duzi deweloperzy, którzy sukcesywnie burzyli je jeden po drugim, a w ich miejscu budowali większe, wyższe i takie, na których mogli zarobić miliony. Niestety pan Nikodem okazał się nieustępliwym przeciwnikiem. Niewielką kamienicę odziedziczył po rodzicach. Dawno już w niej nie mieszkał. Pomagał synowi przy wychowaniu wnuczka, ponieważ synowa często wyjeżdża, ale nadal prowadził tam swój biznes. Miał stałych klientów od lat, a pozostałe lokale wynajmował. W jednym był salon z kapeluszami, w innym szkoła tańca, a w ostatnim jakaś firma. Zresztą nieważne. Co chwilę pukał do jego drzwi ktoś chętny do kupienia jego własności. Każdą ofertę zbywał, mimo że proponowano niezłe sumki. A co piękne, jego syn nigdy nie próbował wpłynąć na ojca. Szanował jego decyzję. Jednak nikt nie spodziewał się, że sprawa nabierze takiego obrotu.

Obrębski wstał i swoim zwyczajem podszedł do okna, które uchylił. Chwilę patrzył na jadące po ulicach Żoliborza samochody i nie odzywał się. Żaden ze stojących jak na przesłuchaniu policjantów nie śmiał przerywać mu rozmyślań.

– Niestety działka, na której stała kamienica, okazała się ostatnim ogniwem potrzebnym do wybudowania wielkiego, nowoczesnego kompleksu. Zdesperowany deweloper wynajął agencję zajmującą się negocjacjami, a ci uruchomili panów, którzy stosują różne niekonwencjonalne metody dochodzenia do celu. – Odwrócił się w ich kierunku i spojrzał na nich. – Tylko oni nie działają jak kiedyś. Nie idą do delikwenta i nie okładają go pięściami. Oni rujnują mu życie. Zadają cios z najmniej spodziewanej strony. W internecie zaczęły pokazywać się artykuły, wpisy o miłym, sympatycznym panu, który nie tylko świetnie zajmie się twoimi butami, ale również...

Nie skończył zdania, bo w tym momencie zadzwonił jego telefon. Zerknął, kto to, wyciszył i kontynuował:

– Oskarżano go o molestowanie dzieci. Sugerowano, że na swoim koncie miał kilkanaście ofiar. Artykuły okraszone były wypowiedziami już dorosłych mężczyzn, którzy opisywali, co im się rzekomo wydarzyło. Nigdzie nie pisano wprost, o kogo chodzi, ale jakimś dziwnym trafem padał adres jego pracowni. Klienci zaczęli się rzadziej pojawiać, na klatce i elewacji co chwilę ktoś pisał niecenzuralne słowa. Szkoła tańca zrezygnowała ze współpracy, tłumacząc się dobrem dzieci, które do nich przychodziły. Starszy miły pan zaczął miewać napady lękowe. Nie chciał wychodzić z domu. Jednak za nic w świecie nie zamierzał sprzedawać budynku. Syn próbował mu wytłumaczyć, że próbują go zastraszyć i gra nie jest warta świeczki, ale pan Nikodem uparł się. I wtedy poszła druga fala nagonki na niego. Jeszcze ostrzejsza. Zhakowano kilkaset kont na Twitterze i Instagramie i opublikowano na nich wpis o starszym panu lubiącym małe dzieci. Ujawniono w nim adres zamieszkania pana Nikodema. Nie wiem, czy tego dokładnie chcieli ci chorzy ludzie, ale grupka prawdziwych Polaków, która uznaje siebie za najważniejszych i mających prawo do wydawania wyroków, poszła do tego staruszka i pobiła go. Podobno przyjechało aż pięciu napakowanych karków, tak jakby mieli stanąć w szranki z Bruce'em Lee albo Arnoldem Schwarzeneggerem, a nie sześćdziesięcioletnim starszym panem. Po dwóch ciosach leżał na ziemi, a z jego głowy sączyła się krew. Patolog powiedział, że umarł natychmiast. Na szczęście udało się ich złapać i po nitce do kłębka dojść do tego, kto stoi za tym chorym planem. Aktualnie prokurator zbiera dowody przeciw deweloperowi i sprawdza inne sprawy przejmowania działek po nagłych zgonach ich właścici-

cieli. A wpis, który znaleźliście na profilu Moniki Wieczorek, ukazał się też na kilku setkach innych kont. Niestety nie ma opcji usunięcia ich automatycznie, więc policjanci z centrum kontaktują się sukcesywnie z posiadaczami kont i proszą o usunięcie wpisu. Widocznie do pani Wieczorek nie zdążyli dotrzeć. I to koniec – powiedział już spokojnym głosem Obrębski.

– O ja pierdołę – mruknął Jaworski i wypuścił powietrze, jakby właśnie wynurzył się spod wody.

– No właśnie, ja pierdołę – powtórzył po nim komisarz, akcentując ostatnie słowo. – Nigdy nie możecie polegać na tym, co znajdziecie w sieci. W dzisiejszych czasach jest w nim masa nic nieznaczącego gówna, a coraz większa część nic nie ma wspólnego z prawdą. Dzisiaj mieliście tego dobitny przykład. Zaatakowaliście niewinnego człowieka na podstawie własnych domysłów. Tak nie może być. Nie możecie uznawać kogoś za winnego bez twardych, niezbitych dowodów. Wiem, że chcieliście dobrze, ale czasami lepiej zrobić trzy wdech niż wylewać dziecko z kąpielą. To wymaga czasu, doświadczenia i wierzę, że dacie radę, ale na razie wszystko konsultujcie ze mną. – Ostatnie słowa powiedział z delikatnym uśmiechem na twarzy, widząc przerażonych kolegów. Zupełnie nie tego się spodziewali.

– Czyli dalej razem pracujemy? – spytał Bogucki niepewnym głosem.

– Tak, ale jeszcze jeden taki wybryk i wracacie do prewencji z odpowiednią notą w papierach.

– Oczywiście – powiedzieli równocześnie.

– Mam nadzieję. Pamiętajcie, nie wierzcie niepotwierdzonym informacjom z sieci, one niczym nie różnią się od powtarzanych z ust do ust plotek, które z czasem coraz bardziej oddalają się od prawdy –

powiedział i ruszył w stronę wyjścia. Zamiast wyjść, stanął jednak przed drzwiami i odwrócił się do mężczyzn. – Pewnie słyszeliście krążące po komisariacie historie o mojej bliźnie. – W tym momencie uniósł włosy na czole, a oczom dwóch mężczyzn ukazało się sporych rozmiarów cięcie. – Porachunki gangsterskie, napad z użyciem noża czy oskalpowanie. A historia była o wiele prostsza i mniej spektakularna. Skakałem u dziadków na kanapie i spadłem. Walnąłem o kant stołu i na pamiątkę zostało mi to coś. Nic strasznego, ale ponieważ nie opowiadam o tym na prawo i lewo, niektórzy stwierdzili, że musi stać za tym jakaś fascynująca historia, a tak nie jest. – Wzruszył ramionami i odwrócił się. – Idźcie do domu i nie wkurwajcie mnie już dzisiaj.

Rozdział 45

– One na pewno przyjdą? Potwierdziły? – rzucił z powątpiewaniem Bartosz Bogucki do siedzącego obok kolegi i rozpiął górny guzik koszuli.

Tego dnia ostatnią rzeczą, o jakiej myślał i jakiej chciał, było wychodzenie na miasto. Po wpadce w pracy najchętniej by został w mieszkaniu Jaworskiego i nigdzie nie wychodził. Kolega jednak nie zamierzał odpuszczać i tak długo wiercił mu dziurę w brzuchu, aż w końcu zgodził się dotrzymać danej obietnicy.

– Tak. Marlena napisała, że już jadą. Podobno tej jej przyjaciółce wyskoczyło coś ważnego w pracy i wyszła później, niż planowała. Jakaś niezapowiedziana awaria.

– Chyba jak każda awaria. Żadna się nie zapowiada, nie wysyła maili uprzedzających – stwierdził i sięgnął po stojący przed nim kufel piwa.

– Wiesz co, to chyba był głupi pomysł. Jesteś dzisiaj jakiś depresyjny.

– Depresyjny! – krzyknął, a przechodzący obok kelner aż stanął. – Dzisiaj polegliśmy na całej linii. Daliśmy dupy i nie wiem, co z tego będzie. Wiem, że twoim marzeniem jest wyrwać się z policji, ale moje jest zupełnie inne i nie wiem, czy nie spieprzyłem jedynej szansy. Więc wydaje mi się, że mam prawo być... – Nie skończył, po-

nieważ w tym momencie na twarzy kolegi pojawił się uśmiech, a oczy się zaświeciły.

Przy drzwiach pojawiła się niska brunetka. Bogucki siedział po skosie, dlatego nie widział dobrze tej części restauracji i nie mógł dostrzec, kto jej towarzyszy. W sumie ani przez ułamek sekundy nie zastanawiał się, jak może wyglądać koleżanka Marleny, ale gdy obie stanęły przed nimi, momentalnie poczuł ciężar żuchwy i jedyne, co udało mu się powiedzieć, to:

– Ale jaja... – Po tych słowach zaśmiał się tak głośno, że kelner, który wcześniej się przestraszył, ponownie przystanął i spojrzał na niego. – Ty mnie prześladujesz. To jest karalne!

Kamil wraz z Marleną patrzyli na swoich znajomych, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi.

– Ja cię prześladuję? To twój kolega truł dupę mojej przyjaciółce, że ma funfla pierdołę, co na randkę nie umie się umówić, więc w ramach dobrego uczynku się tu stawiałam.

– A co ty, święta jakaś tam z Kalkuty? – parsknął Bogucki, rzucając pytające spojrzenie Kamilowi.

– Nie święta, ale pomagam przyjaciółce. Widzę, że ciągnie ją do tego twojego kolegi, to tak po ludzku przyszedłam, żeby nie było głupio. I jeżeli myślisz, że jesteś w moim typie, to się mylisz. Brzydzą się wami, policjantami. Macie zryte berety i myślicie, że uratujecie świat, a przy tym niszczyacie inne istnienia.

– A ty co? Pani psycholożka, co miłymi słówkami leczy zranione dusze.

– Pomagam. Dzisiaj na przykład musiałam jechać do pięciolatka, bo jakichś dwóch dekli na jego oczach rzuciło się na ojca, zupełnie bez powodu. Podobno myśleli, że mógł być zamieszany w morder-

stwo jakiejś babki. Tylko nie sprawdzili informacji i zaatakowali niewinnego faceta.

Słyszając to, Jaworski spojrział na Boguckiego z lekkim przerażeniem.

– Halo! – włączyła się do rozmowy stojąca dotychczas cicho nowa dziewczyna Kamila. – Zacznijmy od tego, że jestem Marlena. – Wyciągnęła do Bartosza rękę. – Wiem, że się poznaliśmy już wcześniej, ale okoliczności były bardziej formalne. Widzę, że wszyscy dzisiaj jesteśmy jacyś podminowani, więc może dla poprawy humorów napijemy się czegoś i zjemy. Nikt z tego spotkania nie musi wychodzić jako małżeństwo, para czy nawet znajomi. Mamy miło spędzić czas i tyle. Czy proszę o aż tak dużo? – Uśmiechnęła się do swojej przyjaciółki i odsunęła krzesło, zachęcając ją do zajęcia go.

Przez pierwsze piętnaście minut tylko Marlena z Kamilem rozmawiali normalnie. Dwójka pozostałych gości udawała, że ich nie ma. Gdy w końcu przyszedł kelner, by dowiedzieć się, co chcą do jedzenia, Marlena zwróciła się do milczących towarzyszy:

– Jeżeli zamierzacie z nami jeść, to macie natychmiast się ogarnąć – rzuciła poważnym głosem, tak niepasującym ani do jej filigranowej postury, ani do wyglądu słodkiej dziewczyny. Zarówno jej przyjaciółka, jak i Bogucki od razu skierowali na nią wzrok. – Jesteście dorosłymi ludźmi, a zachowujecie się jak jakieś gówniaki. Jeżeli natychmiast czegoś z tym nie zrobicie, to możecie już iść. Nie mam zamiaru patrzeć na wasze skwaszone miny cały wieczór. Jak chcecie, to tam są drzwi. – Ruchem głowy pokazała wyjście z restauracji. – Ja przyszłam tutaj spędzić miło czas, więc wybór zostawiam wam. – Ignorując dwójkę obrażalskich, odwróciła się do kelnera i podykto-

wała swoje i Kamila zamówienie, które w międzyczasie obgadali dokładnie i które ku ich zaskoczeniu było identyczne.

– To ja poproszę krem z pomidorów bez mozzarelli i sałatkę cesar bez parmezanu – odezwała się jako pierwsza koleżanka Marleny.

– Dla mnie to samo – wtrącił Bogucki i spojrzał na dziewczynę. – A tak w ogóle to Bartek jestem.

Odwrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby pierwszy raz w życiu go widziała. W końcu po kilku sekundach na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Beata – odpowiedziała cicho i uścisnęła jego rękę.

– Nie można było tak wcześniej? – spytał Kamil i odezwał się do kelnera. – To jeszcze cztery piwa poproszę.

Rozdział 46

ONA

Nie chciałam tego.

Nigdy nie sądziłam, że byłabym zdolna do odebrania komuś życia, ale...

Ona mnie zmusiła. Ten śmiech. Ta furia, w jaką wpadła. Krzyczała na mnie, wręcz darła się. Jakbym jej coś zrobiła, a ja tylko prosiłam o pomoc. Dlaczego całe życie, gdy kogoś o coś proszę, wszyscy mnie odpychają?

Mam dość.

Po tym wszystkim wiem, że to oni zniszczyli mnie jeszcze bardziej niż rodzice. A ona pchnęła mnie w ramiona, w które nie chciałam wpaść.

Gdy podrzuciłam jej chłopakowi do auta liścik, sekundę później poczułam wyrzuty sumienia. Właśnie zniszczyłam komuś życie. Gdybym chociaż ją znała. Gdyby zrobiła mi coś złego, ale nie. Zupełnie przez przypadek dowiedziałam się o jej istnieniu i wykorzystałam to w najgorszy dla niej sposób, a tak naprawdę to miał być dopiero początek.

Swoim zwyczajem każdą wolną chwilę poświęcałam przyglądaniu się jej upadkowi.

Jej kłótnia na ulicy, podczas której chłopak wykrzykiwał jej, że widział zdjęcia, a ona stoi z miną świadczącą o niewinności i niezrozumieniu, oglądałam jak kadr z filmu. On pewnie myślał, że jest aktorką na miarę Oscara, ale ja wiedziałam, że to jest szczere, bo prawdziwe.

Jej łzy, krzyki, pukanie w szybę, gdy zamknął się w samochodzie, a ona stała na zewnątrz, błagając o rozmowę. Podziwiam go. Ja bym pewnie pękła, ale nie on. Ludzie stawali, podchodzili do zapłakanej kobiety, pytając, czy wszystko w porządku.

A ja obserwowałam to z daleka. Trochę było mi smutno, ale jednocześnie czułam władzę. W końcu wróciła do domu, a ja kontynuowałam podglądanie. Na szczęście mieszkała na parterze, a zasłon praktycznie nie używała, więc spokojnie mogłam ją obserwować przy użyciu lornetki. Barbara non stop płakała. Na kanapie w salonie. Przy stole w jadalni, próbując wcisnąć w siebie kanapkę z nutellą, ale zrezygnowała, zostawiając większą część. Potem chlipała w łóżku.

Dni płynęły, a ja robiłam to coraz rzadziej. Po kilku dniach, które spędziła zamknięta w domu, zadzwoniłam do jej pracy, udając klientkę, i zapytałam o możliwość współpracy właśnie z nią. Dowiedziałam się, że wzięła urlop i nie pojawi się do końca tygodnia.

Plan, który zrodził się w mojej głowie, nie należał do zbyt skomplikowanych. Miałam pozbawić ją życia i przejąć jej tożsamość. Dzięki temu wszyscy uznaliby, że umarłam, i moi rodzice odczepiliby się ode mnie po wsze czasy. Ale gdy stanęłam przed jej drzwiami, czułam się niczym psychopatka. Z jednej strony tak nie-

wiele dzieliło mnie od spokoju, ale z drugiej nigdy na nikogo nie podniosłam ręki, a teraz chciałam zrobić coś o wiele gorszego.

Wiedziałam, że Barbara śpi, więc weszłam, używając swojego kompletu kluczy. Mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy odwiedziłam je za pierwszym razem. Wszędzie na podłodze walały się ubrania, a na blatach i stole kuchennym leżały talerze z resztkami jedzenia. Jakby wyrzucenie ich, a następnie umycie naczyń stanowiło nadludzki wysiłek. Może nie przeszkadzałoby mi to, gdyby nie zapach zaczynających już gnić resztek.

Biodro znowu mi mocniej dokuczało, a i tak przyspieszyłam, chcąc jak najszybciej wejść do jej sypialni i odgrodzić się od tego. Weszłam i przysiadłam na rogu łóżka. Zupełnie nie pomyślałam o lartarce, ale tej nocy księżyc świecił jak oszalały, więc w niezabezpieczonej żadnymi roletami czy zasłoną sypialni było niezmiernie jasno. Barbara spała. Z tej odległości patrzenie na swojego sobowtóra było jakieś nierealne. Niecałe dwa metry ode mnie leżała osoba, której nigdy nie poznałam, z którą nigdy nie rozmawiałam, ale z którą przez fakt bycia tak podobnymi czułam się w jakiś sposób połączona. Jakby to, że miałyśmy podobny układ oczu, brwi, kształt nosa i ust, powodowało, że automatycznie stawałyśmy się sobie bliższe.

Siedziałam tam godzinę, a może i dwie, walcząc z myślami. Odwlekając to, co musiałam zrobić, inaczej wszystko wróciłoby w trójnasób.

W końcu wyciągnęłam przygotowaną strzykawkę, tak na wszelki wypadek. Wzięłam też broń, a tak naprawdę to replikę kupioną w sklepie. Wyglądała jak prawdziwa, więc przystawiona do głowy spokojnie mogła zastraszyć.

Najpierw trąciłam ją lekko lufą. Nic. Kolejne ruchy były już mocniejsze, aż w końcu zerwała się z łóżka tak szybko, że prawie przywaliła mi z główki.

– Co się stało? – krzyknęła, zanim w pełni otworzyła oczy, bo gdy to zrobiła i spojrzała na mnie, wrzasnęła przerażona: – O kurwa!

Liczyłam się z tym i natychmiast pokazałam broń. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Cofnęła się. Nie miała za sobą za dużo miejsca, więc dotknęła plecami wezglowia.

– Kim ty jesteś? – rzuciła ciszej, widząc mój palec na ustach i wyciągniętą w jej stronę broń.

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiedziałam, a głos, który popłynął z moich ust, był spokojniejszy i pewniejszy niż ten, którym komunikowałam się na co dzień. – To wszystko zależy od ciebie. Ja chętnie znalazłabym w tobie sprzymierzeńca, ale czy tak będzie, czas pokaże.

– Oddam ci pieniądze, biżuterię, wszystko, ale nie rób mi krzywdy.

– Wszystko? – Podchwyciłam to jedno słowo, które rzuciła bez zastanowienia. – Nie chcę wszystkiego, jeżeli mi pomożesz – rzuciłam, samą siebie zaskakując.

– Niby w czym? – parsknęła i przetarła zaspane oczy.

– Muszę się na kims zemścić, a tylko ty jesteś w stanie mi pomóc – powiedziałam, licząc na odpowiedź pozytywną. W ostatnim momencie wymyśliłam, że mogłybyśmy doprowadzić moich rodziców i rodzeństwo na skraj załamania psychicznego, gdyby co jakiś czas widzieli nas wspólnie.

Jednak ona zaczęła się śmiać, a ja nie miałam wyjścia. Wyciągnęłam strzykawkę i podałam jej miks moich leków przeciwbólowych

wymieszanych z uspokajającymi. Na podstawie ulotek wywnioskowałam, że razem potrafią zdziałać cuda – i tak też się stało.

Później wszystko poszło już łatwo. Jej ciało przeciągnęłam najdelikatniej, jak potrafiłam, na taras, a później przeniosłam przez krzaki i wrzuciłam do samochodu. Miesiąc wcześniej w ekspresowym tempie zrobiłam prawo jazdy. Zachęcił mnie do tego ojciec Gabrysi, który zasponsorował mi kurs, a gdy go zdałam, podniósł moją pensję i dał samochód służbowy, czyli rozpadającego się poloneza. Dzięki temu mogłam jeździć po towar i starszych pacjentów, a po pracy robiłam z nim, co chciałam, na przykład wywoziłam zwłoki.

Wybór miejsca, w którym postanowiłam zostawić Barbarę Wierzbicką, był niezwykle prosty. Działka moich dziadków. Od dawna nikt jej nie odwiedzał. Moi rodzice nie lubili wszystkiego, co znajdowało się z dala od miasta, a moje rodzeństwo wpadało w popłoch, gdy w zasięgu wzroku nie było żadnego telewizora i telefonu. Dojazd na miejsce nie stanowił problemu. Gdy dotarłam, od razu wróciły wspomnienia. Jedne z niewielu pozytywnych.

Rodzice rzadko się zgadzali, aby dziadkowie mnie zabierali. Pewnie bali się, że coś im powiem, ale w momencie, gdy tylko wsiadałam do ich samochodu zaparkowanego przed naszym domem, całą uwagę skupiałam na nich, zapominając o tym, co działo się w naszych czterech ścianach.

Na pytania: „Jak w domu?” czy „Rodzice bardzo krzyczą?” odpowiadałam zdawkowym: „Wszystko dobrze” lub „A jacy rodzice nie krzyczą?” i szybko znajdowałam inny temat. Bo z dziadkami zawsze mogłam pogadać. O wszystkim. W skupieniu słuchali tego, o czym ostatnio dowiedziałam się w szkole lub przeczytałam w książce.

O swoich własnych przygodach nigdy nie opowiadałam, bo nie miałam nic ciekawego na koncie.

Nie miałam przyjaciół. Nawet jak jakaś dziewczyna przez chwilę zastanawiała się, czy zostać moją koleżanką, w końcu zawsze rezygnowała. Kto chciałby kumplować się z kimś, z kim nie można się spotykać, a u mnie niestety zawsze wszelkie próby wyjścia po szkole duszono w zarodku ze stałym uzasadnieniem: „bo tak”. Dlatego wyjazdy do dziadków były jedynymi kolorowymi momentami w tej mojej marnej egzystencji.

Podjechałam z tyłu małej działki, na której śmiałam się tak często, że bolały mnie mięśnie brzucha, i wysiadłam. Pogoda była idealna tego dnia. Siąpił deszcz, a nisko zawieszony chmury powodowały, że widoczność sięgała kilkadziesiątu metrów.

Zabrałam stojącą przed domem taczkę i wróciłam do auta. Barbara była już przygotowana. Jeszcze w jej sypialni ubrałam ją w mój charakterystyczny strój, między innymi czarne szerokie spodnie, w których wyglądałam okropnie. Nienawidziłam ich jak mało czego. Mama twierdziła, że są doskonałe, ponieważ dzięki ich rozmiarowi moja chudość nie rzuca się tak w oczy, a ja czułam się w nich jak w worku. Ściśnięte w pasie marszczyły się niemiłosiernie i materiał wpijał mi się w skórę. Po całym dniu w szkole miewałam głębokie otarcia, ale nikogo to nigdy nie interesowało.

Do tego wybrałam kremowy sweterek, chyba jedyną rzecz, którą dostałam od mamy, a raczej po mamie. Początkowo cieszyłam się z tego prezentu, ale gdy okazało się, że chciała go wyrzucić, a ojciec odpowiedział, że lepiej dać mnie, to zrozumiałam, jak się pomyliłam.

Położyłam na brudną taczkę stary koc i dopiero na to ją. Barbara wyglądała zupełnie normalnie, jakby spała, a nie została naćpana lekami w końskiej dawce.

Ułożyłam ją pod drzewem, pod którym często siadywałam. Zmieniłam ponownie rękawiczki i wyjęłam przygotowaną żyłkę. Tego momentu bałam się najbardziej. Krew zawsze mnie paraliżowała, ale gdy trzymałam w ręku ten ostry kawałek stali nierdzewnej, nic takiego nie czułam.

Przykucnęłam za nią i włożyłam żyłkę między jej palce, dociskając swoimi. Powoli, aby nie wypadła, przesunęłam nad lewy nadgarstek i pewnym ruchem zatopiłam ją w skórze. Specjalnie kupiłam najostrzejszą z możliwych, ale i tak chwilę trwało, zanim efekt był satysfakcjonujący. Liczyłam, że będzie łatwiej. Dużo łatwiej. W końcu krew zaczęła płynąć z coraz większą siłą, zalewając jasny sweterek matki, co dało mi dodatkową satysfakcję.

Na koniec została jeszcze jedna sprawa. Żeby Barbara Wierzbicka mogła wiarygodnie mnie udawać, musiała mieć ranę na brzuchu. Długo się nad tym zastanawiałam. Myślałam, o odcięciu korpusu, ale gdy wiedziałam już, gdzie chcę to zrobić, rozwiązanie problemu przyszło samo. Działka dziadków miała dla mnie szczególne miejsce w sercu nie tylko dlatego, że ktoś się tam o mnie troszczył, rozmawiał ze mną, ale również ze względu na... zwierzęta.

W domu ojciec zabraniał jakichkolwiek, a tam chodziły wszędzie. Mało kto podchodził do tego tak entuzjastycznie jak ja, bo niewiele osób pała miłością do szczurów. Ale nie boję się ich, a wręcz uwielbiam. Są inteligentne i, co zadziwiające, lubią mięso, a ja miałam dla nich sporo takiego, które rzadko jadają.

Nacięłam żyłką brzuch w tym samym miejscu, gdzie miałam bliznę, a później wszystko poszło szybko.

Rozdział 47

– Czy to dzieje się naprawdę?

Obrębski stał przed Bartoszem Boguckim i Kamilem Jaworskim i wyglądał, jakby idealnym dla niego miejscem był zakład psychiatryczny. W jego oczach obłęd mieszał się z przerażeniem.

Zarówno mąż Grażyny Trawińskiej, jak i badania DNA potwierdziły, że znaleziona kilka dni wcześniej noga należała właśnie do niej. Franciszek Trawiński został ponownie przesłuchany, ale nic nowego nie wniósł do sprawy. Nikt się z nim nie kontaktował. Żona nie odzywała się od momentu wyjazdu. Załamanego męża odesłano do domu, licząc, że na razie będzie siedział cicho w oczekiwaniu na dalszy rozwój śledztwa, a wtedy z nieba spadło gradobicie wielkości piłek do gry w nogę.

Wszystkie media w całym kraju, zaczynając od tych największych, ogólnopolskich, i państwowych, i prywatnych, przez lokalne, a kończąc na nadających tylko w sieci, mówiły tylko o jednym.

O seryjnym mordercy, który zaatakował stolicę i zapowiadał więcej.

„Seryjny morderca atakuje”, „Czy tylko stolica jest w niebezpieczeństwie?” – pisano w sieci.

„Ręka, noga, mózg na ścianie, zaczynamy odliczanie” – tymi słowami zaczynał się mail, który zajmujący się sprawą komisariat na

Żoliborzu otrzymał na swój adres przeznaczony dla mediów.

Gdy pozbawisz kobietę głowy, ucha czy nogi, przestanie już być atrakcyjna.

Stanie się pustą lalą. Kolejną do kolekcji.

Pewnie chcecie wiedzieć, ile chcę ich mieć?

Dużo...

Życzę zatem miłej zabawy.

Tyle wystarczyło, aby przestraszyć wszystkich nie na żarty. Początkowo policja unikała komentowania, ale widząc coraz śmielsze popularyzowane w internecie teorie, które o lata świetlne wyprzedzały stan faktyczny, postanowili interweniować. Człowiek od PR, a na co dzień jeden z programistów, który ku zaskoczeniu wszystkich był znakomitym mówcą, ubrany w koszulę w małą granatowo-białą kratę, do tego ciemnoniebieski krawat i z narzuconym na całość swetrem, przemówił do zainteresowanych.

– Dzień dobry, Jarosław Miłoszewski – zaczął, gdy stanął przed tłumem wypełniającym największą salę na komisariacie. Nie udało się wpuścić wszystkich, pomimo limitu dwóch osób na stację, dlatego ustawiono transmisję live na facebookowym koncercie komendy. – Na wstępie dziękuję za przybycie na to dość nietypowe spotkanie. – Mężczyzna poprawił położoną przed sobą kartkę i podniósł wzrok na zgromadzonych. – Dzisiaj nad ranem wiele z redakcji, jak również i my, dostaliśmy maila w sprawie, nad którą policja pracuje od dwóch tygodni. Ze względu na dobro prowadzonej sprawy nie chcieliśmy przekazywać jakichkolwiek szczegółów, jednak teraz zostaliśmy do tego zmuszeni. Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji. Ósmego maja na terenie

parku Kępa Potocka odnaleziono worek z ciałem bez głowy. Szybko udało się ustalić, że była to Monika Wieczorek. – Momentalnie po sali przeszedł szmer. Dotychczas udało im się utrzymać to w sekrecie, mimo że ofiara nie stroniła od mediów.

– Czy znaleźliście jej głowę? – rzucił potężny mężczyzna w skórzanej kurtce stojący kilka metrów przed prowadzącym spotkanie.

– Niestety jeszcze nie.

– I nie ma wątpliwości, że to Monika Wieczorek? – spytała niewysoka blondynka.

– Zostało to już potwierdzone.

– W liście wspomniano jeszcze o uchu i nodze, czy mamy rozumieć, że są jeszcze dwie ofiary? – dopytywała dalej kobieta, nie dając innym dziennikarzom możliwości dojścia do głosu.

– Proszę państwa, na chwilę obecną jesteśmy praktycznie pewni, że mamy w sumie dwie ofiary. Wspomnianą już wcześniej Monikę Wieczorek oraz Grażynę Trawińską.

– Czyli pani Trawińska nie żyje? Jesteście pewni? – krzyknął ktoś z tyłu sali.

– Nie możemy być tego w stu procentach pewni, jednak biorąc pod uwagę zadane obrażenia, niestety jest to wielce prawdopodobne, chyba że została jej udzielona specjalistyczna pomoc, i to w bardzo krótkim czasie, z czego każdy z nas zapewne by się ucieszył.

– Skąd wiedzą państwo, że to na pewno Grażyna Trawińska? – spytała pulchna blondynka.

– Ze względu na dobro prowadzonego śledztwa nie mogę tego zdradzić.

– Czy mają państwo już jakiś trop? Kto morduje?

- Niestety nie możemy udzielić takich informacji.
- Czy kobiety w stolicy, ale nie tylko, powinny czuć się zagrożone?

- Proszę państwa, niezależnie od wszystkiego każdy z nas powinien zawsze i wszędzie być czujnym. Dziękuję za spotkanie. Wszelkie pytania proszę kierować na adres mailowy, który znacie doskonale. - Mężczyzna odwrócił się, zostawiając żadnych informacji dziennikarzy.

W tym czasie dwa piętra wyżej grupa składająca się z dziesięciu najlepszych informatyków intensywnie pracowała nad zidentyfikowaniem miejsca, z którego została wysłana wiadomość. Wymowny adres PotneCie@gmail.com wskazywał, że morderca lubi bawić się z policją i traktuje to jako kolejny element jakiejś chorej gry.

Po pięciu godzinach udało się ustalić, że wiadomość wysłano z jednej z bibliotek na warszawskim Mokotowie.

- Intelktualista nam się znalazł! - krzyczał coraz bardziej poirytowany Obrębski. - Macie ustalić, z którego dokładnie komputera wyszła wiadomość, a następnie przyjść z danymi tego, kto z niego korzystał.

Rozdział 48

– Chyba nie było tak źle? – rzucił Kamil Jaworski, gdy tylko znaleźli się w radiowozie.

– Stary! – Bogucki podniósł głos. – Przecież już ci mówiłem, że Beata jest spoko i wieczór nie był aż takim przypałem, jak myślałem, że będzie.

– Ale ja nie o tym – skomentował, kręcąc głową. – Obrębski chyba nam wybaczył.

– Wybaczył? On jest wkurwiony na cały świat, więc myślę, że bardziej zapomniał o naszej wpadce, a nie wybaczył. Zresztą teraz nie ma co się na tym skupiać, trzeba zapierdalać. Bo ten porąbaniec nie dość, że zabija kobiety, to jeszcze robi z nas debili – warknął policjant, parkując przed jedną z mokotowskich bibliotek.

Stary budynek pamiętający jeszcze początek dwudziestego wieku nie zachęcał do odwiedzin. Elewacja zdecydowanie prosiła się o remont, podobnie jak poobłupywane schody, które wyglądały, jakby ktoś walił w nie kamieniami lub innymi ciężkimi przedmiotami. Pokonali je biegiem i weszli do środka, który prezentował się o wiele lepiej. Betonowa wylewka i białe ściany przyozdobione przezroczystymi gablotami ze zdjęciami znanych osób powodowały, że czuć było powiew nowoczesności.

Od razu podeszli do starszej kobiety siedzącej przy biurku połączonym z długim blatem, na którym leżały książki.

– Dzień dobry, aspirant Kamil Jaworski, a to mój kolega Bartosz Bogucki, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz. Musimy jak najszybciej porozmawiać z szefem lub szefową placówki – rzucił wyjątkowo wyrywnie Jaworski, czym wywołał zdziwienie kolegi.

– Dyrektorką biblioteki – poprawiła go siedząca za stylizowanym na kształt książki kontuarem pani z tak poważną miną, że obaj mężczyźni momentalnie się wyprostowali. – A w jakiej sprawie panowie tutaj przybywają?

– W sprawie wagi państwowej – wtrącił Bogucki i uśmiechnął się, licząc na rewanż ze strony kobiety, jednak jej twarz nawet nie drgnęła, a zaciśnięte usta zrobiły się nawet jeszcze cieńsze.

– Proszę za mną – rzuciła i ruszyła w głąb budynku. Przeszli obok otwartej sali bibliotecznej, gdzie krążyło kilka osób przeglądających księgozbiór, i doszli do wielkich drewnianych drzwi w kolorze ciemnego orzecha. – Proszę tutaj zostać. – Pokazała głową podłogę przed policjantami, zmarszczyła jeszcze bardziej brwi i zapukała. Usłyszawszy jakiś pomruk ze środka, nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i zniknęła za nimi. – Tak, oczywiście – powiedziała do kogoś w środku i uśmiechając się, wyszła z pomieszczenia, ale gdy tylko obróciła głowę w stronę funkcjonariuszy, na jej twarzy zagościł srogi wyraz. – Mogą panowie wejść. – Wycofała się i zaraz zniknęła.

Zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać, uchylili drzwi i weszli. W niewielkich rozmiarów pomieszczeniu stało masywne biurko w tym samym kolorze co drzwi wejściowe, a za nim siedziała niewysoka kobieta, która lata młodości miała już dawno za sobą. Mimo to z obu mężczyzn od razu zeszło ciśnienie. Uśmiechała się niezwykle

ciepło, a rozpuszczone siwe włosy powodowały, że przypominała hipiszkę, u boku której mógłby pojawić się John Lennon.

– Zapraszam. Mam nadzieję, że Wanda panów nie nastraszyła – zaśmiała się i pokazała dwa stojące przed nimi krzesła. – Proszę usiąść. W czym mogę pomóc?

– Potrzebujemy dostępu do monitoringu. Z tego, co zdążyliśmy się zorientować, to jest tu działający system? – zaczął Bogucki. Zgodnie z ustaleniami z Obrębskim mieli wyciągnąć nagrania i powiedzieć jak najmniej. I tak już komendant główny suszył im głowy za brak postępów i ogólnopolską panikę.

– Tak, wszystko śmiga prawidłowo – rzuciła, wywołując uśmiechy rozbawienia u mężczyzn. Słowa i ton wypowiedzi zdecydowanie nie pasowały do wieku kobiety. Siedząc naprzeciwko niej, zauważyli, że nie tylko zachowaniem przeczyła metryce. W płatku lewego ucha miała w jednej linii kilka kolczyków, a czerwień wargowa, która z reguły zmniejsza się u osób starszych, u niej była zdecydowanie zarysowana i uderzała malinowym kolorem. – Z kiedy potrzebują panowie filmów?

– Z ostatnich dwóch, a najlepiej trzech dni – powiedział Bogucki.

– Nie ma sprawy – rzuciła i schyliła się do drukarki stojącej w rogu biurka. Wyjęła z niej kartkę i przesunęła ją w stronę siedzącego bliżej Boguckiego. – Proszę napisać tutaj adres mailowy, to za około trzydzieści minut będą mieli panowie nagrania. Czy czegoś jeszcze potrzebujecie?

– Tak – odpowiedział zszokowany funkcjonariusz. – Dwóch rzeczy: listy osób, które w tych dniach wypożyczały, oddawały książki, oraz informacji, kto korzystał z komputerów w czytelniku.

- Hmm. Z tym pierwszym nie będzie problemu, bo mamy wszystko zdigitalizowane i dokładnie wiemy, kto kiedy co wypożycza i co oddaje. Co do komputerów, to niestety nie mamy takiej informacji.

- Rozumiem – odpowiedział trochę rozczarowany.

- A mają może państwo ukryte kamery w środku? – wtrącił Jaworski.

- A mogę wiedzieć, o co chodzi? – rzuciła zaczepnie.

- Niestety nie możemy powiedzieć. Dobro śledztwa. – Jaworski wzruszył ramionami.

Kobieta przez chwilę mierzyła ich wzrokiem, nadal uśmiechając się serdecznie. W końcu wstała i podeszła do małej biblioteczki i sięgnęła jedną z książek.

- Przyjaciół trzymaj blisko, ale wrogów jeszcze bliżej – rzuciła. – Wiedzą panowie, czyje to słowa?

Obaj mężczyźni pokręcili przecząco głowami.

- To cytat z „Ojca Chrzestnego”, napisanego przez Maria Puza. Świetna lektura, polecam. Chociaż pewnie oglądali panowie film. A wracając do pytania, to tak. – Uśmiechnęła się, wróciła na swoje miejsce i pochyliła nad klawiaturą. – Mam niestety zainstalowanych kilka kamer, o których nikt nie wie, i dobrze by było, aby tak zostało. Niestety pracownicy... kradli, i to bardzo różne rzeczy. Od spinaczy, przez książki, po papier do drukarki – powiedziała smutno. – W końcu zdecydowałam się na zamontowanie kamerek. Złapałam kilka osób i po miłej rozmowie wyjaśniająco-ostrzegawczej to się kończyło. Nigdy nikogo nie wyrzuciłam z powodu kradzieży, ale baczenie na wszystko mam. Proszę dać mi chwilę, to ściągnę odpowiednie pliki i wyślę.

Zaskoczeni szybkością załatwienia sprawy po trzydziestu minutach ponownie siedzieli w radiowozie. Teraz czekała ich dużo gorsza przeprawa, a mianowicie przebrnięcie przez nagrania i pliki.

Rozdział 49

ONA

Moment wyprowadzki z domu Wioli i Gabrysi nie należał do najłatwiejszych, ale chyba każda ze stron wiedziała, że to w końcu nastąpi.

Przygotowywałam się na to długo i metodycznie. Gdy moja śmierć stała się faktem i udający smutek rodzice w towarzystwie mojego rodzeństwa i kilku cioc wrzucili mnie do ziemi, co oglądałam z daleka, poczułam ulgę i ruszyłam z kopyta z moim planem.

Skłócenie Barbary z jej chłopakiem poszło o wiele łatwiej, niż się spodziewałam. Facet szybko znalazł pocieszenie w ramionach innej koleżanki z pracy, z którą moja sobowtórka czasami wychodziła na miasto. Trochę to było smutne, ale przynajmniej gwarantowało spokój.

Od czasu do czasu wpadałam do jej mieszkania, zawsze ubrana w jej ciuchy, tak aby przypadkowo spotkany sąsiad nie zorientował się, że to nie ona. Chciałam przypominać ją w każdym detalu, dlatego ćwiczyłam ukradkiem mówienie z jej intonacją, którą poznałam przy okazji kilku podsłuchanych rozmów i kaset video z imprez rodzinnych – znalazłam ich sporo pod telewizorem w salonie.

Powtarzałam pewne zdania, aż poczułam, że jest nieźle. Barbara Wierzbicka miała zdecydowanie bardziej piskliwy głos niż ja, mówiła szybciej i głośniej. Ja nigdy nie miałam odwagi, by tak się zachowywać. Nawet sposobem mówienia próbowałam trzymać się na dystans.

W końcu po dwóch miesiącach, czując, że jestem gotowa, poszłam do banku. Chciałam sprawdzić, ile mam pieniędzy – może jestem bajecznie bogata? Tego dnia wszystko, co działo się dookoła, było jakies nierealne. Gdy w końcu stanęłam przy bankowej kasie, miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Na moje szczęście cała operacja przebiegła bez problemu, a ja po piętnastu minutach wyszłam z kartką.

Czterdzieści trzy tysiące sto dwanaście złotych.

Moja mała fortuna.

Oczywiście przygotowałam sobie wyjaśnienie, gdyby któraś z dziewczyn się o tym dowiedziała. Babcia ze strony mamy odezwała się do mnie i postanowiła pomóc. Wiedziałam, że takie lakoniczne wyjaśnienie w zupełności im wystarczy. Nikt nie będzie żądał długich i skomplikowanych opowieści, o ile w ogóle zapyta.

Pół roku później postanowiłam zrobić coś bardzo ryzykownego.

Sprzedzić mieszkanie.

Miałam wszystkie potrzebne do tego dokumenty.

Mieszkanie nie było obciążone kredytem, więc w stu procentach należało do mnie. To znaczy do Barbary Wierzbickiej, ale biorąc pod uwagę, ile razy tak już się podpisałam pod dokumentami, coraz częściej tak o sobie myślałam.

Przygotowanie zajęło mi ponad miesiąc. Zaczęłam od opanowania perfekcyjnie całej procedury – kto i co będzie ode mnie chciał.

Wszystko dokładnie sprawdziłam pięć razy. Następnie przeszłam do drugiej fazy mojego planu – dopieszczenia mieszkania.

Po wstępnej ekscytacji przestało mi zależeć tylko na sprzedaży. Chciałam mieć jak największą kwotę na nowy start. Godzinami siedziałam i oglądałam czasopisma o wnętrzach. Wiola i Gabrysia patrzyły na mnie z niedowierzaniem:

– Kiedy miłość do biologii i chemii ustąpiła wnętrzarstwu? – rzuciła pierwsza z nich, gdy pewnego jesiennego popołudnia przerzucałam strony kolejnego grubego numeru periodyku o stylowym domu. Pokazywano w nim nie tylko odmianę wnętrza, ale i tricki, jak wpłynąć na lepszy odbiór mieszkania lub domu przez potencjalnego nabywcę.

– To moja nowa miłość – odpowiedziałam dla ukrócenia rozmowy.

Kiedy nikt nie patrzył, robiłam notatki: „udekorować kwiatami”, „dużo poduszek”, „narzuta na łóżko”, „wytrzeć kurze – wszędzie”.

Podeszłam do tematu jak do każdej rzeczy w swoim życiu. Chciałam wiedzieć wszystko i zrobić to najlepiej. Gdy już przygotowałam mieszkanie, przeszłam do kolejnego etapu. Chciałam wyciągnąć ze sprzedaży jak najwięcej, ale jednocześnie nie wyobrażałam sobie, że kilka razy w tygodniu będę użerać się z obcymi ludźmi zasypującymi mnie pytaniami. Nie przeżyłabym tego. Zrezygnowałabym po pierwszym spotkaniu. No i zależało mi na szybkiej transakcji.

Wiele w moim życiu się zmieniło, ale hodowany latami strach przed obcymi pozostał. Po długiej wewnętrznej walce w końcu zdecydowałam się na agenta. Podpisałam umowę i przerzuciłam na niego cały ciężar. Trzy tygodnie później wrócił z propozycją nie do odrzucenia. Potencjalny kupiec dawał trochę powyżej ceny, na którą

liczyłam, chociaż jedna osoba oferowała trochę więcej. Jednak moim dodatkowym wymaganiem obok kwoty był sposób zapłaty. Chciałam gotówki, nawet kosztem ceny. I takiego nabywcę agent znalazł.

Następnego dnia po podpisaniu umowy, po nieprzespanej nocy, podczas której niepokoiłam się, czy pieniądze cały czas są na koncie i czy to nie wymysł mojej wyobraźni, zrobiłam, co musiałam.

– Wiola, Gabrysia... – Stałam przed nimi ze skwaszoną miną, jakbym zaraz miała oznajmić, że jestem śmiertelnie chora i długo nie pociągnę. One jednak w lot wyłapały, co chcę powiedzieć.

Wstały i ze smutnymi minami podeszły do mnie, a następnie przytuliły. Nie musiałam nic mówić. Te kilka miesięcy spowodowało, że powstała między nami więź, jakiej nigdy z nikim nie miałam. Nikt wcześniej nie troszczył się o mnie, nie oczekując niczego w zamian. Nie dawał mi części siebie, nie wiedząc, czy ja mam coś do podarowania. Nie pomagał zupełnie bezinteresownie, nie oczekując rewanzu.

– Dokąd pójdziesz? – wydusiła w końcu Wiola, pociągając nosem, i spojrzała tak, jak zawsze chciałam, żeby patrzyła na mnie mama. Tak z troską, z miłością.

– Wynajęłam mieszkanie na Mokotowie. Chcę mieć blisko do szkoły. Do końca roku szkolnego planuję zdać maturę, a później pójść na studia – skłamałam. Dzięki Barbarze ten pierwszy egzamin miałam z głowy, bo ona zaliczyła go śpiewająco. Chciałam w najbliższym czasie skupić się na przedmiotach wymaganych na egzaminie na studia, ale tego nie mogłam zdradzić.

– Medycyna?

– Pewnie tak – odpowiedziałam z uśmiechem na twarzy. W końcu rozmawiałam z kimś, kto mnie znał. Kto pytał, troszczył się i intere-

sował mną.

Posiedziałyśmy jeszcze trochę, wspominając nasze początki, i rozstałyśmy się, obiecując spotykać regularnie.

Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat. Widujemy się co najmniej raz w miesiącu, ale ja mam baczenie na nie częściej. Wiem, kto i co o nich mówi, kto im życzy źle, a kto posunął się do świństw. Wtedy reaguję. Nie wysyłam listów z pouczeniem, ale od razu lecę na ostro. W końcu ze mną nigdy nikt się nie pieścił.

Rozdział 50

W przeszukiwanie nagrań poza Boguckim i Jaworskim zaangażowano jeszcze dwóch policjantów. Wszyscy bacznie sprawdzali przekazane przez dyrektorkę biblioteki materiały.

– Maciej Grzegorzewski.

Bartosz Bogucki, który jako pierwszy dotarł do jego danych, dumnym głosem podał imię i nazwisko wytypowanego podejrzanego. Okazało się, że mała kamerka nagrała, jak korzystał z programu do wysyłania maili. Jako jedyny tego dnia. Odkrycie personaliów na podstawie zdjęcia nie stanowiło problemu. Policjant wyszukał wśród wypożyczających tego dnia i znalazł je bez trudu. Podejrzany wypożyczył lekturę „Wesele” Wyspiańskiego. Nie to jednak było najbardziej zaskakujące, ale wiek i wygląd chłopaka.

Maciej Grzegorzewski miał osiemnaście lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, chudą twarz z zapadającymi się polikami i lekko zadartym nosem, który zupełnie nie pasował do reszty, tak jakby ktoś przekleił go od kogoś innego.

– Chyba jaja sobie robisz? – rzucił Obrębski, widząc przygotowane materiały. – Jakim niby cudem to chuchro miałyby zabić dwie kobiety i je poćwiartować?

– Sam powiedziałaś, że nie trzeba do tego dużo energii. Nie trzeba być napakowanym mięsiwem.

- Nie ja, tylko patolog. Może siły nie trzeba, ale jaj. A ten... wygląda na takiego, co boi się własnego cienia - powiedział policjant, wyszedł z pokoju i ruszył do klatki schodowej, a następnie schodami zszedł na dół i kolejnym korytarzem skierował się do wyjścia z komisarjatu. Za nim jak pieski podążali Bogucki i Jaworski, którzy czekali na jakąkolwiek reakcję. Mijali kolejne pomieszczenia, aż doszli do recepcji, gdzie jak zwykle kłębiło się zdecydowanie zbyt dużo osób jak na tak małą przestrzeń. W końcu zatrzymał się i obrócił do kolegów: - Dzwonię po chłopaków, po wsparcie, jakby okazał się groźniejszy niż na tym nagraniu, i jedziemy po niego. Ale żaden z was nie ma prawa nawet oddychać głośniej. - Gdy kiwnęli głowami, kontynuował: - Weźcie radiowóz, a ja jadę swoim. Adres widziałem na papierach, więc znam. Do zobaczenia na miejscu.

Dojazd zajął im dwanaście minut, mimo że do przejechania mieli raptem osiem kilometrów. Potwierdzało to ich wcześniejsze ustalenia, że podejrzany o jedne z najokrutniejszych w ostatnich czasach morderstw mieszka niedaleko. Gdy zatrzymali się przed obskurnym blokiem, samochód Obrębskiego stał już na niewielkim parkingu. Zaparkowali koło niego, od razu wywołując zamieszanie i poruszenie, do czego zdążyli się przyzwyczaić. W swojej kilkuletniej pracy spotkali się z bardzo różnymi reakcjami na ich przybycie, raz nawet zostali obrzuceni butelkami przez ukrywających się w krzakach młodych chłopaków, którzy po zażyciu dopalaczy myśleli, że atakują ich kosmici, i nie chcieli dać się wyciągnąć z kryjówki, gdy w końcu skończyła im się szklana amunicja. Gryźli, kopali każdego, kto do nich podszedł, nawet swoich rodziców, na których krzyczeli i twierdzili, że nigdy wcześniej ich nie widzieli.

Kilkakrotnie kobiety, z którymi rozmawiali, przeżyły się, jakby liczyły na coś więcej niż pomoc, co raz skończyło się nawet atakiem zazdrosnego męża na Jaworskiego. Policjant nigdy wcześniej nie widział tej średnio urodziwej kobiety, choć ona zachowywała się tak, jakby znali się nie od dzisiaj i łączyła ich zażyła znajomość. Okazało się, że regularnie zdradzała męża i na złość chciała go sprowokować. Skończyło się to dla niego oskarżeniem o atak na funkcjonariusza.

Jednak najbardziej standardowym zachowaniem była ciekawość połączona z lekkim strachem i zaciągane szybko zasłony, zza których cały czas ktoś zerka, licząc na jakiś smaczny kąsek w postaci widoku wyciąganego z mieszkania sąsiada, który coś ukradł, pobił żonę lub za głośno krzyczał na dzieci.

– Policja, proszę otworzyć! – Obrębski energicznie zapukał w drzwi. Wszystkie możliwe drogi ucieczki zostały zabezpieczone, mimo to jedną rękę trzymał na broni w kaburze.

Po chwili drzwi zaczęły się otwierać, a za nimi stanął chłopak z nagrania. Na widok trójki policjantów momentalnie się zgarbił, a jego żuchwa delikatnie opadła.

– Policja. Maciej Grzegorzewski? Jest pan aresztowany pod zarzutem podwójnego morderstwa. – Tylko tyle Obrębski zdążył powiedzieć, bo oczy chłopaka uciekły w tył głowy, a on sam padł jak długi na ziemię. – Ja pierdolę... – skomentował to policjant. – Stalowe nerwy ma ten nasz morderca.

Godzinę później, po obejrzeniu podejrzanego przez przybyłych na miejsce medyków, pozwolono na transport na komisariat, gdzie praktycznie każdy pracujący policjant był ciekaw, jak wygląda postać stolicy.

– Zarzućcie mu na głowę kurtkę, gdy będziecie go wyprowadzać – rzucił komisarz, gdy w końcu wpakowali go do radiowozu.

W pierwszym momencie transportujący go Bogucki i Jaworski nie zrozumieli, o co chodzi, ale gdy podjechali pod budynek komisariatu, załapali. Na chodniku stało kilkunastu żądnych sensacji dziennikarzy. Zaparkowali z boku, licząc, że nikt ich nie zauważy. Niestety nie udało się i po chwili szli wśród tłumu przekrzykujących się reporterów i fotografów próbujących zrobić zdjęcie podejrzanemu.

– Zaprowadźcie go do sali przesłuchań – usłyszeli głos Obrębskiego, gdy tylko przekroczyli próg komisariatu.

* * *

– Imię i nazwisko?

– Maciej Grzegorzewski – odpowiedział chłopak ledwo słyszalnie, trzęsąc się, jakby miał gorączkę lub stał na mrozie.

– Data i miejsce urodzenia?

– Trzynasty lutego dwa tysiące pierwszego roku, Warszawa. A dokładniej centrum.

– Co robisz na co dzień?

– Uczę się w liceum.

– Co robiłeś siódmego maja?

– Nie pamiętam – odpowiedział chłopak, a po jego polikach zaczęły spływać pierwsze łzy. – Pewnie byłem w szkole.

– To ci przypomnę! – wrzasnął Obrębski. – Mordowałeś kobietę. Odcinałeś jej głowę. Nie pamiętasz?

– Ja...

– Gdzie ukryłeś głowę Moniki Wieczorek?

- Ja nic o tym nie wiem - wymamrotał cicho.

- Gdzie przetrzymujesz Grażynę Trawińską?

Zero odpowiedzi, poza pojękiwaniem i szlochem.

- Dlaczego wysłałeś maila?

- To nie tak... - W końcu wyprostował się i podniósł wzrok znad stołu.

- To jak? To jakiś element gry? Są kolejne ofia...

Obrębski nie zdążył skończyć, bo drzwi z impetem otworzył wysoki, szczupły mężczyzna z kwadratową żuchwą i szerokim nosem.

- Co tu się odstawia?! - wrzasnął. - Z tego, co mi wiadomo, to przesłuchiwanie podejrzanego musi odbywać się w obecności obrońcy, a nie widzę tu żadnego.

Wszyscy stojący za weneckim lustrem zamarli. Nikt nigdy nie widział mężczyzny, ale na pierwszy rzut oka było widać, że nie należał do łatwych przeciwników. Nawet Obrębski, który pomimo młodego wieku w swojej karierze stoczył niejedną pojedynek z natarczywym obrońcą, na chwilę się wycofał, zbity z pantałyku nagłym pojawieniem się mężczyzny.

- Kim pan jest? - rzucił po chwili policjant.

- Włodzimierz Miłoszewski. Obrońca pana Grzegorzewskiego.

- Obrońca?

- Tak. Skoro wyprowadziliście chłopaka w asyście uzbrojonych po zęby policjantów, to znaczy, że wydarzyło się coś gorszego niż niezapłacony mandat za przejazd na gapę. A w takich sytuacjach pojawiają się ja, ale wyjątkowo nie cały na białą.

- Widzę, że pan z gatunku wodzirejów? - rzucił kąśliwie policjant.

– Nie ma to żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, dlaczego nękacie młodego człowieka.

– My dopiero możemy zacząć. Ale zapraszam. – Pokazał wolne krzesło stojące obok. – No dobrze, skoro chce pan uczestniczyć w tym cyrku, to świetnie. Wróćmy do pytań. Czy to pan w dniu dwudziestym maja wysłał na maile policji oraz wszystkich stacji w Polsce wiadomość w sprawie dwóch dokonanych przez siebie morderstw?

Chłopak znowu zamknął oczy i zaczął kręcić przecząco głową, raz po raz powtarzając: „To nie tak...”.

– To może zdradzisz nam, jak było? Dlaczego zamordowałeś dwie kobiety? Dlaczego potraktowałeś ich ciała piłą, a następnie postanowiłeś postraszyć całą Polskę?

– Ja ich nie zabiłem – wyszeptał w końcu chłopak i spojrzał błagalnie na mężczyznę, który usiadł chwilę wcześniej. – Proszę, niech pan mi pomoże...

Zaraz po tych słowach wybuchnął płaczem, wprawiając w zdziwienie obu siedzących w sali. Nie był to płacz prześmiewczy, triumfalny, jak można byłoby spodziewać się po zwyrodnialcu, który pozabawił dwie kobiety życia, ale zupełnie inny. Pełen smutku, błagalny, wręcz żałosny lament, który wbijał się w głowę zarówno tych siedzących obok, jak i patrzących na całe przesłuchanie zza weneckiego lustra.

– Chciałbym porozmawiać z moim klientem w cztery oczy – odezwał się po chwili mecenas i poklepał chłopaka po plecach. Ten lekko się wyprostował i wytarł nos o kaptur. Niestety skute, a na dodatek przytwierdzone do stolika ręce nie pozwalały na inny sposób pozbycia się kataru, który potokiem zaczął lecieć mu z nosa.

– Oczywiście – rzucił niechętnie Obrębski, jednocześnie pokazując ruchem głowy, aby wszyscy zza lustra opuścili salę. Takie były przepisy i mimo wielkich chęci nie zamierzał ich łamać.

Wszyscy z lekkim ociąganiem opuścili swoje strategiczne pozycje, o które walczyli, przepychając się przed kolegów, aby lepiej widzieć mordercę. Każdy z zebranych od razu założył, że Maciej Grzegorzewski nim jest, mimo że jego wygląd stawał w opozycji z wizją takiego człowieka. Każdy spodziewał się kogoś starszego, pewniejszego siebie, z bardziej rozwiniętą muskulaturą, a chłopak, którego obserwowali przez lustra, stanowił tego zaprzeczenie.

Po pół godziny uśmiechnięty mecenas pojawił się w pokoju Obrębskiego. Wyglądał, jakby zaraz miał jechać na wakacje, a nie stoczyć bój o klienta, na którym ciążyą najgorsze zarzuty.

– Możemy wracać. Kawy nie przynosicie, bo to potrwa krótko – rzucił i nie czekając na odpowiedź, ruszył do pomieszczenia, w którym siedział chłopak.

Gdy policjant wszedł do pokoju przesłuchań, od razu wyczuł różnicę. Podejrzany siedział wyprostowany jak struna, patrzył przed siebie i nie unikał jego spojrzenia.

– Rozumiem, że wersja ustalona i możemy zaczynać.

– Nie musieliśmy niczego ustalać. Prawda nas wyzwoli.

– Oby, rozumiem, że chcą panowie coś ogłosić? – spytał Maksymilian Obrębski, przenosząc wzrok z obrońcy na podejrzanego i z powrotem.

– Tak – odezwał się chłopak, spojrzawszy na wielkiego mężczyznę i na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. – Ja... No...

– Nie denerwuj się. Powiedz wszystko od początku.

– Janikogoniezabiłem – powiedział ciągiem, jakby było to jedno słowo. – To wszystko to był głupi żart.

– Głupi żart? – powtórzył po nim Obrębski i pokręcił głową z dezaprobatą, marszcząc przy tym brwi. – Możesz wyjaśnić, co dokładnie masz na myśli?

– My z kolegami mamy taką zabawę – zaczął, a jego wzrok momentalnie wylądował gdzieś na podłodze. – Dzwonimy na policję, straż pożarną lub pogotowie i... – Urwał w połowie wypowiedzi i podniósł wzrok na swojego obrońcę. Widząc delikatne kiwniecie głową, kontynuował: – I składamy fałszywe zgłoszenia.

– Wiesz, że to jest karalne? – spytał spokojnie Obrębski i oparł się na krześle.

– Tak. Wiem i przepraszam. Trzy dni temu jakoś udało się wam namierzyć kolegę i tym sposobem wszyscy wylądowaliśmy na komisarzacie. A ja... ja wszystko słyszałem, co mówiliście o tych paniach. Każdy szczegół. Siedziałem pod salą i słuchałem. I wtedy przyszedł mi do głowy najgłupszy pomysł. Stwierdziłem, że wyślę do was i do telewizji wiadomość, i tak zrobiłem. Koledzy mi nie wierzyli, bo zawsze uważali mnie za frajera, ale gdy zaczęto o tym mówić, przez chwilę patrzyli na mnie jak na przywódcę – powiedział trochę głośniej, jakby nagle poczuł z tego powodu dumę.

Rozdział 51

– Kochanie, coś się stało?

Gdy podczas obiadu żona spytała go o to po raz trzeci, miał ochotę rzucić w nią talerzem zupy ogórkowej, a następnie wbić jej w oko leżący po lewej stronie widelec i z uśmiechem na twarzy obserwować jej reakcję.

Niestety musiał się powstrzymać. Po raz kolejny uśmiechnął się delikatnie i powiedział, że ma dużo na głowie, na co ponownie usłyszał, że ona się nie dziwi i tak go podziwia, że z takim oddaniem wykonuje swoją pracę, która jest niezmiernie trudna, choć potrzebna.

Już tyle razy to słyszał, że nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Zresztą od lat miał włączony tryb wybiórczego słuchania żony i dzieci. Ich wypowiedzi nie wnosily nic do jego życia, a z reguły zakłócały jego wewnętrzny spokój. Jednak tego dnia poziom zdenerwowania zdecydowanie przekraczał normę, a to za sprawą zamieszania wywołanego przez jakiegoś gnojka.

Gdy zobaczył go po raz pierwszy, miał ochotę rzucić się na niego. Jego idealny plan mógł nagle runąć niczym domek z kart za sprawą szczeniackiego żartu.

Wiedział, że zaangażowanie czwartej władzy może tylko utrudnić mu kolejne kroki.

Musiał się przewietrzyć. Oczyszczyć głowę.

Gdy tylko ostatnia łyżka zupy wylądowała w ustach, podziękował, po czym spakował sportową torbę i wyszedł z domu. Najchętniej poszedłby pobiegać, ale tego dnia pogoda nie sprzyjała. Pierwszy raz od dwóch tygodni padał deszcz, czego niestety nie mógł ograć żadnym strojem sportowym, może poza kaloszami i woderami, w których ciężko byłoby pokonywać kolejne kilometry.

Wyposażony w parasol i wodoodporne buty wyszedł z domu, otworzył metalową furtkę i skręcił w lewo. Szybkim marszem, którym zawsze się przemieszczał, po siedmiu minutach dotarł do dwukondygnacyjnego budynku, w którym znajdowała się siłownia. Kiedyś stronił od takich miejsc. Nie znosił wyglądających niczym dmuchane lalki recepcjonistek, które czasami zastępowali napakowani koledzy. Nikt z nich nie potrafił sklecić prawidłowo zdania, a mimo to zawsze próbowali zapamiętać imię każdego, kto odwiedzał siłownię, i się z nim zaprzyjaźnić, od wejścia krzycząc: „Siema, Piotrek!” lub „Fajowo, że wpadłaś, Andżela!”, nie zważając na to, czy ktoś miał ochotę na rozmowę, czy nie.

Od kiedy otwarto bezobsługową siłownię, problem się rozwiązał. Wchodził, nie musząc z nikim rozmawiać, pokazywać czegokolwiek. Przed wejściem uruchamiał aplikację, skanował ją w bramce i wchodził do swojego królestwa. Tutaj był anonimowy. Nikt nic od niego nie chciał i na niego nie patrzył. Pewnie gdyby nawet ściągnął koszulkę i zaprezentował mocno zarysowany sześciopak, i tak nikt nie zwróciłby uwagi. Przy tych wszystkich pakerach nie robił aż takiego wrażenia.

Szybko się przebrał, wsunął w uszy małe air podsy, w których leciał szum wody czy wiatru, a czasami muzyka poważna, i ruszył do strefy cardio. Jak zwykle pogrążony w swoich myślach, wszedł na

skrajnie ustawioną bieżnię i już zaczął wpisywać swoją wagę, aby skonfigurować urządzenie, gdy kątem oka dostrzegł ujęcie sprzed żoliborskiego komisariatu, a na żółtym pasku poniżej kręcący się w kółko napis: „Kolejny zwrot akcji”.

Szybko zdjął słuchawki i próbował wsłuchać się w wypowiedź dziennikarza stojącego przed budynkiem.

- Dzisiejszy dzień to istny rollercoaster wokół seryjnego mordercy grasującego w stolicy. Po liście, w którym morderca rzekomo zapowiadał więcej ofiar, a który okazał się głupim żartem nastolatka, przyszedł czas na kolejny zwrot akcji. Raptem trzydzieści minut temu tutaj, na schodach za mną, doszło do zadziwiającej sytuacji. Równie o dwunastej w południe przyjechało kilku dziennikarzy z lokalnych stacji, zostali zaproszeni przez tajemniczego mężczyznę, który zapowiedział, że przedstawi szczegóły morderstwa. Gdy po piętnastu minutach nikt nie wychodził, zaczęli się zbierać. Wtedy pojawił się ubrany w długi płaszcz i kapelusz mężczyzna. Stał na schodach przed wejściem na komisariat i oznajmił, że to on jest winny śmierci kobiet. Niestety zanim ktokolwiek zdążył powiadomić któregoś z funkcjonariuszy, ten... podpalił się. Pomimo szybkiej akcji ratunkowej stan mężczyzny określany jest jako poważny.

Rozdział 52

ONA

Witold Machurski. Prokurator. Z tego, co udało mi się zorientować, to postać średnio lubiana. Taki typ, co próbuje się jak najmniej narobić. W pracy mało kto go lubił. Nie miał dzieci, a kobieta, z którą się spotykał, miała coraz większe wątpliwości co do ich związku. Wiedziałam to, ponieważ udało mi się usiąść obok podczas jej spotkania z koleżanką.

– Czasami mam już go dość. Jest zapatrzony w siebie jak mało kto. Jego dobro i interes są najważniejsze. I jeżeli musi zrobić coś dla mnie, to kręci nosem, jakbym kazała mu rowy kopać całymi dniami w czterdziestu stopniach. A ja najzwyczajniej w świecie chciałam dostać raz na jakieś czas kwiatki. Wiesz, co mi ostatnio powiedział, jak go o to spytałam? Że nie ma kwiaciarni po drodze do domu. Na to ja, że chyba ma samochód i mógłby do jakiejś zajechać. A on, że po całym dniu w pracy jest zbyt zmęczony i nie ma ochoty jeździć po mieście.

– I to było w twoje urodziny? – spytała pulchna brunetka, pakując do ust kolejną łyżkę lodów czekoladowych.

– Tak – odpowiedziała smutno kobieta.

Posłuchałam jeszcze chwilę jej lamentów dotyczących mężczyzny, upewniając się, że w ciągu tych kilku lat zupełnie się nie zmienił.

Pamiętam go z czasów, gdy pracował jako kurator. Odwiedził nas w domu po zgłoszeniu sąsiada i zachowywał się tak, jakbym zupełnie go nie obchodziła, a przecież przyjechał właśnie dla mnie. Dla mojego dobra. A tylko zadał kilka standardowych pytań i wyszedł. Gdyby wykazał się trochę większym zaangażowaniem, może wszystko potoczyłoby się inaczej, a ja nie musiałabym leczyć swojej psychiki, raniąc innych.

Śledziłam go przez cztery tygodnie i dobrze wiedziałam, jak próżnym człowiekiem jest. Fryzjer co poniedziałek, paznokcie w każdą środę, zabiegi na twarz raz na dwa tygodnie. Do tego co chwilę zakupy w sklepach z ubraniami. Nie wiem, skąd miał tyle kasy, ale nie sądzę, że z pensji prokuratora stać go było na to wszystko. Może dostał w spadku, a może działał dla mafii. Nie wiem i szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie to wtedy. Chciałam tylko uprzykrzyć mu życie.

Pomysł na to, jak go ukarać, wpadł mi do głowy podczas wieczornego oglądania telewizji. Sprzątałam, gdy na ekranie ukazała się młoda kobieta z poparzoną twarzą, która smutnym głosem opowiadała, jak to jej ekschłopak w ramach zemsty wylał na jej twarz substancję żrącą. Momentalnie się uśmiechnęłam. Musiałam tylko wymyśleć, jak to zrobić.

Rozdział 53

– Widziałeś Obrębskiego? – spytał Bartosz Bogucki i postawił dwie kawy na biurku. Błat zastawiony był kilkudziesięcioma teczkami spraw, które chociaż trochę przypominały tę, która spędzała sen z oczu większości policjantów. Coraz bardziej poszerzali zakres poszukiwań, już nie ograniczając się tylko do zbrodni, w których odcięto komuś głowę. Chwycił za ucho kubek z napisem „Król dżungli” i postawił go przed kolegą.

– Mignął mi gdzieś rano. Wygląda, jakby nie spał od trzech tygodni. Dobrze, że pojechał do szpitala na przesłuchanie, to nie musimy się bać, że wpadnie tutaj.

– Ale i tak musimy z nim pogadać, żebyśmy wiedzieli, co robić, żeby znowu czegoś nie spieprzyć.

Nagle drzwi się otworzyły i choć nie zobaczyli, kto jest za nimi, usłyszeli głos z korytarza:

– Jest już live!

I tyle. Wiedzieli dobrze, o co chodzi. Cały komisariat chciał uczestniczyć w przesłuchaniu podpalacza. Oczywiście w klasyczny sposób było to niemożliwe z prozaicznego powodu. Mężczyzna leżał w szpitalu i tylko naciski komendanta głównego spowodowały, że ordynator zgodził się na przesłuchanie, stawiając kilka warunków. Po pierwsze, miało się ono odbyć na miejscu, pacjenta nie można było

nigdzie przewozić. Po drugie, w sali miał cały czas przebywać lekarz, na wypadek gdyby działo się coś niepokojącego.

Z tego względu któryś z policjantów wpadł na pomysł przekazywania obrazu na żywo do reszty funkcjonariuszy zaangażowanych w sprawę. Tym sposobem kilkunastu policjantów siedziało teraz przed dużych rozmiarów płachtą, na której za pomocą rzutnika wyświetlano obraz ze szpitala.

– Zrób głośniej! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Już, chwila – rzucił podenerwowany Michał Wiśniewski, informatyk, który zawsze obsługiwał połączenia online.

Wszyscy z niecierpliwością czekali, aż do obrazu, który już mogli obserwować, dołączy dźwięk.

– ...i nazwisko? – usłyszeli Obrębskiego, którego tylko prawa ręka, pół pleców oraz kawałek głowy widoczne były w kadrze.

– Gabriel Lewandowski – odpowiedział cicho. Dalekie ustawienie aparatu powodowało, że dźwięk był dość słaby, a ustawienie kamery pod światło sprawiało, że zgromadzeni przed ekranem funkcjonariusze widzieli tylko czarny zarys postaci. Mimo to nikt nie śmiał tego komentować.

– Data i miejsce urodzenia?

– Czternasty marca dziewięćdziesiątego siódmego roku, Radom.

– Czym zajmuje się pan na co dzień?

– Jestem modelem – powiedział mężczyzna, a po chwili poprawił się: – To znaczy pewnie byłem.

– Dlaczego podpalił się pan na schodach komisariatu na Żoliborzu?

– Ja... Ona...

– Proszę spokojnie. – Głos policjanta wcale nie uspokajał. Był mocny, zdecydowany, ale i tak łagodniejszy niż ten, który przez ostatnie dni wielokrotnie słyszano na korytarzu.

– Kochałem ją – wyszeptał mężczyzna i odwrócił głowę w stronę okna. Na ekranie nikt nie mógł odczytać jego mimiki, ale w głosie brzmiały smutek, załamanie.

– Kogo?

– Grażynę Trawińską.

– Jak się poznaliście?

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – zaśmiał się i ponownie skierował twarz w stronę Obrębskiego. – Grażyna często wyjeżdżała. A to na weekend do spa, a to tydzień za Zanzibarze. Zawsze miała jakiś powód, żeby zrobić sobie wolne, żeby odpocząć. Jej mąż za wszystko płacił, więc z tego korzystała, a często...

– Tak?

– Płaciła nie tylko za siebie. Wiele osób to wykorzystywało.

– Pan też? – spytał policjant i sięgnął po stojącą gdzieś poza kadrem szklankę.

– Nie. Ja ją kochałem.

– Czyli nie płaciła za pana?

– Tego nie powiedziałem. Ale nie robiłem tego dla pieniędzy. Gdyby nie kupowała mi prezentów, zapraszała do spa czy nie załatwiała wyjazdów w tropiki, też bym za nią szalał. Była wspaniała.

– Kto was poznał?

– Nie pamiętam, pewnie jakaś jej koleżanka. Ale nie powiem, kto dokładnie.

– Kiedy to było?

- Jakiś rok temu. Tego samego wieczora wylądowaliśmy razem w sypialni i stwierdziłem, że jest aniołem. Ona nie tylko chciała brać, ale i dawała. Po wszystkim leżeliśmy w łóżku, paliliśmy i gadaliśmy o życiu. Wiele mi o sobie opowiedziała. O mężu tyranie, o depresji poporodowej, w którą nikt nie chciał jej uwierzyć, myśląc, że znowu ma humory. I tak to się zaczęło. Byłem w siódmym niebie. Zaczęliśmy się spotykać regularnie.

- Nie przeszkadzało panu, że ma męża, dzieci?

- Hmm... - westchnął. Usiadł trochę wyżej i poprawił kołdrę. Słońce schowało się za chmurami i w końcu zgromadzeni przed ekranem policjanci mogli zobaczyć mężczyznę. Jego lewy policzek pokrywały wielkie pęcherze, które powodowały, że twarz wyglądała, jakby była zdeformowana. Jednak gdyby nie to, zdecydowanie można było nazwać go przystojnym. Kręcone brązowe włosy i brwi nad niebieskimi oczami zapewne w normalnych warunkach przyciągały spojrzenia kobiet, a może i mężczyzn. - Na początku w ogóle o tym nie myślałem. Było mi dobrze. Trzy miesiące wcześniej skończyłem trzyletni związek. I to w najgorszy sposób. Moja eks upiła się podczas mojej imprezy urodzinowej. Ja się bawiłem, więc mój przyjaciel zadeklarował, że ją odwiezie. Zgodziłem się. Nic wielkiego. Miał odstawić ją do domu, dwa kilometry od klubu, i wrócić. Gdy po godzinie go nie było, jakoś się nie przejąłem. Później nawet o tym nie gadaliśmy. Do czasu. Marzenie spóźniał się okres i gdy zrobiła test, wpadła w histerię. Ja też się przestraszyłem, ale jej reakcja mnie zadziwiła. Gadaliśmy wcześniej o rodzinie i chcieliśmy mieć dzieci. Przez trzy dni chodziła, non stop płacząc, aż w końcu powiedziała mi prawdę. W dniu moich urodzin przespała się z moim przyjacielem. W jednym momencie straciłem wszystko. Najlepszego kumpla,

dziewczynę, którą chciałem poślubić. Dlatego początkowo nie myślałem o niczym poważnym w kontekście Grażyny. Było nam dobrze i chciałem, żeby chwila trwała jak najdłużej. Ale dla niej to nie było takie ważne jak dla mnie.

– Zerwała?

– Nie nazwałbym tego zerwaniem, bo to kojarzy mi się z powiedzeniem tego drugiej stronie. Tutaj się to rozplynęło. Spotykaliśmy się coraz rzadziej i rzadziej, aż nie widziałem jej przez miesiąc. Próbowałem jakoś się z nią skontaktować, ale bezskutecznie. Czasami próbowałem się dowiedzieć, gdzie będzie, z kim, ale gdy mnie widziała, znikła albo ktoś mnie odciągał.

– Ktoś pana zastąpił?

– Tak, pojawił się inny, potem kolejny. I jak myślałem, że łączy nas coś specjalnego, tak z czasem zorientowałem się, że dla niej nie było to nic ważnego. Kolejny facet, którego omamiła i tyle, ale ja to przeżywałem.

– Z dokumentów, do których dotarliśmy, wiemy, że wpadł pan w problemy. Co dokładnie się stało?

– No co? – Wzruszył ramionami. – Grażyna Trawińska rzuciła mnie, zacząłem więcej ćpać, agencje przestały mnie zatrudniać i jakoś tak się rozjechało.

– Pół roku temu został pan zatrzymany za spowodowanie wypadku pod wpływem substancji odurzających.

– Ma pan akta, to po co pan pyta? – rzucił wkurzony.

– Co działo się później?

– Po zerwaniu z Trawińską rodzice przestraszyli się nie na żarty. Schudłem dziesięć kilogramów z rozpacz i z powodu narkotyków. Matka dwa razy próbowała mnie zamknąć w ośrodku, ale jestem do-

rosły, więc bez mojej zgody nic nie mogła zrobić, a ja odmawiałem. Głównie jej na złość. Nie chciałem, aby ktokolwiek o mnie decydował, mimo że... Wiem, że byłoby to dla mnie dobre. Więc wyrzuciła mnie z domu. Powiedziała, że nie wie, czy jeszcze mnie kiedyś zobaczy, ale inaczej nie może postąpić. Muszę dotknąć dna i się odbić albo... umrzeć – powiedział cicho. – Później była jazda bez trzymanki, aż do wypadku. Po nim nastąpiło całkowite załamanie i...

– Próba samobójcza.

– Numer jeden – dodał chłopak.

– Ile ich było?

– Trzy, a może cztery?

– Licząc podpalenie?

– To wtedy cztery lub pięć.

– Zmieńmy temat. Czy znał pan Monikę Wieczorek?

– Tak. Pewnie pan wie, ale też była modelką. Dużo większego kalibru niż ja. Jeździła po całym świecie, brała udział w sesjach, o których mógłbym tylko marzyć, a i tak gdy asystentka mnie jej przedstawiła, zachowywała się zupełnie normalnie. Nie wywyższała się jak inne. Wie pan, że ta Andżelika Waclawik, znana wszystkim jako Endzi, nie odpowiada na dzień dobry czy inne słówka grzecznościowe, jeżeli uzna, że znajomość z kimś nic w jej życie nie wniesie? Ale Monia taka nie była. Gdy ją poznałem, miałem na koncie raptem dwie sesje, i to niskobudżetowe. Ta była pierwszą, na której miałem w końcu coś zarobić, ale też pierwszą, gdzie pracowało tyle osób. Niektóre rzeczy działały się szybko, i jak ktoś nie wie, jak ma się zachowywać, to może wyjść słabo. Ale ona mi pomogła. Widząc moje zakłopotanie pewnymi komendami, mówiła mi, co mamy teraz robić. Sesja wyszła niezłomie. Pamiętam, jak poszliśmy później na

kolację z całym zespołem. Uśmiechała się do mnie, a raz nawet położyła rękę na moim kolanie. Jezu, myślałem, że będziemy razem, że coś do mnie czuje – rzucił już mniej podekscytowany i zamilkł.

– Co działo się później? – spytał Obrębski po chwili oczekiwania.

– Nic – odpowiedział Gabriel Lewandowski i wzruszył ramionami. – Przestała odbierać ode mnie telefony. Nie odpisywała. Widziałem jej zdjęcia w gazetach, na Facebooku czy Instagramie. Pracowała, podróżowała po świecie, a gdzieś przy niej zawsze był on.

– Krzysztof Mogielnicki?

– Tak. Stary, smutny dziadek z milionem monet w portfelu – podsumował go chłopak. – Zupełnie jej nie rozumiałem. Mogła mieć każdego, a wybrała gościa, który nie chciał nawet być jej wiernym. I ona na to poszła. Później już nigdy z nią nie rozmawiałem. Widziałem tylko raz w sklepie, chciałem podejść, ale wpadł na nią jakiś gostek. To wyglądało dość dziwnie, jakby się na nią czał, a później z całej siły przywalił w nią wózkiem. Później przeproszał, a gdy wracałem, to siedzieli na ławce przed sklepem.

– Rozumiem – skomentował Obrębski i przysunął się bliżej przesłuchiwanego. – Dlaczego się pan podпалиł?

– Gdy usłyszałem, że ktoś je zabił, myślałem, że zwariuję. Nie mogłem w to uwierzyć.

– Powiedział pan, że jest winny ich śmierci. Wiemy, że nie mógł pan ich zabić. Odbywał pan terapię na oddziale zamkniętym, gdy zniknęła Monika Wieczorek, a następnie odnaleziono jej ciało. Dlaczego pan to powiedział?

– Bo uważam, że to przeze mnie. Powinienem był je chronić, były mi bliskie. Obiecałem im to... – Chłopak zaczął popłakiwać. – A je

zawiodłem. Wszystkich zawsze zawodzę. Jestem beznadziejny. Powinienem dbać o nie, a ja jak taka cipa leżałem w szpitalu.

Rozdział 54

ONA

Mieszkanie, praca, dwie koleżanki.

To mój świat.

Ciasny, ale własny.

To wszystko, co mam.

Tylko tyle albo aż tyle.

Do szczęścia brakuje mi zamknięcia wszystkich spraw z przeszłości. Z częścią już się uporałam, ale nie ze wszystkimi.

Już wiele lat temu odpłaciłam mojej rodzinie.

Niestety, żeby to zrobić, musiałam wrócić do domu, a nie było to łatwe. Trzy dni wcześniej zaczął mnie boleć brzuch, jakby rana znowu się odnowiła. Gdy stanęłam w końcu przed drzwiami, za którymi spędziłam siedemnaście lat, zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Czy dostanę się do środka bez problemu? Na moje szczęście nie zmienili zamków, a ja cały czas miałam klucze.

Założyłam rękawiczki, a na nogi foliowe ochraniacze i weszłam do rodzinnego domu. Cała się trzęsłam i miałam wrażenie, że zaraz zemdleję ze strachu. Że zaraz ktoś wejdzie i cały mój misterny, realizowany od sześciu lat plan legnie w gruzach. Myśl ta krążyła w mojej

głowie, mimo że wiedziałam, że nie ma takiej możliwości. Cała czwórka wyjechała na wakacje. Moja siostra codziennie wrzucała zdjęcia na Naszą Klasę, pokazując wypoczynek z ukochaną rodziną w rozgrzanym do czerwoności Egipcie, gdzie na każdym kroku czuła się niczym królewna adorowana przez śniadych lokalnych sprzedawców.

Powoli obeszłam całe mieszkanie, które lata temu było świadkiem mojego dramatu. Trochę się zmieniło. W salonie stała nowa kanapa, którą zalałam od razu butelką otwartego czerwonego wina. Oczami wyobraźni widziałam ogień na twarzy ojca, który lata po mieszkaniu i wydziera się na wszystkich, nie mając pojęcia, kto za tym stoi.

W sypialni rodziców na łóżku leżała narzuta, której nie znałam, i zestaw kilku fikuśnych poduszek. Z łazienki zabrałam dwa łańcuszki mamy i jej ukochany pierścionek, który dostała od babci. Nigdy nie nosiłam ozdób i nie planowałam, ale sam fakt posiadania ulubionych błyskotek kobiety, która tak bardzo mnie nienawidziła, dał mi dziwne uczucie radości.

Z wielką obawą podeszłam do drzwi, za którymi kiedyś mieszkałam. Nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Nadal pełnił rolę składowiska, tylko teraz rzeczy były już wszędzie. Nikt nie oszczędził mojego łóżka i biurka, kartony stały praktycznie na każdym skrawku wolnej przestrzeni. Podeszłam do jednego z nich i zajrzałam do środka. Leżały w nim zeszyty i książki mojego brata. Nic interesującego. Zajrzałam do dwóch kolejnych i nie widząc niczego, położyłam się na podłodze i zajrzałam pod łóżko.

Ostatniej nocy, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze wrócę, ukryłam tam kilka moich rzeczy. Ukochanego misia, którego dosta-

łam od babci, „Anię z Zielonego Wzgórza”, którą uwielbiałam czytać już jako ośmiolatka, i pamiętnik, w którym opisywałam moje smutne życie.

Wytrzepałam wszystkie te rzeczy z kurzu i schowałam do plecaka, który zwisał mi na prawym boku.

Obeszłam wszystkie pokoje i nie znalazłszy nic ciekawego, udałam się do kotłowni. Pomieszczenia, które wcześniej odwiedziłam może dwa razy. Zawsze bałam się wielkiego metalowego zbiornika, który stał w kącie, jakby coś mogło nagle z niego wyskoczyć.

Teraz wszystkie strachy gdzieś zniknęły. Miałam zadanie do wykonania. Wyciągnęłam przygotowaną miksturę i ułożyłam wszystko na jednej z półek, na której ojciec trzymał narzędzia. Otworzyłam odpowiedni zawór i wlałam zawartość. Wiedziałam, że na jednym razie się nie skończy, ale już tyle lat czekałam na to, aby zemsta w końcu się dopełniła, że mogłam jeszcze odwlec mój dzień triumfu w czasie.

Odwiedziłam ich jeszcze trzy razy, a w międzyczasie podglądałam ich życie, godzinami stojąc przed domem, ubrana tak, że nikt by mnie nie poznał. Przez otwarte okna słyszałam, jak ojciec po powrocie robi wszystkim domownikom karczemną awanturę za wylane na kanapę wino. Co zaskakujące, najbardziej oberwało się młodemu, który przez te lata mocno podrosł, ale i tak zbesztany przez ojca milczał, a po chwili wyszedł z domu zgarbiony i przygaszony.

Obserwowałam, jak moja siostra migdali się na ganku najpierw z niczego sobie wysokim brunetem, a raptem dwa dni później prezentuje swoje walory innemu chłopakowi. Najchętniej zrobiłabym zdjęcia i wysłała rodzicom, ale nie chciałam się zdradzać.

Dni mijały, a ja czekałam.

Dobrze wiedziałam, że moja mikstura wyrządzi im krzywdę prędzej czy później. Musiałam tylko uzbroić się w cierpliwość.

Trzydzieści dni po mojej pierwszej wizycie umarła mama. Nie mogłam się powstrzymać i poszłam na jej pogrzeb. Na szczęście była późna jesień, więc moja wielka czapka i zakrywający pół twarzy komin powodowały, że nikt nie miał prawa mnie rozpoznać. Zresztą nikt się mnie nie spodziewał. Sześć lat wcześniej zostałam spakowana do drewnianego pudełka i zakopana pod ziemią.

Stałam w odległości kilkudziesięciu metrów i patrzyłam już tylko na trójkę ludzi, którzy niczym bomba zniszczyli moje życie. Wodzirej tej akcji, mój ojciec, nie przypominał siebie sprzed lat. Wychudzony, z zapadającymi się polikami, ledwo trzymał się na nogach. Wspierał się na ramieniu mojej siostry, która z kolei przez te lata mocno utyła. Nie spełniała już wygórowanych wymagań matki, która co chwilę powtarzała, że tylko głupie kobiety są grube. Na obrazku przede mną uwidaczniało się, jaką hipokrytką była do samego końca. Tylko mój brat niewiele się zmienił na twarzy. Ciemne kręcone włosy wystawały mu spod czarnej czapki. Stał po drugiej stronie ojca, ale nie pomagał mu jak siostra, tak jakby coś ich poróżniło. Jakby już nie był cudownym synkiem, idealnym dzieckiem, tak wyczekiwany i wymodlony.

Uśmiechnęłam się, patrząc na to wszystko. Ta cała ich obłuda w końcu wychodziła, a ja liczyłam na więcej.

Po trzech tygodniach do szpitala trafiła moja już nie taka doskonała siostra. Wiedziałam, że będzie następna, ponieważ słyszałam jej narzekania za pośrednictwem systemu do podsłuchu, za który zapłaciłam mnóstwo kasy, a który i tak trzeszczał, zakłócając dźwięk:

- Źle się czuję. Kręci mi się w głowie i wymiotuję – powtarzała słabym głosem.

Żaden z dwóch mężczyzn nie zareagował nawet słowem. Dopiero gdy zwymiotowała, zdaje się, że na podłogę w kuchni, brat odezwał się do niej ze słyszalną w głosie odrazą:

- Idź do siebie, bo śmierdzisz.

W końcu Magda, która w ciągu kilkadziesiąt dni od pogrzebu matki znacząco schudła, sama zadzwoniła po karetkę:

- Błagam, pomóżcie mi! – krzyczała drżącym głosem, a ja zaczęłam się śmiać. Zazwyczaj bycie świadkiem czyjś cierpienia mnie smuciło. Każdy dramat w telewizji wyciskał ze mnie łzy, jakbym kroili cebulę, ale teraz nie czułam nic poza radością. – Nie mam siły wyjść z łóżka, cały czas wymiotuję. – Na chwilę zamilkła i słuchała. – Nie... To znaczy tak. Jest tata i brat, ale oni... – Znowu słuchała. – Proszę, pomóżcie mi! Ja nie mam siły! – krzyknęła i zaczęła płakać. Najpierw cicho, ale z każdą sekundą szlochała coraz bardziej, aż trzeszczał mi głośnik. – Jezu, dziękuję, ratuje mi pani życie...

Dziesięć minut później pojawili się dwaj medycy, którzy najpierw dyskutowali chwilę na ganku ze zdziwionym ojcem. Ten zupełnie się nie zorientował, że stan jego jedynej w jego mniemaniu córki tak się pogorszył. Tłumaczył, że Magda leżała w pokoju i zaglądał do niej, ale nie sądził, że jest tak źle.

Dopiero po kilku minutach słownych potyczek dwaj mężczyźni zajęli się moją siostrą. Ze szczegółami opowiedziała im o tym, jak często i od kiedy wymiotuje, co ją boli, a także o śmierci mamy, która również miała podobne problemy zdrowotne i umarła trzy dni po zawiezieniu jej do szpitala.

Znieśli ją na podwórko, a ja stałam przed ich domem i obserwowałam z oddali. Wtedy stało się coś zadziwiającego. Cała trójka wpadła w szloch. Siostra leżała na noszach, po jednej stronie stał ojciec, a po drugiej brat. Wyglądało to jak coś na kształt pożegnania. Pewnie jako kadr z filmu ta scena byłaby wzruszająca, ale mnie ponownie rozbawiła.

Trzy dni później Magda umarła w szpitalu. Po dwóch tygodniach trafił do niego ojciec, a brat dzień po nim. Umarli tego samego dnia, a ja poczułam, że jestem na najlepszej drodze do życia pełną piersią, bez obciążeń.

Rozdział 55

Od zawsze wkurzali go głupi ludzie. Niezrozumiałe decyzje, wtykanie nosa w nie swoje sprawy, konflikty bez powodu. Ale nigdy się nie spodziewał, że jego plan zostanie zachwiany u podstaw właśnie przez jednego z nich. Najpierw jakiś bezmózgi młokos postanowił sobie przypisać jego zasługi, a niewiele później lowelas o twarzy Adonisa, który w sposób spektakularny stał się obiektem rozmów, chwilę przed samopodpaleniem rzucił, że odpowiada za śmierć dwóch kobiet, aby później wyjaśnić, że czuje, że przynosi innym pecha i pewnie dlatego obie zginęły.

Gdy już myślał, że gorzej być nie może, żona z uśmiechem na twarzy oznajmiła, że dobrze by mu zrobił wyjazd, dlatego wykupiła na długi weekend tygodniowy urlop za granicą.

– Ale ja nie mogę wyjechać – stwierdził, patrząc na jej twarz i zastanawiając się, gdzie podziała się kobieta, w której może nie to, że się zakochał, ale która wydawała się odpowiednią partnerką na życie. Rozważną, myślącą i analizującą. Ta, co siedziała po drugiej stronie stołu wykonanego ze starych dębowych desek, zachowywała się tak, jakby te cechy gdzieś wyparowały, a w ich miejsce pojawiło się... nic.

– Zawsze jest coś. Zawsze jest w pracy jakiś pożar, który ty jako jedyny możesz ugasić. Od piętnastu lat słyszę tylko o tym, że coś lub

ktoś jest ważniejsze ode mnie, później od dzieci, od twojej rodziny! – Słowa leciały z jej ust jak nigdy dotąd. – Nigdy my nie byliśmy tymi najważniejszymi, może czas to zmienić.

Przez kilkanaście sekund mierzyli się wzrokiem. Patrzył na trzydziestopięcioletnią kobietę, której włosy z roku na rok coraz mocniej zdobiły siwe pasemka – nie zamierzała ich farbować w ramach protestu. Początkowo wszystkie koleżanki śmiały się z tego za jej plecami i kąśliwie komentowały, ale od kiedy pojawiła się moda na naturalność, co niektóre same odstawiły koloryzujące preparaty.

– Kpisz sobie ze mnie?! – krzyknął w końcu, wprawiając ją w osłupienie. Zawsze gdy się kłócili, odpowiadał cicho, nie nakręcał się, dlatego ich starcia słowne szybko wygasały. Jego opanowanie działało na nią kojąco i gdy po raz pierwszy, odkąd go poznała, usłyszała jego podniesiony głos, aż zamarła. – Zapieprzam całe życie, a ty mi teraz mówisz, że się nie poświęcam?! Dokąd kupiłaś tę wycieczkę?! – wrzasnął jeszcze głośniejsze i dla efektu uderzył ściśniętą w pięść dłonią w stół.

– Na Cypr – wydusiła po chwili.

– I zapłaciłaś za nią ze swojej pensji urzędniczki? Czy może mojej? Bo jakbyś nie wiedziała, to haruję na dwóch etatach, a do tego co chwilę szkolę ludzi, abyście wy, ty i nasze niewdzięczne dzieci, mogli żyć na poziomie. Dotychczas wydawało mi się, że dobrze się sprawuję, jeżeli jednak uważasz, że za mało haruję, mogę zapierdalać więcej, dłużej, żebyś miała lepiej! – wydarł się tak bardzo, że aż poczuł drapanie na strunach głosowych.

Siedząca naprzeciwko kobieta nie wypowiedziała już ani słowa. Po jej polikach spływały łzy, ale ona nie wydawała z siebie dźwięku. Patrzyła na człowieka, z którym dzieliła życie, troski, radosne

chwile, jakby zobaczyła go pierwszy raz. Powoli się podniosła, ostrożnie przesuając krzesło, tak aby nie wydało z siebie nawet najcichszego dźwięku. Wstała, popatrzyła jeszcze raz na męża i wyszła.

To było dwa dni temu. Od tego czasu jej nie widział.

Gdy wrócił z pracy następnego dnia, nikt nie czekał na niego z obiadem.

Dzieci nie przekrzykiwały się, wrywając sobie z rąk pada od PlayStation i kłócąc się, kto ma teraz zagrać w Minecraft czy Fortnite.

W końcu miał ciszę i spokój.

Włączył alarm i zszedł do swojego królestwa.

Dobrze wiedział, że to całe zamieszanie tylko przyspieszyło następny etap jego planu.

Rozdział 56

ONA

Uwielbiam być niewidoczna. Daje mi to siłę. Dzięki temu czuję, jakbym miała moc. Chociaż ostatnio się chyba zagalopowałam. Wiem od zawsze, że muszę się przemieszczać, nie mogę stać w jednym miejscu. A jednak gdy w grę weszła żądza zemsty, zapomniałam się.

Stałam przed domem tych dwóch kobiet i znowu poczułam ten smutek, który ogarnął mnie wtedy w szpitalu. Gdy Ula się wybudziła, początkowo byłam zła. Jej mama, która przez kilka dni dzieliła swój czas między córkę a mnie, nagle zapomniała o moim istnieniu. Nie gadała ze mną, nie interesowała się, czy czegoś mi nie potrzeba. Jednak wszystko się zmieniło, gdy dziewczyna do mnie zagadała. Zaczęło się od zwykłej wymiany powitalnych grzeczności, a skończyło na czymś na kształt przyjaźni. Było mi jej żal, bo lekarze nie dawali jej szans na wstanie z łóżka. Nigdy. Moje życie wydawało mi się piekłem, ale tego nie mogłam sobie wyobrazić. Życ i nie móc wyjść z domu, pójść do szkoły czy biblioteki...

Nie wiem w sumie, dlaczego tak skończyła. Ja nigdy nie spytałam, a ona nigdy nie wyjaśniła. Nie czułam potrzeby, by to wiedzieć. Rozmawialiśmy o książkach, szkole. Podobnie jak ja dużo czytała,

więc nie nudziłyśmy się, a gdy przychodziła jej mama i przynosiła małe radio. Ja nie mogłam liczyć na takie przyziemne wsparcie ze strony mojej mamy, dlatego korzystałam, gdy włączały jakieś audycje i słuchowiska. Miały swoje ulubione, a ja nie wiedziałam, o czym są, bo nigdy ich nie słuchałam. W domu nie mogłam sama włączyć niczego, nawet jak w danym momencie nikt nie korzystał z radia, a gdy już ktoś je włączył, słuchałam jednym uchem, sprząając lub obierając ziemniaki.

Dni mijały, a ja czułam, jakbym w końcu odżywała. Jakby w końcu znalazł się ktoś, kto mnie polubił.

Liczyłam, że gdy wyjdę, nadal będziemy podtrzymywać znajomość, ale znowu dostałam od życia w twarz.

Gdy tydzień po wyjściu poszłam do nich do domu, usłyszałam, że nie mają czasu i mam przyjść za tydzień. Gdy ponownie je odwiedziłam, odbiłam się od drzwi. I tak jeszcze trzy razy. Za każdym razem mama Uli z uśmiechem na twarzy tłumaczyła mi, że właśnie dzieje się coś tak ekstremalnie ważnego, że nie mogą mnie ugościć.

Przez lata starałam się o nich nie myśleć, ale gdy pewnego dnia, szukając zakładu krawieckiego, przejeżdżałam ich ulicą, odebrałam to jako znak. Chodziłam wokół ich domu przez miesiąc, zastanawiając się, jak się zemścić za to poniżenie sprzed lat. Nie chciałam robić im krzywdy, ale przygotowana byłam na różne ewentualności.

W końcu zdecydowałam się na konfrontację. W małej torbie miałam wszystko, co mogłoby być mi potrzebne. Przygotowałam sobie nawet kominiarkę, tak na wszelki wypadek. Cicho zapukałam do drzwi i raz jeszcze się rozejrzałam. Dochodziła dwudziesta trzydziści i w końcu ruch na ulicy ustał. Jakby dopiero niedawno ludzie powracali z pracy i zaczęli odpoczywać po ciężkim dniu.

Po chwili usłyszałam stłumione „Już idę!” i wreszcie stanęła przede mną ona.

Brygida Kubiak nie wyglądała jak przed laty. Umęczona życiem, z siwymi kręconymi włosami, wyglądała, jakby miała co najmniej osiemdziesiąt lat, o ile nie więcej, a dobrze wiedziałam, że ledwo co przekroczyła sześćdziesiątkę. Dwadzieścia kilka lat codziennego zajmowania się córką zrobiło swoje. Ubrana w sweter w kolorze zgniłej zieleni stała przede mną i mierzyła mnie wzrokiem. Od razu się zorientowałam, że mnie nie poznaje, i w sumie się nie dziwiłam. W ciągu tych lat przytyłam prawie piętnaście kilogramów, więc w końcu nie wyglądam jak kościotrup, za którym co chwilę ktoś się ogląda i komentuje. Mam teraz zupełnie inną fryzurę, a obcięte do ramion włosy farbuję w domu. Efekt może nie jest piorunujący, ale mnie się podoba. Raz wybrałam się do fryzjera i w połowie wizyty miałam ochotę wyjść, mimo że na głowie wciąż leżała farba. Kobieta, która mnie obsługiwała, cały czas gadała, zupełnie się nie zastanawiając, czy ja sobie tego życzę i czy obchodzi mnie jej rozstanie z chłopakiem, sceny zazdrości, które robiła mu na każdym kroku, czy podejrzenia, czy nie zdradza jej z panią ze sklepu spożywczego. Już miałam ochotę powiedzieć, jak załatwia się tego typu sprawy, ale zamilkłam, wiedząc, że nic dobrego by z tego nie było.

– Dobry wieczór – powiedziała Kubiak, nie doczekawszy się mojej reakcji. – W czym mogę pani pomóc?

– Dobry wieczór, nazywam się Barbara Wierzbicka, jestem z opieki społecznej i chciałabym chwilę z panią porozmawiać odnośnie do pani potrzeb, no i córki – wyrecytowałam przygotowany wcześniej tekst. Dobrze wiedziałam, że korzystają z pomocy, i uzna-

łam to za świetny pretekst, aby wejść do ich domu. – Przepraszam za porę, ale mamy sporo pracy.

– Proszę bardzo – powiedziała już bardziej rozpromieniona. Nagle jak za dotknięciem magicznej różdżki przestałam być natrętem, a stałam się kimś chcianym. – Napije się pani czegoś? – spytała, prowadząc mnie do środka. Minęłyśmy coś na kształt przedpokoju, w którym stała tylko mała komoda, i weszłyśmy do kuchni połączonej z jadalnią.

– Jeżeli to nie problem, to napiłabym się herbaty z mlekiem – rzuciłam i popatrzyłam na nią. Należę do nielicznej grupy osób, które pijają bawarkę.

– O, ciekawe – skomentowała po chwili. – Kiedyś poznałam kogoś, kto też tak pił herbatę, ale nie pamiętam, kto to był. Pewnie było to dawno temu albo nikt istotny – stwierdziła i sięgnęła po stojący na blacie czajnik elektryczny. Napełniła go wodą i wyciągnęła dwa kubki.

Nigdy nie byłam dobra w te towarzyskie rozmowy o niczym, dlatego siedziałam cicho i obserwowałam ją. Pogadałyśmy chwilę o ich sytuacji domowej. Z wielkim zaangażowaniem wyłożyła mi ich zapotrzebowania, po czym zaczęła żalić się na ich marny los: samotność, izolację, brak funduszy. Słuchając tego, czułam, jak się trzęsę. Jak każda komórka mojego ciała się napina. Wstałam. Kobieta spojrzała się na mnie dziwnie, a ja podniosłam leżącą na stoliku książkę w twardej oprawie. Popatrzyłam na okładkę i uśmiechnęłam się do niej delikatnie. Moje dłonie zacisnęły się na grubej tekturze, gdy Brygida Kubiak odwróciła wzrok w stronę okna. To był ten moment, na który czekałam. Uderzyłam ją z całej siły. Jej głowa odskoczyła do tyłu i pociągnęła całe ciało, które runęło jak kłoda na ziemię.

Patrzyłam na nią dobre dwadzieścia minut. Nie ruszyłam się. Obserwowałam, jak jej klatka piersiowa miarowo się unosi i opada. W końcu wstałam i ruszyłam na przeszpiegi.

Urszula smacznie spała, nieświadoma sytuacji, w jakiej znalazła się jej matka. Z nią też trochę posiedziałam, ale musiałam wrócić na dół i dokończyć naszą rozmowę. Wiem, że to chore, ale chciałam jeszcze z pogadać z jej mamą, zanim zakończę moje zadanie.

Minuty leciały niemiłosiernie wolno, zmieniając się w godziny. Dwa razy prawie zasnęłam, aż w końcu Brygida odzyskała świadomość.

– Czego chcesz? – spytała podniesionym głosem, gdy tylko otworzyła oczy.

– Chcę, żeby twoja córka poczuła, jak to jest zostać samą. Jak to jest stracić ostatnią tłącą się iskierkę nadziei na cokolwiek dobrego.

– Ale ja nie wiem, o co ci chodzi! – krzyknęła i usiadła na podłodze, cały czas trzymając się za głowę w miejscu, gdzie ją uderzyłam.

– A no tak, to takie typowe. Najpierw obiecujesz coś komuś, a później się wycofujesz. Tylko dla mnie to była kwestia życia i śmierci. – Podeszłam jeszcze bliżej. Czułam jej oddech na policzku. W każdej chwili mogła mnie odepchnąć, zacząć krzyczeć, ale nie. Czytałam kiedyś o tym. Niewiele osób potrafi wzywać pomoc, dlatego jednym z elementów treningu krav magi jest właśnie to. – Nadal mnie nie poznajesz? – zaśmiałam się smutno. – Szpital. Dziewczyna obok.

– Boże, to ty? – Wytrzeszczyła oczy i obiema dłońmi dotknęła swojej twarzy. – Zmieniłaś się. Minęło tyle lat... Ale nadal nie rozumiem, dlaczego...

– Bo w nocy się budzę i śnię o tym, co by było gdyby. A że postanowiłam zamknąć wszystkie niezamknięte sprawy, jestem tutaj.

– No dobrze – powiedziała, cały czas marszcząc brwi. Położyła jedną dłoń na stoliku, na którym spoczywała książka, i powoli wstała. – Tylko co ja... i Ula... mamy do tego?

– Chodźmy do niej, powiem wam obu – rzuciłam, nie odpowiadając na jej pytanie. Wstałam i ruszyłam w głąb korytarza, który odchodził od kuchni. Dom był piętrowy, wiedziałam już, że Ula ma pokój u góry. Nie było to zbyt funkcjonalne, ale pewnie nie miały innego wyjścia.

– Nie możesz teraz. Ula śpi! – krzyknęła, wyprzedzając mnie i stojąc na środku, by zablokować mi drogę.

– Trudno. Jest już dużą dziewczynką – odpowiedziałam, uśmiechając się jak nigdy. Czułam się jak mały diabełek, który robi złe rzeczy.

– Może przyjdiesz innym razem? – rzuciła, a ja poczułam się znowu jak te lata temu. Jak niechciana, odrzucona. Jak niepotrzebny przedmiot, którego można w każdej chwili się pozbyć. Za dużo przez te lata pracowałam nad swoim życiem, za dużo osiągnęłam, aby stojąca przede mną kobieta znowu to zniszczyła.

– O nie – powiedziała stanowczo. – Nigdzie się nie wybieram.

Minęłam ją pewnym krokiem i zaczęłam wchodzić po schodach. Brygida Kubiak próbowała się precyzyjnie, ale napięłam wszystkie mięśnie całego ciała. Czułam się trochę jak bohater bajki, który ma supermoce i nic nie może go pokonać.

– Błagam, nie rób jej krzywdy! – zapiszczała, gdy byliśmy już na piętrze.

Odwróciłam się. Stała przede mną zalana łzami i dukała błagalne prośby. Ruszyłam jednak dalej, a ona rzuciła się przede mnie, stając do mnie tyłem, jakby chciała swoim ciałem zatarasować mi drogę, i wtedy złapałam za rękojeść noża, który miałam cały czas w kieszeni. Wzięłam go na wszelki wypadek, ale gdy moje palce ułożyły się na nim, wiedziałam, że to jest moment, na który czekałam. Moment, który da mi spokój.

Szybkim ruchem wyciągnęłam go, wbiłam go jej w plecy i kilka razy przekręciłam ostrze.

Wszystko trwało ułamek sekundy. Z otępienia wybudził mnie głos dochodzący z pomieszczenia na końcu korytarza:

– Mamo, co się dzieje?! Mamo, wszystko w porządku? Błagam, odezwij się.

Brygida Kubiak leżała na ziemi, a wypływająca z jej pleców krew tworzyła coraz większą plamę.

Nasunęłam kominiarkę na twarz i ruszyłam do Uli. Powoli otworzyłam drzwi i ujrzałam jej przerażoną minę. Pewnie w normalnych warunkach przestraszyłabym się, ale teraz jej strach dodał mi siły.

Rozdział 57

Patrzył, jak kobieta powoli schodzi w swoich niebotycznych obcasach po schodach komisariatu, które od wielu lat kwalifikowały się do remontu ze względu na dość nierówne stopnie. Zupełnie nie zwracała uwagi na spojrzenia mijanych mężczyzn, którzy z jednej strony pożerali ją wzrokiem, a z drugiej liczyli, że nikt tego nie zauważy. Powód był niezwykle prosty. Dwudziestotrzyletnia Marika Urbaniak była córką samego komendanta, a każdy, kto go chociaż trochę znał, wiedział, że jedynaczka jest jego oczkiem w głowie.

Po warszawskich komisariatach, a szczególnie tym na Żoliborzu, krążyły historie kilku śmiałków, którzy próbowali upolować dziewczynę. Żadnemu nie wyszło to na dobre i degradacja nie była najgorszym, co ich spotykało. Jeden został zupełnie przypadkiem zwolniony ze służby za posiadanie niedozwolonych substancji, czemu długo i namiętnie zaprzeczał, aż stwierdził, że nie ma sensu, bo i tak mu nikt nie wierzy. Innym razem jeden z techników, któremu udało się umówić na randkę z dziewczyną, po trzech spotkaniach stwierdził, że to nie to, wywołując jej chwilowe załamanie, za co został ukarany oddelegowaniem do pracy w Szczecinie.

Marika Urbaniak wsiadła do swojego audi a3 zaparkowanego na miejscu dla gości i chwilę robiła coś na telefonie. Zazwyczaj wkurzało go, jak ktoś, zanim włączy się do ruchu, grzebie bezmyślnie

w aplikacjach, często już włączając kierunek, jednak tym razem było mu to na rękę.

Zdażył wsiąść do swojego samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i powoli ruszył za nią. Na wielu rzeczach znał się dobrze, ale śledzenie ludzi do nich nie należało. Na szczęście dziewczyna nie należała do szalonych kierowców, więc jadąc przepisowo, był w stanie za nią nadążyć. Zaparkowała pod świecącym na różowo neonem salonu kosmetycznego, wysiadła i zniknęła.

Po godzinie wróciła do swojego samochodu. Przejechała raptem pięćset metrów i stanęła przed sklepem spożywczym. Ponownie opuściła auto i weszła do środka. Przez przeszkloną witrynę obserwował, jak kupuje dwie butelki Aperola.

Wysiadł z samochodu i ruszył chodnikiem.

– Hej – rzuciła, widząc mężczyznę. – Co ty tu robisz?

– O, cześć – odpowiedział, udając zdziwionego. – Potrzebuję świeżych fig i nigdzie nie mogę znaleźć. Żona mnie zabije, jak nie przyniosę.

– O nie! – krzyknęła teatralnie. – Ale nie martw się, mogę cię uratować. Mam kilka w domu. Jadę do mamy, bo tata leci na jakąś kolację z ważniakami, więc robimy babski wieczór – uniosła dwie butelki – ale jak bardzo potrzebujesz, to możemy wpaść do mnie na sekundę.

– Faktycznie ratujesz mi życie! – rzucił i podszedł do niej. Nie spodziewał się, że pójdzie mu aż tak łatwo, że sama zaprosi go do siebie. – To ja może zostawię już tutaj auto, podjadę z tobą, a później wrócę sobie z buta.

– Ty jak zwykle aktywny. Szkoda, że ojciec jakoś nie może się wkręcić w siłownię czy bieganie jak ty. Zawsze zrzuca wszystko na

pracę, a później jak ma chwilę wolnego, to zamiast zadbać o siebie, idzie się nażreć – stwierdziła z widocznym na twarzy niesmakiem.

Wsiedli do jej samochodu, przejechali dwa kilometry i zaparkowali pod małym trzykondygnacyjnym blokiem, który mimo zastosowania nowoczesnych rozwiązań miał niezwykle słabą ochronę, co oczywiście mu pasowało. Wysiedli z auta i ruszyli do środkowej klatki. Dziewczyna wpisała kod i schodami weszli na pierwsze piętro.

– Dzień dobry – odezwał się do nich idący z naprzeciwka mężczyzna i ukłonił się zarówno idącej z przodu Marice Urbaniak, jak i jej gościowi.

– Dzień dobry – odpowiedziała i zwolniła kroku. – Znasz go? – spytała zdziwiona, gdy tamten zniknął za rogiem.

– Nie, pierwszy raz widzę gościa – skomentował ściszym głosem.

Stanęli przed drzwiami z metalową cyfrą 5 i dziewczyna zaczęła szukać kluczyków.

– Jak zwykle się gdzieś ukryły – rzuciła z uśmiechem na twarzy. W końcu wyciągnęła je i otworzyła zamek.

Gdy weszli do jej mieszkania, odetchnął. Szybko wsunął na ręce dwie pary rękawiczek i wszedł za nią do kuchni.

– Daj mi sekundę – powiedziała, stawiając torebkę na blacie sporych rozmiarów wyspy, która stanowiła centralne miejsce kuchni połączonej z jadalnią. Ten wielki mebel służył nie tylko jako miejsce, gdzie gospodyni gotowała, ale również jako centrum licznych spotkań towarzyskich, które często kończyły się ostrą popijawą.

Stanął po drugiej stronie blatu i patrzył na dziewczynę. Znał ją od małego. Był na jej komunii, a później obserwował, jak dorasta. Jak

z dnia na dzień staje się coraz bardziej denerwującą i niewdzięczną osobą. Jak tylko wyciąga do rodziców ręce po więcej i więcej. Jak już w podstawówce stwarzała tyle problemów, że mogłaby obdzielić nimi kilkoro rówieśników. Jak szantażem ojciec zmusił ją do pójścia na studia, a ona po dwóch latach stwierdziła, że jednak jej to nie pasuje, bo nie ma czasu na swoje sprawy.

– Mam! – krzyknęła triumfalnie i ruszyła w jego stronę. Patrzył, jak idzie z tym sztucznym uśmiechem, którym obdarowywała każdego, po czym obsmarowywała w internecie. Gdy była już w zasięgu jego ręki, szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni strzykawkę i wbił ją w jej kark, między włosy, aby w razie czego nikt nie znalazł małego wkłucia.

– Co jest? – zdążyła powiedzieć, ale już po sekundzie jej wzrok zrobił się mętny, nieobecny.

Chwycił ją jedną ręką za tył głowy, a drugą podchwycił pod żebrami, żeby nie upadła na ziemię. Nie chciał, żeby umarła w wyniku głupiego wypadku. Miał w stosunku do niej zupełnie inny plan.

Położył ją na podłodze i wyjął z torebki kluczyki do samochodu. Podeszedł do drzwi wyjściowych i delikatnie je uchylił. Nikogo nie było. Wyszedł na korytarz i z kieszeni wyciągnął pęk kluczy. Szybko odnalazł ten z czarnym plastikowym kółkiem i podeszedł do drzwi obok. Wsadził go w zamek i otworzył drzwi. Schował je z powrotem na miejsce i wrócił do mieszkania dziewczyny. Leżała bez ruchu. Wyglądała, jakby spała. Podeszedł do niej i pochylił się. Ważyła około sześćdziesięciu kilogramów, dlatego z łatwością ją podniósł, ponownie wyszedł na korytarz i wszedł z nią do mieszkania obok.

To był jego kolejny azyl poza ukrytym w domu mieszkaniem. Jednak ten był krótkoterminowy i przeznaczony tylko do jednego zada-

nia. Zabicia Mariki Urbaniak, a później wyniesienia jej w kawałkach.

Rozdział 58

ONA

W pracy wszyscy uważali go za kogoś na kształt Boga.

Dla mnie jednak był małym chłopcem, który zniszczył mi życie.

Pamiętam dobrze, jak do nich przyszedłam.

Miał może dwanaście lat, a ja około siedemnastu.

Tak bardzo potrzebowałam pomocy, a jego matka była jedyną osobą, która mogła mi ją zapewnić. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Stanęłam przed furtką i zadzwoniłam.

Po chwili w drzwiach wejściowych do budynku pojawił się on. Wtedy jeszcze miał włosy. Takie nijakie, mysio szare. Było wczesne lato, więc zbiegł na bosaka po schodach, a następnie powoli podszedł do metalowej furtki, za którą czekałam zniecierpliwiona.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – spytał, czym mnie zadziwił. Mało które dziecko mówi w ten sposób do niewiele starszej od siebie osoby.

– Dzień dobry, chciałabym porozmawiać z twoją mamą.

– Nie zastała jej pani – oznajmił niezwykle szybko i od razu się odwrócił.

Stałam jak wryta. Tyle razy dostałam negatywny odzew, ale nigdy od takiego młodego człowieka.

– A kiedy wróci? – rzuciłam do jego pleców, ale już nie odpowiedział, znikając za drzwiami.

Nie ruszałam się z miejsca dobre pięć minut, nie wiedziałam, co zrobić. Wróciłam trzy dni później. Tym razem nawet do mnie nie wyszedł, uniósł tylko zasłonę, prychnął i zniknął gdzieś w głębi. Tak bardzo chciałam z nią pogadać. Obiecała, że mi pomoże, ale ten mały gnojek nie dawał mi szans, więc postanowiłam być sprytniejsza.

Pewnego dnia przyszłam pod jej dom wczesnym rankiem i obiecałam sobie, że będę tak długo stać, aż uda mi się ją spotkać. Wiedziałam, że będę miała przechlapane w domu, ale mnie to nie martwiło. Chciałam... nie, musiałam z nią porozmawiać.

Po dwóch godzinach pojawiła się na ganku. Aż podskoczyłam z radości. Szła w moją stronę i gdy mnie ujrzała, uśmiechnęłam się. Już chciałam do niej podbiec, gdy drzwi do jej domu ponownie się otworzyły i stanął w nich jej syn. Miał dziwną minę, taką jak czasami robił mój młodszy brat, udając, że mu coś zrobiłam. Usta wygięte w podkowę, oczy lekko zaszklone, bo chwilę wcześniej wsadził sobie w nie palec.

Podbiegł do kobiety i krzyknął poważnym głosem:

– Mamo, ta pani mnie straszy!

– Synu, co ty gadasz? To moja pacjentka.

– Ona chodzi za mną i mówi, że robi mi to, co robiła ciocia – powiedział w dziwny sposób i objął się ramionami.

– Ale ja... – W pierwszym momencie mnie zatkało. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć – Ja nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Idź już! – Wyciągnął w moją stronę chudy palec. – Powiem wszystko tacie.

– Ale co? O co chodzi?! – chciałam wykrzyknąć, ale każde ze słów grzęzło mi gdzieś w gardle. Stałam w końcu przed kobietą, na którą tak liczyłam, i jedyne, czego chciałam w tym momencie, to zniknąć lub zapaść się pod ziemię. Sytuacja była co najmniej dziwna.

– Proszę już iść i nie przychodzić więcej.

Kobieta, wyraźnie zdziwiona obrotem akcji, zostawiła mnie przed swoim domem, obdartą z nadziei i po raz w kolejny w życiu upokorzoną.

Wtedy obiecałam sobie, że odpłacę mu, i to z nawiązką, ale nigdy nie sądziłam, że po latach, podczas których całe to wydarzenie śniło mi się wielokrotnie po nocach, on sam mi się nawinie.

Od trzech lat mijam go na korytarzu. Zawsze uprzejmy i pełen jakiegoś dostojństwa. Wszyscy się zachwycają.

– Jaki on szarmancki!

– Jaki przystojny!

– Profesjonalista pełną gębą, a do tego rodzinny i z wartościami.

Gdy zorientowałam się, że to on, nie mogłam uwierzyć. Nie poznałam go od razu, bo zmienił się przez te dwadzieścia kilka lat. Wyprzystojniał, a jego umięśnione ciało powoduje, że kobiety oglądają się za nim. Na głowie nie ma ani jednego włosa i mimo że nigdy nie podobali mi się tacy łysi jak kolano, on ma w sobie coś przyciągającego.

Zaczęłam go obserwować. Po tylu latach pielęgnowania nienawiści nie chcę robić czegoś prostego. Otrucie, potrącenie skradzionym samochodem to oklepane motywy. To musi być wyrafinowane. Może nie skomplikowane, ale takie inne.

Śledzenie go sprawia mi wielką przyjemność. Praca, siłownia, dom. Taki porządny obywatel, jakiego większość chciałaby mieć za sąsiada. Ale ja wiem, że drzemie w nim jakieś zło. Wiem, że sama nie jestem aniołkiem, ale on sprawia, że mam gęsią skórę.

Przez dwa miesiące wszystko zdawało się bez zarzutu. Człowiek roku, pan idealny, pracownik dekady, o ile nie ćwierćwiecza, aż w końcu odwiedził miejsce mi znane.

Miejsce, dzięki któremu mogłam lepiej poznawać ludzi. Miejsce, gdzie ludzie nie trafiają przypadkowo.

Sklep detektywistyczny.

Oczywiście nie wiem, co kupił. Nadrzędną cechą i zasadą tego miejsca jest dbanie o prywatność. Klienci obsługiwani są indywidualnie, tak aby nikt nie widział, co inny kupił. Nie można tam dostać niczego nielegalnego, ale odpowiednie wykorzystywanie ich oferty dawało niesamowitą władzę nad drugim człowiekiem.

Od tego momentu śledziłam go jeszcze częściej. W pracy z daleka obserwowałam go, jak je obiad w stołówce czy uczestniczy w spotkaniach, na które ja raczej nie jestem zapraszana. Generalnie mnie to cieszy, ale wtedy wyjątkowo chciałam być ich częścią. Chciałam z bliska zobaczyć, a może usłyszeć, jak się odzywa, jak wspomaga zespół. A tak tylko obserwowałam go z daleka, stojąc za szybą.

Zaskoczyło mnie niesamowicie to, że jesteśmy do siebie niezwykle podobni. Profesjonalni w tym, co robimy.

Nie lubimy zbyt wielu ludzi. Fakt faktem, on znosi ich obecność trochę lepiej, ale też nie jest wylewny, a do większości zwraca się chłodno. Półsłówkami.

Ja przez swoją umiejętność odgradzania się od innych rzadko jestem zaczepiana. Może to dlatego, że moja praca nie jest widoczna.

Z reguły inni widzą jej efekty na papierze, nie zastanawiając się, kto za tym stoi, kto się pod tym podpisał.

Ale ja się cieszę. Kocham miejsce, gdzie pracuję. Te przygaszone lampy, półmrok i skupienie. Nikt sobie nie przeszkadza, każdy oddaje kawałek siebie, aby wykonać powierzone mu zadanie jak najlepiej, wiedząc, jaki ciężar za sobą niesie, bo często zależy od tego ludzkie życie.

Ktoś kiedyś powiedział, że cierpliwość jest cnotą, którą można wyćwiczyć. Jeżeli tak, to ja wyćwiczyłam ją do perfekcji. Miesiąc nocnego siedzenia w samochodzie pod jego domem w końcu dał efekt. Widzę, jak w nocy się krząta, chodzi po domu i sprawdza wszystkie drzwi. Jestem daleko, ale dzięki mojej ukochanej lornetce, której podobno używają w służbach specjalnych, dostrzeżenie główki od szpilki z dwustu metrów nie jest wyzwaniem.

Nie wiem, co on kombinuje, ale zamierzam się dowiedzieć i nie planuje mu odpuścić. Za długo na to czekałam. Tym razem to ja będę górą.

Rozdział 59

– Bogucki, wstawaj. Za dziesięć minut mamy być na komisariacie! – wrzasnął Jaworski i ściągnął z kolegi kołdrę. Zegar pokazywał drugą trzydzieści siedem. Za oknem było jeszcze ciemno, ale nie miało to znaczenia. Musieli działać szybko, bo telefon w nocy oznaczał jedno. Stało się coś złego.

– Jezu, co jest? – wymamrotał w końcu Bogucki i usiadł na łóżku, mrużąc oczy.

– Obrębski wydzwaniał. Podobno jest jakiś Meksyk na mieście. Nic nie tłumaczył, kazał tylko szybko przyjechać.

Trzy minuty później z nadal odciśniętymi na twarzach poduszkami zbiegali po schodach, zupełnie ignorując fakt, że większość sąsiadów może jeszcze spać. Zgodnie z obietnicą przed blokiem czekał już radiowóz.

– Zapraszam – rzucił młodszy aspirant Michał Jędrzejczyk, gdy tylko stanęli obok pojazdu.

– Cześć – odpowiedział jako pierwszy Bogucki i otworzył przednie drzwi. – Dawno cię nie widziałem.

– Siema – wtrącił Jaworski i wgramolił się na tylną kanapę samochodu.

– Wy teraz to już z takimi jak ja to pewnie nie rozmawiacie – skomentował młody policjant z patrolu. – U mnie po staremu. Latam za

pijakami, spisuję młodzież za graffiti, a ostatnio pomagałem szukać trzymiesięcznej dziewczynki, którą, jak się okazało, napruta mama zostawiła w sklepie spożywczym.

– O, nieźle – skomentował Jaworski, zamykając drzwi auta, które już powoli wytaczało się z uśpionego osiedla.

– Nie wiem, czy tak nieźle. Was przenieśli, co chwilę kogoś nie ma, jest ostry zapierdziel. – Jędrzejczyk włączył syrenę i mocno przyspieszył.

– A wiesz, co się stało tam, gdzie jedziemy? – spytał Bartosz Bogucki i chwycił zamieszczoną na podsufitce rączkę.

– Niestety nie. Jest jakiś ogromny popłoch. Zwożą na komisariat każdego, kogo się da, i zaraz ma ruszyć jakaś narada. Słyszałem tego waszego Obrębskiego. Darł się jeszcze głośniej niż ostatnio. Facet wygląda jak zombie. Błady. Włosy mu posiwiały, a na dodatek dzisiaj przyszedł w podartej bluzie.

– To faktycznie z nim źle – stwierdził Jaworski, mocno przechylając się w lewą stronę. Kolega wziął sobie do serca rozkaz przywiezienia ich jak najszybciej i w zakręty wchodził niczym zawodowy kierowca.

Gdy podjechali pod znany sobie budynek, to, co ujrzeli, stanowiło novum. Stało przed nim kilkanaście dużych radiowozów na sygnale, a parking, który zazwyczaj był w stanie pomieścić samochody odwiedzających go interesantów i pracowników, był wypchany po brzegi, mimo że tych pierwszych raczej nie było zbyt wielu.

Policjanci pożegnali się z kolegą, dziękując mu za podwózkę, i szybko wyskoczyli z auta, czując, że dzieje się coś wyjątkowego.

Nie zdążyli wejść do budynku, gdy wpadli na Maksymiliana Obrębskiego.

- Jedziecie ze mną i módlcie się, żeby to był kolejny żart, bo jak nie, to teraz rozpęta się niezła zadyma – rzucił i w biegu dopadł do stojącego przed budynkiem radiowozu. Tym razem oszczędził sobie jazdy swoim samochodem, co znaczyło, że jest źle. A nawet bardzo.

Podobno wcześniej zdarzyło się to tylko raz, gdy jechał na miejsce zbrodni, które każdy, kto je odwiedził, chciał jak najszybciej zapomnieć. Początkowo nic nie zapowiadało tragedii. Patrol pojechał do awantury domowej. Sąsiedzi słyszeli zza ściany krzyki. Już nieraz u mieszkającego za ścianą młodego małżeństwa dochodziło do głośnej wymiany zdań, ale tym razem towarzyszyły temu hałasy przypominające przewracanie mebli, a nawet tłuczenie naczyń.

Gdy przyjechali funkcjonariusze, mieszkanie otworzył mężczyzna. Miał na sobie czarne długie spodnie i do tego zapiętą pod szyję bluzę. Temperatura na zewnątrz wahała się w granicach dwudziestu pięciu, dwudziestu siedmiu stopni, dlatego jego strój od razu wydał się policjantom podejrzany. Na pytanie o to, czy jest sam, odpowiedział, że tak. Żona dwie godziny wcześniej rzekomo wyszła na spacer z dwójką dzieci. Mundurowi od razu wyczuli, że coś jest nie tak. Nic się nie zgadzało. Wózek stał na dole klatki, o czym wiedzieli z rozmowy z sąsiadką. Niewiele myśląc, jeden z policjantów poprosił o możliwość zajrzenia do środka, aby uspokoić sąsiadów, i w tym momencie stało się coś rodem z filmów akcji. Z rękawa mężczyzny wysunął się długi nóż. To trwało ułamek sekundy. Stojący najbliżej niego podkomisarz, policjant z dwudziestoletnim doświadczeniem, nie zdążył zareagować. Nóż wszedł w klatkę piersiową po lewej stronie. Momentalnie doszło do zatrzymania akcji serca, które w wyniku ciosu zostało uszkodzone.

Na miejsce szybko dotarła karetka, a także grupa wsparcia. Sprawca zabarykadował się w mieszkaniu i nie chciał z nikim rozmawiać. Poza Obrębskim. Do samego końca on sam nie wiedział, dlaczego został wytypowany. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążył pojechać swoim autem. Niemal siłą wepchnięto go do radiowozu, który pognał na miejsce zdarzenia niczym samochód Formuły 1. Gdy tylko drzwi do mieszkania otworzyły się, zagadka się rozwiązała:

– Błażej? – spytał z przerażeniem policjant i na miękkich nogach wszedł do środka.

Błażej Kowalik był młodszym bratem jego przyjaciela, jakiś czas wcześniej wrócił po latach z Wielkiej Brytanii. Wszystkim dookoła mówił, że stęsknił się za ojczyzną, ale prawda była zupełnie inna. Po bił się z kolegą z pracy i bojąc się konsekwencji, uciekł, zabierając całą rodzinę.

Błażej od zawsze próbował się z nim skumplować, ale jako że był młodszy, za każdym razem spuszczali go na drzewo. Wtedy, po latach, patrzył jednak na tego chudego dwudziestoosmiolatka i bał się wejść dalej. W małym przedpokoju wisiało kilka kurtek. Dwie małe, dziecięce, jedna damska i jedna męska. Po podłodze walały się buty, jakby ktoś w jakimś szale rzucał nimi po całym pomieszczeniu. Namierzenie dwóch pasujących do siebie stanowiło nie lada wyzwanie.

Szybko zauważył też krew na skarpetce, walające się szkło i rozerwaną lalkę, której głowa leżała w kącie. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i uciekł. Czuł całym sobą, że nic dobrego w środku nie zobaczy. Jednak musiał zostać. Na tym polegała jego praca. Zrobił krok do środka i natychmiast poczuł ten charakterystyczny zapach, który trudno pomylić z czymkolwiek innym. Już chciał zrobić kolejny krok

do przodu i wejść do pokoju, który mógł być salonem lub jadalnią, gdy kolega go wyprzedził i zamknął przed nim drzwi.

– Nie możesz tam wejść – rzucił, sapiąc.

– Chciałbym zobaczyć się z Agatą i dziećmi. Poza tym muszę zawieźć cię na komisariat. Zostaniesz zatrzymany za atak na policjanta. – Obrębski każde słowo wypowiadał niezwykle spokojnie i z opanowaniem. Nie mógł doprowadzić do kolejnego ataku, bo tym razem sam mógłby zostać jego ofiarą.

– Ja nie chciałem! – krzyknął.

Kowalik zrobił krok do tyłu, zupełnie zapominając o rozsianych na podłodze pułapkach. Momentalnie poleciał do tyłu, z impetem waląc swoim kościstym ciałem o podłogę. To była ta chwila, na którą czekał policjant. Doskoczył do mężczyzny i sprawnym ruchem zakuł go w kajdanki. Po minucie dwóch zabezpieczających mieszkanie od strony klatki schodowej funkcjonariuszy wyprowadzało agresora.

Obrębski w asyście dwóch kolejnych policjantów otworzył drzwi do pokoju, którego tak bronił brat kolegi, i zamarł. Od lat wiedział, że kiedyś stanie twarzą w twarz ze zbrodnią, która zagości w jego umyśle na zawsze – i na jego nieszczęście to właśnie była ona.

Dwie małe dziewczynki leżały na podłodze. Z ich pociętych nożem brzuchów wyciekały wnętrzności. Dwa metry od młodszej z nich leżała na brzuchu ich matka. Nie ruszała się. Jeden z policjantów doskoczył do niej i przyłożył dwa palce do szyi, licząc, że wyłącznie tłące się w niej życie.

Po chwili pokręcił smutno głową. Ona również nie żyła.

Jak się później okazało, chłopak został zwolniony z kolejnej pracy. Wrócił do domu i w ramach odreagowania zażył kupione tydzień wcześniej pastylki, miks psychotropów o nieznanym skutkach

ubocznych. W jego przypadku sprowadziły wizje, potwory, z którymi musiał walczyć. Tak naprawdę były to jego córki oraz żona, która próbowała je ratować, poświęcając swoje życie, a na końcu Boga ducha winny policjant.

Teraz drugi raz w swojej karierze, jadąc radiowozem, Obrębski bał się tego, co zastanie.

Od godzin późnowieczornych cały komisariat postawiono na nogi. Córka komendanta zniknęła, nie dotarła na umówione spotkanie z matką. Jej ukochany samochód znaleziono w lesie z przebitymi oponami i krwawymi śladami na przednim siedzeniu. Przybyły natychmiast na miejsce Mirosław Zawada stwierdził, że na podstawie jej ilości nie jest w stanie stwierdzić, czy cięcie było śmiertelne oraz skąd pochodzi.

Niestety nie udało się zabezpieczyć jakichkolwiek śladów sprawcy.

To, co wiedzieli na pewno, to to, że o siedemnastej trzydzieści wyszła z zakładu kosmetycznego dwa kilometry od domu. Po drodze zajęła do sklepu i kupiła alkohol na babski wieczór z mamą, co zostało uwiecznione na wyciągu bankowym, który od razu dostarczył komendant. Ojca miało nie być w domu. Szedł na jakąś ważną kolację z kilkoma urzędnikami z ratusza.

Gdy zbliżała się dziewiętnasta, matka zaczęła wydzwaniać do dziewczyny, jednak ta ani razu nie odebrała. Po trzydziestu minutach zdenerwowana zadzwoniła do męża. Początkowo mężczyzna ją zbywał, tłumacząc, że pewnie się z kimś zagadała i zaraz wpadnie do domu, przeprasząc. Mimo to w tym czasie on też próbował się z nią skontaktować – również bezskutecznie. Minuty mijały, a on sam zaczął się nakręcać. Od zawsze mieli umowę, że Marika, gdy

tylko widzi, że ktoś do niej dzwoni, oddzwania natychmiast, a teraz milczała.

Chwilę później zrobił coś, co uważał za ostateczność. Włączył program namierzający samochód córki. Już dawno temu zamontował średnio wyrafinowany sprzęt, właśnie na taką okoliczność. Gdy zobaczył, gdzie jest jej samochód, bez słowa wyjaśnienia opuścił restaurację na warszawskim Mokotowie i pierwszej złapanej taksówce kazał się zawieźć we wskazane miejsce, jednocześnie dzwoniąc do swojego podwładnego, by wysłano tam co najmniej dwa wozy. Tym sposobem upewnili się, że córce komendanta coś się stało, tylko nikt nie wiedział co.

Gdy o drugiej dwadzieścia trzy dyspozytor odebrał zgłoszenie o znalezieniu w paczce ludzkiej dłoni, szybko skierował tam policjantów, w tym Obrębskiego.

– Dokąd jedziemy? – wydusił Jaworski, czując podchodzące mu do gardła piwo, które wypił kilka godzin temu. Od kiedy wstał, drugi raz jechał radiowozem z policjantem, który nic sobie nie robił z przepisów drogowych i pokonywał zakręty jak w filmach akcji.

– Na Dworzec Centralny, a dokładniej pod paczkomat.

Po pięciu minutach z piskiem opon stanęli przed wielkim budynkiem, spod którego co kilka chwil odjeżdżały pociągi dalekobieżne. Wybiegli bez słowa pożegnania i ruszyli w stronę kłębowiska ludzi na rogu od strony Emilii Plater.

– Cześć – rzucił na przywitanie starszy mężczyzna ubrany po cywilnemu. Gdyby nie przewieszona przez szyję blacha, nic nie wskazywałoby na to, że to policjant. – W radiowozie siedzi roztrzęsiony facet. – Ruchem głowy wskazał na zaparkowany pięćdziesiąt metrów

od nich samochód. – Pół godziny temu przyszedł odebrać paczkę i znalazł rękę.

– Problemy ze snem? – spytał Obrębski.

– Nie. Planował niespodziankę dla narzeczonej i dopiero teraz mógł odebrać przesyłkę. Czekał na jakąś wymarzoną bransoletkę, a przyszła...

– Ręka – skończył za niego policjant.

– Czy mamy pewność, że to ręka Mariki Urbaniak?

– Na szybko zostało to potwierdzone – westchnął, czując ciężar wypowiedzianych słów.

– O ja pierdołę... – rzucił Bogucki, a Jaworski pokręcił tylko głową.

– Chłopaki, chodźcie. Słuchacie, nie odzywacie się ani słowem – rzucił Obrębski, gdy stanęli w odległości pięciu metrów od radiowozu. – Muszę z panem pogadać – powiedział do siedzącego w środku mężczyzny. Ten podniósł przerażony wzrok i przenosząc go z jednego policjanta na drugiego, powoli wysiadł z samochodu, jakby był co najmniej ranny. – O której dokładnie wyjął pan paczkę?

– Mówiłem już – wydukał drążącym głosem czterdziestoletni Marcin Wilkowski. Na co dzień większość uważała go za twardego. Zajmował się weryfikacją zgłoszeń do ubezpieczalni, w czym był bezwzględny jak mało kto, wywołując niekończące się zachwyty ze strony przełożonych. – Była druga dwadzieścia – powiedział i wyciągnął w stronę policjantów aplikację z żółtym logo, na której widniała dokładna godzina odbioru paczki.

– Czy z paczką wszystko było okej? – dopytywał dalej komisarz.

– Chyba tak, chociaż nie zwróciłem na to zbyt uwagi. To, co mnie zszokowało, to jej waga i rozmiar. Zamówiłem bransoletkę

i pudełko powinno być mniej więcej takie. – Ułożył dwie dłonie, próbując zobrazować wielkość. – A to ważyło kilogram, a może i więcej, i było spore.

– Dlaczego pan otworzył ją tutaj?

– Zwyczajna ludzka ciekawość, chciałem sprawdzić, czy nie walnęli się z zamówieniem. Jutro moja Hania ma urodziny i wolałem nie wyjść na buraka, co prezentu nie potrafi ogarnąć. Boże, co ja teraz jej powiem...? – powiedział sam do siebie łamiącym się głosem.

– Chyba zrozumie – prychnął Obrębski. – Co pan zrobił z dłonią, jak już otworzył pan paczkę?

– Położyłem na ziemi, zadzwoniłem na dziewięć dziewięć siedem i czekałem.

– Dotykał jej pan?

– Raczej nie, mam taką nadzieję, ale nie wiem. Nie pamiętam. To wszystko jest jakieś nierealne.

– Oby. Dziękuję – powiedział policjant i odwrócił się do mężczyzny plecami. Przeszedł kilka metrów i zwrócił się ku idącym krok w krok za nim funkcjonariuszom: – Nic więcej z niego nie wyciągniemy. Za chwilę powinien być tutaj kurier. Na centrali powiedzieli, że jeździ w okolicy i...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie od strony ronda Dmowskiego nadjechał biały dostawczak z oklejonym bokiem. Zatrzymał się trzydzieści metrów od nich, lekko najeżdżając na chodnik, tak aby samochody podjeżdżające pod dworzec miały możliwość minięcia go.

– Dzwonili panowie po mnie? – rzucił, gdy w końcu stanął przed Obrębskim i dwoma pomagającymi mu funkcjonariuszami.

– Tak. Pan tutaj wrzucał paczki dzisiaj w nocy?

– Si – odpowiedział młody chłopak, cały czas rozglądając się dookoła. Kilkunastu policjantów zabezpieczających ślady w okolicy automatu z paczkami nie wróżyło niczego dobrego.

– Czy coś wyjątkowego się dzisiaj wydarzyło? – spytał Obrębski.

– Miałem dwie bardzo ciężkie paczki, oczywiście do górnych przegród. Jedna babka nawrzeszczała na mnie, że przeszkadzam jej w odebraniu paczki, bo co chwilę otwierałem przegródki i wkładałem kolejne paczki, a ona w każdą mi zaglądała w poszukiwaniu swojej, bo nie chciało jej się wpisać kodu odbioru. No i złapałem gumę. Ale to od razu po wyjeździe z bazy, jakieś sześć godzin temu – skończył swój monolog młody chłopak i zapiął kurtkę.

Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo. W końcu mieli jakiś trop. Prawdopodobnie to właśnie wtedy doszło do podmiany paczki, bo raczej mało prawdopodobne, żeby to sprzedawca biżuterii wysłał dłoń. Poza tym nie zgadzałby się czas. Dziewczyny nie było raptem od ośmiu godzin, a paczka z bransoletką trafiła do systemu dużo wcześniej.

– Co dokładnie się stało?

– No... złapałem gumę. Wymieniłem oponę i pojechałem dalej rozwozić paczki. – Wzruszył ramionami, jakby nie zrobił nic specjalnego.

– Gdzie to się stało?

– Na Kolejowej. Już tam trochę wyremontowali, ale cały czas nie czuję się komfortowo, gdy tamtędy jeżdżę.

– I wymienił pan oponę sam?

– Hmm... No, dałbym radę sam, ale zatrzymał się jakiś gość – powiedział zawstydzony. – Zaproponował pomoc. Spieszyłem się, więc się zgodziłem. Potrafię wszystko zrobić przy samochodzie, więc nie

potrzebowałem wsparcia, ale jak ktoś oferuje pomocną dłoń, to się jej nie odrzuca.

– Jasne – skomentował Bogucki i od razu został spiorunowany wzrokiem przez Obrębskiego.

– Jak ten człowiek wyglądał? – spytał komisarz.

– No, normalnie. Ciemna kurtka, spodnie, bluza z kapturem i czapeczka.

– A twarz? Coś charakterystycznego?

– Nie pamiętam. Było ciemno. Poza tym się spieszyłem.

– W czym dokładnie pomagał?

– Zajął się wyciąganiem koła zapasowego, które...

– Jest w środku, tam gdzie paczki – skończył za niego Obrębski. – Sprytnie. Dotykał czegoś?

– No tak, ale...

– Miał rękawiczki – ponownie dokończył za chłopaka zdanie, a on pokiwał głową, potwierdzając. – A jakim samochodem podjechał?

– Nie wiem. Zupełnie nie zwróciłem uwagi. Spieszyłem się. Zawsze mam tyle paczek do rozwiezienia, że ledwo wyrabiam, a każdy nieplanowany postój powoduje niedoczas, więc się nie rozglądałem. Zauważyłem go, dopiero jak stał obok auta, a ja mocowałem się z kołem. Powiedział, że on wyjmie zapas, a ja mam zająć się tym zepsutym. Po chwili wyszedł z dojazdówką. Nie ukrywam, że dzięki niemu wszystko poszło dużo sprawniej.

– Zauważył pan, co było przyczyną problemu? Czemu opona poszła?

– Tak, wielki gwóźdź. Musiałem go wczoraj lub dzisiaj złapać. Wczoraj jechałem przez las, więc może tam. – Wzruszył ramionami. – A tak w ogóle to o co to całe zamieszanie? Ja muszę już wracać, bo nie zdążę.

– Niestety to niemożliwe – powiedział Obrębski i zawołał jednego z policjantów. – Maciek, spisz od pana wszystkie dane, a także trasy rozwożenia paczek z ostatnich pięciu dni.

– O kuźwa, to się narobiło... – sapnął mężczyzna. – Co do tras, to nie będzie problemu, bo wszystko mam w aplikacji, łącznie z prędkościami i czasem postoju.

– Ekstra, będzie łatwiej. Musimy znać dokładny przejazd z dzisiaj, aby móc prześledzić kamery na trasie.

Obrębski wraz ze swoimi pomagierami ruszył do stojącego nieopodal patologa, który zawisł z aparatem nad znaleziskiem. Każdy wiedział, że nie lubi, jak się mu przeszkadza, ale tego dnia komisarz nie miał wyjścia.

– Żyje? – zaczął, nie owijając w bawełnę.

– Ja nie wróżka. Poza tym nie mam z czego jak na razie przepowiadać – rzucił, nie podnosząc wzroku na stojących nad nim mężczyzn.

– A tak na serio? Jest szansa, że jeszcze dycha?

– Szansa zawsze jest, ale maleje z każdą sekundą zawracania mi głowy i odciągania od tematu – odpowiedział, a trzech mężczyzn odsunęli się.

W tym samym momencie z piskiem opon pod budynek Dworca Centralnego zajechało czarne bmw serii 8. Wszyscy dobrze wiedzieli, kto nim jeździ, i obawiali się chwili, kiedy się pojawi.

Wyskoczył z niego z niego wysoki mężczyzna z dużymi zakolami i odstającymi uszami. Ubrany w czarny sweter, spod którego wystawała koszula, wyglądał bardziej na finansistę niż na komendanta policji.

Obrębski już chciał się odezwać do mężczyzny, który szybkim krokiem zmierzał w jego kierunku, jednak nie zdążył, bo ten, ignorując go, przeszedł obok i stanął przed patologiem.

– To ona? – spytał bez słowa wprowadzenia.

Wszyscy dookoła obrócili się w stronę tych dwóch mężczyzn, którzy byli swojego rodzaju gwiazdami w warszawskiej policji. Mirosław Zawada z powodu swojego profesjonalizmu, który bił od niego na każdym etapie pracy. Ten drugi za umiejętność nadzorowania pracy setek policjantów, odsiewania tych nienadających się i doceniania tych lepszych, a przede wszystkim ściągania w ich szeregi coraz to nowych specjalistów, o których niektórzy wcześniej nigdy nie słyszeli.

Teraz jednak nikogo to nie obchodziło. Na wyciągnięcie ręki mieli ludzki dramat, w przenośni i dosłownie. Spoczywająca na zabezpieczającej macie dłoń wyróżniała się na tle czarnego materiału. Patolog powoli odłożył aparat, jakby miał do czynienia z czymś niezwykle kruchym i wrażliwym, wyprostował się i zrobił krok w stronę komendanta, a bardziej przyjaciela. Tylko niektórzy wiedzieli, że od piętnastu lat spotykali się raz w miesiącu, maksymalnie co dwa. Znali swoje rodziny, wspólnie świętowali urodziny, chrzciny czy komunie. Dlatego mimo swoich żelaznych zasad przerwał pracę i podszedł do komendanta.

– Marika kiedyś przecięła sobie palec wskazujący lewej ręki. Pamiętam, jak mocno jej krwawił. Dopiero akutol, który miałem w sa-

mochodzie, dał radę. Na tej dłoni w dokładnie tym samym miejscu jest blizna – powiedział spokojnym głosem, a wszyscy zebrani poczuli na swoich barkach ciężar tych słów, jakby dotyczyły kogoś im bliskiego.

– To niemożliwe – szepnął komendant. – To po prostu nie może być prawda. Kto normalny nastawałby na moją rodzinę? Każdy wie, że przetrząsnę każdą dziurę, zajrzę pod każdy kamień, dopóki nie znajdę tego skurwiela – mówił coraz głośniejszym głosem. – Masz ustalić, czym odcięto dłoń. Jeżeli będziesz potrzebował zespołu nawet i stu czy dwustu policjantów, zorganizuję to. Masz dowiedzieć się, i to natychmiast, jak to się stało, że ręka znalazła się tutaj, i wszystkiego, co pozwoli ustalić, gdzie jest moja Marika i ten pojeb, co zrobił jej krzywdę.

Rozdział 60

Człowiek bez ręki i stopy może żyć, pod warunkiem że rany zostaną szybko zabezpieczone, a co za tym idzie, sącząca się z przeciętych żył krew przestanie tryskać.

Niestety Marika Urbaniak nie miała tyle szczęścia.

Przywiązana do drewnianego krzesła, żeby się nie osunęła, chwilę po odcięciu dłoni straciła przytomność. Mama zawsze się z niej śmiała, że nie przeżyje porodu własnego dziecka, bo dostanie podczas niego zawału, a jak nie, to co najmniej zemdleje. Teraz ta dziwna reakcja na krew oszczędziła jej widoku odcinania stopy. Mała podręczna piła przechodziła przez jej mięśnie, ścięgna i kości, jakby to było masło.

– No, i w końcu wyglądasz jak człowiek. – Stał zadowolony z siebie w odległości dwóch metrów.

Wypielęgnowana stopa dziewczyny leżała na czarnej folii, którą wielokrotnie pokrył podłogę. Nie był u siebie, więc musiał jeszcze lepiej zabezpieczyć każdy element wynajmowanego mieszkania.

Gdy zobaczył ogłoszenie, w którym właściciel prezentował walory niewielkiej kawalerki w bloku, gdzie mieszkała córka komendanta, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Rzadko reagował na coś euforycznie, ale czekał na ten moment od dawna. To była ta przysłowiowa wisienka na torcie. Już jakiś czas temu wymyślił sobie, że

jakże niesamowite i podniecające byłoby porwanie jej, a później więzienie, a wszystko działałoby się kilka metrów od kłębiącego się tłumu policjantów.

Gdy zadzwonił pod numer z ogłoszenia i miły starszy mężczyzna powiedział, które to dokładnie mieszkanie, czuł się tak, jakby wygrał fortunę w totka. Na poczekaniu wymyślił historyjkę, że chce zrobić synowi niespodziankę i wynająć dla niego mieszkanie, jednak ten aktualnie przebywa za granicą, a on nie chce, żeby okazja przepadła, więc chciałby wszystko załatwić mailowo i przez telefon. Starszy pan mocno się wzbraniał, ale gdy na jego konto wpłynął przelew za trzy miesiące wynajmu z góry plus kaucja, dał się namówić na odbiór kluczyków przez kuriera.

Ułożył na folii na podłodze stopę, na której lakier na paznokciach już trochę odrósł, obok dłoni i wyjął z kieszeni telefon. Włączył aparat i przykląkł. Zrobił kilka fotek i włożył swoje dzieła do dwóch osobnych worków, a te następnie do torby sportowej.

Podszedł do stojącego na blacie laptopa, który kupił specjalnie na tę akcję, i uruchomił podgląd z kilku kamer, które bez czyjejkolwiek zgody zamontował na klatce schodowej. Musiał mieć stuprocentową pewność, że policja nie pojawi się zbyt wcześnie, a jeszcze bardziej, że nie wpadnie na nich już na tym etapie.

Rozdział 61

ONA

Nigdy w życiu nie dostałam od rodziców prezentu na Dzień Dziecka. Nigdy nikt w domu nie złożył mi życzeń z okazji tego święta, mimo że mój brat i siostra otrzymywali upominki. Nic wielkiego, mała paczka Lego, lalka czy coś słodkiego. Ale dla mnie te niewielkie podarunki urastały do rangi najważniejszych w życiu. Dlatego gdy koleżanka dała mi ulotkę o imprezie z okazji Dnia Dziecka, aż klasnęłam z radości w dłonie, jakbym sama miała kilka lat.

Dzień jest piękny. Prawie dwadzieścia stopni, słońce, które raz na jakiś czas wychodzi zza chmur. Na co dzień unikam takich miejsc. Za głośno, za dużo osób, za dużo interakcji między ludźmi, dlatego cieszyłam się, że teren, na którym zorganizowano imprezę, jest spory. W jednym kącie ustawiono zjeżdżalnię dla dzieci, w innym wynajęta pani robi wielkie balony, a jej kolega maluje dzieciakom twarze, ale mnie przyciąga sekcja z gramami. Z rozpiski wiem, że można tam pograć w planszówki, karcianki czy gry z okularami VR.

Od kiedy wyprowadziłam się z domu, śmiało mogę powiedzieć, że uzależniłam się od gry w Scrabble. W sieci rzadko znajduję sobie

równych, podobno to za sprawą miliona książek, które pochłaniałam w każdej wolnej chwili.

Gdy widzę plakat z nazwą mojej ukochanej gry, aż podskakuję, ale gdy podchodzę bliżej, staję jak wryta. Przy planszy siedzi on i gra sam ze sobą. Wykłada kafelki, spisuje punkty na przygotowanych przez organizatorów kartkach i zupełnie nie przejmuje się faktem, że to raczej gra dla dwóch lub więcej graczy.

Powoli podchodzę, zupełnie nie wiedząc, co zrobić. Chcę w końcu poznać go osobiście. Wiem o nim tyle, co mało kto. Znam jego tajemnice, i to takie, których raczej nie chciałby nikomu ujawniać, i bardzo mnie to cieszy.

Gdy po miesiącu obserwacji podążałam za nim, a on szedł za kimś innym, czułam się jak w filmie z Bondem, brakowało tylko elegancko ubranych pań, przystojnych panów i efektownych wybuchów, ale i tak miałam poczucie, że dzieje się coś wyjątkowego.

Gdy odkryłam, kogo on obserwuje, zdębiałam. Kojarzyłam ją z kolorowych pism, których raczej unikałam, ale kilka razy, siedząc w kolejce u lekarza, podniosłam i zajrzałam do środka. Monika Wieczorek olśniewała urodą i była kimś, kim wiedziałam, że nigdy nie będę i chyba bym nie chciała, ale patrzenie na nią stanowiło ciekawą odskocznię.

Ale to, co działo się później, przeszło moje wszelkie wyobrażenia i długo zastanawiałam się, co z tym zrobić. Mimo swoich kilku dość, delikatnie mówiąc, nieprzyzwoitych zachowań, za które sobą wręcz gardzę, uważam się za uczciwą i etyczną, dlatego tak bardzo chciała-bym wykrzyczeć innym, do czego pan idealny jest zdolny. Co robi, jak nikt nie patrzy, a później z poważną miną, jakby nigdy nic, stawia się w pracy i udaje kogoś innego.

„Teraz zagram”, myślę i starając się jak najmniej utykać, ruszam w stronę stanowiska. Staję dwa metry od kwadratowego drewnianego stolika i rzucam:

– Można? – Ruchem głowy wskazuję na planszę.

Podnosi wzrok i mierzy mnie od stóp do głów.

– Tak, oczywiście. Z tego, co wiem, każdy może grać.

Szybko zgarnia wszystkie literki z planszy, wrzuca do woreczka, miesza i podaje mnie. Wyciągam jedną literkę i kładę na planszy. „D”, on wyciąga „K”.

– Pani zaczyna. Jak mam wpisać?

– Barbara Wierzbicka – podaję moje oficjalne dane i sięgam po woreczek.

Szybko wyciągam siedem kafelków i układam na dołączonej do gry podstawce. Uwielbiam ten moment gry. Nigdy nie wiesz, na co trafisz. Czasami dostajesz literki, z których możesz ułożyć kilkanaście wyrazów, i twoim zadaniem jest znalezienie dla nich najlepszego miejsca na planszy, a czasami sekundy płyną, a z literek nie da się nic wycisnąć poza żenującymi dwu- albo trzyliterówkami. Tym razem los się do mnie uśmiecha i już po trzech sekundach wiem. Szybko wykładam wyraz na planszę, gdy mój przeciwnik ledwo co kończy układać swój zestaw liter przed sobą.

– „Miłość” – mówię dumnie. – Czterdzieści osiem.

– No, nieźle pani zaczyna – rzuca i zapisuje na kartce liczbę zdobytych przeze mnie punktów.

– Pan już wie, jak się nazywam, a ja nie – zagajam jak nie ja, ale jego obecność mnie prowokuje.

– Mirosław Zawada. Przepraszam, chyba przez zmęczenie pracą i to słońce, wyparowały moje dobre maniery. Siedzę już tu trochę.

Moje dzieci miały przyjść, ale jak widać, nie dotarły. Nie będę przeciągał, bo nie mam tak rewelacyjnych liter jak pani. – Nachyla się nad planszą i układa „zabiła”. Prawie śmieję się na głos. Niezwykle pasujący wyraz do naszej sytuacji. – Niestety tylko dwanaście – rzuca i wzrusza ramionami, wykrzywiając twarz w smutnym grymasie.

– Za zabicie to można do więzienia pójść, a pan dostał za to punkty, więc i tak nie jest źle.

Wyciągam swoje płytki i podaję woreczek przeciwnikowi. Układam literki na podstawce i aż czuję ciarki. Są idealne. Takie rozdanie zdarza się raz na kilkadziesiąt albo i rzadziej. Patrzę na siedem leżących przede mną kafelków, a świat wokół przestaje istnieć. Nie słyszę krzyjących dzieci, dorosłych zatopionych w rozmowach. Mój mózg pracuje na wysokich obrotach, aż wszystkie płytki układają się właściwie. Słowo, które wpadło mi do głowy, jest perfekcyjne.

Powoli przysuwam się do planszy i zaczynam układać litery w jej górnej części.

– „Szaławił” – mówię dumnie, gdy kończę.

Mężczyzna podnosi na mnie wzrok i kiwa głową z uznaniem, ściągając usta w coś na kształt dzióbka.

– Widzę, że mam dobrego zawodnika przed sobą. Mało kto używa tego słowa, bo trochę już przestarzałe.

– Mało kto czyta książki, więc skąd ludzie mają znać takie słowa – stwierdzam dumna z siebie. – Siedemdziesiąt sześć punktów.

– Chyba muszę się sprężyć, bo dostanę nieliczne baty.

Później niczym szachiści w meczu o mistrzowski tytuł rzucamy się do walki. Poza przeczytaniem słowa i liczbą punktów nikt nic nie mówi.

– „Chłodny”, dwadzieścia osiem.

– „Zabiłam” i „żegnam”, trzydzieści jeden.

– „Bożym”, trzydzieści.

– „Giń” i „bożymi”, trzydzieści sześć.

– „Zgiń” i „frazes”, pięćdziesiąt dwa.

– „Ef” i „dziwne”, trzydzieści sześć.

W końcu on przerywa tę wymianę.

– Wiem, że te nazwy liter są uznawane, ale jak dla mnie wyglądają źle.

– Zgodzę się. Generalnie staram się ich nie używać, pod warunkiem że mam inną opcję, a teraz niestety nie mam, więc serdecznie przepraszam. – Uśmiecham się, zupełnie zapominając, jak bardzo go nienawidzę i jak wiele moich myśli i mojej uwagi poświęciłam mu ostatnimi czasy. – Dwadzieścia siedem punktów.

– No to nic mi nie pozostaje, jak ułożyć „be” i „piąte”. Dwadzieścia pięć punktów – mówi, kładąc na planszy litery.

– „Wy” i „weź”, dwadzieścia sześć.

– „Ostoje”, trzydzieści.

– „Cywilny”, dwadzieścia cztery.

– „Klops”, osiemnaście.

– „Śniada”, dwadzieścia osiem.

– „Śniadawe”, trzynaście.

– „Uwerturę”! – aż krzyczę triumfalnie, wykładając literki. Przez tę grę zupełnie zapominam, kim jest człowiek po drugiej stronie planszy.

– Nie wierzę, pani ma rękę do tych klocków. Ja dostaję najgorsze, a pani... Może skończymy? – pyta z uśmiechem na twarzy.

– Jeżeli pan chce, to...

– Żartowałem – przerywa mi. – Pani zasługuje na to, aby dokończyć grę i ją wygrać, chociaż proszę nie mówić nikomu. Uchodzę za specjalistę od gier, ale w końcu trafiłem na lepszego od siebie przeciwnika.

– Cieszę się, proszę zapisać: trzydzieści sześć.

– Ja nie odwdzięczę się niczym powalającym, „czaj” i „aj”, piętnaście punktów.

Na stojaczku przede mną zostaje mi już tylko pięć liter. Patrzę na nie, analizując możliwe wyrazy. Ustawiam je w głowie w różnych kombinacjach, aż w końcu to widzę.

Powoli zaczynam układać.

– Czterdzieści. „Raków”.

– Wow! – Mężczyzna klaszcze i na kartce zapisuje moje punkty. – Pokonała mnie pani. Nie sądziłem, że czterdzieści raków przyczyni się ostatecznie do mojej klęski. – Uśmiecha się półgębkiem. – Musi się pani kiedyś zgodzić na rewanż.

– Oczywiście.

– Obiecuję poćwiczyć w międzyczasie, a teraz przepraszam – mówi i kiwa głową do siwowłosej kobiety. – Żona przyszła i chyba się nudzi, więc muszę iść. Dziękuję ślicznie za grę i do zobaczenia kiedyś.

– Do widzenia – odpowiadam i spoglądam na planszę. To było to, czego potrzebowałam.

Rozdział 62

– Maks – odezwał się Bartosz Bogucki chwilę po tym, jak komendant opuścił miejsce odnalezienia dłoni jego córki. – Może z Jaworskim pojedziemy do jej mieszkania?

Maksymilian Obrębski popatrzył na kolegę jak na kosmitę. Kolejna nieprzespana noc powodowała, że nie tylko nie przypominał siebie sprzed kilku dni, ale i jego sposób myślenia został mocno zaburzony.

– Pojedziemy tam razem – rzucił po kilku trwających wieki sekundach. – Wolę sam ocenić, czy tam się coś stało, i dać znać kolejnej ekipie techników, w jakim składzie ma przyjechać. I tak muszą przeczesać jej mieszkanie, to bez dwóch zdań – powiedział, kiwając głową potakująco, jakby sam siebie zapewniał o prawidłowym toku myślenia. – Nie ma co tutaj zawracać głowę. Macie jej adres? – spytał dwóch stojących przed nim policjantów.

– No nie – wydukał Jaworski i spojrzał na kolegę, który miał podobną wystraszoną minę.

– To ogarnijcie to, zamiast stać tutaj jak kołki! – krzyknął komisarz, a Bogucki aż podskoczył. Po dwóch minutach wrócił z adresem i kodami do klatki wynajmowanego przez komendanta mieszkania dla córki na Mokotowie.

Trasa na miejsce zajęła im sześć minut, a atmosfera w radiowozie była tak gęsta, że można było ją kroić nożem. Gdy zaparkowali przed budynkiem, nikt nie miał czasu na zachwyty nad okolicą. Szybkim tempem pomaszerowali najpierw do klatki. Bogucki drżącą ręką wpisał otrzymane kody i weszli na pierwsze piętro, gdzie mieścił się apartament.

– Rękawiczki! – krzyknął Obrębski, gdy stanęli przed mieszkaniem.

Obaj policjanci z patrolu już któryś raz tego dnia spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Czy was wypuścili z przedszkola? Zachowujecie się jak małe dzieci, które trzeba za rączkę prowadzić i powtarzać w kółko „załóż czapkę”, „jedz widelcem, a nie ręką”, „wytrzymaj pupę”. Ja nie mam czasu na niańczenie was. Dziewczyna może walczyć o życie, a my tracimy cenny czas, bo wy jesteście nieprzygotowani! – krzyczał Obrębski. – Zapieprzajcie do radiowozu po rękawiczki. I to w podskokach!

Obrębski stanął jeszcze bliżej drzwi. Wyglądały na solidne i wzmacniane. Kiedyś nauczył się otwierania drzwi wytrychami, ale obawiał się, że te nie będą takie łatwe do pokonania. Gdyby miał czas, pewnie poczekałby na klucze od rodziny lub najemcy.

Aż drgnął zaskoczony, odkrywszy, że drzwi były otwarte. Popchnął je do środka i krzyknął:

– Komisarz Maksymilian Obrębski, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz!

Czekał. Niestety poza ciszą nic mu nie odpowiedziało.

Szybko założył ochraniacze na buty i rękawiczki i wszedł do mieszkania.

W małym przedpokoju na ścianie wisiało kilka damskich kurtek, a na podłodze stała kolekcja butów na obcasie, od kozaków po czółenka, tak jakby właścicielka mieszkania była przygotowana na każde warunki pogodowe. Z niewielkiego pomieszczenia, gdzie podłoga lśniła, jakby chwilę wcześniej ktoś ją wypolerował, wszedł do otwartej przestrzeni, która łączyła w sobie trzy funkcje. Po lewej stronie mieściła się kuchnia, która podobnie jak podłoga błyszczała czystością. Jej centralnym punktem była wielka wyspa ze zlewem i miejscem do gotowania oraz czterema hokerami dla gości, którzy chcieliby wesprzeć gospodynię w przyrządzaniu posiłków lub zabiwić rozmową. Stamtąd kilkoma krokami można było znaleźć się w przestronnym salonie, na którego środku stała wielka kanapa w kształcie litery U, mogąca pomieścić co najmniej osiem osób. Mebel wyglądał na niezwykle wygodny. Obrębski chwilę patrzył na niego, walcząc z pokusą, by na kilka sekund na nim usiąść. Trzecia z rzędu doba z ilością snu ograniczoną do maksymalnie dwóch godzin powodowała, że czuł zmęczenie.

– Jesteśmy już – wytrącił go z rozmyślań głos Boguckiego, który pojawił się nagle za jego plecami.

– A ochraniacze na buty? – spytał. – Serio? – rzucił po sekundzie, widząc przerażenie w ich oczach. – Dam wam z mojego zapasu, bo mam dość waszej bezmyślności, ale błagam, nauczcie się, że to podstawa podstaw...

Nie czekając na ich reakcję, wyjął z kieszeni dwie pary niebieskich worków z gumkami i rzucił w ich stronę, nawet nie patrząc, czy złapali. Chwilę później już we trzech przemierzali mieszkanie Mariki Urbaniak, licząc, że coś znajdą.

- Nie widać żadnych śladów walki - odezwał się jako pierwszy Bartosz Bogucki, wychodząc z ogromnej sypialni, w której nic nie zwróciło jego uwagi. Pokryte wielką czarną narzutą dwuosobowe łóżko, obok na drewnianej szafce kilka czasopism kobiecych, a przy łóżku od strony okna na podłodze, a dokładnie na małym włóchatym dywaniku białe kapcie czekające na właścicielkę.

- Musimy się dowiedzieć, o której wyszła, dokąd pojechała, co robiła cały dzień - rzucił Obrębski.

- Wiemy, gdzie pracowała? - spytał Jaworski, podchodząc do okna, z którego roztaczał się widok na niewielkie podwórko z placem zabaw.

- Na razie nic nie wiemy. Ustalenie jej planu dnia to wasze zadanie. Tylko błagam, nie spieprzcie tego - powiedział Obrębski, wyjmując telefon z kieszeni. - Zaraz wezwę tu techników, aby przeczesali mieszkanie, chociaż nie sądzę, że coś znajdą. Mam już SMS od komendanta z informacjami, co sprawdzić w pierwszej kolejności. Namiary na jej robotę i kilka koleżanek. Dochodzi piąta. Mamy dwie, trzy godziny na przygotowanie się i lecimy w miasto.

Pokręcili się jeszcze chwilę po mieszkaniu, ale nic nie znalazłszy, pojechali na komisariat.

Bogucki i Jaworski siedzieli przy swoich biurkach, przeglądając media społecznościowe, a w tym czasie ich kolega wypytywał komendanta. Chwilę po szóstej wszedł do ich pokoju z puszką energetyka w ręce, w drugiej trzymając kilka kartek.

- Szef nie ma pojęcia, kto to i dlaczego - zaczął i pokręcił głową. - Źle powiedziałem. Nikt szczególny nie przychodzi mu do głowy. Od pięciu lat nikogo osobiście nie aresztował. Od tego czasu to my dokonujemy tych czynności. On działa z tylnego siedzenia.

Oczywiście w swojej karierze wkurzył niejednego typka spod ciemnej gwiazdy, ale to było lata temu. Pytanie: czemu dopiero teraz ktoś się aktywował?

– Może wyszedł z więzienia? – powiedział Bogucki i wstał. Po godzinie siedzenia za biurkiem ból kręgosłupa był nie do zniesienia.

– Jest taka opcja, więc musimy wszystko dokładnie posprawdzać. Poza nami pracuje jeszcze ponad dwudziestu policjantów tutaj, kolejni rozpytują w terenie. Ważne, aby wszystkie informacje do mnie spływały, abym mógł je przefiltrować i przekazać dalej.

– Oczywiście – potwierdził Jaworski i odwrócił się na krześle biurowym w stronę kolegów. – A tak sobie pomyślałem, że nie powinniśmy skupiać się tylko na komendancie, bo może to jego córka nadepnęła komuś na odcisk?

– Oczywiście, że mogła. Może poznała kogoś na portalu randkowym i coś nie pykło. Może jakaś zawistna koleżanka postanowiła zemścić się albo poszło o chłopaka. Trzeba dobrze prześwietlić jej środowisko.

– A związek z Wieczorek i Trawińską? – spytał Bogucki, wykonując skręty tułowia raz w jedną, raz w drugą stronę i wywołując tym dziwne spojrzenia kolegów.

– Na chwilę obecną nic nie wiadomo, aby się znały i czy stoi za tym ten sam człowiek. Ale na pewno rano rozpęta się piekło. Już w tym momencie cała Polska huczy od informacji o „Brzytwie”, jak nazwała go prasa, mimo że mało prawdopodobne, aby to właśnie było narzędzie zbrodni. Każdy przeczytał o odciętej głowie, uchu i nodze, a gdy usłyszą o dłoni, to naturalne będzie dorzucenie kolejnej ofiary na konto jednej osoby, a może tak wcale nie być.

– Zajebście – wtrącił Jaworski i schylił się do dolnej szuflady. – Ma ktoś ochotę na trochę kofeiny? – spytał, wyciągając małe żółte buteleczki z napisem „napalm”.

– Matko, co to? – spytał Obrębski.

– Suplementy. Taka kawa w małej porcji. Czujesz się po tym bardziej pobudzony. Generalnie stosuje to przed treningiem, ale jak mnie zamula, to biorę, chce któryś?

– Nie, dzięki – odpowiedział od razu Bogucki. – Jeszcze będę świecił w nocy.

– No tak, mogłoby to być problematyczne – zaśmiał się Maks Obrębski, a na jego twarzy na ułamek sekundy zagościł grymas zbliżony do uśmiechu. – Dość tych głupot. Trzeba spać dupy, i to tak konkretnie. Śmiem twierdzić, że to najważniejsze śledztwo w naszej karierze. Jak je spieprzymy, nie będzie co zbierać. Bez ręki można żyć, ale gdy okaże się, że ona nie żyje, a my na dodatek nie złapiemy skurwiela, polecą łby, nasze w pierwszej kolejności. – Policjant przysiadł na jednym z nieużywanych biurek i sięgnął po kartki ze spotkania z komendantem. – Tak żebyście wiedzieli, o kim mowa. Marika to niezłe ziółko. Od małego mieli z nią problemy. Zawsze czuła potrzebę dopierdzielania rodzicom. Podkradała drobniaki z portmonecki, uciekała ze szkoły. To były takie rzeczy na początek. W liceum włamała się do pokoju nauczycielskiego podczas lekcji i wykradła z szafki jednej z nauczycielek testy. Gdy dostała piątkę, bo specjalnie zrobiła dwa błędy, rodzice od razu wiedzieli, że coś jest nie tak. Przyciśnięta wykrzyczała ojcu prawdę, a ten... – mężczyzna zaśmiał się – poszedł do szkoły i doniósł na córkę. Podobno nie odzywała się do niego przez pół roku. W końcu nie wytrzymała, bo potrzebowała pieniędzy na wyjazd z koleżanką na wakacje. Przez chwilę było lepiej...

albo tak mu się wydawało. W szkole praktycznie z każdego przedmiotu miała korepetycje i co chwilę musieli szukać kogoś nowego, bo kolejni nauczyciele odmawiali współpracy. Non stop musiał się z nią kłócić o wszystko. Oczywiście najlepiej działała metoda marchewki, nie kija, ale ile można przekupywać własne dziecko, żeby się uczyło. Na studia się nie dostała, wręcz sabotowała egzaminy. Na jeden poszła i powiedziała, że nic nie napisała, bo zapomniała długopisu.

– Masakra – prychnął Bogucki i usiadł z powrotem na swoim krześle.

– W pewnym momencie komendant miał dość. Nie zamierzał już przepychać się z córką czy, jak to mówią, kopać się z koniem. Dał jej ultimatum, że albo znajdzie pracę, albo pójdzie na studia. Jeżeli nie zrobi tego, czego od niej oczekuje, wyrzuci ją z domu. Dał jej termin do końca lipca. Dziewczyna myślała, że tatuś żartuje, i nic sobie z tego nie zrobiła. Miesiąc się skończył, a ona była gdzieś nad morzem, gdy karta płatnicza odmówiła posłuszeństwa. Ojciec przestał odbierać od niej telefon, więc wydzwaniała do matki, jednak ta poza jednorazowym wsparciem niewiele mogła zrobić. Gdy Marika wróciła znad Bałtyku, zastała walizki ze swoimi rzeczami na podjeździe. Komendant podobno nawet nie pozwolił jej wejść do domu. Po dwóch tygodniach tułania się po koleżankach wróciła z podkulonym ogonem i potwierdzeniem złożenia papierów na jedną z prywatnych uczelni.

– Czyli wygrał?

– Można tak powiedzieć – odpowiedział Obrębski i wyciągnął telefon z tylnej kieszeni. Zegarek pokazywał szóstą trzydzieści. – Nauka nie szła jej super, ale zaliczała po kolei każdy semestr. Przynaj-

mniej póki jej się chciało, bo po dwóch latach stwierdziła, że to nie dla niej, rzuciła studia i zaczęła pracę w firmie przyjaciółki żony komendanta. Pracuje na recepcji w gabinecie medycyny estetycznej.

– Po zdjęciach widać, że już chyba również korzysta z ich usług – stwierdził Jaworski i wydał usta.

– Niestety dziewczyna należy do tych próżnych i mało ambitnych, ale nie zmienia to faktu, że trzeba się spiąć i ją znaleźć.

– A jakiś chłopak? – spytał Bogucki.

– Tutaj jest mały problem, bo komendant nie wie, czy jego córka, no...

– Czy lubi chłopców, czy dziewczyny? – skończył za niego młodszy aspirant.

– Mniej więcej. Powiedział, że zawsze ktoś się wokół niej kręcił, ale nigdy nie spotykała się z nikim na poważnie.

– A on nigdy nie spytał? – wtrącił Jaworski.

– Tego nie wiem, ale chyba nie. Wspominał tylko, że żona raz próbowała pociągnąć córkę za język, ale ta ją zbyła.

Generalnie nie ma to znaczenia, chyba że to jakiś prawicowy oszołom zrobił jej krzywdę z powodu jej orientacji.

– To może miała dziewczynę? – rzucił ponownie Kamil.

– Tego tym bardziej nie wiedzą. Podobno była jakaś przyjaciółka, która patrzyła na nią inaczej, ale komendant nie mógł sobie przypomnieć jej danych. Obiecał porozmawiać z żoną, jak zejdzie z niej pierwszy szok. Ze smutkiem w oczach powiedział, że żona od lat boryka się z depresją i musiała wziąć większą dawkę leków, więc chwilowo nawet nie dałby rady wyciągnąć z niej jakichkolwiek informacji. Dlatego to my musimy dojść do tego, czy ktoś był i czy jest teraz. – Spojrzał ponownie na telefon i rzucił: – Dobra, panowie, czas

się zbierać. Wy jedziecie do niej do pracy, ja odwiedzam przyjaciółki. Około dziewiątej robimy telekonferencję lub spotykamy się tutaj.

Pół godziny później Bartosz Bogucki z Kamilem Jaworskim zajęli pod elegancki budynek na warszawskim Wilanowie. Na parterze trzykondygnacyjnego bloku mieścił się gabinet medycyny estetycznej, który już z daleka zachęcał do swojej oferty.

– Myślisz, że ktoś już jest? – spytał Jaworski i poprawił wygięty kołnierzyk koszuli, który denerwował go od momentu, kiedy ją założył.

– Jest już jasno, więc nie widać, czy w środku ktoś jest. Na drzwiach napisane jest, że otwarte od ósmej, więc może jeszcze nikogo nie być, ale chyba najłatwiej będzie, jak sprawdzimy to, wysiadając z samochodu i naciskając klamkę – rzucił z przekąsem i zaczął wysiadać.

– O matko, ktoś dzisiaj sypie żartem, że ho ho.

– Zadajesz głupie pytania, to czego się spodziewasz? Trzeba ruszyć dupę i zobaczyć. Może ktoś jest, a może nie. Jak nie ma, to grzecznie poczekamy – powiedział Bogucki, podchodząc do oblepionych folią typu one way vision drzwi, na których wypisane były godziny otwarcia, numer kontaktowy, a także adresy stron w mediach społecznościowych. Złapał za klamkę i nacisnął, a ta ustąpiła. Pociągnął drzwi do siebie i uśmiechnął się do kolegi, który patrzył z niedowierzaniem. Ponownie tego dnia sprzyjało im szczęście.

– Dzień dobry! – krzyknął, gdy weszli do środka.

Nikt im nie odpowiedział. W lokalu panowała cisza.

– A jeżeli ona tutaj jest? I leży w którymś z pomieszczeń, pokrojona na małe kawałeczki? W ogromnej kałuży krwi – rzucił szeptem

Jaworski i wybałuszył oczy, dodając grozy wypowiedzianym słowom.

– Nie pierdol głupot. Idziemy.

Powoli ruszyli białym korytarzem, w którym co kilka metrów znajdowały się eleganckie drzwi w tym samym kolorze. Za trzema pierwszymi znajdowały się gabinety zabiegowe, każdy z dużym fotelem w stylu tego, który każdy znał z gabinetu stomatologicznego. W czwartym pomieszczeniu było coś na kształt składziku, w piątym pokój socjalny. Gdy stanęli przed ostatnimi drzwiami, Bogucki spojrział na kolegę.

– A jeżeli ona faktycznie tam leży? – spytał ponownie Jaworski, a jego głos był inny niż zwykle. Drżący, z jakąś nutką niepokoju. – To ten moment, którego zawsze boję się w filmach, zazwyczaj wtedy ktoś wyskakuje z szafy lub pomieszczenia, które bohater niby już sprawdzał, ale zupełnie nie zauważył kotary czy jakiejś dużej skrytki.

– Możesz przestać? – upomniał go kolega. – To nie pomaga. Zamknij się.

– Wiem i też sram po gaciach, ale chyba któryś z nas musi nacisnąć klamkę.

– Chyba tak – odpowiedział Bogucki i położył palce prawej dłoni na kanciastej, srebrnej klamce.

– No, naciskaj – ponaglił go Jaworski.

Gdy już chciał to zrobić, drzwi same zaczęły się otwierać.

– Aaa! – wrzasnęli i jak oparzeni odskoczyli do tyłu.

– Aaa! – usłyszeli po ułamku sekundy, a ich oczom ukazała się szczupła brunetka. Szybko wyciągnęła z uszu białe słuchawki i wydarła się: – Pomocy!

Bogucki i Jaworski spojrzeli na siebie. Obaj się trzęśli, a twarze mieli o dwa tony bledsze w porównaniu do codziennego stanu.

– Proszę się uspokoić – odezwał się jako pierwszy Bogucki. – Jesteśmy z policji. Młodszy aspirant Bartosz Bogucki, a to aspirant Kamil Jaworski, chcielibyśmy porozmawiać.

– Ze mną? Coś się stało? – odpowiedziała już spokojniejszym głosem i ruszyła w stronę wejścia do gabinetu.

– Tak, zaginęła Marika Urbaniak.

– Chyba pan sobie jaja robi. Ona jest córką komendanta, ktoś musiałby być ostro powalony, żeby coś jej zrobić, pewnie zabalowała – powiedziała dwudziestoparolatka. Usiadła za białym kontuarem, na którym stał bukiet świeżych różowo-białych tulipanów, i włączyła niewidoczny dla odwiedzających komputer.

– Niestety wszystko wskazuje na to, że ktoś ma gdzieś to, kim jest jej ojciec.

– Albo właśnie to nim kierowało – wtrącił Jaworski i od razu dostał łokciem między zębra.

– Może pani... – Bogucki zawiesił głos.

– Paulina Rozenek – wtrąciła dziewczyna i uśmiechnęła się, prezentując śnieżnobiałe, lecz mocno pokrzywione zęby. Zresztą nie tylko je miała krzywe. W połowie chudego nosa miała widoczne zgrubienie, a jego kształt daleki był od linii prostej.

– Pani Paulino, czy Marika była wczoraj w pracy?

– Tak, siedziała od rana do jakiejś szesnastej. Powinna była zostać do osiemnastej, ale spytała, czy mogłaby wyjść wcześniej. Twierdziła, że ma lekarza, chociaż ja w to wątpię – westchnęła i teatralnie przewróciła oczami.

– A dlaczego pani w to nie wierzy? – spytał Bogucki i oparł się przedramionami o blat. Nie czuł się komfortowo, wisząc nad kobietą.

– Hmm... Nie chcę być niemila, poza tym to córka waszego szefa...

– Nie bezpośredniego – wtrącił znów Jaworski.

– Cóż, straszny z niej leń. Jak może nie robić, to nie robi. A jak robi, to tak, żeby się jak najmniej zmęczyć. Taki typ królewny. Wszyscy powinni wokół niej skakać, a ona będzie leżeć i pachnieć. Wczoraj niby wyszła do lekarza, ale mogę dać sobie odciąć palec, że poszła do fryzjera lub kosmetyczki.

– Rozumiem, że nie pani ją zatrudniła?

– To gabinet mojej mamy. Ja jej pomagam, zajmuję się księgowością, w czym panowie mi przeszkodzili, plus promocją. Idzie nam całkiem dobrze. Ludzi w tym blokowisku całkiem sporo, ceny za metr kwadratowy niebotyczne, więc mieszkają tu celebryci, którzy myślą, że złapali Pana Boga za nóżki, bo mają mieszkanie w prestiżowym miejscu. Tylko jakoś nikt nie zwraca uwagi na fakt, że ludzie sobie zaglądną do okien, przez ścianę słyszą wrzeszczące bachory sąsiadów, a zaparkowanie tutaj graniczy z cudem, dlatego ja, jak mogę, przyjeżdżam skuterem.

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – powiedział Bogucki i uśmiechnął się do dziewczyny, próbując określić, czy jest ładna, czy brzydka. Żaden szczegół jej twarzy nie imponował, jednak całość intrygował tymi niedoskonałościami, które w takim miejscu jak gabinet medycyny estetycznej stanowiły dość nietypowe zjawisko.

– No tak, jak zwykle gadam jak katarynka. A co chciał pan wiedzieć?

– Kto zatrudnił Marikę Urbaniak?

- Moja kochana mamusia. Uwielbiam ją, ale czasami można jej wcisnąć niezły kit. Jest najlepszą specjalistką od zastrzyków, jaką stworzył świat. Największych panikarzy jest w stanie przekonać do zabiegu i jeszcze nikt nie miał jakichkolwiek pretensji, ale jeżeli chodzi o otaczających ją ludzi, to porażka. Mama przyjaźni się z żoną komendanta od liceum. Siedziały razem w ławce i obiecywały sobie przyjaźń do grobowej deski. - Dziewczyna zaśmiała się i przeczesła ręką gęste brązowe włosy do ramion. - Jak na razie to im się udało. Miały małą przerwę, gdy moja mama wyjechała na dwa lata do Francji za jakimś facetem, ale po wszystkim wróciła, poznała na imprezie mojego tatę i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

- Niestety nie do końca, bo Marika zniknęła. Przyjaźnią się panie?

- Czy się przyjaźnimy? - prychnęła dziewczyna, jakby właśnie ją obraził. - My jesteśmy ulepione z różnych glin, i to tak totalnie. Nie chcę się chwalić, ale na studiach otrzymywałam stypendium naukowe. Mówię perfekcyjnie w trzech językach, a w przyszłym roku kończę studia doktoranckie, a Marika to taki dzban, jak mówią dzieciaki. Pustak. Może i wygląda jak modelecza, ale to wszystko. Nie ma z nią o czym pogadać, chyba że o paznokciach, dramatach wśród celebrytów czy nowym programie na Netflixie, takim z gołymi łaskami i prężącymi mięśnie kołesiami.

- A czy ostatnio wydarzyło się w pracy coś, co zwróciło pani uwagę?

Dziewczyna ponownie się uśmiechnęła i pokręciła głową przecząco.

- Z nią to cały czas coś jest. W normalnej pracy by ją już dziesięć razy wyrzucono, ale moja mama jakoś czuje się w obowiązku, żeby

się nią opiekować. Może dlatego, że jest jej chrzestną, ale to i tak nie usprawiedliwia niańczenia. Przecież ona ma dwadzieścia trzy lata, a wszyscy chodzą wokół niej jakby miała pięć. „Ona wcale nie chciała”, „Zapomniała, każdemu mogłoby się zdarza” – mówiła zmienionym głosem Paulina Rozenek. – Tylko że to wpływa na nasz biznes. Parę klientek się mocno wkurzyło, bo na przykład zapisała dwie osoby na tę samą godzinę. Innym razem nie poinformowała pań zapisanych na konsultacje, że lekarz zachorował. Co pół godziny ktoś przychodził i dopiero na miejscu dowiadywał się, że wizyty nie będzie. Dopiero po ponad godzinie zaczęłyśmy wydzwaniać do kolejnych, informując o tym, co miała zrobić Marika. Sporo ma takich wpadek, a za każdym razem mama mówi, że to na pewno ostatni raz. Cały czas ją usprawiedliwia, a ona z premedytacją to wykorzystuje. Ja bym się najzwyczajniej w świecie wstydziła. Ale ona ma to totalnie w dupie, robi podkówkę, smutne oczka i pozamiatane. Masakra.

– Rozumiem rozdrażnienie, a wie może pani, czy jest ktoś, kto życzyłby jej źle?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale dwa miesiące temu widziałam, jak się z kimś kłóciła – rzuciła po chwili, nagle podekscytowana. – Uprzedzając pytania, nie wiem, kto to był i o co chodziło. Przechodziłam niedaleko, więc zerknęłam na nią, ale Marika uraczyła mnie spojrzeniem z serii „Nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa”.

– Pamięta pani, jak wyglądał ten ktoś? – spytał Bogucki.

– Gruby, spasiony facet, łysa głowa, myślę, że wujek, to znaczy komendant, nie byłby zadowolony z takiego towarzystwa dla córeczki.

– To jeszcze jedno pytanie na koniec, czy Marika Urbaniak spotykała się z kimś? Może ktoś po nią przychodził?

Kobieta uśmiechnęła się, ułożyła usta w dzióbek i uniosła prawą brew.

– No właśnie – westchnęła, wstała i obesza kontuar. Stała po drugiej stronie niecały metr od młodszego aspiranta Boguckiego, który od razu poczuł delikatny kwiatowy zapach jej perfum. – Według mnie ona jest lesbijką, ale chyba się tego wstydzi, bo umawia się raczej z facetami.

– To może jest bi? – wtrącił Jaworski.

– Raczej nie. Widziałam ją z kilkoma facetami i zawsze trzymała ich na dystans. Niby się całowali, ale miałam wrażenie, że robiła to pod publikę. Ale gdy raz wpadła tutaj ładna dziewczyna, ale taka, co w związkach damsko-damskich robi za faceta, to gadały przed gabinetem i Marika zachowywała się jak zakochana nastolatka. Gdy tamta musnęła ją po ramieniu dłonią, aż podskoczyła z ekscytacji.

– Nie zna pani tej dziewczyny? – dopytywał Bogucki.

– Niestety nie.

Nie mając więcej pytań, pożegnali się z kobietą i ruszyli do radiowozu. Nie zdążyli wsiąść do niego, gdy telefon Boguckiego zaczął dzwonić, a na ekranie pojawiło się nazwisko komisarza. Odebrał i włączył na głośnik.

– To zaczyna robić się chore – rzucił Obrębski bez słowa wprowadzenia. – Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę, obyśmy to my wygrali to starcie. Na Ursynowie w piekarni znaleziono jej stopę. To znaczy prawdopodobnie jej. Numer buta się zgadza. Niestety nie ma żadnych cech charakterystycznych, jak było z nogą Trawińskiej.

– Może jej podolog by rozpoznał? – rzucił Jaworski i uniośł brwi.

– Kto, do cholery?! – warknął wkurzony Obrębski.

– Podolog, taki specjalista od stóp. Podobno kobiety nie chodzą teraz na pedicure, tylko do podologa.

– Kurwa, nie wiem! – wrzasnął Obrębski, a w tle usłyszeli klakson. – Mirosław Zawada już tam jedzie, żeby zabezpieczyć znalezisko, więc za dwadzieścia minut macie być na miejscu. Wysyłam wam za sekundę pinezkę, gdzie to jest – rzucił i rozłączył się.

Jazda we wskazane miejsce zajęła im osiem minut. Z daleka widzieli, dokąd mają się kierować, a to za sprawą kilkunastu radiowozów ze świecącymi stroboskopami na dachach.

Zatrzymali się obok jednego z nich i wysiedli. Obrębskiego jeszcze nie było na miejscu. Zajechał kolejnym policyjnym autem dwie minuty później.

– Tym razem ktoś zrobił psikusa pani w piekarni – oznajmił, gdy tylko wysiadł z samochodu i od razu ruszył w stronę pobliskiego sklepu z pieczywem. – Kobieta zaczęła układać plastikowe skrzynki z pączkami czy innymi słodkościami, gdy wśród nich zobaczyła stopę. Na początku pomyślała, że jest sztuczna. – Popchnął drzwi, przed którymi zebrało się kilkunastu gapiów. – O, to chyba ona.

Na środku sklepu siedziała starsza kobieta z okładem na głowie, a przy niej klęczała dziewczyna w koszulce z nadrukowanym logiem sklepu.

– Pani Wando, policja do pani – powiedziała ta młodsza i odsunęła się.

Do ich nozdrzy dobiegł przyjemny zapach pieczywa i słodkich wypieków, który podkreślił prace ślinianek, i każdy z trzech policjantów poczuł nieodpartą chęć zjedzenia czegokolwiek.

– Dzień dobry, komisarz Maksymilian Obrębski, a to młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski, Komisariat Policji z Żoliborza. Musimy z panią porozmawiać. Da pani radę? – powiedział spokojnie i podszedł jeszcze bliżej kobiety.

Wanda Cichomska miała sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała na dużo starszą, a to za sprawą siwych niczym gołąb włosów, które co rano zaplatała na małe papiloty. Po śmierci męża dwa lata wcześniej zatrudniła się w sklepie, żeby dorobić do niskiej emerytury. Była to miła odmiana po latach spędzonych w szkole, gdzie pracowała jako nauczycielka matematyki. Za ladą nikt jej nie poniżał, nie kłócił się z nią, nie podważał jej kompetencji, nikomu nie musiała udowadniać swojej wartości.

– Już wszystko opowiedziałam – usłyszeli cichy głos.

– Niestety, muszę jeszcze raz to usłyszeć. O której przyszła pani do pracy? – spytał komisarz.

– Zawsze jestem o piątej trzydzieści, maksymalnie czterdzieści, chociaż pracę zaczynam o szóstej. Lubię być wcześniej, wtedy mam kilka minut na zrobienie herbaty, posprzątanie blatu, wyrzucenie śmieci.

– O której przyjechała dostawa?

– Pan Krzysztof zazwyczaj jest między szóstą dziesięć a dwadzieścia.

– Czy dzisiaj przyjechał punktualnie? – dopytywał dalej.

– Tak, zaparkował od tyłu jakieś piętnaście po szóstej.

– Czy wydarzyło się coś wyjątkowego?

– Nie, było jak zwykle. – Kobieta wzruszyła ramionami i spojrzała smutnymi oczami na policjanta. – Wypakował skrzynki, zabrał puste, porozmawialiśmy ze dwie minuty o pogodzie. Podobnie jak ja

nie lubi, jak jest ciepło. Skacze nam wtedy ciśnienie i źle się czujemy. Potem pojechał.

– Co było dalej?

– Rozpakowywałam towar.

– O której znalazła pani stopę? – spytał, próbując powiedzieć to jak najspokojniej.

– Chwilę przed siódmą. Na początku myślałam, że to jakiś chory żart, a później przypomniałam sobie o tym ciełe bez głowy i o uchu, które państwo znaleźli, i zrobiło mi się słabo.

– I nodze – dorzucił swoim zwyczajem Jaworski.

– I co pani zrobiła? – spytał Obrębski, jednocześnie obdarzając kolegę wymownym spojrzeniem.

– Najpierw usiadłam i się popłakałam. Wiem, że powinnam od razu zadzwonić, ale jakaś niemoc mnie dopadła. Ja nie oglądam mocniejszych filmów, bo nie mam na to nerwów. A gdy zobaczyłam stopę, odeszły mi wszelkie siły. Nie byłam w stanie podejść do socialnego, wyjąć z torebki telefonu i zadzwonić. Po trzech minutach pojawiła się Gosia i to ona zadzwoniła.

– Czy pani czegoś dotykała?

– Nie. To znaczy chyba nie. Teraz to już nie jestem niczego pewna.

– Jeszcze dwa pytania. Czy ktoś się tu kręcił rano?

– Nie, ale... – Na chwilę zawiesiła głos. – Wie pan, jakby ktoś chciał, to mógłby podrzucić tutaj wszystko. Ja zawsze biorę skrzynkę i przenoszę do środka, wykładam i wracam po kolejną. Gdy byłam w środku, ktoś spokojnie mógł wejść na zaplecze i podłożyć coś do niej. Ale równie dobrze mogło to mieć miejsce jeszcze w piekarni.

– Rozumiem, a czy są tu jakieś kamery?

- Kamery? – zaśmiała się kobieta. – Może jeszcze czujki ruchu? – prychnęła, ale widząc minę Maksymiliana Obrębskiego, spoważniała. – Przepraszam, reaguję skrajnie na stres. Płaczę lub śmieję się – powiedziała zdecydowanie za głośno. – Nie, nie mamy tutaj żadnych kamer, alarmów. Kiedyś szefowa straszyla, że zamontuje, bo znikaly bagietki i chleb kukurydziany, ale wystarczyła rozmowa i to się skonczylo.

- To dziekuje – odpowiedzial Obrębski i już miał się odwrócić, gdy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie: – A czy ostatnio dzialo się coś nietypowego?

- Nie – odpowiedziała kobieta, kręcąc głową, i sięgnęła po zimny okład, który koleżanka położyła na blacie.

Trójka policjantów wyszła na zewnątrz, gdzie tłumek ciekawskich zrobił się jeszcze większy. Obeszli budynek dookoła i stanęli przed wejściem, pod którym musiał zaparkować dostawczak.

- Na pobliskich budynkach nie ma żadnych kamer – stwierdził komisarz, rozglądając się. – Więc tak naprawdę nie wiadomo, czy stopa została podłożona tutaj, czy może w piekarni. Trzeba koniecznie do nich pojechać. Może tam mają jakiś system monitorowania. Chodźmy do środka – rzucił i nie czekając na reakcję Boguckiego i Jaworskiego, wszedł na zaplecze, gdzie Zawada zabezpieczał ślady.

Patolog jak zwykle wisiał nad znaleziskiem, które wśród świeżych pączków wyglądało jak inscenizacja stworzona przez chorego człowieka. Podobnie jak pięć minut wcześniej, gdy uderzył ich zapach słodkości, ponownie ślinianki zaczęły wzmożoną pracę.

- Coś znalazłeś? – spytał Obrębski, łamiąc odwieczną zasadę nieodzywania się do mężczyzny podczas jego pracy. Ten powoli podniósł głowę i spojrzał na policjanta niebieskimi oczami.

– Stopę – odpowiedział poważnym głosem i kontynuował wykonywanie zdjęć.

– Aha – westchnął ten i odwrócił się. – Chyba nic tu po nas. Idziemy.

Wyszli przed budynek od strony zaplecza i przez chwilę stali w ciszy.

– Czas ruszać – odezwał się jako pierwszy Obrębski. – Aaa, nie powiedziałem wam, czego się dowiedziałem o zaginionej. Dostałem numer do jednej dziewczyny, koleżanki zaginionej i zadzwoniłem. Oczywiście obudziłem ją. Była w szoku, gdy się dowiedziała, rzekłbym nawet, że wpadła w histerię. To, co ciekawe, to fakt, że potwierdziła wszystko, co już wiemy, czyli że życiowym celem Mariki Urbaniak było wkurzanie jej starych, do tego stopnia, że spotykała się z byłymi bandziorami, licząc, że ojciec się dowie. Pracę załatwiła jej przyjaciółka matki...

– Tak, to wiemy – wtrącił Jaworski. – Podobno średnio jej się chciało pracować, córka szefowej niezbyt pozytywnie się o niej wypowiadała. No i prawdopodobnie jest bi, może nawet w stronę lesbijki.

– Czyli wiemy to samo – skomentował komisarz. – Ale generalnie nic szczególnego się nie wydarzyło ostatnio. Stwierdziła nawet, że Marika się uspokoiła. Mniej kłóciła się ze wszystkimi. Mam jeszcze namiary na trzy jej koleżaneczki, ale obawiam się, że nie znajdziemy nic, co może mieć znaczenie.

Teraz wiedział, że jeżeli będzie do tego zmuszony, rozwali je. Jednak najpierw postanowił spróbować najprostszego rozwiązania. Założył drugą parę rękawiczek i nacisnął klamkę.

Aż drgnął zaskoczony, odkrywszy, że drzwi były otwarte. Pochnął je do środka i krzyknął:

– Komisarz Maksymilian Obrębski, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz!

Czekał. Niestety poza ciszą nic mu nie odpowiedziało. Szybko założył ochraniacze na buty i wszedł do mieszkania.

W małym przedpokoju na ścianie wisiało kilka damskich kurtek, a na podłodze stała kolekcja butów na obcasie, od kozaków po czółenka, tak jakby właścicielka mieszkania była przygotowana na każde warunki pogodowe. Z niewielkiego pomieszczenia, gdzie podłoga lśniła, jakby chwilę wcześniej ktoś ją wypolerował, wszedł do otwartej przestrzeni, która łączyła w sobie trzy funkcje. Po lewej stronie mieściła się kuchnia, która podobnie jak podłoga błyszczała czystością. Jej centralnym punktem była wielka wyspa ze zlewem i miejscem do gotowania oraz czterema hokerami dla gości, którzy chcieliby wesprzeć gospodynię w przyrządzaniu posiłków lub zabawić rozmową. Stamtąd kilkoma krokami można było znaleźć się w przestronnym salonie, na którego środku stała wielka kanapa w kształcie litery U, mogąca pomieścić co najmniej osiem osób. Mebel wyglądał na niezwykle wygodny. Obrębski chwilę patrzył na niego, walcząc z pokusą, by na kilka sekund na nim usiąść. Trzecia z rzędu doba z ilością snu ograniczoną do maksymalnie dwóch godzin powodowała, że czuł zmęczenie.

– Jesteśmy już – wytrącił go z rozmyślań głos Boguckiego, który pojawił się nagle za jego plecami.

– A ochraniacze na buty? – spytał. – Serio? – rzucił po sekundzie, widząc przerażenie w ich oczach. – Dam wam z mojego zapasu, bo

mam dość waszej bezmyślności, ale błagam, nauczcie się, że to podstawa podstaw...

Nie czekając na ich reakcję, wyjął z kieszeni dwie pary niebieskich worków z gumkami i rzucił w ich stronę, nawet nie patrząc, czy złapali. Chwilę później już we trzech przemierzali mieszkanie Mariki Urbaniak, licząc, że coś znajdą.

- Nie widać żadnych śladów walki - odezwał się jako pierwszy Bartosz Bogucki, wychodząc z ogromnej sypialni, w której nic nie zwróciło jego uwagi. Pokryte wielką czarną narzutą dwuosobowe łóżko, obok na drewnianej szafce kilka czasopism kobiecych, a przy łóżku od strony okna na podłodze, a dokładnie na małym włoschatym dywaniku białe kapcie czekające na właścicielkę.

- Musimy się dowiedzieć, o której wyszła, dokąd pojechała, co robiła cały dzień - rzucił Obrębski.

- Wiemy, gdzie pracowała? - spytał Jaworski, podchodząc do okna, z którego roztaczał się widok na niewielkie podwórko z placem zabaw.

- Na razie nic nie wiemy. Ustalenie jej planu dnia to wasze zadanie. Tylko błagam, nie spieprzcie tego - powiedział Obrębski, wyjmując telefon z kieszeni. - Zaraz wezwę tu techników, aby przeczesali mieszkanie, chociaż nie sądzę, że coś znajdą. Mam już SMS od komendanta z informacjami, co sprawdzić w pierwszej kolejności. Namiary na jej robotę i kilka koleżanek. Dochodzi piąta. Mamy dwie, trzy godziny na przygotowanie się i lecimy w miasto.

Pokręcili się jeszcze chwilę po mieszkaniu, ale nic nie znalazłszy, pojechali na komisariat.

Bogucki i Jaworski siedzieli przy swoich biurkach, przeglądając media społecznościowe, a w tym czasie ich kolega wypytywał ko-

mendanta. Chwilę po szóstej wszedł do ich pokoju z puszką energetyka w ręce, w drugiej trzymając kilka kartek.

– Szef nie ma pojęcia, kto to i dlaczego – zaczął i pokręcił głową. – Źle powiedziałem. Nikt szczególny nie przychodzi mu do głowy. Od pięciu lat nikogo osobiście nie aresztował. Od tego czasu to my dokonujemy tych czynności. On działa z tylnego siedzenia. Oczywiście w swojej karierze wkurzył niejednego typka spod ciemnej gwiazdy, ale to było lata temu. Pytanie: czemu dopiero teraz ktoś się aktywował?

– Może wyszedł z więzienia? – powiedział Bogucki i wstał. Po godzinie siedzenia za biurkiem ból kręgosłupa był nie do zniesienia.

– Jest taka opcja, więc musimy wszystko dokładnie posprawdzać. Poza nami pracuje jeszcze ponad dwudziestu policjantów tutaj, kolejni rozpytują w terenie. Ważne, aby wszystkie informacje do mnie spływały, abym mógł je przefiltrować i przekazać dalej.

– Oczywiście – potwierdził Jaworski i odwrócił się na krześle biurowym w stronę kolegów. – A tak sobie pomyślałem, że nie powinniśmy skupiać się tylko na komendancie, bo może to jego córka nadepnęła komuś na odcisk?

– Oczywiście, że mogła. Może poznała kogoś na portalu randkowym i coś nie pykło. Może jakaś zawistna koleżanka postanowiła zemścić się albo poszło o chłopaka. Trzeba dobrze przeświecić jej środowisko.

– A związek z Wieczorek i Trawińską? – spytał Bogucki, wykonując skręty tułowia raz w jedną, raz w drugą stronę i wywołując tym dziwne spojrzenia kolegów.

– Na chwilę obecną nic nie wiadomo, aby się znały i czy stoi za tym ten sam człowiek. Ale na pewno rano rozpęta się piekło. Już

w tym momencie cała Polska huczy od informacji o „Brzytwie”, jak nazwała go prasa, mimo że mało prawdopodobne, aby to właśnie było narzędzie zbrodni. Każdy przeczytał o odciętej głowie, uchu i nodze, a gdy usłyszą o dłoni, to naturalne będzie dorzucenie kolejnej ofiary na konto jednej osoby, a może tak wcale nie być.

– Zajebicie – wtrącił Jaworski i schylił się do dolnej szuflady. – Ma ktoś ochotę na trochę kofeiny? – spytał, wyciągając małe żółte buteleczki z napisem „napalm”.

– Matko, co to? – spytał Obrębski.

– Suplementy. Taka kawa w małej porcji. Czujesz się po tym bardziej pobudzony. Generalnie stosuje to przed treningiem, ale jak mnie zamula, to biorę, chce któryś?

– Nie, dzięki – odpowiedział od razu Bogucki. – Jeszcze będę świecił w nocy.

– No tak, mogłoby to być problematyczne – zaśmiał się Maks Obrębski, a na jego twarzy na ułamek sekundy zagościł grymas zbliżony do uśmiechu. – Dość tych głupot. Trzeba spać dupy, i to tak konkretnie. Śmiem twierdzić, że to najważniejsze śledztwo w naszej karierze. Jak je spieprzymy, nie będzie co zbierać. Bez ręki można żyć, ale gdy okaże się, że ona nie żyje, a my na dodatek nie złapiemy skurwiela, polecą łby, nasze w pierwszej kolejności. – Policjant przysiadł na jednym z nieużywanych biurek i sięgnął po kartki ze spotkania z komendantem. – Tak żebyście wiedzieli, o kim mowa. Marika to niezłe ziółko. Od małego mieli z nią problemy. Zawsze czuła potrzebę dopierdzielania rodzicom. Podkradała drobniaki z portmonecki, uciekała ze szkoły. To były takie rzeczy na początek. W liceum włamała się do pokoju nauczycielskiego podczas lekcji i wykradła z szafki jednej z nauczycielek testy. Gdy dostała piątkę, bo specjalnie

zrobiła dwa błędy, rodzice od razu wiedzieli, że coś jest nie tak. Przyściśnięta wykrzyczała ojcu prawdę, a ten... – mężczyzna zaśmiał się – poszedł do szkoły i doniósł na córkę. Podobno nie odzywała się do niego przez pół roku. W końcu nie wytrzymała, bo potrzebowała pieniędzy na wyjazd z koleżanką na wakacje. Przez chwilę było lepiej... albo tak mu się wydawało. W szkole praktycznie z każdego przedmiotu miała korepetycje i co chwilę musieli szukać kogoś nowego, bo kolejni nauczyciele odmawiali współpracy. Non stop musiał się z nią kłócić o wszystko. Oczywiście najlepiej działała metoda marchewki, nie kija, ale ile można przekupywać własne dziecko, żeby się uczyło. Na studia się nie dostała, wręcz sabotowała egzaminy. Na jeden poszła i powiedziała, że nic nie napisała, bo zapomniała długopisu.

– Masakra – prychnął Bogucki i usiadł z powrotem na swoim krześle.

– W pewnym momencie komendant miał dość. Nie zamierzał już przepychać się z córką czy, jak to mówią, kopać się z koniem. Dał jej ultimatum, że albo znajdzie pracę, albo pójdzie na studia. Jeżeli nie zrobi tego, czego od niej oczekuje, wyrzuci ją z domu. Dał jej termin do końca lipca. Dziewczyna myślała, że tatuś żartuje, i nic sobie z tego nie zrobiła. Miesiąc się skończył, a ona była gdzieś nad morzem, gdy karta płatnicza odmówiła posłuszeństwa. Ojciec przestał odbierać od niej telefon, więc wydzwaniała do matki, jednak ta poza jednorazowym wsparciem niewiele mogła zrobić. Gdy Marika wróciła znad Bałtyku, zastała walizki ze swoimi rzeczami na podjeździe. Komendant podobno nawet nie pozwolił jej wejść do domu. Po dwóch tygodniach tułania się po koleżankach wróciła z podkulonym

ogonem i potwierdzeniem złożenia papierów na jedną z prywatnych uczelni.

– Czyli wygrał?

– Można tak powiedzieć – odpowiedział Obrębski i wyciągnął telefon z tylnej kieszeni. Zegarek pokazywał szóstą trzydzieści. – Nauka nie szła jej super, ale zaliczała po kolei każdy semestr. Przynajmniej póki jej się chciało, bo po dwóch latach stwierdziła, że to nie dla niej, rzuciła studia i zaczęła pracę w firmie przyjaciółki żony komendanta. Pracuje na recepcji w gabinecie medycyny estetycznej.

– Po zdjęciach widać, że już chyba również korzysta z ich usług – stwierdził Jaworski i wyduł usta.

– Niestety dziewczyna należy do tych próżnych i mało ambitnych, ale nie zmienia to faktu, że trzeba się spieszyć i ją znaleźć.

– A jakiś chłopak? – spytał Bogucki.

– Tutaj jest mały problem, bo komendant nie wie, czy jego córka, no...

– Czy lubi chłopców, czy dziewczyny? – skończył za niego młodszy aspirant.

– Mniej więcej. Powiedział, że zawsze ktoś się wokół niej kręcił, ale nigdy nie spotykała się z nikim na poważnie.

– A on nigdy nie spytał? – wtrącił Jaworski.

– Tego nie wiem, ale chyba nie. Wspominał tylko, że żona raz próbowała pociągnąć córkę za język, ale ta ją zbyła. Generalnie nie ma to znaczenia, chyba że to jakiś prawicowy oszołom zrobił jej krzywdę z powodu jej orientacji.

– To może miała dziewczynę? – rzucił ponownie Kamil.

– Tego tym bardziej nie wiedzą. Podobno była jakaś przyjaciółka, która patrzyła na nią inaczej, ale komendant nie mógł sobie przypo-

mniej jej danych. Obiecał porozmawiać z żoną, jak zejdzie z niej pierwszy szok. Ze smutkiem w oczach powiedział, że żona od lat boryka się z depresją i musiała wziąć większą dawkę leków, więc chwilowo nawet nie dałby rady wyciągnąć z niej jakichkolwiek informacji. Dlatego to my musimy dojść do tego, czy ktoś był i czy jest teraz. – Spojrzał ponownie na telefon i rzucił: – Dobra, panowie, czas się zbierać. Wy jedźcie do niej do pracy, ja odwiedzam przyjaciółki. Około dziewiątej robimy telekonferencję lub spotykamy się tutaj.

Pół godziny później Bartosz Bogucki z Kamilem Jaworskim zajęli pod elegancki budynek na warszawskim Wilanowie. Na parterze trzykondygnacyjnego bloku mieścił się gabinet medycyny estetycznej, który już z daleka zachęcał do swojej oferty.

– Myślisz, że ktoś już jest? – spytał Jaworski i poprawił wygięty kołnierzyk koszuli, który denerwował go od momentu, kiedy ją założył.

– Jest już jasno, więc nie widać, czy w środku ktoś jest. Na drzwiach napisane jest, że otwarte od ósmej, więc może jeszcze nikogo nie być, ale chyba najłatwiej będzie, jak sprawdzimy to, wysiadając z samochodu i naciskając klamkę – rzucił z przekąsem i zaczął wysiadać.

– O matko, ktoś dzisiaj sypie żartem, że ho ho.

– Zadajesz głupie pytania, to czego się spodziewasz? Trzeba ruszyć dupę i zobaczyć. Może ktoś jest, a może nie. Jak nie ma, to grzecznie poczekamy – powiedział Bogucki, podchodząc do obklejonych folią typu one way vision drzwi, na których wypisane były godziny otwarcia, numer kontaktowy, a także adresy stron w mediach społecznościowych. Złapał za klamkę i nacisnął, a ta ustąpiła. Pocią-

gnął drzwi do siebie i uśmiechnął się do kolegi, który patrzył z niedowierzaniem.

– Dzień dobry! – krzyknął, gdy weszli do środka.

Nikt im nie odpowiedział. W lokalu panowała cisza.

– A jeżeli ona tutaj jest? I leży w którymś z pomieszczeń, pokrojona na małe kawałeczki? W ogromnej kałuży krwi – rzucił szeptem Jaworski i wybałuszył oczy, dodając grozy wypowiedzianym słowom.

– Nie pierdol głupot. Idziemy.

Powoli ruszyli białym korytarzem, w którym co kilka metrów znajdowały się eleganckie drzwi w tym samym kolorze. Za trzema pierwszymi znajdowały się gabinety zabiegowe, każdy z dużym fotelom w stylu tego, który każdy znał z gabinetu stomatologicznego. W czwartym pomieszczeniu było coś na kształt składziku, w piątym pokój socjalny. Gdy stanęli przed ostatnimi drzwiami, Bogucki spojrział na kolegę.

– A jeżeli ona faktycznie tam leży? – spytał, a jego głos był inny niż zwykle. Drżący, z jakąś nutką niepokoju.

– To ten moment, którego zawsze boję się w filmach, zazwyczaj wtedy ktoś wyskakuje z szafy lub pomieszczenia, które bohater niby już sprawdzał, ale zupełnie nie zauważył kotary czy jakiejś dużej skrytki.

– Możesz przestać? – upomniał go kolega. – To nie pomaga. Zamknij się.

– Wiem i też sram po gaciach, ale chyba któryś z nas musi naciśnąć klamkę.

– Chyba tak – odpowiedział Bogucki i położył palce prawej dłoni na kanciastej, srebrnej klamce.

– No, naciskaj – ponaglił go Jaworski, który podszedł jeszcze bliżej kolegi.

Gdy już chciał to zrobić, drzwi same zaczęły się otwierać.

– Aaa! – wrzasnęli i jak oparzeni odskoczyli do tyłu.

– Aaa! – usłyszeli po ułamku sekundy, a ich oczom ukazała się szczupła brunetka. Szybko wyciągnęła z uszu białe słuchawki i wydarła się: – Pomocy!

Bogucki i Jaworski spojrzeli na siebie. Obaj się trzęśli, a twarze mieli o dwa tony bledsze w porównaniu do codziennego stanu.

– Proszę się uspokoić – odezwał się jako pierwszy Bogucki. – Jesteśmy z policji. Młodszy aspirant Bartosz Bogucki, a to aspirant Kamil Jaworski, chcielibyśmy porozmawiać.

– Ze mną? Coś się stało? – odpowiedziała już spokojniejszym głosem i ruszyła w stronę wejścia do gabinetu.

– Tak, zaginęła Marika Urbaniak.

– Chyba pan sobie jaja robi. Ona jest córką komendanta, ktoś musiałby być ostro powalony, żeby coś jej zrobić, pewnie zabalowała – powiedziała dwudziestoparolatka. Usiadła za białym kontuarem, na którym stał bukiet świeżych różowo-białych tulipanów, i włączyła niewidoczny dla odwiedzających komputer.

– Niestety wszystko wskazuje na to, że ktoś ma gdzieś to, kim jest jej ojciec.

– Albo właśnie to nim kierowało – wtrącił Jaworski i od razu dostał łokciem między zębra.

– Może pani... – Bogucki zawiesił głos.

– Marzena Rozenek – wtrąciła dziewczyna i uśmiechnęła się, prezentując śnieżnobiałe, lecz mocno pokrzywione zęby. Zresztą nie

tylko je miała krzywe. W połowie chudego nosa miała widoczne zgrubienie, a jego kształt daleki był od linii prostej.

– Pani Marzeno, czy Marika była wczoraj w pracy?

– Tak, siedziała od rana do jakiejś szesnastej. Powinna zostać do osiemnastej, ale spytała, czy mogłaby wyjść wcześniej. Twierdziła, że ma lekarza, chociaż ja w to wątpię – westchnęła i teatralnie przewróciła oczami.

– A dlaczego pani w to nie wierzy? – spytał Bogucki i oparł się przedramionami o blat. Nie czuł się komfortowo, wisząc nad kobietą.

– Hmm... Nie chcę być niemila, poza tym to córka waszego szefa...

– Nie bezpośredniego – wtrącił Jaworski.

– Cóż, straszny z niej leń. Jak może nie robić, to nie robi. A jak robi, to tak, żeby się jak najmniej zmęczyć. Taki typ królewny. Wszyscy powinni wokół niej skakać, a ona będzie leżeć i pachnieć. Wczoraj niby wyszła do lekarza, ale mogę dać sobie odciąć palec, że poszła do fryzjera lub kosmetyczki.

– Rozumiem, że nie pani ją zatrudniła?

– To gabinet mojej mamy. Ja jej pomagam, zajmuję się księgowością, w czym panowie mi przeszkodzili, plus promocją. Idzie nam całkiem dobrze. Ludzi w tym blokowisku całkiem sporo, ceny za metr kwadratowy niebotyczne, więc mieszkają tu celebryci, którzy myślą, że złapali Pana Boga za nóżki, bo mają mieszkanie w prestiżowym miejscu. Tylko jakoś nikt nie zwraca uwagi na fakt, że ludzie sobie zagląдают do okien, przez ścianę słyszą wrzeszczące bachory sąsiadów, a zaparkowanie tutaj graniczy z cudem, dlatego ja, jak mogę, przyjeżdżam skuterem.

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – powiedział Bogucki i uśmiechnął się do dziewczyny, próbując określić, czy jest ładna, czy brzydka. Żaden szczegół jej twarzy nie imponował, jednak całość kształt intrygował tymi niedoskonałościami, które w takim miejscu jak gabinet medycyny estetycznej stanowiły dość nietypowe zjawisko.

– No tak, jak zwykle gadam jak katarynka. A co chciał pan wiedzieć?

– Kto zatrudnił Marikę Urbaniak?

– Moja kochana mamusia. Uwielbiam ją, ale czasami można jej wcisnąć niezły kit. Jest najlepszą specjalistką od zastrzyków, jaką stworzył świat. Największych panikarzy jest w stanie przekonać do zabiegu i jeszcze nikt nie miał jakichkolwiek pretensji, ale jeżeli chodzi o otaczających ją ludzi, to porażka. Mama przyjaźni się z żoną komendanta od liceum. Siedziały razem w ławce i obiecywały sobie przyjaźń do grobowej deski. – Dziewczyna zaśmiała się i przeczesła ręką gęste brązowe włosy do ramion. – Jak na razie to im się udało. Miały małą przerwę, gdy moja mama wyjechała na dwa lata do Francji za jakimś facetem, ale po wszystkim wróciła, poznała na imprezie mojego tatę i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

– Niestety nie do końca, bo Marika zniknęła. Przyjaźnią się panie?

– Czy się przyjaźnimy? – prychnęła dziewczyna, jakby właśnie ją obraził. – My jesteśmy ulepione z różnych glin, i to tak totalnie. Nie chcę się chwalić, ale na studiach otrzymywałam stypendium naukowe. Mówię perfekcyjnie w trzech językach, a w przyszłym roku kończę studia doktoranckie, a Marika to taki dzban, jak mówią dzieciaki. Pustak. Może i wygląda jak modelecza, ale to wszystko. Nie

ma z nią o czym pogadać, chyba że o paznokciach, dramatach wśród celebrytów czy nowym programie na Netflixie, takim z gołymi laskami i prężącymi muskuły kolesiami.

– A czy ostatnio wydarzyło się w pracy coś, co zwróciło pani uwagę?

Dziewczyna ponownie się uśmiechnęła i pokręciła głową przecząco.

– Z nią to cały czas coś jest. W normalnej pracy by ją już dziesięć razy wyrzucono, ale moja mama jakoś czuje się w obowiązku, żeby się nią opiekować. Może dlatego, że jest jej chrzestną, ale to i tak nie usprawiedliwia niańczenia. Przecież ona ma dwadzieścia trzy lata, a wszyscy chodzą wokół niej jakby miała pięć lat. „Ona wcale nie chciała”, „Zapomniała, każdemu się zdarza” – mówiła zmienionym głosem Marzena Rozenek. – Tylko że to wpływa na nasz biznes. Parę klientek się mocno wkurzyło, bo na przykład zapisała dwie osoby na tę samą godzinę. Innym razem nie poinformowała pań zapisanych na konsultacje, że lekarz zachorował. Co pół godziny ktoś przychodził i dopiero na miejscu dowiadywał się, że wizyty nie będzie. Dopiero po godzinie zaczęłyśmy wydzwaniać do kolejnych, informując o tym, co miała zrobić Marika. Sporo ma takich wpadek, a za każdym razem mama mówi, że to na pewno ostatni raz. Cały czas ją usprawiedliwia, a ona z premedytacją to wykorzystuje. Ja bym się najzwyczajniej w świecie wstydziła. Ale ona ma to totalnie w dupie, robi podkówkę, smutne oczka i pozamiatane. Masakra.

– Rozumiem rozdrażnienie, a wie może pani, czy jest ktoś, kto życzyłby jej źle?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale dwa miesiące temu widziałam, jak się z kimś kłóciła – rzuciła po chwili, nagle podekscyto-

wana. – Uprzedzając pytania, nie wiem, kto to był i o co chodziło. Przechodziłam niedaleko, więc spojrzałam na nią, ale Marika uraczyła mnie spojrzeniem z serii „Nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa”.

– Pamięta pani, jak wyglądał ten ktoś? – spytał Bogucki.

– Duży facet, łysa głowa, myślę, że wujek, to znaczy komendant, nie byłby zadowolony z takiego towarzystwa dla córeczki.

– To jeszcze jedno pytanie na koniec, czy Marika Urbaniak spotykała się z kimś? Może ktoś po nią przychodził?

Kobieta uśmiechnęła się, ułożyła usta w dzióbek i uniosła prawą brew.

– No właśnie – westchnęła, wstała i obesza kontuar. Stała po drugiej stronie niecały metr od młodszego aspiranta Boguckiego, który od razu poczuł delikatny kwiatowy zapach jej perfum. – Według mnie ona jest lesbijką, ale chyba się tego wstydzi, bo umawia się czasami też z facetami.

– To może jest bi? – wtrącił Jaworski.

– Raczej nie. Widziałam ją z kilkoma facetami i zawsze trzymała ich na dystans. Niby się całowali, ale miałam wrażenie, że robiła to pod publikę. Ale gdy raz wpadła tutaj ładna dziewczyna, ale taka, co w związkach damsko-damskich robi za faceta, to gadały przed gabinetem i Marika zachowywała się jak zakochana nastolatka. Gdy tamta musnęła ją po ramieniu dłonią, aż podskoczyła z ekscytacji.

– Nie zna pani tej dziewczyny? – dopytywał Bogucki.

– Niestety nie.

Nie mając więcej pytań, pożegnali się z kobietą i ruszyli do radiowozu. Nie zdążyli wsiąść do niego, gdy telefon Boguckiego zaczął dzwonić, a na ekranie pojawiło się nazwisko komisarza. Odebrał i włączył na głośnik.

– To zaczyna robić się chore – rzucił Obrębski bez słowa wprowadzenia. – Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę, obyśmy tylko to my wygrali to starcie. Na Ursynowie w piekarni znaleziono jej stopę. To znaczy prawdopodobnie jej. Numer buta się zgadza. Niestety nie ma żadnych cech charakterystycznych, jak było z nogą Trawińskiej.

– Może jej podolog by rozpoznał? – rzucił Jaworski i uniósł brwi.

– Kto, do cholery?! – warknął wkurzony Obrębski.

– Podolog, taki specjalista od stóp. Podobno kobiety nie chodzą teraz na pedicure, tylko do podologa.

– Kurwa, nie wiem! – wrzasnął Obrębski, a w tle usłyszeli klakson. – Mirosław Zawada już tam jedzie, żeby zabezpieczyć znalezisko, więc za dwadzieścia minut macie tam być. Wysyłam wam za sekundę pinezkę, gdzie to jest – rzucił i rozłączył się.

Jazda we wskazane miejsce zajęła im osiem minut. Z daleka widzieli, dokąd mają się kierować, a to za sprawą kilkunastu radiowozów ze świecącymi stroboskopami na dachach. Zatrzymali się obok jednego z nich i wysiedli. Obrębskiego jeszcze nie było na miejscu. Zajechał kolejnym policyjnym autem dwie minuty później.

– Tym razem ktoś zrobił psikusa pani w piekarni – oznajmił, gdy tylko wysiadł z samochodu i od razu ruszył w stronę pobliskiego sklepu z pieczywem. – Kobieta zaczęła układać plastikowe skrzynki z pączkami czy innymi słodkościami, gdy wśród nich zobaczyła stopę. Na początku pomyślała, że jest sztuczna. – Popchnął drzwi, przed którymi zebrało się kilkunastu gapiów. – O, to chyba ona.

Na środku sklepu siedziała starsza kobieta z okładem na głowie, a przy niej klęczała dziewczyna w koszulce z krótkim rękawem z logo sklepu.

– Pani Wando, policja do pani – powiedziała ta młodsza i odsunęła się.

Do ich nozdrzy dobiegł przyjemny zapach pieczywa i słodkich wypieków, który podkreślił prace ślinianek, i każdy z trzech policjantów poczuł nieodpartą chęć zjedzenia czegokolwiek.

– Dzień dobry, komisarz Maksymilian Obrębski, a to młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski, Komisariat Policji z Żoliborza. Musimy z panią porozmawiać. Da pani radę? – powiedział spokojnie i podszedł jeszcze przestraszonej bliżej kobiety.

Wanda Cichomska miała sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała na dużo starszą, a to za sprawą siwych niczym gołąb włosów, które co rano zaplatała na małe papiloty. Po śmierci męża dwa lata wcześniej zatrudniła się w sklepie, żeby dorobić do niskiej emerytury. Była to miła odmiana po latach spędzonych w szkole, gdzie pracowała jako nauczycielka matematyki. Za ladą nikt jej nie poniżał, nie kłócił się z nią, nie podważał jej kompetencji, nikomu nie musiała udowadniać swojej wartości.

– Już wszystko opowiedziałam – usłyszeli cichy głos.

– Niestety, muszę jeszcze raz to usłyszeć. O której przyszła pani do pracy? – spytał komisarz.

– Zawsze jestem o piątej trzydzieści, maksymalnie czterdzieści, chociaż pracę zaczynam o szóstej. Lubię być wcześniej, wtedy mam kilka minut na zrobienie herbaty, posprzątanie blatu, wyrzucenie śmieci.

– O której przyjechała dostawa?

– Pan Krzysztof zazwyczaj jest między szóstą dziesięć a dwadzieścia.

– Czy dzisiaj przyjechał punktualnie? – dopytywał dalej.

- Tak, zaparkował od tyłu jakieś piętnaście po szóstej.

- Czy wydarzyło się coś wyjątkowego?

- Nie, było jak zwykle. - Kobieta wzruszyła ramionami i spojrzała smutnymi oczami na policjanta. - Wypakował skrzynki, zabrał puste, porozmawialiśmy ze dwie minuty o pogodzie. Podobnie jak ja nie lubi, jak jest ciepło. Skacze nam wtedy ciśnienie i źle się czujemy. Potem pojechał.

- Co było dalej?

- Rozpakowywałam towar.

- O której znalazła pani stopę? - spytał, próbując powiedzieć to jak najspokojniej.

- Chwilę przed siódmą. Na początku myślałam, że to jakiś chory żart, a później przypomniałam sobie o tym ciełe bez głowy i o uchu, które państwo znaleźli, i zrobiło mi się słabo.

- I nodze - dorzucił swoim zwyczajem Jaworski.

- I co pani zrobiła? - spytał Obrębski, jednocześnie obdarzając kolegę wymownym spojrzeniem.

- Najpierw usiadłam i się popłakałam. Wiem, że powinnam od razu zadzwonić, ale jakaś niemoc mnie dopadła. Ja nie oglądam mocniejszych filmów, bo nie mam na to nerwów. A gdy zobaczyłam stopę, odeszły mi wszelkie siły. Nie byłam w stanie podejść do socjalnego, wyjąć z torebki telefonu i zadzwonić. Po trzech minutach pojawiła się Gosia i to ona zadzwoniła.

- Czy pani czegoś dotykała?

- Nie. To znaczy chyba nie. Teraz to już nie jestem niczego pewna.

- Jeszcze dwa pytania. Czy ktoś się tu kręcił rano?

- Nie, ale... - Na chwilę zawiesiła głos. - Wie pan, jakby ktoś chciał, to mógłby podrzucić tutaj wszystko. Ja zawsze biorę skrzynkę i przenoszę do środka, wykładam i wracam po kolejną. Gdy byłam w środku, ktoś spokojnie mógł wejść na zaplecze i podłożyć coś do środka. Ale równie dobrze mogło to mieć miejsce jeszcze w piekarni.

- Rozumiem, a czy są tu jakieś kamery?

- Kamery? - zaśmiała się kobieta. - Może jeszcze czujki ruchu? - prychnęła, ale widząc minę Maksymiliana Obrębskiego, spoważniała. - Przepraszam, reaguję skrajnie na stres. Płaczę lub śmieję się - powiedziała zdecydowanie za głośno. - Nie, nie mamy tutaj żadnych kamer, alarmów. Kiedyś szefowa straszyla, że zamontuje, bo znikaly bagietki i chleb kukurydziany, ale wystarczyła rozmowa i to się skończyło.

- To dziękuję - odpowiedział Obrębski i już miał się odwrócić, gdy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie: - A czy ostatnio działo się coś nietypowego?

- Nie - odpowiedziała kobieta, kręcąc głową, i sięgnęła po zimny okład, który koleżanka położyła na blacie.

Trójka policjantów wyszła na zewnątrz, gdzie tłumek ciekawskich zrobił się jeszcze większy. Obeszli budynek dookoła i stanęli przed wejściem, pod którym musiał zaparkować dostawczak.

- Na pobliskich budynkach nie ma żadnych kamer - stwierdził komisarz, rozglądając się. - Więc tak naprawdę nie wiadomo, czy stopa została podłożona tutaj, czy może w piekarni. Trzeba koniecznie do nich pojechać. Może tam mają jakiś system monitorowania. Chodźmy do środka - rzucił i nie czekając na reakcję Boguckiego i Jaworskiego, wszedł na zaplecze, gdzie Zawada zabezpieczał ślady.

Patolog jak zwykle wisiał nad znaleziskiem, które wśród świeżych pączków wyglądało jak inscenizacja stworzona przez chorego człowieka. Podobnie jak pięć minut wcześniej, gdy uderzył ich zapach słodkości, ponownie ślinianki zaczęły wzmożoną pracę.

– Coś znalazłeś? – spytał Obrębski, łamiąc odwieczną zasadę nieodzywania się do mężczyzny podczas jego pracy. Ten powoli podniósł głowę i spojrzał na policjanta niebieskimi oczami.

– Stopę – odpowiedział poważnym głosem i kontynuował wykonywanie zdjęć.

– Aha – westchnął ten i odwrócił się. – Chyba nic tu po nas. Idziemy.

Wyszli przed budynek od strony zaplecza i przez chwilę stali w ciszy.

– Czas ruszać – odezwał się jako pierwszy Obrębski. – Aaa, nie powiedziałem wam, czego się dowiedziałem o zaginionej. Dostałem numer do jednej dziewczyny i zadzwoniłem. Oczywiście obudziłem ją. Była w szoku, gdy się dowiedziała, rzekłbym nawet, że wpadła w histerię. To, co ciekawe, to fakt, że potwierdziła wszystko, co już wiemy, czyli że życiowym celem Mariki Urbaniak było wkurzanie jej starych, do tego stopnia, że spotykała się z byłymi bandziorami, licząc, że ojciec się dowie. Pracę załatwiła jej przyjaciółka matki...

– Tak, to wiemy – wtrącił Jaworski. – Podobno średnio jej się chciało pracować, córka szefowej niezbyt pozytywnie się o niej wypowiadała. No i prawdopodobnie jest bi, może nawet w stronę lesbijki.

– Czyli wiemy to samo – skomentował komisarz. – Ale generalnie nic szczególnego się nie wydarzyło ostatecznie. Stwierdziła nawet, że Marika się uspokoiła. Mniej kłóciła się ze wszystkimi. Mam jeszcze

namiary na trzy jej koleżaneczki, ale obawiam się, że nie znajdziemy nic, co może mieć znaczenie.

Rozdział 63

– O ja pierdziele! – krzyknął Bartosz Bogucki i uderzył ręką w kierownicę.

Już chciał ruszyć w stronę komisariatu, aby tam przejrzeć sprawę komendanta, gdy dostał wiadomość od Beaty. Dzień wcześniej pisał trochę z panią psycholog, która omal nie dostała zawału, gdy zobaczyła go podczas zaaranżowanej przez przyjaciółkę randki w ciemno. Cały czas odpowiadała tajemniczo, że nie lubi policjantów, nie wchodząc w szczegóły. Jednak teraz, po długich pertraktacjach, postanowiła zdradzić przyczynę swojego zachowania.

„Przez cztery lata byłam w związku z policjantem. Dzielnie znosiłam jego nagłe zniknięcia, humory z powodu śmierci ofiary czy zbyt niskiego wyroku dla sprawcy. Ja wszystko rozumiem, ale nie byłam w stanie tego udźwignąć. Zniszczyło mnie to. Sama trafiłam na terapię, która dopiero po dwóch latach zaczęła przynosić efekty. Nie zamierzam tego powtarzać. A tak poza tym to chyba się znacie. To twój nowy szef. Maksiu :)”

– Ziemia do Bartosza – rzucił Jaworski, patrząc na kolegę i machając rękoma przed jego twarzą, ten jednak nie reagował. Wgapił się w otrzymaną przed chwilą wiadomość z niedowierzaniem. – Czy możesz mi powiedzieć, kto cię tak zaskoczył? Napisała Madonna czy królowa?

- Beata - odpowiedział, cały czas wpatrzony w ekran telefonu.

- To chyba super. Jakoś na naszej randce nie wydawała się pozytywnie nastawiona. Marlena powiedziała, że i tak zachowywała się miło i nie kasała, jak potrafi to robić.

- A wyjaśniła ci, dlaczego tak się zachowuje? - spytał Bogucki, ignorując fakt, że powinni już jechać.

- Coś mówiła o poprzednim związku, ale nie wchodziła w szczegóły. A o co chodzi?

- No o to, że to była jakaś trauma. Musiała się po tym leczyć, bo związek z policjantem to jakaś masakra.

- Czyli jej eks pracuje w policji?

- Właśnie to powiedziałem.

- Smutne, ale bez przesady. Praca policjanta jest obciążająca, ale nie dajmy się zwariować.

- No wiesz co, biorąc pod uwagę to, co się dzieje, to praca w kryminalnym może być dość traumatyczna - rzucił Bogucki i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Czyli to policjant z kryminalnego? Jeszcze powiedz, że od nas z komisariatu.

Policjant nie odezwał się ani słowem, tylko kiwał głową, potakując.

- Możesz powiedzieć, kto to, i jedziemy, bo Obrębski jaja nam urwie.

- Obrębski - powiedział z uśmiechem na twarzy.

- No tak, Obrębski, a jak...

Nie skończył, bo Bogucki mu przerwał:

- Obrębski to jej eks.

- Pierdolisz.
- Niestety nie – odpowiedział smutno.
- To chyba nie jest ci dana.
- Dobra, jedziemy – skomentował skwaszony i ruszył.

Rozdział 64

ON

Patrzę na nich wszystkich i mam ochotę się zaśmiać. Stanąć przed każdym z nich, wyszczerzyć zęby i parsknąć każdemu z osobna w twarz.

Początkowo chciałem tylko zabijać. Tak po prostu. Zobaczyć, jak to jest, gdy życie ulatuje z ciała. Później postanowiłem dorzucić swoje trzy grosze.

Moniki Wieczorek nie poznałem nigdy osobiście, za to jej mamę już tak. I to dobrze. Jej ręce. Jej ciało. Znałem zdecydowanie za dobrze i gdy w końcu dojrzałem do tego, żeby ją ukarać, ona umarła. Jakby mi na złość. Dlatego to jej córka musiała ponieść konsekwencje. Poza tym, jako dziecko dwóch zdemoralizowanych osób, była mocno obciążona genetycznie.

Może gdyby wyrosła na mądrą, pracowitą, zasłużyłaby na ocalenie, a tak... Wpisywała się idealnie w moją wizję pierwszej ofiary.

Grażyny Trawińskiej tak najzwyczajniej w świecie nigdy nie lubiłem. Denerwowała mnie. Głupia jak but, leniwa jak nikt inny, kogo poznałem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, co Franek w niej widzi.

Myślę, że zabijając ją, zrobiłem mu przysługę. Teraz może w końcu znajdzie kogoś odpowiedniego dla siebie.

No i na końcu ta mała suczka... Kolejny pomiot, za którym świat nie zatęskni, a na dodatek delikatny prztyczek dla tatusia. Gdy nasze drogi przecięły się piętnaście lat temu, czułem, że poznałem kogoś podobnego do mnie, ale niestety czas to zweryfikował. Urbaniak okazał się kolejnym przekupnym gliną, który omamiony kasą odstawił na bok swoje zasady.

A teraz wszyscy latają jak oszalali, mając nadzieję, że złapią „Brzytwę”, jak nazwała mnie prasa. I nic z tych działań im nie wyjdzie, bo mam władzę jak nikt i zamierzam się tym delectować. Nawet jeżeli zostawiłem jakiś ślad, to kto niby go znajdzie? Ja?

Rozdział 65

– Obrębski dzwoni – rzucił Bogucki, gdy spojrzał na podświetlony ekran komórki.

– Odbierz – skomentował Jaworski i sięgnął po stojącą przed nim butelkę. Od ponad godziny wybierał się po kanapkę do kantyny, ale nie mogąc oderwać się od pracy, zalewał tylko wodą wydający coraz głośniejsze dźwięki żołądek.

– No już – odpowiedział i nacisnął zieloną słuchawkę. – Tak? – Chwilę potakiwał, odpowiadając półsłówkami, w końcu się rozłączył. – Jedziemy. Ktoś zadzwonił na sto dwanaście i poinformował dyspozytorkę, że w mieszkaniu obok Mariki Urbaniak dzieje się coś podejrzanego. Obrębski już jedzie, ale powiedział, że po drodze musi załatwić jedną rzecz. Jeżeli uznamy, że faktycznie jest tam coś ważnego, mamy się nie krępować i dzwonić po ekipę.

Pięć minut później ponownie w ciszy jechali na Mokotów. Szybko wysiedli z radiowozu i ruszyli pod znany już sobie adres. Tym razem na klatce schodowej nikt się nie kręcił. Dla pewności weszli najpierw do mieszkania córki komendanta, ale panowały tam taka sama cisza i porządek jak wcześniej.

Gdy stanęli pod drzwiami obok, Bogucki jako pierwszy nacisnął dzwonek. Zero reakcji.

– Wiemy, kto złożył doniesienie? – spytał Jaworski, rozglądając się po korytarzu.

– Niestety nie. Dzwoniąca nie chciała lub nie zdążyła wyjaśnić.

– Czyli to była ona?

– Z tego, co zrozumiałem, to tak. A to ma dla nas jakieś znaczenie?

– Nie wiem, tak pytam. Chyba nikogo nie ma.

Bogucki podobnie jak kolega rozejrzał się po długim korytarzu, wzdłuż którego umieszczono drzwi do sześciu mieszkań. Cały czas nikt z sąsiadów nie wyszedł. Spojrzał przez ramię na kolegę, który stał za nim, a następnie położył dłoń na klamce. Dobrze wiedział, że nie powinien, ale odczuwana od rana presja powodowała, że w głowie kłębiły się myśli, które w normalnych sytuacjach się nie pojawiały.

– Spoko, nic nie powiem – zapewnił Jaworski.

Docisnął klamkę. Momentalnie cały się napiął, czując jej ruch do dołu, a gdy popchnął drzwi, a one nie stawiały oporu, poczuł lęk połączony z ekscytacją.

– Wchodzimy – wyszeptał i popchnął mocniej drzwi.

– Ja pierdolę... – jęknął Jaworski, gdy otworzyły się w pełni i zobaczyli wnętrze mieszkania.

– Wzywam posiłki – rzucił przerażony Bogucki. – A ty załóż rękawiczki i nakładki na buty i sprawdź, czy jeszcze żyje, chociaż...

Siedząca na środku krwawej rzezi Marika Urbaniak nie ruszała się, a ilość krwi dookoła nie napawała optymizmem.

– Nie czuję tętna – krzyknął po chwili Jaworski. – Jezu, co mam robić? Odwiązać?

– Nie ruszaj. Nie wygląda, jakby żyła, a tak zatrzesz ślady. Nasi już jadą – powiedział, rozłączył się i rozejrzał dookoła.

Stali w pomieszczeniu o powierzchni mniej więcej dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów kwadratowych. Tuż obok wejścia stała szafa, zapewne na ubrania wierzchnie i buty, jednak zamontowane na nich lustro powodowało, że nie widzieli, co jest w środku. Dalej na ścianie po prawej stronie znajdował się niewielki aneks kuchenny z wbudowaną dwupalnikową płytą indukcyjną. Pod spodem stały szafki z frontami w beżowym kolorze, obok niewielka lodówka, raczej przeznaczona dla kogoś, kto nie robi zapasów.

Jednak to, co w tym momencie najbardziej przyciągało uwagę, to stół, a na nim laptop, i stojące obok krzesło. W sumie było ich cztery, ale to jedno stojące najbliżej wejścia wywoływało przerażenie.

Ciało młodej kobiety zostało przywiązane do niego grubymi pasami, tak aby nie zsunęło się na podłogę. Jeden fakt najbardziej rzucał się w oczy i powodował, że zjedzony chwilę wcześniej posiłek cofał się do gardła – brak lewej dłoni i prawej stopy. O ile dotąd tylko w przypadku dłoni znalezionej w paczce były dowody, że należy ona do Mariki, o tyle teraz mieli pewność, że tak samo jest w przypadku stopy odkrytej przez starszą panią w piekarni na Ursynowie. Poza tym z odległości tych kilku metrów dzielących dwójkę policjantów od ofiary nie widać było żadnych innych ran.

– Co to jest na stole? – rzucił Jaworski, przerywając panującą do-tychczas ciszę.

– To gra.

– Gra?

– Scrabble, nie grałeś?

– Nie, ale słyszałem. Układa się wyrazy?

– Tak – odpowiedział Bogucki i zerknął na zegarek telefonu. Minęło już pięć minut. Obrębski powiedział, że maksymalnie w ciągu dziesięciu ktoś dotrze, zostało jeszcze pięć. – Widzisz, co jest na ekranie laptopa? – spytał. Kąt ustawienia urządzenia powodował, że z miejsca, w którym stał, nic nie widział.

– Stąd nie – powiedział, po czym zrobił krok do tyłu, a następnie kolejny. – Ale tu widzę. To nagranie chyba z korytarza. Jest na nim jakiś mężczyzna.

– Pokazuje aktualny obraz? – szepnął przerażony Bogucki.

– Nie, to znaczy chyba nie. Ktoś zastopował nagranie albo wrzucił screen.

– Widzisz jego twarz?

– Bartek, kuźwa, podejdź sam i zobacz! – zniecierpliwił się Jaworski.

Mimo to sam podszedł bliżej komputera. Obaj wiedzieli, że powinni stać na korytarzu i czekać na ekipę, niczego nie dotykać, nie chodzić po miejscu zbrodni, a to mieszkanie na sto procent nim było. Gdy stanął w odległości metra, nachylił się nad urządzeniem i momentalnie pobladł. Jego oczy się wytrzeszczyły, a usta rozszerzyły, jakby nagle żuchwa zrobiła się cięższa niż zazwyczaj.

– To niemożliwe... – wyszeptał i obrócił się w stronę drzwi wejściowych.

W tym momencie w progu pojawił się Obrębski wraz z patologiem, Mirosławem Zawadą.

Rozdział 66

ONA

Podglądanie ludzi jest interesujące. Robienie im psikusów niszczących ich życie wciąga jak bagno. Zabijanie daje natomiast chwilową ulgę, ale potem przychodzi strach, że ktoś zapuka do drzwi, zakuje w kajdanki i zamknie w ciasnej przestrzeni bez możliwości wyjścia.

Ale chyba najpiękniejsze jest mszczenie się, szczególnie gdy obiekt nie wie, skąd padł cios. A nawet jeżeli ma jakiś cień domysłów, to nie zna odpowiedzi na podstawowe pytanie: dlaczego?

Od dawna wiedziałam, że kombinuje coś z córką komendanta. Nie mogło być przypadkiem, że wynajął mieszkanie obok. Wchodził do jej klatki, a po dwóch minutach zapalały się światła w kawalerce, która niedawno była do wynajęcia, a teraz na niektórych portalach ogłoszeniowych miała status „nieaktualne”.

Po tygodniu zauważyłam, że w nowym lokum bywał rzadko, więc wiedziałam, że nie wyprowadził się z domu. Po pierwsze, wracał później do swojej rodziny, po drugie, nie zwiózł tam żadnych rzeczy. Za to zamontował kilka kamer na klatce schodowej. Najpierw się przestraszyłam, że jeżeli będę za dużo kręcić się po korytarzu, on się

zorientuje, dlatego za każdym razem ubierałam się inaczej i starałam nie zwracać na siebie uwagi.

Najważniejsze było to, że musiałam wymyślić, jak dokonać zemsty doskonałej. Czytałam, szukałam, rozmawiałam, aż w końcu mi się udało, a teraz oglądam swoje dzieło. Przez chwilę patrzę na dwóch średnio rozgarniętych policjantów, którzy oglądają przygotowaną przeze mnie inscenizację i zupełnie nie potrafią jej zinterpretować.

Gdy słyszę pytanie o Scrabble, mam ochotę strzelić sobie otwartą ręką w czoło. Na szczęście w ostatnim momencie ich szare komórki zaskakują, a ja mogę obserwować jego upadek.

– Możecie nie wchodzić? – rzuca jeden z policjantów, gdy tylko widzi dwóch nowo przybyłych mężczyzn.

– Zwariowałaś! – Stojący obok kolega szturcha go, piorunując wzrokiem, co doskonale widzę na monitorze laptopa.

– Nie. – Kręci głową i robi krok do otwartych na oścież drzwi wyjściowych. – Bardzo proszę wszystkich o natychmiastowe opuszczenie pomieszczenia. Muszę teraz porozmawiać tutaj – podkreśla ostatnie słowo – z komisarzem Maksymilianem Obrębskim.

Wszyscy mierzą się wzrokiem, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi. To znaczy trzech nie wie, a jeden udaje. Robi to znakomicie, jednak ja widzę ten wzrok utkwiony w laptopie i planszy, które nie on tutaj zostawił. Jego mózg analizuje. Przetwarza informacje, a mina, która pojawia się zaraz na jego twarzy, jest bezcenna.

„40. Raków”. Chyba wytatuuję to sobie na ramieniu. Drugi raz wygrałam. Dwa do zera dla mnie.

Rozdział 67

Dwa tygodnie później

Bartosz Bogucki powoli otworzył oczy i przeciągnął się. Zegarek, który stał przy łóżku, pokazywał dziewiątą pięć. To był jego pierwszy dzień wolny od miesiąca. Początkowo chciał odmówić, ale Obrębski go zmusił. Zagroził, że wyśle go na przymusowe zwolnienie, a wtedy przerwa od pracy potrwa znacznie dłużej.

Niespiesznie wstał z łóżka i ruszył do kuchni, od której dzieliło go raptem kilka kroków. Od trzech dni mieszkał w wynajętej obok komisariatu kawalerce, do której przeniósł się mimo protestów Jaworskiego. Jakiś czas temu spotkał się z Alą na umówionej kawie i ostatecznie zakończył ich związek, ona jednak codziennie dzwoniła po kilkanaście razy, zostawiała ckliwe nagrania na poczcie głosowej i pisała SMS-y o zmianach, które wprowadzi w swoim życiu. Po tym wszystkim chciał zacząć od nowa, a zmiana miejsca zamieszkania stanowiła jedną ze składowych. W planach miał jeszcze zapisanie się na boks i kupienie kilku nowych ubrań.

Usiadł przy małym stoliku i odpalił starego laptopa, który ledwo dychał, ale w zupełności wystarczał do przeglądania newsów. Czekał na załadowanie się strony głównej jednego z najważniejszych serwi-

sów informacyjnych, gdy jego komórka dała znać o nowej wiadomości.

Schylił się po telefon, który leżał na podłodze – krótki kabel od ładowarki nie pozwalał na położenie go wyżej.

– No, obudziła się królowna – powiedział sam do siebie i zaczął czytać SMS od Beaty, do której napisał przedwczoraj, wiedząc, że szykuje mu się dzień wolny. Z uśmiechem na twarzy odpisał i ruszył do łazienki. Miał niespełna pięćdziesiąt minut na wykąpanie się i dotarcie na bulwary wiślane, gdzie dziewczyna wyznaczyła mu miejsce spotkania.

Szybko się uwinął i już kwadrans później wyszedł z domu, mimo że nadal nie dostał potwierdzenia. Na miejsce dotarł osiem minut przed czasem. Usiadł na ławce, której lokalizację dostał w wiadomości, i czekał. Dziesięć po dziesiątej zaczął się rozglądać. Pogoda sprzyjała spacerowiczom, więc co chwilę w zasięgu wzroku pojawiały się kobiety mogące być nią, ale za każdym razem, gdy się zbliżały, ze smutkiem stwierdzał, że niestety to ktoś inny.

W końcu zegarek pokazał dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej. Zrezygnowany wstał i ruszył w stronę mostu Śląsko-Dąbrowskiego, gdy ktoś złapał go za ramię. Odwrócił się i momentalnie uśmiechnął.

– Przepraszam – wysapała zmachana Beata, ledwo łapiąc oddech. – Zwiął mi tramwaj, a gdy już jechałam, skapnęłam się, że zostawiłam telefon w domu lub zgubiłam, co byłoby gorsze. Ale nieważne. Chodźmy się czegoś napić, bo zaraz uschnę – powiedziała już normalnym tonem.

Po piętnastu minutach spaceru dotarli do niewielkiej knajpki, gdzie usiedli w rogu sali i mimo wczesnej pory zamówili po piwie.

– Niezły młyn macie – odezwała się jako pierwsza Beata i pociągnęła spory łyk, czym miło zaskoczyła Boguckiego. Przy pierwszym spotkaniu wydawało mu się, że należy do tych dostojnych dam, które sączą likier lub popijają miniłykami czerwone wino. – Ja cały czas jestem w szoku, że za tym stał Zawada. Gdyby nie tajemniczy pomocnik, nikt pewnie by na to nie wpadł.

– Wiem, i jest to przerażające. Wszyscy mu wierzyliśmy na słowo, a on się nami bawił, jak chciał. Tak naprawdę to na miejscach zbrodni mogły być jego ślady, ale przecież sam siebie by nie zdema-skował. Wszystko pousuwał, chociaż myślę, że i tak był niezwykle ostrożny. A jakby tego było mało, prokurator chce sprawdzić inne sprawy, w których kiedykolwiek brał udział. Może się okazać, że lista jego ofiar jest znacznie dłuższa.

– A wiadomo, czemu to robił? – spytała Mikulska i pociągnęła kolejny spory łyk.

– Nie – odpowiedział i wzruszył ramionami. – Podobno znał Grażynę Trawińską, no i Marikę Urbaniak, to jasne. Co do Wieczerek, to nie wiemy, czy w jakikolwiek sposób go coś z nią łączyło. Pewnie obrotny adwokat by go z tego wyciągnął, tłumacząc, że to nagranie, na którym widać go obok ciała córki komendanta, można jakoś inaczej wytłumaczyć, gdyby nie ukryte mieszkanie w jego domu.

– Słyszałam – wtrąciła kobieta i delikatnie przekrzywiła głowę. Padające z zewnątrz promienie spowodowały, że jej oczy zrobiły się jeszcze bardziej piwne niż zazwyczaj. – Kolega pokazał mi nawet zdjęcia z wizji lokalnej.

– Kolega? – spytał obrażonym tonem.

– No, kolega, jakich mam wielu... – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Jak chcesz, możesz zostać jednym z nich.

– Ojoj, jaki zaszczyt mnie kopnął! Mogę zostać funflem psycholog Mikulskiej. A co się z tym wiąże?

Kobieta popatrzyła na niego tak, że poczuł przyspieszone bicie serca, a po chwili pewnym głosem rzuciła:

– Możemy chodzić razem na piwo, mecze Legii i do kina, ale tylko na głupie filmy albo kryminały. I zero seksu, miziania się i takich tam. Umowa stoi? – spytała i wyciągnęła w jego stronę rękę.

Spojrzał na nią i uścisnął jej dłoń. W sumie ten układ mu pasował. Dopił piwo do końca i skinął na kelnera. Potrzebowali kolejnych dwóch kufli złocistego napoju.

Kilka słów na koniec

Historia tej książki jest dość nietypowa, ponieważ najpierw powstał... tytuł.

W tym roku, tzn. 2023, obchodzę moje osiemnaste urodziny ;) i stwierdziłam, że zrobię sobie mały prezent w postaci wciągającej historii, którą sama chętnie bym przeczytała. Miało być mrocznie, ale też inaczej niż dotychczas.

Mam nadzieję, że mi się udało i podczas lektury bawiłeś się, drogi Czytelniku, równie dobrze jak ja, gdy ją tworzyłam.

Przy okazji chciałabym ślicznie podziękować mojemu mężowi, który niczym wprawny redaktor punktował tekst, wpisując swoje komentarze na czytniku Kindle, co nie jest łatwe. Dzięki niemu dialogi męskich bohaterów nie są zbyt „babskie”, a niektóre postacie są jeszcze ciekawsze.

No i nie mogę zapomnieć o Tobie, mój Czytelniku.

Dziękuję, że dojrzałeś do końca tej historii. Jestem wdzięczna za wszystkie wiadomości, komentarze i udostępnienia w social mediach, które obok sprzedaży są w dzisiejszych czasach znakiem, że to, co robię, ma sens.

Dlatego jeżeli masz ochotę, pisz do mnie, zostawiaj opinie, gdzie się da.

A jeżeli nie znasz jeszcze moich poprzednich powieści, to serdecznie zapraszam do lektury!

Dotychczas wydane zostały:

• **seria o Dorocie Czerwińskiej:**

„Przez pomyłkę” – tom 1,

„Dziewczyna z wnęki” – tom 2,

„Iluzja doskonałości” – tom 3,

„Zabawa w zabijanie” – tom 4,

• **„Zasada wzajemności”,**

• **„I co dalej?”.**

Wszystkie powieści są dostępne w trzech formatach w moim sklepie, czyli na www.peszek.pl, ale również na większości platform i sklepów internetowych.

Pozdrawiam

Agnieszka